STULATEK, KTÓRY WYSKOCZYŁ PRZEZ OKNO I ZNIKNĄŁ

JONAS JONASSON

Świat Książki

BRAWUROWA POWIEŚĆ, KTÓRA ZACHWYCIŁA 1,5 MILIONA CZYTELNIKÓW

Jonas Jonasson

Stulatek, który wyskoczył przez okno i zniknął

Ze szwedzkiego przełożyła
Joanna Myszkowska-Mangold

Świat Książki

Specjalne podziękowania dla Mickego, Lizy, Rixona, Maud i wujka Hansa

Jonas

Nikt tak nie potrafił zaczarować słuchaczy jak dziadek, gdy zmyślał niestworzone historie, lekko pochylony nad swoją laską i z ustami pełnymi snusu.

– Nie no... naprawdę, dziadku? – pytaliśmy ze zdziwieniem.

– Tacy, co to ino prawdę godoją, toż to ni warto ich słuchać – odpowiadał dziadek.

Ta książka jest dla niego.

Jonas Jonasson

ROZDZIAŁ 1
Poniedziałek, 2 maja 2005

Można by pomyśleć, że mógł się zdecydować wcześniej albo przynajmniej mieć na tyle przyzwoitości, żeby poinformować otoczenie o swojej decyzji. Ale Allan Karlsson nigdy zbyt długo nie rozważał swoich decyzji.

Tak więc myśl nie zdążyła jeszcze zagnieździć się w głowie staruszka, a już otwierał okno swojego pokoju na parterze domu spokojnej starości w sörmlandzkim Malmköping i wskakiwał na rabatę.

Manewr dał się we znaki i nie było w tym nic dziwnego, bo właśnie tego dnia Allan kończył sto lat. Do przyjęcia urodzinowego w świetlicy domu spokojnej starości zostało mniej niż godzina. Sam radny gminy miał tam być. I lokalna prasa. I wszyscy pozostali staruszkowie. I cały personel, ze srogą siostrą Alice na czele.

Tylko główny bohater nie miał zamiaru się pojawić.

ROZDZIAŁ 2

Poniedziałek, 2 maja 2005

Allan Karlsson stał wśród bratków na rabacie wzdłuż jednej ze ścian domu spokojnej starości i się wahał. Miał na sobie brązową marynarkę, brązowe spodnie i parę brązowych kapci. Nie był z niego żaden modniś, ale rzadko się nim bywa w tym wieku. Aktualnie uciekał z własnego przyjęcia urodzinowego, i to także zdarza się rzadko w tym wieku, głównie dlatego, że w ogóle rzadko bywa się w tym wieku.

Allan zastanawiał się, czy warto zadać sobie trud i wdrapać się z powrotem przez okno, żeby wziąć kapelusz i buty, ale gdy poczuł, że przynajmniej portfel jest na swoim miejscu w wewnętrznej kieszeni marynarki, zadowolił się stanem rzeczy. Poza tym siostra Alice w wielu przypadkach wykazywała się szóstym zmysłem (gdziekolwiek by ukrył wódkę, i tak ją znalazła), więc może i teraz chodziła tam w środku i czuła, że szykuje się jakaś draka?

Lepiej udać się w drogę, póki czas, pomyślał Allan i z chrzęstem w kolanach wyszedł z rabaty. W portfelu, o ile pamiętał, miał kilkaset koron. To dobrze, bo trzymanie się z dala od ludzi raczej nie będzie za darmo.

Allan odwrócił głowę, spojrzał na dom spokojnej starości, który do całkiem niedawna uważał za swój ostatni przystanek na ziemi, i powiedział do siebie, że przyjdzie mu umrzeć chyba innym razem, gdzie indziej.

Stulatek udał się w drogę w swoich obszczykapciach (tak się je nazywa, ponieważ panowie w podeszłym wieku rzadko kiedy sięgają dalej niż do butów, kiedy sikają). Najpierw przez park, potem wzdłuż placu, gdzie od czasu do czasu odbywał się targ w tym zwykle spokojnym miasteczku. Po kilkuset metrach wszedł na teren za średniowiecznym kościołem – lokalną dumą – i usiadł na ławce przy kilku grobach, aby dać odpocząć kolanom. Religijność w okolicy nie była aż taka, żeby Allan nie mógł liczyć na chwilę spokoju w miejscu, gdzie siedział. Zauważył, że jak na ironię urodził się w tym samym roku co Henning Algotsson, leżący w grobie naprzeciwko. Różnica między nimi była jednak taka, że Henning wyzionął ducha sześćdziesiąt jeden lat temu.

Gdyby Allan był z tych zainteresowanych, może by się zastanowił, na co zmarł Henning w wieku zaledwie trzydziestu dziewięciu lat. Ale Allan nie wtrącał się w cudze sprawy, o ile dało się tego uniknąć, a zwykle się dawało.

Pomyślał natomiast, że chyba nie miał racji, sądząc, że może umrzeć od tego wszystkiego. Bo jakkolwiek by był obolały, to jednak ucieczka przed siostrą Alice była o wiele bardziej interesująca i pouczająca niż leżenie bez ruchu dwa metry pod ziemią.

Następnie jubilat podniósł się, na przekór swoim chorym kolanom, pożegnał się z Henningiem Algotssonem i kontynuował swą kiepsko zaplanowaną ucieczkę.

Kierował się na południe, przemierzając cmentarz, aż kamienny murek stanął mu na drodze. Nie miał więcej niż metr wysokości, ale Allan był stulatkiem, a nie skoczkiem wzwyż. Po drugiej stronie stał dworzec w Malmköping i staruszek zrozumiał, że to właśnie tam miały go zaprowadzić sfatygowane nogi. Pewnego razu, przed wielu laty, Allan przeszedł Himalaje. Teraz byłoby to kłopotliwe, pomyślał, stojąc przed ostatnią przeszkodą oddzielającą go od dworca. Myślał tak intensywnie, że murek przed jego oczami skurczył się niemalże całkowicie. A gdy stał się już całkiem malutki, Allan wgramolił się i przeszedł na drugą stronę, nie bacząc na wiek i kolana.

W Malmköping rzadko jest tłoczno, i ten słoneczny, wiosenny dzień nie był wyjątkiem. Allan nie natknął się jeszcze na żadnego człowieka, odkąd w pośpiechu postanowił nie pojawić się na własnym przyjęciu z okazji setnych urodzin. Poczekalnia dworca była prawie pusta, gdy Allan wkroczył w swoich kapciach. Ale tylko prawie. Na środku sali stały dwa rzędy ławek, odwróconych oparciami ku sobie. Wszystkie miejsca były wolne. Na prawo znajdowały się dwa okienka. Pierwsze było zamknięte, a w drugim siedział niepozorny, chudy mężczyzna w małych, okrągłych okularach, z rzadkimi włosami zaczesanymi na bok i w służbowej kamizelce. Mężczyzna rzucił zakłopotane spojrzenie znad ekranu komputera, gdy Allan pojawił się na dworcu. Być może pomyślał, że tego popołudnia panuje tu niesłychany ruch; Allan odkrył właśnie, że nie jest jedynym podróżnym w sali. W rogu stał mianowicie szczupły młodzieniec z długimi, tłustymi blond włosami i sterczącą bródką, w dżinsowej kurtce z napisem Never Again na plecach.

Być może młodzieniec nie potrafił czytać, bo szarpał drzwi toalety dla niepełnosprawnych, jak gdyby tabliczka „Nieczynne”, z czarnymi literami na pomarańczowym tle, nic nie znaczyła.

Zaraz jednak podszedł do toalety obok, ale tam miał inny problem. Najwyraźniej młodzieniec nie chciał się rozstawać ze swoją dużą, szarą walizką na kółkach, a toaleta była za mała dla niego i walizki. Allan zrozumiał, że albo młodzieniec zostawi walizkę na zewnątrz, gdy będzie załatwiał swoje potrzeby, albo wepchnie ją i sam zostanie na zewnątrz.

Mimo to z trudem angażował się w problemy młodzieńca. Zamiast tego wysilił się, żeby podnosić nogi najlepiej, jak potrafił i drobnymi kroczkami podszedł do niepozornego mężczyzny w otwartym okienku, aby zapytać, czy cokolwiek odjeżdża ze stacji w jakąkolwiek stronę w ciągu najbliższych minut i ile będzie kosztował bilet.

Niepozorny wyglądał na zmęczonego. I pogubił się chyba gdzieś w połowie wywodu Allana, bo po kilku sekundach zastanowienia zapytał:

– A dokąd zamierza się pan wybrać?

Allan zaczął od początku i przypomniał niepozornemu, że cel podróży, a także środek lokomocji są podporządkowane: a) godzinie odjazdu oraz b) kosztom.

Niepozorny znowu zamilkł na kilka sekund i patrzył w rozkłady jazdy, przetrawiając słowa staruszka.

– Autobus dwieście dwa do Strängnäs odjeżdża za trzy minuty. Może być?

Owszem, tak Allan sądził, został więc poinformowany, że autobus odjeżdża z przystanku tuż przy wyjściu z dworca oraz że

bilet najlepiej kupić u kierowcy.

Allan zastanawiał się, co też ten niepozorny mężczyzna robi w okienku, skoro nie sprzedaje biletów, ale nic nie powiedział. Niepozorny być może zastanawiał się nad tym samym. Allan podziękował za pomoc i spróbował uchylić kapelusza, którego w pośpiechu zapomniał.

Stulatek przysiadł w jednym z dwóch pustych rzędów ławek, sam ze swoimi myślami. Te cholerne obchody w domu starców miały się rozpocząć o piętnastej, czyli zostało dwanaście minut. Lada chwila zaczną pewnie walić w drzwi do pokoju Allana, a potem to już będzie cyrk.

Jubilat uśmiechnął się do siebie, a kątem oka zauważył, że ktoś się zbliża. To ten szczupły młodzieniec z długimi, tłustymi blond włosami, sterczącą bródką i w dżinsowej kurtce z napisem Never Again na plecach. Kierował się prosto na niego, ciągnąc dużą, szarą walizkę na czterech małych kółkach. Allan zorientował się, że istnieje spore ryzyko rozmowy z długowłosym. To nawet nie musiało być takie złe, miałby przynajmniej pojęcie, jak rozumuje współczesna młodzież.

Można to było nazwać rozmową, aczkolwiek niezbyt zaawansowaną. Młodzieniec stanął kilka metrów od Allana, zdawał się przyglądać staremu mężczyźnie przez chwilę, aż w końcu powiedział:

– Słuchaj no pan.

Allan odwzajemnił pozdrowienie i zapytał, czy może służyć pomocą. Mógł. Młodzieniec chciał, żeby Allan rzucił okiem na walizkę, podczas gdy jej właściciel będzie załatwiał swoje potrzeby w toalecie. Albo, jak to wyraził młodzieniec:

– Wysrać się muszę.

Allan odpowiedział, że jest wprawdzie stary i zniedołężniały, ale wzrok ma dobry i spoglądanie na walizkę młodego człowieka nie wydaje mu się zbyt dużym obciążeniem. Polecił natomiast, żeby załatwiał swoje potrzeby z pewną dozą pośpiechu, gdyż Allan nie chce się spóźnić na autobus.

Tego ostatniego młodzieniec już nie dosłyszał, bo popędził do toalety, jeszcze zanim Allan zdążył dokończyć.

Stulatek nie był z tych, co to dają się zirytować, bez względu na to, czy mają powody, czy też nie. Nie poruszyło go więc także niestosowne zachowanie młodzieńca. Nie poczuł jednak do niego specjalnej sympatii, co prawdopodobnie miało znaczenie dla tego, co za chwilę miało nastąpić.

A to, co nastąpiło, to przyjazd autobusu 202 pod wejście na dworzec, już na kilka sekund po tym, jak młodzieniec zamknął za sobą drzwi toalety. Allan spojrzał na autobus, potem na walizkę, znów na autobus i znów na walizkę.

– Przecież ma kółka – powiedział do siebie. – Jest też taśma, za którą można ciągnąć.

I tym sposobem Allan zaskoczył samego siebie, podejmując – jak można chyba powiedzieć – życiową decyzję.

Kierowca autobusu był usłużny i życzliwy. Pomógł starszemu mężczyźnie z jego dużą walizką.

Allan podziękował za pomoc i wyciągnął portfel z kieszeni marynarki. Kierowca zapytał, czy zamierza jechać do samego Strängnäs, a Allan liczył dostępne środki. Sześćset pięćdziesiąt koron w banknotach plus kilka monet. Allan pomyślał, że

najlepiej byłoby nie szastać groszem, więc położył banknot pięćdziesięciokoronowy i zapytał:

– Jak pan myśli, dokąd za tyle dojadę?

Kierowca odpowiedział z rozbawieniem, że jest przyzwyczajony do pasażerów, którzy wiedzą, dokąd chcą jechać, ale nie wiedzą, ile to kosztuje, a tym razem jest odwrotnie. Następnie spojrzał na rozkład jazdy i poinformował, że za czterdzieści osiem koron można dojechać do stacji Byringe.

Allanowi to odpowiadało. Dostał bilet i dwie korony reszty. Kierowca położył na półce na bagaże za swoim siedzeniem skradzioną walizkę, Allan zaś usadowił się w pierwszym rzędzie po prawej stronie. Stamtąd mógł zajrzeć przez okno do dworcowej poczekalni. Drzwi toalety były nadal zamknięte, gdy kierowca wrzucił bieg i odjechał. Allan miał nadzieję, że młodzieniec przeżywał tam w środku miłe chwile, biorąc pod uwagę, jaki zawód miał go czekać za moment.

Autobus do Strängnäs nie był ani trochę przepełniony tego popołudnia. Prawie na samym końcu siedziała kobieta w średnim wieku, która wsiadła we Flenie, w środku usadowiła się młoda matka, która w Solberdze z trudem wgramoliła się z dwojgiem dzieci, a miejsce na przodzie autobusu zajmował stary mężczyzna, który dosiadł się w Malmköping.

Ten ostatni właśnie się zastanawiał, dlaczego ukradł tę dużą, szarą walizkę na kółkach. Może dlatego, że się dało? Albo dlatego, że właściciel był półgłówkiem? A może zawierała parę butów, a nawet kapelusz? Albo dlatego, że stary człowiek nie miał nic do stracenia? Nie, Allan nie potrafił sobie na to odpowiedzieć. Gdy

dostało się od życia nadgodziny, można sobie pozwolić na pewną swobodę, pomyślał i usadowił się wygodniej.

Wybiła piętnasta, gdy autobus minął Björndammen. Allan stwierdził, że jak na razie jest zadowolony z przebiegu dnia. Przymknął oczy, żeby uciąć sobie popołudniową drzemkę.

W tym samym momencie siostra Alice zapukała do drzwi pokoju numer 1 w domu spokojnej starości w Malmköping. Zapukała jeszcze raz i jeszcze raz.

– Koniec wygłupów. Radny gminy i wszyscy inni już są. Słyszy Allan? Chyba Allan nie zagląda znów do butelki? Wychodzimy natychmiast! Allan! Allan?

Mniej więcej w tym samym czasie otworzyły się drzwi chwilowo jedynej dostępnej toalety na dworcu w Malmköping. Wyszedł z niej młodzieniec z poczuciem lekkości – w podwójnym tego słowa znaczeniu. Zrobił kilka kroków w stronę środka poczekalni, jedną ręką poprawiając pasek, a drugą przeczesując włosy. Nagle przystanął, zagapił się na dwa puste rzędy ławek, potem szybko spojrzał w prawo, w lewo i powiedział głośno:

– Co do pierdolonej kurwy nędzy... – Nagle zaciął się, lecz po chwili kontynuował: – Zabiję cię, staruchu. Niech no tylko cię znajdę.

ROZDZIAŁ 3
Poniedziałek, 2 maja 2005

Tuż po piętnastej dnia 2 maja Malmköping straciło swój spokój na wiele najbliższych dni. Siostra Alice w domu spokojnej starości zaniepokoiła się, zamiast zezłościć, i wyciągnęła centralny klucz. Jako że Allan nie starał się zatrzeć drogi swojej ucieczki, od razu można było stwierdzić, że jubilat wyszedł przez okno. Tam, jak wskazywały ślady, stał i przytupywał przez chwilę wśród bratków, a następnie zniknął.

Radny gminy poczuł, że z racji swojego urzędu powinien przejąć dowodzenie. Oddelegował personel w grupach dwuosobowych na poszukiwania. Allan nie mógł być przecież daleko, więc grupy miały się skupić wyłącznie na najbliższym otoczeniu. Jedna została wysłana do parku, druga do sklepu monopolowego (dokąd, według siostry Alice, Allan miał w zwyczaju się udawać), trzecia do pozostałych sklepów przy Storgatan, a czwarta do skansenu na wzgórzu. Sam radny został w domu spokojnej starości i miał oko na pozostałych staruszków, którzy jeszcze nie zdążyli się ulotnić, oraz obmyślał następny krok. Powiedział też do poszukujących, aby byli dyskretni; nie warto przecież rozdmuchiwać sprawy bez potrzeby.

W zamieszaniu nie pomyślał jednak, że jedna z grup, które właśnie wysłał na poszukiwanie, składała się z reporterki lokalnej gazety i jej fotografa.

***

Dworzec nie należał do najważniejszych obszarów poszukiwań według radnego gminy. Zresztą każdy zakamarek został już przeszukany przez młodzieńca z długimi, tłustymi blond włosami, sterczącą bródką i w dżinsowej kurtce z napisem Never Again na plecach. Ponieważ ani starca, ani walizki nie można było znaleźć, młodzieniec podszedł zdecydowanym krokiem do niepozornego mężczyzny w jedynym czynnym okienku, z zamiarem zasięgnięcia informacji o ewentualnych planach podróży poszukiwanego.

Niepozorny był wprawdzie znudzony swoją pracą, ale zachował zawodową dumę. Dlatego też wyjaśnił hałaśliwemu młodzieńcowi, że konfidencjonalnością podróżnych dworca autobusowego nie można szafować, dodał także butnie, że w żadnym wypadku nie zamierza udzielić młodzieńcowi takiej informacji.

Młodzieniec stał przez chwilę spokojnie i zdawał się tłumaczyć na szwedzki to, co niepozorny właśnie powiedział. Następnie przemieścił się pięć metrów w lewo, do niezbyt solidnych drzwi informacji dworcowej. Zamierzył się i kopnął drzwi prawym buciorem, tak że wióry poszły. Niepozorny nie zdążył podnieść słuchawki, aby wezwać pomoc, gdy znalazł się w powietrzu, wierzgając przed młodzieńcem trzymającym go w silnym chwycie za uszy.

– Może i nie wiem, co to konficjadonalność, ale jestem cholernie dobry w zmuszaniu ludzi do mówienia – powiedział młodzieniec

do niepozornego, a potem puścił go z łomotem na krzesło obrotowe.

Następnie objaśnił niepozornemu, co zamierza zrobić z jego narządami rozrodczymi za pomocą młotka i gwoździ, jeśli ten nie będzie robił, co się mu każe. Opis był na tyle przekonujący, że niepozorny od razu zdecydował się opowiedzieć, co wie. Mianowicie, że ów starzec udał się prawdopodobnie autobusem w stronę Strängnäs. Czy zabrał ze sobą jakąś walizkę, tego nie może stwierdzić, gdyż nie zajmuje się śledzeniem podróżnych.

Niepozorny zamilkł, żeby wydedukować, czy młodzieniec jest zadowolony z tego, co zostało powiedziane, ale natychmiast spostrzegł, że najlepiej będzie udzielić dodatkowych informacji. Dlatego dodał, że po drodze z Malmköping do Strängnäs jest dwanaście przystanków i że starzec mógł oczywiście wysiąść na którymkolwiek z nich. Tym, który mógł to wiedzieć, był kierowca autobusu, który miał być ponownie w Malmköping o dziewiętnastej dziesięć, w drodze powrotnej do Flenu.

Na te słowa młodzieniec usiadł koło przerażonego niepozornego z obolałymi uszami.

– Muszę pomyśleć – powiedział.

I pomyślał. Pomyślał, że z całą pewnością mógłby wydobyć z mężczyzny numer telefonu komórkowego kierowcy, aby do niego zadzwonić i powiedzieć, że walizka starca jest w rzeczy samej kradziona. Ale wtedy oczywiście istniało ryzyko, że kierowca wmieszałby w to policję, a tego młodzieniec nie chciał. Poza tym nie było chyba aż takiego pośpiechu, bo dziad wydawał się strasznie stary, więc mając teraz do taszczenia walizkę, musiałby się przemieszczać pociągiem, autobusem lub taksówką, jeśli

chciałby się oddalić od Strängnäs. Tym samym zostawiłby za sobą kolejne ślady, a zawsze znajdzie się ktoś, kto wisząc za uszy, opowie, dokąd wybrał się starzec. Młodzieniec miał zaufanie do swoich zdolności zmuszania ludzi do mówienia.

Postanowił więc poczekać na rzeczony autobus, spotkać się z kierowcą i porozmawiać z nim bez przesadnej uprzejmości.

Gdy już to postanowił, wstał i wyjaśnił niepozornemu, co stanie się z nim, jego żoną, dziećmi i domem, jeśli opowie policji lub komukolwiek innemu o tym, co właśnie zaszło.

Niepozorny nie miał ani żony, ani dzieci, ale wolał mieć oboje uszu oraz narządy rozrodcze w nienaruszonym stanie. Dał więc uroczyste zawodowe słowo honoru, że nie puści pary z ust.

Obietnicy tej dotrzymał aż do następnego dnia.

***

Wysłane na poszukiwania dwuosobowe grupy wróciły do domu spokojnej starości i zdały raport ze swoich obserwacji. Lub raczej z ich braku. Radny instynktownie wzbraniał się przed zawiadomieniem policji i usilnie zastanawiał się nad innymi rozwiązaniami, gdy reporterka lokalnej gazety zapytała:

– Co pan radny zamierza teraz zrobić?

Radny milczał przez kilka sekund, a potem odpowiedział:

– Zawiadomić policję, oczywiście.

Boże, jak on nienawidzi tej wolnej prasy.

***

Allan obudził się, gdy kierowca szturchnął go delikatnie i poinformował, że są na miejscu, na stacji Byringe. Następnie

zabrał się do wytaszczenia walizki przez przednie drzwi, a w ślad za nią wytaszczył się Allan.

Kierowca zapytał, czy starszy pan poradzi sobie teraz sam, a Allan odpowiedział, że o to nie musi się martwić. Podziękował za pomoc i pomachał na pożegnanie, gdy autobus wyjeżdżał z powrotem na drogę krajową numer 55, aby kontynuować jazdę do Strängnäs.

Popołudniowe słońce zasłaniały świerki dookoła Allana, który zaczynał marznąć w swojej cienkiej marynarce i kapciach. Nie było widać żadnego Byringe ani też żadnej stacji. Był tylko las, las i las. A na prawo wąska ścieżka.

Allan pomyślał, że w tej walizce, którą niewiele myśląc, zabrał ze sobą, być może są ciepłe ubrania. Ale walizka była zamknięta na kluczyk i bez śrubokrętu lub innego narzędzia nie miał szans się do niej dostać. Allanowi nie pozostało nic innego, jak ruszać się, nie mógł przecież stać przy drodze i zamarznąć na śmierć. Z doświadczenia wiedział, że pewnie i tak by mu się nie udało, nawet gdyby spróbował.

Dobrze, że chociaż miała taśmę u góry krótszego boku i gdy się za nią ciągnęło, walizka toczyła się grzecznie na kółkach. Allan człapał leśną ścieżką. Tuż za nim raz po raz podskakiwała walizka.

Po kilkuset metrach Allan dotarł do tego, co – jak się domyślał – było stacją Byringe. Nieczynny dworzec przy całkiem porządnie nieczynnych torach kolejowych.

Allan był co prawda pięknym okazem stulatka, ale to już było dla niego za wiele jak na tak krótki czas. Przysiadł na walizce, żeby zebrać myśli i siły.

Na lewo stał zniszczony, żółty, dwukondygnacyjny budynek stacji, którego wszystkie okna na parterze zabito nieoheblowanymi deskami. Na prawo widać było nieczynne tory kolejowe, biegnące prosto w las, w którym Allan właśnie się znajdował. Natura jeszcze nie zdążyła całkiem pochłonąć torów, ale wydawało się to tylko kwestią czasu.

Drewniany peron nie wyglądał na tyle solidnie, żeby po nim chodzić. Na skraju tablicy nadal można było dostrzec napis „Przejście przez tory surowo wzbronione". Przechodzenie przez tory nie jest przecież niebezpieczne, pomyślał Allan. Ale kto, jeśli ma choć trochę oleju w głowie, na własne życzenie przeszedłby przez ten peron?

Odpowiedź uzyskał natychmiast, bo w tym samym momencie otworzyły się obdarte z farby drzwi dworca i wyszedł z niego siedemdziesięciolatek w kaszkiecie, koszuli w kratę i skórzanej kamizelce. Miał brązowe oczy, siwy zarost i solidne kalosze na nogach. Wierzył widocznie, że deski się pod nim nie załamią, i całą uwagę skierował na stulatka przed sobą.

Stanął na środku peronu i wyglądał dosyć groźnie. Ale nagle jakby coś go wybiło z rytmu, może dlatego, że zauważył, jaki zniedołężniały egzemplarz człowieka wtargnął na jego włości.

Allan siedział tam, gdzie siedział, na skradzionej walizce, i nie wiedział, co powiedzieć. Patrzył spokojnie na faceta w kaszkiecie i czekał na jego pierwszy ruch. Ten nastąpił dość szybko, i nie był tak groźny, jak się z początku zdawało. Raczej ostrożny.

– Kim jesteś i co robisz na moim peronie? – spytał facet w kaszkiecie.

Allan nie odpowiedział; nie mógł zdecydować, czy spotkał wroga, czy przyjaciela. Ale pomyślał, że nie warto zadzierać z jedyną osobą w zasięgu wzroku, która ewentualnie może go wpuścić do ciepłego pomieszczenia, zanim wieczorny chłód zapanuje na dobre. Dlatego postanowił powiedzieć wszystko tak, jak było.

Tak więc powiedział, że ma na imię Allan, że właśnie skończył dokładnie sto lat i jest żwawy jak na swój wiek, właściwie tak żwawy, że uciekł z domu starców, że na dodatek buchnął walizkę pewnemu młodzieńcowi, który w tych okolicznościach na pewno nie jest zbyt szczęśliwy, oraz że kolana Allana aktualnie nie są w najlepszej formie i że z chęcią życzyłby sobie, żeby był to koniec spacerów na dzisiaj.

Gdy skończył swój wywód, zamilkł, siedząc nadal na walizce, i czekał na wyrok.

– Ach tak – powiedział facet w kaszkiecie i uśmiechnął się. – Złodziej!

– Stary złodziej – dodał Allan markotnie.

Facet w kaszkiecie zeskoczył zwinnie z peronu i podszedł do stulatka, jakby chciał się mu bliżej przyjrzeć.

– Naprawdę masz sto lat? – zapytał. – W takim razie na pewno jesteś głodny?

Allan nie zrozumiał logiki tego zdania, ale głodny faktycznie był. Zapytał więc, co znajduje się w jadłospisie i czy przypadkiem można dostać kieliszek wódki na dokładkę.

Facet w kaszkiecie wyciągnął dłoń, przedstawił się jako Julius Jonsson i pomógł stulatkowi osiągnąć pozycję pionową. Poinformował też, że poniesie Allanowi walizkę, że zanosi się na

stek z łosia, jeśli Allan nie ma nic przeciwko, i że na pewno będzie do tego kieliszek wódki, żeby posilić i ciało, i kolana.

Allan z trudem wdrapał się na peron. Sądząc po bólu, nadal był żywy.

Julius Jonsson od wielu lat nie miał towarzystwa do rozmowy, więc spotkanie ze starcem z walizką było mile widziane. Najpierw jeden kieliszek na jedno kolano, potem na drugie, następnie kilka kolejnych na plecy i kark, i jeszcze jeden na apetyt, w rezultacie sprzyjały płynnej konwersacji. Allan zapytał, z czego Julius żyje, i w odpowiedzi usłyszał dosyć długie opowiadanie.

Julius urodził się na północy, w Strömbacka, niedaleko Hudiksvall, jako jedyne dziecko rolników Andersa i Elviny Jonssonów. Pracował jako parobek w rodzinnym gospodarstwie i codziennie dostawał cięgi od ojca, który uważał, że Julius do niczego się nie nadaje. Ale w roku, gdy skończył dwadzieścia pięć lat, najpierw zmarła na raka jego matka, czego Julius żałował, a potem ojciec utopił się w trzęsawisku, próbując uratować jałówkę. Julius żałował także i tego, bo był do jałówki przywiązany.

Młody Julius nie miał zdolności do rolnictwa (ojciec miał rację w tej kwestii) ani też zapału. Sprzedał więc wszystko z wyjątkiem kilku hektarów lasu, które mogły się przydać na stare lata.

Potem pojechał do Sztokholmu i przehulał w dwa lata wszystkie pieniądze. Wtedy wrócił do lasu.

Julius z entuzjazmem wziął udział w przetargu na dostawę pięciu tysięcy słupów elektrycznych dla Zakładu Elektrycznego Regionu Hudiksvall. Ponieważ nie angażował się zbytnio w szczegóły, takie jak składki pracodawcy i podatek od obrotu,

wygrał przetarg. Z pomocą kilkudziesięciu węgierskich uchodźców udało mu się dostarczyć słupy na czas i dostał za to więcej pieniędzy, niż mógł sobie wyobrazić.

Do tej pory wszystko szło gładko, ale prawda jest taka, że Julius musiał trochę oszukiwać, bo przecież drzewa nie były jeszcze całkiem wyrośnięte. Słupy były więc o metr krótsze niż w zamówieniu i nikt by tego pewnie nie zauważył, gdyby nie fakt, że w tym czasie każdy rolnik sprawił sobie kombajn.

Zakład Elektryczny Regionu Hudiksvall rozstawił wkrótce słupy na polach i łąkach w okolicy, a gdy nadszedł czas żniw, linie zostały zerwane w ciągu tego samego przedpołudnia w dwudziestu sześciu miejscach przez dwadzieścia dwa różne, acz równie nowo zakupione kombajny. Cały ten zakątek hälsinglandzkich obszarów wiejskich został pozbawiony prądu na wiele tygodni, przerwano żniwa, dojarki przestały działać. Nie trwało długo, nim wściekłość rolników, która najpierw skierowana była na Zakład Elektryczny Regionu Hudiksvall, przeniosła się na młodego Juliusa.

– To właśnie wtedy zaczęto nazywać miasto „wesołym Hudik", tyle mogę powiedzieć. Musiałem się ukrywać w Hotelu Miejskim w Sundsvall przez siedem miesięcy, a potem pieniądze się skończyły. Napijemy się jeszcze? – zapytał Julius.

Allan zgodził się. Stek z łosia popili poza tym pilznerem i Allanowi było tak bardzo dobrze, że prawie zaczynał bać się śmierci.

Julius kontynuował swoje opowiadanie. Gdy pewnego dnia w centrum Sundsvall niemal został przejechany przez traktor prowadzony przez rolnika o morderczym spojrzeniu, zrozumiał, że

okolica nie zapomni mu jego drobnej pomyłki przez najbliższe sto lat. Przeniósł się więc w inną część kraju i wylądował w Mariefred, gdzie był drobnym złodziejaszkiem, dopóki nie znudził się miejskim życiem i szczęśliwie natrafił na opuszczony budynek stacji Byringe. Kupił go za dwadzieścia pięć tysięcy koron, które pewnej nocy znalazł w kasie zajazdu Gripsholm. Tu, na stacji, żył w zasadzie z pomocy społeczeństwa, nielegalnych polowań w lesie sąsiada, ograniczonej produkcji i dystrybucji wódki oraz sprzedaży tego, na co mógł się natknąć wśród sąsiedzkich włości. Julius powiedział Allanowi, że nie jest zbyt lubiany w okolicy, a ten odpowiedział między kęsami, że właściwie się nie dziwi.

Gdy Julius chciał, żeby panowie opróżnili ostatni kieliszek „na deser", Allan odrzekł, że zawsze miał słabość do deserów tego typu, ale najpierw musi odwiedzić wygódkę, jeśli taka jest w budynku. Julius wstał, zapalił lampę pod sufitem, bo zaczynało się ściemniać, wskazał drogę i powiedział, że czynna ubikacja znajduje się na prawo od schodów w korytarzu, a także obiecał, że napełnione kieliszki będą na nich czekać, gdy Allan wróci.

Allan odnalazł toaletę, tam gdzie Julius wskazał. Stanął i zaczął sikać, ale jak zwykle nie wszystkie krople dosięgły muszli. Kilka z nich spadło miękko na obszczykapcie.

Gdzieś w połowie tej czynności Allan usłyszał, że ktoś idzie po schodach. Najpierw pomyślał, musiał to przyznać, że być może Julius ucieka z jego skradzioną walizką. Ale odgłos przybrał na sile. Ktoś wchodził na górę.

Allan zrozumiał, że istniało spore ryzyko, że kroki, które właśnie słyszał pod drzwiami, należały do szczupłego młodzieńca

z długimi, tłustymi blond włosami, sterczącą bródką i w dżinsowej kurtce z napisem Never Again na plecach. Oraz że jeśli to rzeczywiście on, lepiej nie mieć z nim do czynienia.

***

Autobus ze Strängnäs dotarł do dworca w Malmköping trzy minuty przed czasem. Nie było w nim pasażerów, więc kierowca wcisnął mocniej pedał gazu za ostatnim przystankiem, żeby mieć chwilę na papierosa przed odjazdem do Flenu.

Zdążył tylko przypalić papierosa, gdy pojawił się szczupły młodzieniec z długimi, tłustymi blond włosami, sterczącą bródką i w dżinsowej kurtce z napisem Never Again na plecach. To znaczy, napisu na plecach kierowca akurat wtedy nie widział, ale bez wątpienia napis tam był.

– Będziesz jechał do Flenu? – zapytał kierowca nieco niepewnie, bo coś w tym młodym mężczyźnie mu nie pasowało.

– Nie będę jechał do Flenu. I ty też nie – odpowiedział młodzieniec.

Czterogodzinne czekanie na powrót autobusu to za wiele jak na cierpliwość, którą mógł się wykazać młodzieniec. Po dwóch godzinach czekania zorientował się, że gdyby od razu ukradł jakiś samochód, mógłby dogonić autobus na długo, zanim ten dojechał do Strängnäs.

Na domiar złego samochody policyjne zaczęły krążyć po miasteczku. Tylko czekać, aż pojawią się na dworcu i zaczną przesłuchiwać niepozornego z informacji, dlaczego wygląda na tak przerażonego i dlaczego drzwi do jego pokoju są wyrwane z zawiasów.

Młodzieniec nie mógł pojąć, co policja tam robi. Jego szef z Never Again wybrał właśnie Malmköping na miejsce transakcji z trzech powodów: po pierwsze, bliskość Sztokholmu, po drugie, względnie dobre połączenie, po trzecie – najważniejsze – ramię prawa nie było aż tak długie, by tam sięgnąć. Krótko mówiąc, w Malmköping nie było policji.

Lub raczej miało nie być, a tu aż się od nich roiło! Młodzieniec widział dwa samochody i czterech policjantów, co z jego punktu widzenia stanowiło rój stróżów prawa.

W pierwszej chwili pomyślał, że to jego szukają. A to oznaczałoby, że niepozorny nakablował, ale tę ewentualność zdecydowanie odrzucił. Czekając na autobus, nie miał nic lepszego do roboty, jak obserwować niepozornego, rozbić jego służbowy telefon w drobny mak i przywrócić drzwi do stanu pierwotnego.

Gdy autobus wreszcie nadjechał i młodzieniec zauważył, że nie ma w nim pasażerów, od razu zdecydował się uprowadzić kierowcę i pojazd.

Przekonanie kierowcy do zawrócenia i jazdy z powrotem na północ zajęło jedynie dwadzieścia sekund. Mój rekord, pomyślał młodzieniec i usadowił się dokładnie na tym samym miejscu, na którym wcześniej siedział poszukiwany przez niego starzec.

Kierowca autobusu drżał ze strachu na całym ciele, ale jakoś się trzymał, uspokajając się papierosami. Oczywiście w autobusie obowiązywał zakaz palenia, ale jedyny przepis, którego teraz przestrzegał, siedział na siedzeniu za nim, po prawej stronie, był szczupły, miał długie tłuste blond włosy, sterczącą bródkę i dżinsową kurtkę z napisem Never Again na plecach.

Podczas jazdy kierowca został przesłuchany na okoliczność celu podróży starego złodzieja walizki. Odpowiedział, że dziadek wysiadł na przystanku przy stacji Byringe i że chyba był to zupełny przypadek. Opowiedział też, jak dziwnie wyszło z kupnem biletu, kiedy to starzec pokazał banknot pięćdziesięciokoronowy i zapytał, dokąd za tyle dojedzie.

O stacji Byringe kierowca nie wiedział nic poza tym, że rzadko kiedy ktoś tam wysiadał albo wsiadał. Ale wydawało mu się, że stoi tam, nieco głębiej w lesie, zamknięty dworzec kolejowy, stąd nazwa przystanku, i że wioska Byringe jest gdzieś w pobliżu. Dalej niż w to miejsce starzec raczej nie mógł się zapuścić, jak się domyślał kierowca. Dziadek był przecież stary, a walizka ciężka, nawet jeśli miała kółka.

Młodzieniec nieco się uspokoił. Nie zdecydował się na telefon do szefa w Sztokholmie, bo szef był jednym z niewielu, którzy samymi słowami potrafią nastraszyć ludzi. Młodzieniec aż się wzdrygnął na myśl o tym, co powiedziałby szef o zniknięciu walizki.

Lepiej najpierw rozwiązać problem, a potem opowiedzieć. A skoro staruch nie pojechał do Strängnäs albo i dalej, walizka wróci do młodzieńca szybciej, niż się tego spodziewał.

– To tutaj – powiedział kierowca. – Jesteśmy na miejscu, przystanek przy stacji Byringe...

Kierowca zwolnił i powoli wjechał w zatoczkę. Czy teraz umrze?

Nie, nie umarł, jak się okazało. Ale jego telefon komórkowy spotkała rychła śmierć pod ciężkim buciorem. Z ust młodzieńca posypała się także wiązanka morderczych gróźb w stronę

krewnych kierowcy, gdyby miał ochotę powiadomić policję, zamiast grzecznie zawrócić i jechać dalej do Flenu.

Młodzieniec wysiadł i pozwolił kierowcy odjechać. Biedny szofer był tak wystraszony, że nie odważył się zawrócić, tylko pojechał do Strängnäs, zaparkował na środku Trädgårdsgatan i, będąc ciągle w szoku, poszedł do baru w hotelu Delia, gdzie w szybkim tempie wychylił cztery szklaneczki whisky z rzędu. Następnie, ku przerażeniu barmana, zaczął płakać. Po kolejnych dwóch whisky barman zaoferował telefon, gdyby ten chciał do kogoś zadzwonić. Wtedy kierowca zaczął płakać jeszcze bardziej i zadzwonił do domu, do swojej dziewczyny.

* * *

Młodzieniec miał wrażenie, że widzi ślady kółek walizki w żwirze. Zaraz będzie po wszystkim. I dobrze, bo zaczynało się ściemniać.

Czasem żałował, że nie był bardziej przewidujący. Właśnie dotarło do niego, że stoi w coraz ciemniejszym lesie, za chwilę zrobi się zupełnie czarno. Co wtedy pocznie?

Te rozmyślania nagle zostały przerwane, gdy dostrzegł zniszczony, częściowo zabity deskami, żółty budynek u podnóża wzniesienia, na które właśnie wszedł. A kiedy ktoś zapalił światło na górnym piętrze, młodzieniec wymamrotał:

– Teraz cię mam, staruchu.

* * *

Allan przyspieszył to, co miał do zrobienia. Ostrożnie otworzył drzwi toalety i nasłuchiwał, co działo się w kuchni. Po chwili potwierdziło się to, czego się obawiał – rozpoznał głos młodzieńca,

który ryczał na Juliusa Jonssona, żeby ten powiedział, gdzie jest „ten drugi pieprzony staruch”.

Allan ukradkiem podszedł do drzwi kuchennych, dzięki miękkim kapciom mógł to zrobić bezszelestnie. Młodzieniec chwycił Juliusa za uszy tym samym sposobem, który wcześniej praktykował na niepozornym z dworca w Malmköping. Potrząsając biednym Juliusem, kontynuował przesłuchanie. Allan sądził, że młodzieniec powinien był się zadowolić odnalezieniem walizki, stała przecież na środku kuchni. Julius w grymasie wykrzywiał twarz, ale nie odpowiadał. Allan pomyślał, że twarda sztuka z tego starego handlarza drewnem, i rozejrzał się po korytarzu w poszukiwaniu odpowiedniego narzędzia walki. Wśród rupieci znajdowało się kilka rodzajów ewentualnej broni: łom, deska, spray na insekty i opakowanie trutki na szczury. Najpierw Allan miał ochotę użyć trutki, ale nie mógł wykoncypować, jak by zmusił młodzieńca do spożycia łyżki proszku albo dwóch. Łom natomiast był dla starca za ciężki, a spray na insekty... nie, niech będzie deska.

Allan chwycił swoją broń i czterema niewiarygodnie szybkimi jak na swój wiek krokami znalazł się za plecami planowanej ofiary.

Młodzieniec musiał wyczuć obecność Allana, bo dokładnie w chwili, gdy starzec wymierzał cios, puścił Juliusa Jonssona i odwrócił się.

Gdy deska trafiła go prosto w czoło, stał przez chwilę z wytrzeszczonymi oczami, a potem padł jak długi i uderzył głową o kant stołu.

Żadnej krwi, żadnych jęków, nic. Tylko tak leżał, z zamkniętymi oczami.

– Dobry cios – powiedział Julius.

– Dziękuję – odpowiedział Allan. – To gdzie ten obiecany deser?

Allan i Julius usiedli przy stole w kuchni, z długowłosym młodzieńcem u swoich stóp. Julius napełnił kieliszki, jeden podał Allanowi, a drugi wzniósł do toastu. Allan także podniósł swój kieliszek.

– Aha! – rzekł Julius po przełknięciu. – Zgaduję, że to jest właściciel walizki?

Pytanie było raczej stwierdzeniem. Allan zrozumiał, że nadeszła pora na szczegółowe wyjaśnienie tego i owego.

Nie żeby było wiele do wyjaśniania. Większość tego, co wydarzyło się w ciągu dnia, nadal była niezrozumiała dla samego Allana. Ale ponownie opowiedział, jak to czmychnął z domu spokojnej starości i przypadkiem przywłaszczył sobie walizkę na dworcu w Malmköping. Ponownie potwierdził również, że młodzieniec, który właśnie leżał omdlały na podłodze, to właściciel walizki, i wyraził szczere ubolewanie, że z jego powodu Julius siedział teraz z czerwonymi i obolałymi uszami. Wtedy Julius trochę się zdenerwował i oświadczył, że Allan w żadnym wypadku nie musi mieć wyrzutów sumienia, że wreszcie coś się w życiu Juliusa dzieje.

Juliusowi wrócił dobry humor. Powiedział, że chyba najwyższa pora zajrzeć do walizki. Gdy Allan zwrócił uwagę, że jest zamknięta na kłódkę, Julius poprosił, żeby Allan przestał gadać głupoty.

– Od kiedy to jakaś kłódka stanęła na przeszkodzie Juliusowi Jonssonowi? – spytał Julius Jonsson.

Ale na wszystko przychodzi odpowiednia pora. Najpierw trzeba się było pozbyć problemu leżącego na podłodze. Nie byłoby przecież za dobrze, gdyby młodzieniec się obudził i kontynuował to, co przerwał, zanim upadł.

Allan zaproponował, że mogą przywiązać go do drzewa przed stacją, ale Julius zauważył, że gdy młodzieniec się ocknie i zacznie się drzeć wystarczająco głośno, słychać go będzie w wiosce. Nie mieszkało tam już więcej niż garstka rodzin, ale każdemu Julius na swój sposób nadepnął na odcisk, więc na pewno stanęliby po stronie młodzieńca, gdyby tylko nadarzyła się okazja.

Pomysł Juliusa był lepszy. Obok kuchni miał oddzielną chłodnię, gdzie przechowywał skradzione i poćwiartowane mięso z łosi. Obecnie pomieszczenie było zamknięte i bez łosi. Julius nie chciał bez potrzeby marnować prądu, którego nieprzyzwoite ilości ciągnęła zamrażarka. Wprawdzie prąd też podkradał, to Gösta ze Skogstorp za niego płacił, ale trzeba było podkradać z umiarem, jeśli chciało się mieć z niego korzyści przez dłuższy czas.

Allan obejrzał chłodnię i stwierdził, że to idealny lokal na areszt, bez zbędnych wygód. Przestrzeń dwa na trzy metry była być może większa, niż młodzieniec zasługiwał, ale nie było przecież powodów, żeby dręczyć ludzi bez potrzeby.

Starcy zaciągnęli młodzieńca do aresztu. Młodzieniec jęknął, gdy posadzili go na odwróconej skrzyni w rogu i oparli o ścianę. Widać było, że wkrótce się ocknie. Lepiej się pospieszyć i porządnie zamknąć drzwi.

Tak też zrobili. Następnie Julius położył walizkę na stole w kuchni, przyjrzał się kłódce, oblizał widelec, którym tego wieczoru jadł stek z łosia i ziemniaki, i pomajstrował chwilę przy zamku. Potem poprosił Allana o otwarcie walizki, uzasadniając, że to przecież jego łup.

– Co moje, to twoje – odparł Allan. – Równo podzielimy się łupem, ale jeśli w środku znajduje się para butów w moim rozmiarze, to je biorę.

I Julius otworzył walizkę.

– O w mordę – powiedział Allan.

– O w mordę – powiedział Julius.

– Wypuśćcie mnie! – słychać było z zamrażarki.

ROZDZIAŁ 4
1905–1929

Allan Emmanuel Karlsson urodził się 2 maja 1905 roku. Jego matka dzień wcześniej szła w pochodzie pierwszomajowym we Flenie i demonstrowała na rzecz prawa kobiet do głosowania, ośmiogodzinnego dnia pracy i innych nieosiągalnych przywilejów. Demonstrowanie miało w każdym razie ten pozytywny skutek, że bóle się zaczęły i po północy urodziła swojego pierwszego i jedynego syna. Wydarzyło się to w zagrodzie w Yxhult, z pomocą sąsiadki, która wprawdzie nie była zbyt uzdolnioną akuszerką, ale i tak cieszyła się ogólnym poważaniem, ponieważ pewnego razu jako dziewięciolatka miała zaszczyt dygnąć przed królem Karolem XIV Janem, a ten był kolegą (no prawie) Napoleona Bonaparte. Sąsiadce trzeba też przyznać, że dziecko, przy którego narodzinach pomagała, dożyło wieku dorosłego, i to z porządną nadwyżką.

Ojciec Allana Karlssona był z natury opiekuńczy i wściekły. Opiekuńczy w stosunku do rodziny, wściekły na społeczeństwo w ogóle i wszystkich, którzy je w jakiś sposób reprezentowali. Miał nie najlepszą opinię wśród bardziej dystyngowanych rodzin, zwłaszcza od czasu, kiedy stał na rynku we Flenie i propagował korzyści z używania środków antykoncepcyjnych. Dostał za to

mandat w wysokości dziesięciu koron, a także nie musiał się już więcej martwić kwestią antykoncepcji, bo ze wstydu za niego matka Allana nie dopuszczała go do siebie. Allan miał wtedy siedem lat i był wystarczająco duży, by prosić matkę o bardziej szczegółowe wyjaśnienia, gdy łóżko ojca nagle zostało wyniesione do drewutni koło kuchni, ale w odpowiedzi usłyszał tylko, że nie powinien tyle pytać, o ile nie chce dostać lania. A ponieważ Allan, podobnie jak wszystkie dzieci we wszystkich czasach, nie chciał dostać lania, zostawił sprawę w spokoju.

Od tamtej pory ojciec Allana pojawiał się we własnym domu coraz rzadziej. Za dnia pilnie pracował na kolei, wieczorami dyskutował o socjalizmie na różnych zebraniach, ale gdzie spędzał noce, tego się Allan nigdy nie dowiedział.

Ojciec ponosił jednak odpowiedzialność finansową. Większość pensji co tydzień trafiała do małżonki, aż do dnia, gdy ojca wyrzucono z pracy po tym, jak użył przemocy wobec pasażera, który oświadczył, że jest w drodze do Sztokholmu, żeby razem z tysiącami innych oddać królowi cześć na dziedzińcu, a także zapewnić o swojej gotowości do służby w jego obronie.

– Obroń się najpierw przed tym – powiedział rzekomo ojciec Allana i przyłożył mu z prawicy, tak że ten się przewrócił.

W związku z natychmiastowym wypowiedzeniem ojciec nie mógł dłużej utrzymywać rodziny. Opinia brutala i rzecznika stosowania środków antykoncepcyjnych, jaką sobie wyrobił, sprawiła, że nawet nie warto było szukać pracy. Pozostawało tylko czekać na rewolucję albo – jeszcze lepiej – przyspieszyć jej nadejście, bo wszystko szło tak piekielnie wolno. Szwedzki socjalizm potrzebował zagranicznego wzorca. Dopiero wtedy

mogło coś się zacząć dziać, a sprzedawcy Gustavssonowi i takim jak on wreszcie by się dostało.

Tak więc ojciec Allana spakował torbę i pojechał do Rosji obalać cara. Matce brakowało oczywiście kolejowej pensji, lecz poza tym była szczęśliwa, że małżonek opuścił nie tylko okolicę, ale i kraj.

Odkąd żywiciel rodziny wyemigrował, matce i ledwie dziesięcioletniemu Allanowi przyszło dbać o rodzinny budżet. Matka kazała ściąć czternaście rosłych brzóz w zagrodzie, a potem porąbała je i pocięła na drewno na sprzedaż, Allanowi natomiast udało się dostać podle płatną pracę we Flenie jako chłopiec na posyłki w filii produkcyjnej przedsiębiorstwa Nitroglycerin AB.

Z regularnie przychodzących listów z Sankt Petersburga (który wkrótce zaczął nazywać się Piotrogród) matka Allana mogła ku swemu zdziwieniu wywnioskować, że jego ojciec po pewnym czasie zaczął wątpić w przekonanie o błogosławieństwie socjalizmu.

W listach często przytaczał słowa przyjaciół i znajomych z kręgów politycznych Piotrogrodu. Tym, którego cytował najczęściej, był pewien mężczyzna o imieniu Carl. Niezbyt rosyjskie imię, uważał Allan, i nie stało się bardziej rosyjskie przez to, że ojciec nazywał go Fabbe, przynajmniej w listach.

Według ojca Allana Fabbe miał teorię, że ludzie nie rozumieją, co jest dla nich dobre, i dlatego potrzebują kogoś, kto ich poprowadzi za rękę. Dlatego autokracja była lepsza od demokracji, o ile wykształcone i odpowiedzialne klasy społeczne dbały o to, że autokrata dobrze sprawował swoją władzę. Weźmy chociaż to, że siedmiu na dziesięciu bolszewików nie potrafi

czytać, prychał Fabbe. Chyba nie możemy oddać władzy w ręce masy analfabetów?

W listach do domu ojciec Allana mimo wszystko bronił bolszewików akurat w tej kwestii, bo gdyby tylko rodzina wiedziała, jak ten rosyjski alfabet wygląda... Nie można się dziwić, że ludzie byli niepiśmienni.

Gorzej było z tym, jak bolszewicy się zachowywali. Byli brudni i pili wódkę, jak ci zatrudnieni na kolei w Szwecji, ci, co kładli tory w Sörmlandii. Ojciec Allana nigdy nie przestał się dziwić, jak tory mogły być takie proste, biorąc pod uwagę ilość spożywanego przez kolejarzy alkoholu, i był odrobinę podejrzliwy za każdym razem, gdy tory kolejowe w Szwecji skręcały nieco w którąś stronę.

W każdym razie z bolszewikami było równie źle. Fabbe twierdził, że socjalizm skończyłby się na tym, że wszyscy by się nawzajem pozabijali, aż zostałby tylko jeden, który by decydował. Lepiej już poprzeć cara Mikołaja, dobrego i wykształconego mężczyznę ze światowymi horyzontami.

W pewnym sensie Fabbe wiedział, co mówi, spotkał mianowicie cara, i to nie jeden raz. Fabbe twierdził, że Mikołaj II był naprawdę dobrym człowiekiem. Jak dotąd miał jednak w życiu sporego pecha, ale kiedyś musi się to chyba skończyć. To wina nieurodzaju i buntu bolszewików. Na dodatek Niemcy zaczęli się burzyć, gdy car postanowił mobilizować siły, chociaż robił to w celach pokojowych. To przecież nie car zamordował arcyksięcia i jego żonę w Sarajewie. Prawda?

Tak w każdym razie rozumował Fabbe, kimkolwiek był, i w jakiś sposób przekonał do swojego rozumowania ojca Allana,

który czuł współczucie i zrozumienie dla tego słynnego pecha cara. Wcześniej czy później musi się to odmienić, zarówno jeśli chodzi o rosyjskiego cara, jak i zwykły lud we Flenie.

Żadnych pieniędzy ojciec z Rosji nie wysyłał, ale jednego razu po kilku latach przyszła paczka z emaliowanym jajkiem wielkanocnym, które ojciec – jak twierdził – wygrał w harlekina z Fabbem, który poza piciem, dyskutowaniem i graniem w karty zajmował się wyrabianiem właśnie takich jajek.

Ojciec podarował jajko Fabbego swojej „kochanej małżonce", która tylko się rozzłościła i powiedziała, że ten przeklęty idiota mógł chociaż wysłać zwykłe jajko, tak żeby rodzina mogła się najeść. I już zabierała się, żeby wyrzucić prezent przez okno, ale w końcu opanowała się. Niewykluczone, że sprzedawca Gustavsson byłby zainteresowany zapłaceniem za nie trochę grosza, zawsze przecież próbował być osobliwy, a według matki Allana osobliwe było właśnie to jajko.

Wyobraźcie sobie zdziwienie matki, gdy sprzedawca Gustavsson po dwóch dniach zastanowienia zaoferował osiemnaście koron za jajko Fabbego. Wprawdzie w postaci talonów, ale jednak.

Matka miała nadzieję na więcej jajek przysłanych pocztą, lecz w następnym liście została powiadomiona, że carscy generałowie zdradzili swojego autokratę i ten musiał abdykować. Ojciec Allana przeklinał swojego produkującego jajka przyjaciela, który w związku z wydarzeniami uciekł do Szwajcarii. Ale ojciec Allana zamierzał zostać i walczyć przeciwko temu dorobkiewiczowi i pajacowi, który przejął władzę, niejakiemu Leninowi.

Dla ojca Allana miało to także wymiar osobisty, bo akurat w dzień po zakupie przez niego dwunastu metrów kwadratowych

pod uprawę szwedzkich truskawek Lenin zakazał wszelkiej prywatnej własności ziemskiej. „Poletko kosztowało wprawdzie nie więcej niż cztery ruble, ale mojego truskawkowego kraju nie upaństwawia się bezkarnie", pisał ojciec Allana w ostatnim liście do rodziny. I zakończył: „Teraz będzie wojna!".

Chyba cały czas była wojna. Zresztą niemalże na całym świecie, i to od wielu lat. Wybuchła zaraz przed tym, jak mały Allan dostał pracę chłopca na posyłki w Nitroglycerin AB. Ładując kartony z dynamitem, Allan nasłuchał się opowieści robotników o bieżących wydarzeniach. Zastanawiał się, skąd to wszystko wiedzieli, ale przede wszystkim zadziwiało go, ile nieszczęść potrafili spowodować dorośli. Austria wypowiedziała wojnę Serbii. Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji. Potem Niemcy w jedno popołudnie zajęły Luksemburg, zanim jeszcze wypowiedziały wojnę Francji. Na to wojnę Niemcom wypowiedziała Wielka Brytania, a Niemcy odpowiedziały wypowiedzeniem wojny Belgii. Wtedy Austria wypowiedziała wojnę Rosji, a Serbia – Niemcom.

I tak się to potoczyło. Dołączyli Japończycy i Amerykanie. Brytyjczycy z jakiegoś powodu zajęli Bagdad, a potem Jerozolimę. Grecy i Bułgarzy zaczęli walczyć przeciwko sobie i nadeszła pora na abdykację cara Rosji, podczas gdy Arabowie zajęli Damaszek...

„Teraz będzie wojna!", pisał ojciec. Krótko po tym któryś z pachołków Lenina kazał stracić cara Mikołaja i całą jego rodzinę. Allan zauważył, że pech cara jednak nigdy się nie skończył.

Po kolejnych kilku tygodniach szwedzkie przedstawicielstwo dyplomatyczne w Piotrogrodzie wysłało telegram do Yxhult z wiadomością o śmierci ojca Allana. Właściwie nie było

w obowiązku urzędnika informować o detalach, lecz prawdopodobnie nie mógł się on powstrzymać.

Według urzędnika ojciec Allana ogrodził deskami poletko o powierzchni dziesięciu, piętnastu metrów kwadratowych i ogłosił je niezależną republiką. Nazwał swoje małe państwo „prawdziwą Rosją", a potem zginął w tumulcie, który powstał, gdy dwóch żołnierzy pojawiło się, aby zburzyć ogrodzenie. Ojciec Allana użył pięści w obronie granic swojego państwa i nie dał żołnierzom nic powiedzieć. W końcu nie potrafili zaradzić inaczej, jak tylko strzelić mu w łeb, aby mieć trochę spokoju w pracy.

– Nie mogłeś umrzeć w trochę mniej głupi sposób? – powiedziała matka Allana do telegramu z Piotrogrodu.

Nie liczyła na to, że mąż kiedykolwiek wróci do domu, ale w ostatnich latach zaczynała mieć taką nadzieję, bo chore płuca dawały jej się we znaki i nie było lekko rąbać drewno jak dawniej. Matka Allana wydała z siebie świszczące westchnienie i na tym skończyła się jej żałoba. Poinformowała Allana, że rzeczy miały się, jak się miały, i że co będzie, to będzie. Zmierzwiła serdecznie jego włosy i wyszła przed dom narąbać trochę drewna.

Allan nie bardzo zrozumiał, co matka miała na myśli. Ale zrozumiał, że ojciec nie żyje, że matka kaszle krwią i że wojna się skończyła. Sam, mając trzynaście lat, świetnie się znał na mieszaniu nitrogliceryny, nitrocelulozy, azotanu amonu i sodu, mączki drzewnej i dinitrotoluenu tak, żeby narobić huku. Kiedyś powinno mi się to przydać, pomyślał Allan i wyszedł przed dom, aby pomóc matce w rąbaniu drewna.

* * *

Dwa lata później matka Allana wykaszlała ducha i poszła do tego ewentualnego nieba, gdzie był już ojciec. U progu zagrody stanął zaś opryskliwy sprzedawca i oznajmił, że mogła chociaż spłacić swój dług, zanim bez uprzedzenia umarła. Allan miał jednak inne plany niż tuczyć Gustavssona bardziej, niż potrzeba.

– Tę kwestię może pan omówić z matką. Przynieść łopatę?

Sprzedawca był wprawdzie sprzedawcą, ale był także wątłej budowy, w przeciwieństwie do piętnastoletniego Allana. Chłopak wyrastał na mężczyznę i jeśli był choć w połowie tak szalony jak ojciec, wszystko mogło mu przyjść do głowy, pomyślał Gustavsson, który chciał jeszcze trochę pożyć, by móc liczyć swoje pieniądze. Dlatego nigdy więcej nie wspomniał o długu.

Tego, że matce udało się uskładać kapitał w wysokości kilkuset koron, młody Allan nigdy nie mógł pojąć. Ale pieniądze były i wystarczyły zarówno na pogrzeb matki, jak i założenie firmy Dynamit Karlssona. Chłopak miał zaledwie piętnaście lat, gdy zmarła matka, ale zdążył się nauczyć tego, co trzeba, pracując w Nitroglycerin AB.

Eksperymentował intensywnie na żwirowisku za zagrodą; tak intensywnie, że pewnego razu krowa najbliższego sąsiada, mieszkającego dwa kilometry dalej, poroniła. Ale tego Allan nigdy się nie dowiedział, bo sąsiad bał się, podobnie jak Gustavsson, że syn narwanego Karlssona być może jest równie narwany.

Zainteresowanie wydarzeniami w Szwecji i na świecie zostało mu z czasów, gdy pracował jako chłopiec na posyłki. Przynajmniej raz w tygodniu jechał rowerem do biblioteki we Flenie, żeby dowiedzieć się najświeższych wiadomości. Zdarzało się, że spotykał tam żądną dyskusji młodzież, a wszyscy mieli ten sam

cel – zwabić Allana do któregoś z ruchów politycznych. Ale jak równie mocno był zainteresowany aktualnymi wydarzeniami, tak równie niezainteresowany był osobistym udziałem w tych ruchach.

Dorastanie Allana było przecież pełne zawirowań, czysto politycznych. Z jednej strony był częścią klasy robotniczej, nic innego nie można przecież powiedzieć o kimś, kto przerywa edukację w wieku dziewięciu lat, aby pracować w przemyśle. Z drugiej strony szanował pamięć ojca, a ojciec podczas swojego zbyt krótkiego życia zdążył mieć prawie wszelkie możliwe poglądy. Zaczął lewicowo, potem czcił cara Mikołaja II i zakończył żywot sporem o ziemię z Włodzimierzem Iljiczem Leninem.

Matka ze swej strony między atakami kaszlu przeklinała wszystkich od króla począwszy, poprzez Hjalmara Brantinga, sprzedawcę Gustavssona, a nawet ojca Allana, na bolszewikach skończywszy.

Sam Allan nie był półgłówkiem. Wprawdzie nie chodził do szkoły dłużej niż trzy lata, ale to wystarczyło, by nauczył się czytać, pisać i liczyć. Uświadomieni politycznie koledzy z Nitroglycerin AB sprawili ponadto, że stał się ciekawy świata.

Tym, co bez wątpienia uformowało filozofię życiową młodego Allana, były słowa matki po odebraniu wiadomości o śmierci ojca. Oczywiście zajęło trochę czasu, zanim Allan na dobre utwierdził się w tym przekonaniu, ale w końcu zostało mu ono na zawsze: Jest, jak jest, i będzie, co będzie.

Ponadto biadolenie nie leżało w jego naturze. Nawet jeśli miało się ku temu powód. Na przykład wtedy, gdy informacja o śmierci ojca dotarła do chałupy w Yxhult. W zgodzie z rodzinną tradycją

reakcją Allana było wyjście przed dom, by narąbać drewna, nawet jeśli trwało to nieco dłużej i odbywało się w większym milczeniu. Albo gdy matka podążyła tą samą drogą i trumnę z nią wyniesiono do karawanu. Allan stał wtedy w kuchni i wyglądał przez okno. Powiedział cicho, tak że tylko on mógł to usłyszeć:

– Na razie, mamo.

Tym samym odwrócił kolejną kartkę w swoim życiu.

* * *

Allan tyrał w swojej firmie produkującej dynamit i na początku lat dwudziestych zyskał pokaźną grupę klientów w całej Sörmlandii. W sobotnie wieczory, gdy jego rówieśnicy wybierali się na potańcówki, Allan siedział w domu i opracowywał nowe formuły, by ulepszyć jakość swojego dynamitu. A gdy przychodziła niedziela, udawał się na żwirowisko i testował wybuchy. Jednak nigdy między jedenastą a trzynastą, w końcu obiecał to księdzu z Yxhult, w zamian za to, że ten nie skarżył się zbytnio na jego nieobecność w kościele.

Allan dobrze się czuł we własnym towarzystwie i całe szczęście, bo był dość samotny. Ponieważ nie zapisał się do żadnego ruchu robotniczego, gardzono nim w kręgach socjalistycznych, jednocześnie był za bardzo robotnikiem i synem własnego ojca, by móc się dostać na mieszczańskie salony. Poza tym na tych salonach bywał sprzedawca Gustavsson, a ten za żadne skarby nie chciał mieć do czynienia z Karlssonowym szczeniakiem. Pomyśleć tylko, co by było, gdyby chłopak usłyszał, ile Gustavsson dostał za to jajko, które kiedyś za bezcen kupił od matki Allana, a teraz sprzedał pewnemu dyplomacie ze Sztokholmu. Dzięki tej

transakcji stał się dumnym posiadaczem trzeciego w okolicy automobilu.

Miał wtedy sporo szczęścia. Ale nie trwało ono tak długo, jak by sobie tego życzył. Pewnej sierpniowej niedzieli 1925 roku, po mszy świętej, wybrał się na przejażdżkę samochodem, przede wszystkim, żeby się pokazać. Na swoje nieszczęście przejeżdżał obok domu Allana Karlssona z Yxhult. Na zakręcie przed zagrodą Allana musiał się chyba zdenerwować (albo to Bóg lub opatrzność w jakiś sposób pokierowali wydarzeniami), gdy skrzynia biegów zaczęła szwankować, i Gustavsson wjechał w żwirowisko za zagrodą zamiast w zakręt w prawo. Wystarczającym nieszczęściem byłoby dla niego wtargnięcie na posesję Allana i konieczność tłumaczenia się, ale było jeszcze gorzej, bo właśnie gdy udało mu się zatrzymać pojazd, Allan wykonał swój pierwszy tej niedzieli próbny wybuch.

Sam Allan leżał skulony za wychodkiem, nic nie widząc ani nie słysząc. Dopiero gdy wrócił na żwirowisko, by ocenić wybuch, zauważył, że coś jest nie tak. Kawałki samochodu sprzedawcy były rozrzucone na pół żwirowiska, podobnie jak kawałki samego sprzedawcy.

Głowa upadła najbliżej domu, miękko na skrawek trawy. Leżała tam, z pustym wzrokiem skierowanym na zgliszcza.

– Coś ty miał do roboty na moim żwirowisku? – zapytał Allan.

Sprzedawca nie odpowiedział.

* * *

Przez cztery najbliższe lata Allan miał dość czasu na naukę i doskonalenie się w kwestii społecznej. Odizolowano go

natychmiast, mimo że nie do końca wiadomo było za co. Wkrótce w całą historię wciągnięto ojca Allana, starego buntownika. Doszło do tego, gdy pewien młody i ambitny uczeń profesora biologii Bernharda Lundborga z Uppsali postanowił zrobić na Allanie karierę. Po wielu przeprawach Allan trafił w ręce Lundborga i został przymusowo wysterylizowany ze względu na „wskazania eugeniczne i społeczne", co miało oznaczać, że Allan jest trochę niedorozwinięty i że w ogóle jest w nim za dużo z ojca, aby państwo mogło pozwolić na dalszą reprodukcję rodu Karlssonów.

Ta cała sterylizacja nie przeszkadzała Allanowi, wręcz przeciwnie, uważał, że dobrze go traktowano w klinice profesora Lundborga. Musiał tam od czasu do czasu odpowiadać na różne pytania, między innymi o potrzebę wysadzania ludzi w powietrze i czy nie wie przypadkiem, czy nie płynie w nim nieco murzyńskiej krwi. Na to Allan odparł, że dostrzega pewną różnicę, jeśli chodzi o radość z wysadzania rzeczy i ludzi. Rozłupać kamień na pół, jeśli przypadkiem stanął mu na drodze, to mogło być przyjemne. Jeśli zamiast kamienia rzecz dotyczyła człowieka, wystarczyło tylko poprosić, aby ten się przesunął, uważał Allan. Czy profesor Lundborg tak nie sądzi?

Ale Bernhard Lundborg nie był tym, który wdaje się w filozoficzne dyskusje ze swoimi pacjentami, powtórzył natomiast pytanie o murzyńską krew. Allan odparł, że nie może wiedzieć na pewno, ale jego rodzice mieli równie bladą cerę jak on, jeśli taka odpowiedź zadowala profesora. Dodał także, że z chęcią zobaczyłby prawdziwego Murzyna, o ile profesor ma przypadkiem takiego na składzie.

Profesor Lundborg i jego asystenci nie odpowiadali na repliki Allana, ale notowali i pomrukiwali, a potem zostawiali go w spokoju, czasem na kilka dni. Te dni Allan poświęcał na czytanie. Gazet oczywiście, ale także książek ze szpitalnej biblioteki, której zbiory były obszerne. Na dodatek posiłek trzy razy dziennie, toaleta zamiast wychodka na dworze i własny pokój. Allan dobrze się czuł poddany przymusowej opiece. Atmosfera tylko raz nieco się popsuła, gdy Allan z czystej ciekawości zapytał profesora Lundborga, co właściwie było takiego niebezpiecznego w tym, że ktoś był Murzynem lub Żydem. Po raz pierwszy profesor nie odpowiedział milczeniem, tylko wydarł się na Allana, że powinien martwić się o swoje sprawy, a nie wtykać nos w cudze. Sytuacja przypominała tę sprzed wielu lat, kiedy matka Allana groziła mu laniem.

Lata mijały i przesłuchania Allana stawały się coraz rzadsze. Parlament szwedzki powołał komisję do spraw sterylizacji „biologicznie mniej wartościowych jednostek", a gdy jej raport był gotowy, działalność profesora Lundborga przeżyła taki boom, że łóżko Allana nagle było potrzebne dla innych. Wczesnym latem 1929 roku wypisano więc Allana ze szpitala, jako zdolnego do życia społecznego, i wysłano na ulicę z małą sumą pieniędzy, która ledwie wystarczyła na pociąg do Flenu. Ostatnie dziesięć kilometrów do Yxhult musiał przejść pieszo, ale nie przeszkadzało mu to. Po czterech latach w zamknięciu potrzebował rozprostować nogi.

ROZDZIAŁ 5

Poniedziałek, 2 maja 2005

Lokalna gazeta szybko podała na stronie internetowej informację o staruszku, który zaginął bez śladu w dniu swoich setnych urodzin. Ponieważ reporterka była spragniona prawdziwych wiadomości z okolicy, dodała coś o ewentualnym porwaniu. Według świadków stulatek był przytomny i roztropny, na pewno nie mógł zabłądzić.

Zaginąć w dniu swoich setnych urodzin to przecież dość niezwykłe. Lokalne radio zaraz podchwyciło informację, potem rozgłośnie krajowe, agencja prasowa TT, telegazeta, internetowe wydania ogólnokrajowych dzienników, a także popołudniowe i wieczorne wiadomości w telewizji.

Policja we Flenie nie ważyła się na inny krok, jak tylko przekazać sprawę policji wojewódzkiej, ta zaś wysłała dwa radiowozy i komisarza Aronssona po cywilnemu. Wkrótce mieli oni do towarzystwa różne ekipy reporterskie, które pomagały przeszukiwać okolicę. Obecność mediów dała okazję komendantowi wojewódzkiemu policji do pracy na miejscu i szansę uchwycenia go na zdjęciu przez któryś z aparatów fotograficznych.

Pierwszym zadaniem policji było dokładne objechanie miasteczka, wydział kryminalny podjął się przesłuchania ludzi w domu. Radny gminy pojechał do siebie do Flenu i wyłączył wszystkie telefony. Uważał, że nie wyszłoby mu na dobre, gdyby był zamieszany w zniknięcie jakiegoś niewdzięcznego starca.

Nadeszło także kilka pojedynczych informacji: począwszy od tego, że widziano Allana, jak jechał na rowerze w Katrineholm, skończywszy na tym, że stał w kolejce w aptece w Nyköping i był niegrzeczny. Ale te i tym podobne spostrzeżenia można było z różnych względów odrzucić. Na przykład niemożliwa fizycznie jest obecność w Katrineholm i jednoczesne jedzenie obiadu w swoim pokoju w domu spokojnej starości w Malmköping.

Komendant wojewódzki policji zadbał o to, aby przeczesano okolicę z pomocą setek ludzi, i był szczerze zaskoczony, gdy to nie przyniosło żadnego rezultatu. Do tej pory był bowiem dość pewien, że chodziło o zwykłe zabłądzenie z powodu demencji, mimo zapewnień świadków o dobrej kondycji staruszka.

Śledztwo utknęło więc w martwym punkcie, dopóki sprowadzony z Eskilstuny pies policyjny nie dotarł na miejsce około wpół do ósmej wieczorem. Pies powęszył trochę koło fotela Allana i wśród podeptanych bratków pod oknem, a potem poprowadził dalej w kierunku parku i na drugą stronę ulicy, na teren średniowiecznego kościoła, przez kamienny murek i przystanął dopiero przed budynkiem dworca w Malmköping.

Drzwi do poczekalni były zamknięte. Spedytor Przedsiębiorstwa Komunikacji w Sörmlandii poinformował, że w dni powszednie zamyka dworzec o dziewiętnastej trzydzieści, gdy jego kolega z Malmköping kończy pracę. Ale jeśli policjanci w żadnym

wypadku nie mogą czekać do jutra, dodał spedytor, można chyba odwiedzić kolegę z Malmköping w domu. Nazywał się Ronny Hulth i na pewno był w książce telefonicznej.

Podczas gdy komendant wojewódzki policji stał przed domem opieki w Malmköping i przed kamerami zapewniał o potrzebie pomocy ze strony ludności w dalszym przeszukiwaniu okolicy wieczorem i w nocy, ponieważ stulatek był lekko ubrany i na pewno zagubiony, komisarz Göran Aronsson pojechał do domu Ronny'ego Hultha i zadzwonił do drzwi. Pies wskazał przecież wyraźnie, że staruszek był w poczekalni dworcowej i spedytor Hulth powinien potrafić odpowiedzieć, czy Allan opuścił Malmköping autobusem.

Ale Ronny Hulth nie otworzył drzwi. Siedział w sypialni przy zasłoniętych żaluzjach i tulił swojego kota.

– Idź sobie – szeptał Ronny Hulth w stronę drzwi. – Idź sobie. Idź!

I w końcu tak komisarz zrobił. Po pierwsze, uważał podobnie jak jego szef, że staruszek błądził gdzieś po okolicy, po drugie, jeśli nawet dziadek wsiadł do autobusu, to znaczyło, że żadna krzywda mu się raczej nie działa. Ten cały Ronny Hulth był pewnie u jakiejś sympatii. Pierwszym zadaniem następnego dnia będzie odszukanie go w pracy. O ile staruszek do tej pory się nie znajdzie.

* * *

O dwudziestej pierwszej dwie Wojewódzka Centrala Komunikacji w Eskilstunie odebrała rozmowę telefoniczną:

– Eee... dobry wieczór, nazywam się Bertil Karlgren i dzwonię... dzwonię w imieniu mojej żony, że tak powiem. Albo nie... tak, moja żona, Gerda Karlgren, była we Flenie parę dni, w odwiedzinach u naszej córki i jej męża. Spodziewają się dziecka, więc... no, zawsze jest dużo do roboty, czy jak by to powiedzieć. Ale dzisiaj miała wracać do domu i wybrała, znaczy się Gerda, wybrała ten autobus wczesnym popołudniem, to było dzisiaj, znaczy się, i autobus jedzie przecież przez Malmköping, my mieszkamy w Strängnäs... No więc może to nic nie znaczy, żona tak twierdzi, no ale słyszeliśmy w radiu o jakimś zaginionym stulatku. Może już się znalazł? Nie? No, więc żona mówi, że pewien bardzo stary mężczyzna wsiadł do autobusu w Malmköping i miał ze sobą wielką walizkę, jakby wybierał się w jakąś podróż. Żona siedziała z tyłu, a starzec usiadł z przodu, więc nie słyszała tak dokładnie, o czym rozmawiał z kierowcą. Co mówisz, Gerda?

Aha, Gerda mówi, że nie jest z tych, co to podsłuchują... No ale w każdym razie, to było dziwne... tak, dziwne... albo... no bo ten starzec wysiadł już w połowie drogi do Strängnäs, pojechał tylko kilkadziesiąt kilometrów ze swoją wielką walizką. A naprawdę wyglądał bardzo staro. Nie, Gerda nie wie, jak się nazywał przystanek, to było gdzieś jakby w środku lasu... gdzieś w pół drogi między Malmköping a Strängnäs.

Rozmowa została nagrana, wydrukowana i przefaksowana do hotelu w Malmköping, w którym zatrzymał się wysłany na poszukiwania komisarz.

ROZDZIAŁ 6
Poniedziałek, 2 maja – wtorek, 3 maja 2005

Walizka była po brzegi wypełniona banknotami pięciusetkoronowymi w plikach. Julius zrobił szybkie przeliczenie. Dziesięć rzędów wzdłuż, pięć wszerz. Piętnaście plików w każdym słupku z pewnością po jakieś pięćdziesiąt tysięcy...

– Trzydzieści siedem i pół miliona, o ile dobrze liczę – powiedział Julius.

– To są niezłe pieniądze – odparł Allan.

– Wypuśćcie mnie, do cholery! – krzyczał młodzieniec z zamrażarki.

Zachowywał się jak szalony, krzyczał i kopał, i znowu krzyczał. Allan i Julius musieli zebrać myśli wobec nowego obrazu sytuacji, ale nie dało się w takim hałasie. W końcu Allan doszedł do wniosku, że pora ochłodzić nieco rozgorączkowanego młodzieńca, i włączył zamrażarkę.

Już po kilku sekundach młodzieniec zauważył, że jego położenie się pogorszyło. Ucichł, żeby pomyśleć. Myślenie nie przychodziło mu z łatwością na co dzień, a teraz na dodatek ból rozsadzał mu głowę.

Po kilku minutach myślenia zdecydował w każdym razie, że kopiąc i krzycząc, niczego nie zmieni. Pozostało wezwać pomoc z zewnątrz. Pozostało zadzwonić do szefa. Myśl była straszna. Ale inne opcje mogły być jeszcze gorsze.

Młodzieniec wahał się jeszcze jakąś minutę, gdy tymczasem robiło się coraz zimniej. W końcu wyciągnął telefon komórkowy.

Brak zasięgu.

* * *

Wieczór przeszedł w noc, a noc w dzień. Allan otworzył oczy, ale nie poznawał, gdzie jest. Czyżby w końcu umarł we śnie?

Żwawy męski głos powiedział mu „dzień dobry" i poinformował, że ma dwie wiadomości, jedną dobrą, drugą złą. Którą Allan chce najpierw usłyszeć?

Przede wszystkim Allan chciał usłyszeć, gdzie się znajduje i dlaczego. Bolały go kolana, więc chyba jednak nadal żył. Ale czy on nie... i nie wziął potem... i... Julius mu było na imię...?

Kawałki układanki zaczynały wskakiwać na swoje miejsca, Allan był na jawie. Leżał na materacu, na podłodze w sypialni Juliusa, ten stał w drzwiach i powtarzał swoje pytanie. Czy Allan chce najpierw usłyszeć dobrą czy złą wiadomość?

– Dobrą – powiedział Allan. – Tą złą możesz pominąć.

W porządku, Julius przytaknął i przekazał dobrą wiadomość o tym, że śniadanie czeka na stole w kuchni. Kawa, kanapki z mięsem łosia i jajkami skradzionymi sąsiadowi.

I pomyśleć tylko, że Allanowi dane będzie przeżyć jeszcze jedno w życiu śniadanie bez kaszki! To była rzeczywiście dobra

wiadomość. Gdy usiadł przy stole w kuchni, poczuł, że dojrzał do tego, by mimo wszystko usłyszeć tę złą wiadomość.

– Ta zła wiadomość – powiedział Julius i ściszył głos. – Ta zła wiadomość jest taka, że wczoraj wieczorem po pijanemu zapomnieliśmy wyłączyć zamrażarkę.

– No i? – zapytał Allan.

– No i... ten tam w środku jest teraz nieźle martwy.

Allan podrapał się z zakłopotaniem po karku, a potem zdecydował, że takie niedopatrzenie nie może popsuć mu dnia.

– To kiepsko. Ale muszę przyznać, że jajka udały ci się doskonale, nie za twarde, nie za miękkie.

* * *

Komisarz Aronsson obudził się około ósmej rano w złym humorze. Jakiś zaginiony staruszek, bez względu na to, czy zniknięcie było planowane, czy też nie, to nie przypadek dla takiego komisarza jak on.

Aronsson wziął prysznic, ubrał się i zszedł na śniadanie na parter hotelu Plevnagården. Po drodze spotkał recepcjonistkę, która przekazała mu faks. Przyszedł zaraz po tym, gdy zamknięto recepcję poprzedniego wieczoru.

Godzinę później komisarz Aronsson miał zupełnie inny obraz sprawy. Faks z Wojewódzkiej Centrali Komunikacji w pierwszej chwili wydawał się nieistotny dla sprawy, ale kiedy Aronsson spotkał bladego Ronny'ego Hultha z informacji dworcowej, nie zajęło wiele czasu, żeby Hulth rozkleił się i opowiedział o swoich przeżyciach.

Zaraz potem Aronsson dostał telefon z Eskilstuny, że Przedsiębiorstwo Komunikacji w Sörmlandii z Flenu właśnie odkryło, że wczorajszego wieczoru zaginął im autobus. Aronsson został też poinformowany, że ma zadzwonić do Jessiki Björkman, dziewczyny kierowcy autobusu, którego najwyraźniej najpierw porwano, ale potem wypuszczono.

Komisarz Aronsson pojechał z powrotem do Plevnagården, żeby napić się kawy i zebrać nowe informacje. Rozmyślając, robił notatki ze swoich spostrzeżeń:

> Starszy mężczyzna, Allan Karlsson, wymyka się ze swojego pokoju w domu spokojnej starości tuż przed obchodami setnych urodzin w świetlicy. Karlsson jest lub był w niesamowicie dobrej kondycji jak na swój wiek, na co jest wiele dowodów. Udało mu się samemu wytarabanić przez okno, o ile ktoś mu w tym nie pomógł, ale dalsze spostrzeżenia wskazują, że działał na własną rękę. Poza tym jego opiekunka, siostra Alice Englund, poświadcza, że „Allan jest wprawdzie stary, ale to cholerny łobuz i, do diabła, wie, co robi".

Według tropu podjętego przez psa policyjnego, Karlsson po tym, jak stał i przytupywał przez chwilę w rabacie bratków, przespacerował się przez niemal całe Malmköping, aż w końcu trafił do poczekalni dworcowej, gdzie – według świadka Ronny'ego Hultha – podszedł od razu do okienka, albo raczej przyczłapał, Hulth zwrócił uwagę na drobne kroki i na to, że Karlsson miał na nogach kapcie, a nie buty.

Dalsze oświadczenia Hultha wskazują, że Karlsson raczej zwyczajnie uciekał, niż miał jakiś zaplanowany cel podróży. Chciał

jak najszybciej oddalić się z Malmköping, w tej sytuacji kierunek i rodzaj transportu wydawały się drugorzędne.

Tę kwestię potwierdza Jessica Björkman, dziewczyna kierowcy Lennarta Ramnéra. Samego kierowcy nie udało się jeszcze przesłuchać, za bardzo nafaszerował się tabletkami nasennymi. Ale zeznania Björkman były klarowne. Karlsson kupił bilet od Ramnéra za określoną sumę pieniędzy. Celem przypadkiem okazał się przystanek przy stacji Byringe. Przypadkiem. Tak więc nie należało przypuszczać, że coś lub ktoś właśnie tam na Karlssona czekał.

W międzyczasie historia dorobiła się jeszcze jednego szczegółu. Spedytor Hulth nie zauważył wprawdzie, czy Karlsson przywłaszczył sobie jakąś walizkę, zanim wsiadł do autobusu w stronę Byringe, ale wkrótce stało się to jasne za sprawą agresywnego zachowania domniemanego członka organizacji przestępczej Never Again.

Jessica Björkman nie wiedziała o żadnej walizce, wnioskując z tego, co wydobyła ze swojego otumanionego chłopaka, ale faks z Centrali Komunikacji potwierdza, że Karlsson – jakkolwiek nieprawdopodobnie to brzmi – ukradł walizkę członkowi Never Again.

> Z dalszych zeznań Björkman oraz informacji z faksu z Eskilstuny wynika, że najpierw Karlsson, około piętnastej dwadzieścia, a następnie członek Never Again, jakieś cztery godziny później, wysiedli na stacji Byringe, a potem udali się w niewiadomą stronę. Pierwszy z nich w wieku lat stu, ciągnący za sobą walizkę, ten drugi jakieś siedemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć lat młodszy.

Komisarz Aronsson zamknął notatnik i dopił kawę. Była dziesiąta dwadzieścia pięć.

– Następny przystanek: stacja Byringe.

* * *

Przy śniadaniu Julius opowiedział Allanowi o tym, co załatwił i wymyślił rankiem, gdy Allan jeszcze spał.

Najpierw wypadek z zamrażarką. Gdy Julius zauważył, że temperatura była na minusie co najmniej dziesięć godzin przez cały wieczór i noc, wziął ze sobą łom jako broń na wszelki wypadek i otworzył drzwi.

Ale środek bezpieczeństwa w postaci łomu był zbędny. Młodzieniec siedział skulony na pustej skrzyni. Miał na ciele kryształki lodu, a oczy zimno patrzyły w pustkę. Martwy jak poćwiartowany łoś, krótko mówiąc.

Julius pomyślał, że z jednej strony szkoda chłopaka, ale z drugiej to całkiem praktyczne rozwiązanie. Tego szaleńca nie mogliby wypuścić ot tak bezproblemowo. Julius wyłączył zamrażarkę i zostawił otwarte drzwi. Młodzieniec był wprawdzie martwy, ale nie musiał być przecież zamrożony.

Julius napalił w piecu w kuchni, aby nie zrobiło się za zimno, i jeszcze raz dla pewności przeliczył pieniądze. Nie było trzydziestu siedmiu milionów, jak to wczoraj w pośpiechu oszacował, było dokładnie pięćdziesiąt milionów.

Allan z zainteresowaniem słuchał opowieści Juliusa, połykając śniadanie z większym apetytem niż zazwyczaj. Nie mówił ani słowa, dopóki Julius nie dotarł do kwestii ekonomicznych.

– Tak, pięćdziesiąt milionów łatwiej przecież podzielić na dwóch. Po równo i jak należy. Możesz być tak miły i podać mi sól?

Julius zrobił, o co został poproszony, i odparł, że gdyby zaszła potrzeba, umiałby podzielić na pół i trzydzieści siedem milionów, ale zgadzał się, że z pięćdziesięcioma będzie łatwiej. Potem spoważniał. Usiadł przy stole, naprzeciwko Allana, i powiedział, że chyba czas najwyższy na zawsze opuścić tę nieczynną stację. Młodzieniec z zamrażarki wprawdzie już nie przeszkadza, ale kto wie, co nawyprawiał po drodze do nich. Choćby zaraz może się pojawić dziesięciu takich młodzieńców i drzeć się w kuchni, a każdy równie wściekły jak ten, który już skończył się drzeć.

Allan zgadzał się z Juliusem, ale przypomniał, że ma swoje lata i nie jest już tak żwawy jak dawniej. Julius obiecał, że postara się, aby spacerów było w przyszłości jak najmniej, ale muszą opuścić stację. I najlepiej będzie, jeśli zabiorą ze sobą młodzieńca z zamrażarki. Nie byłoby dobrze, gdyby idąc ich śladem, znaleziono trupa.

Śniadanie odfajkowane, pora ruszać w drogę. Julius i Allan z wzajemną pomocą wynieśli ciało z zamrażarki do kuchni, posadzili je na krześle i zbierali siły na kolejny etap.

Allan popatrzył na młodzieńca i powiedział:

– Ma dość krótkie stopy przy takim wzroście. Chyba na nic mu się już nie przydadzą buty?

Julius odpowiedział, że przed południem jest dość chłodno i że ryzyko jest większe, iż to Allanowi, a nie młodzieńcowi, zmarzną stopy. Jeśli Allan uważa, że buty będą pasować, to niech je sobie weźmie. Przecież kto nie zaprzecza, ten się zgadza.

Buty były na Allana za duże, ale porządne i lepsze w czasie ucieczki niż para rozdeptanych kapci.

Następnym etapem było zatarganie młodzieńca na korytarz i sturlanie go ze schodów. Gdy wreszcie cała trójka znajdowała się na peronie, dwóch na stojąco, jeden na leżąco, Allan zapytał, jaki był kolejny punkt planu Juliusa.

– Nigdzie nie odchodź – rzekł Julius do Allana. – Ty też nie – dodał w stronę młodzieńca, zeskoczył z peronu i wszedł do budki na końcu bocznicy.

Po chwili wyjechał z budki na drezynie.

– Model rocznik 1954 – powiedział. – Zapraszam na pokład.

Julius, na samym przodzie, pedałował, Allan, tuż za nim, oparł stopy na pedałach, i trup, na siedzeniu z prawej strony, z głową usztywnioną kijem od szczotki i w ciemnych okularach przeciwsłonecznych zakrywających wytrzeszczone oczy.

Była za pięć jedenasta, gdy towarzystwo udało się w drogę. Trzy minuty później pod nieczynną stację Byringe podjechało granatowe volvo. Z samochodu wysiadł komisarz Göran Aronsson.

Budynek bezsprzecznie wyglądał na opuszczony, ale nie zaszkodziło przyjrzeć się mu bliżej, zanim pojedzie dalej do wioski Byringe, aby pochodzić po domach.

Aronsson ostrożnie wszedł na peron, który nie wyglądał zbyt stabilnie. Otworzył drzwi i zawołał: „Jest tu kto?”. Nie uzyskał żadnej odpowiedzi, więc wszedł po schodach na piętro. A jednak w budynku ktoś mieszkał. Jeszcze żarzyło się w piecu w kuchni, a na stole stało niedojedzone śniadanie dla dwóch osób.

Na podłodze zaś stała para zniszczonych kapci.

* * *

Never Again oficjalnie było klubem motocyklowym, ale w rzeczywistości była to grupa przestępcza, składająca się z młodych mężczyzn z kryminalną przeszłością, na której czele stał gość w średnim wieku o jeszcze bogatszej kryminalnej przeszłości niż jego podwładni.

Przywódca grupy nazywał się Per-Gunnar Gerdin, ale nikt nie ważył się nazywać go inaczej jak tylko „Szef", bo tak sam zdecydował. Miał prawie dwa metry wzrostu, ważył około stu trzydziestu kilo i chętnie wymachiwał nożem, jeśli ktoś lub coś nie było po jego myśli.

Szef rozpoczął swoją karierę dość ostrożnie. Razem z pewnym rówieśnikiem sprowadzał do Szwecji owoce i warzywa, cały czas oszukując zarówno eksportera, jak i własne państwo na podatkach.

Nie było nic złego w koledze Szefa, poza tym, że miał odrobinę sumienia. Szef chciał pójść o krok dalej w interesach i dodawać do jedzenia formaliny. Słyszał, że tak robiono gdzieniegdzie w Azji. Miał pomysł na import szwedzkich klopsików z Filipin, tanio, statkami. Przy odpowiedniej ilości formaliny klopsiki zachowałyby świeżość przez trzy miesiące, w razie potrzeby nawet w trzydziestostopniowym upale.

Cena skupu byłaby tak niska, że nie musieliby nawet nazywać klopsików szwedzkimi, żeby zrobić dobry interes. Wystarczyłoby, gdyby były duńskie, uważał Szef, ale kolega nie chciał w to wchodzić. Według jego opinii formalina była dobra do balsamowania zwłok, a nie do dawania klopsikom wiecznego żywota.

Tak więc ich drogi się rozeszły, a Szef nigdy nie zrobił interesu na klopsikach z formaliną. Wymyślił bowiem, że zamiast tego może naciągnąć kaptur na głowę i zrabować kasę poważnego konkurenta, Stockholm Fruktimport AB.

Za pomocą maczety i groźnego ryku: „Dawaj pieniądze, bo jak nie...", stał się nagle i ku własnemu zaskoczeniu bogatszy o czterdzieści jeden tysięcy koron. Czemu robić sobie kłopot z importem, skoro tak przyzwoite pieniądze można zdobyć prawie bez wysiłku?

I tak to szło. Przeważnie bez problemów, tylko z kilkoma krótszymi przymusowymi urlopami w ciągu prawie dwudziestu lat.

Ale po wielu latach Szef stwierdził, że czas pomyśleć o czymś większym. Zatrudnił młodszych pachołków, którym nadał dość głupie przydomki (jednego nazwał Bolec, drugiego Hultaj), i przy ich pomocy dokonał dwóch udanych napadów na transport towarów wartościowych.

Kolejny napad skończył się wyrokiem czterech i pół roku w Zakładzie Karnym Hall dla całej trójki. To tam Szef wpadł na pomysł Never Again i miał wielkie plany. W pierwszej fazie klub miał się składać z około pięćdziesięciu członków, podzielonych na trzy grupy operacyjne: Napady, Narkotyki i Wymuszenia. Nazwa Never Again narodziła się z pomysłu Szefa na strukturę przestępczą tak profesjonalną i szczelną, że członkowie grupy nigdy nie mieli trafić do więzienia Hall ani żadnego innego. Never Again miało być Realem Madryt przestępczości zorganizowanej (Szef lubił piłkę nożną).

Z początku proces rekrutacji w Hallu szedł całkiem nieźle. Do czasu, gdy list od mamy Szefa dostał się w niepowołane ręce. W liście mama pisała między innymi, żeby jej mały Per-Gunnar był ostrożny i nie zadawał się ze złym towarzystwem w więzieniu, żeby uważał na swoje wrażliwe migdałki i że mama nie może się doczekać, kiedy znowu sobie pograją w wyspę skarbów.

Potem nie pomogło już nawet, że Szef prawie dźgnął nożem kilku Jugosłowian w stołówce i w ogóle zachowywał się groźnie. Jego autorytet został nadszarpnięty. Z trzydziestu zaciągniętych do organizacji zrezygnowało dwudziestu siedmiu. Poza Bolcem i Hultajem został jedynie Wenezuelczyk, José María Rodriguez, i to tylko dlatego, że potajemnie podkochiwał się w Szefie, czego nie ważył się przyznać nawet przed samym sobą.

Wenezuelczykowi w każdym razie przydzielono ksywę Caracas, od nazwy stolicy w jego ojczyźnie. Bez względu na to, jak bardzo Szef groził i klął w więzieniu, nie zwerbował więcej członków do swojej organizacji. I nadszedł dzień, kiedy on i jego trzej pomocnicy opuścili Hall.

Początkowo Szef chciał zrezygnować z całego pomysłu Never Again, ale tak się złożyło, że Caracas miał kolumbijskiego kumpla, który z kolei miał podejrzanych przyjaciół i w efekcie Szwecja, przez Never Again, stała się krajem tranzytowym kolumbijskich karteli narkotykowych na Europę Wschodnią. Interesy stawały się coraz większe i nie było powodu, aby aktywować grupy Napady i Wymuszenia.

* * *

Szef zwołał Hultaja i Caracasa na naradę wojenną w Sztokholmie. Coś musiało się stać z Bolcem, partaczem, który miał za zadanie przeprowadzić jak dotąd największą transakcję klubu.

Szef skontaktował się przed południem z Rosjanami, którzy przyrzekali, że dostali towar i przekazali zapłatę. A że kurier Never Again potem zwiał z walizką, to nie jest problem Rosjan. Lecz jeśli z tego powodu Never Again chce ich „zaprosić do tańca", to Rosjanie nie odmówią. „Tańczyć" to oni potrafią, jeśli trzeba. I walca, i mazurka.

Szef na chwilę obecną założył, że Rosjanie mówią prawdę (był zresztą dość pewien, że potrafią „tańczyć" lepiej niż on). To, że Bolec dobrowolnie zwiał z walizką, wykluczył – na to Bolec był za głupi. Albo za mądry – zależy, jak na to spojrzeć.

Pozostawała ewentualność, że ktoś wiedział o trans akcji, czekał na właściwy moment w Malmköping lub w drodze powrotnej Bolca do Sztokholmu, pobił go i zwinął walizkę.

Ale kto? Szef rzucił pytanie swojej radzie wojennej, lecz nie uzyskał odpowiedzi. Nie zaskoczyło go to; już dawno temu uznał, że wszyscy trzej pachołkowie to idioci.

Tak czy siak, wysłał Hultaja na zwiady w terenie, bo pomyślał, że ten nie jest jednak aż takim idiotą jak idiota Caracas. Idiota Hultaj miał więc nieco lepsze warunki, żeby odnaleźć idiotę Bolca, a może nawet walizkę z pieniędzmi.

– Jedź do Malmköping i powęsz trochę, Hultaj. Ale ubierz się po cywilu, bo tam dzisiaj masa policji. Jakiś stulatek zaginął.

* * *

Julius, Allan i trup jechali przez sörmlandzkie lasy. W pobliżu Vidkärr mieli pecha i spotkali pewnego wieśniaka, którego imienia Julius nie znał. Wieśniak oglądał swoje plony, gdy cała trójka nadjechała na drezynie.

– Dzień dobry – powiedział Julius.

– Piękna pogoda – powiedział Allan.

Trup i wieśniak nie powiedzieli nic. Ale ten ostatni długo patrzył za oddalającą się trójką.

Im bliżej było do wioski Åkers Styckebruk, tym bardziej Julius był zmartwiony. Miał nadzieję, że będą mijać jakąś rzeczkę, w której mogliby utopić trupa. Ale na nic takiego nie natrafili. I zanim Julius zdążył coś wymyślić, drezyna zbliżała się do terenów przemysłowych wioski. Julius pociągnął za hamulec i na czas zatrzymał maszynę. Trup poleciał do przodu i uderzył głową o metalową rączkę.

– To mogłoby boleć, gdyby okoliczności były nieco inne – rzekł Allan.

– Nawet bycie martwym ma swoje zalety – dodał Julius.

Julius zszedł z drezyny i stanął za brzózką, żeby wyjrzeć na teren przemysłowy. Ogromne drzwi do hali produkcyjnej były otwarte, ale teren wydawał się pusty. Spojrzał na zegarek. Dziesięć po dwunastej. Pora lunchu, zauważył, a w oczy rzucił mu się duży kontener. Julius poinformował, że zamierza udać się na mały rekonesans. Allan życzył mu powodzenia i poprosił, żeby się nie zgubił.

Nie było takiego ryzyka, bo Julius miał tylko przejść trzydzieści metrów do kontenera. Wszedł do środka, nie było go widać jakąś

minutę. Potem wyszedł na zewnątrz. Gdy wrócił do drezyny, powiedział, że wie, co zrobią z trupem.

Kontener był do połowy załadowany jakimiś cylindrami, na pewno z metr średnicy i trzy metry długości, wszystkie opakowane w drewniane skrzynki ochronne, z otworem z jednej strony. Allan był całkiem wyczerpany, gdy ciężkie ciało wreszcie leżało na swoim miejscu w jednym z dwóch cylindrów na samym spodzie. Ale gdy zamknął skrzynkę i dostrzegł kartkę z adresem, ożywił się.

Addis Abeba.

– Rozejrzy się trochę po świecie, o ile nie zamknie oczu – powiedział Allan.

– Pospiesz no się, staruszku – odrzekł Julius. – Nie możemy tu zostać.

Operacja się udała, wkrótce znów ukryli się za brzozami, zanim jeszcze skończyła się przerwa na lunch w fabryce. Usiedli na drezynie, by odpocząć, a na terenie przemysłowym pojawili się ludzie. Prowadzący wózek widłowy wypełnił kontener po brzegi kolejnymi cylindrami. Zatrzasnął wieko, przyciągnął następny kontener i kontynuował ładowanie.

Allan zastanawiał się, co też właściwie produkowano w tej fabryce. Julius wiedział, że to fabryka z tradycjami, już w siedemnastym wieku produkowała i dostarczała armaty wszystkim tym, którzy chcieli efektywniej zabijać w wojnie trzydziestoletniej.

Allan uważał, że ci w siedemnastym wieku zabijali się nawzajem całkiem niepotrzebnie. Przecież i tak wszyscy by w końcu umarli. Julius odparł, że ta zasada pewnie dotyczy

wszystkich czasów, i dodał, że przerwa się skończyła i czas ruszać. Prosty plan Juliusa polegał na tym, że przyjaciele mieli się udać w krótką drogę w bardziej centralne strony Åkers i tam coś wymyślić.

* * *

Komisarz Aronsson przeszedł przez stary budynek stacji Byringe, ale nie zauważył nic szczególnego poza kapciami, które mogły należeć do stulatka. Weźmie je ze sobą, żeby pokazać personelowi domu spokojnej starości.

Wprawdzie na podłodze w kuchni znalazł ślady wody prowadzące do oddzielnego pomieszczenia chłodni, wyłączonej i z otwartymi drzwiami, ale to nie była przecież żadna wskazówka.

Aronsson pojechał do wioski Byringe, żeby pochodzić po domach. W trzech zastał mieszkańców, wszystkie trzy rodziny powiedziały, że na piętrze budynku stacji mieszka niejaki Julius Jonsson, złodziej i oszust, z którym nikt nie chce mieć do czynienia, i że nikt nic dziwnego nie słyszał ani nie widział od wczorajszego wieczoru do dziś. To, że Julius Jonsson jest zamieszany w jakieś hultajstwo, wydawało się oczywiste.

– Zamknijcie go – żądał najbardziej rozwścieczony z sąsiadów.

– A za co? – zapytał zmęczony komisarz.

– Za to, że kradnie po nocy jajka z mojego kurnika, że ukradł mi nowe sanki zimą, przemalował i mówił, że to jego. Za to, że zamawia książki na moje nazwisko, opróżnia skrzynkę na listy i zostawia mi rachunek do zapłacenia. Za to, że próbuje sprzedawać bimber mojemu czternastoletniemu synowi, za to, że...

– Dobrze, już wystarczy... Zamknę go – powiedział komisarz. – Tylko najpierw muszę go znaleźć.

Aronsson zawrócił w stronę Malmköping i był w połowie drogi, gdy zadzwonił telefon. To koledzy z Centrali Komunikacji. Rolnik Tengroth z Vidkärr zadzwonił z interesującą informacją. Znany w okolicy łobuz jakąś godzinę temu przejechał na drezynie zamkniętym torem kolejowym między Byringe a Åkers Styckebruk przez posiadłość Tengrotha. Na drezynie znajdował się także staruszek, duża walizka i młody mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych. Według Tengrotha ten młody mężczyzna zdawał się dowodzić. Mimo że siedział tam w samych skarpetkach...

– Teraz to już do cholery nic nie rozumiem – powiedział komisarz Aronsson i zawrócił samochód z takim impetem, że kapcie z tylnego siedzenia spadły na podłogę.

* * *

Po kilkuset metrach tempo Allana, i tak niezbyt szybkie, zmniejszyło się jeszcze bardziej. Nie narzekał, ale Julius mógł zauważyć, że kolana mocno mu dokuczały. Kawałek dalej, w prawą stronę, stała budka z jedzeniem. Julius obiecał, że jeśli tylko Allan postara się wytrzymać i dojść do budki, zaprosi go na hot doga, bo go stać, a potem załatwi jakiś transport. Allan odparł, że nigdy w życiu nie narzekał na lekki ból i dalej nie zamierza, ale hot dog dobrze by mu zrobił.

Julius przyspieszył kroku, Allan dreptał za nim. Gdy dotarł na miejsce, Julius był już w połowie grillowanego hot doga. Załatwił nawet więcej spraw.

– Allan, chodź i przywitaj się z Bennym. To nasz nowy prywatny szofer.

Benny był właścicielem budki z jedzeniem, około pięćdziesiątki, bez łysiny, wręcz przeciwnie – z kitką na karku. W dwie minuty Julius zdążył kupić hot doga, fantę i srebrnego mercedesa Benny'ego, model z 1988 roku, wraz z samym Bennym, całość za sto tysięcy koron.

Allan spojrzał na właściciela budki, który nadal stał na swoim miejscu w okienku.

– Pana też kupiliśmy czy tylko wynajęliśmy? – zapytał w końcu.

– Samochód jest kupiony, kierowca wynajęty – odpowiedział Benny. – Na początek na dziesięć dni, potem oczywiście będziemy negocjować. A właśnie, hot dog w cenie. Można skusić na kiełbaskę wiedeńską?

Nie, nie można. Allan wolał zwykłego hot doga, jeśli to nie problem. Poza tym uważał, że sto tysięcy koron za taki stary samochód to słona cena, nawet jeśli obejmowała szofera, w takim razie byłoby sprawiedliwie, gdyby dostał jeszcze mleko czekoladowe.

Na to Benny zgodził się bez wahania. Miał przecież i tak opuścić swoją budkę, więc jeden napój pucko w tę czy w tę nie robi różnicy. Biznes i tak przynosił straty; prowadzenie budki z jedzeniem w Åkers Styckebruk okazało się kiepskim pomysłem, jak się to od początku wydawało.

Prawda jest taka, oznajmił Benny, że jeszcze zanim panowie tak szczęśliwie się pojawili, rozmyślał o robieniu w życiu czegoś innego. Ale że zostanie prywatnym szoferem, tego się nie spodziewał.

W związku z tym, co właściciel budki właśnie oznajmił, Allan zaproponował, żeby zapakował do bagażnika cały karton napojów pucko. Julius natomiast obiecał, że przy następnej okazji dostanie czapkę prywatnego szofera, jeśli tylko zdejmie już tę pracownika małej gastronomii i wyjdzie z budki, bo pora ruszać w drogę.

Benny nie uważał, że w zakres obowiązków prywatnego szofera wchodziło dyskutowanie z tymi, którzy decydują, zrobił więc, co mu powiedziano. Czapka wylądowała w śmieciach, a pucko w bagażniku, a także kilka fant. Ale walizkę Julius wolał mieć koło siebie, na tylnym siedzeniu. Allan mógł siedzieć z przodu, gdzie dało się porządnie wyprostować nogi.

I tak oto jedyny jak dotąd właściciel budki z jedzeniem w Åkers Styckebruk usiadł za kierownicą tego, co jeszcze parę minut wcześniej było jego mercedesem, a teraz stanowiło własność dżentelmenów, w których towarzystwie przebywał.

– Dokąd chcą panowie jechać? – zapytał Benny.

– Co powiecie na północ? – zaproponował Julius.

– Tak, na północ będzie dobrze – odpowiedział Allan. – Albo nie, na południe.

– Więc na południe – rzekł Julius.

– Na południe – powtórzył Benny i wrzucił bieg.

Dziesięć minut później komisarz Aronsson dotarł do Åkers. Wystarczyło rozejrzeć się po torach, żeby dostrzec starą drezynę zaraz za wioską.

Ale na drezynie nie było widocznych śladów. Pracownicy na tyłach fabryki pakowali jakieś cylindry do kontenerów. Nikt nie zauważył, kiedy nadjechała drezyna. Natomiast zauważono dwóch starszych mężczyzn idących drogą niedaleko, zaraz po lunchu,

jeden ciągnął wielką walizkę, drugi szedł kawałek za nim. Oddalili się w stronę stacji benzynowej i budki z jedzeniem, ale gdzie się potem udali, tego nikt nie wiedział.

Aronsson dopytywał, czy aby na pewno było ich dwóch, a nie trzech. Ale żadnej trzeciej osoby robotnicy nie widzieli.

Jadąc w stronę stacji i budki z hot dogami, Aronsson zastanawiał się nad nowymi informacjami. Teraz wszystko jeszcze mniej układało się w całość. Najpierw przystanął przy budce z jedzeniem. Zaczynał robić się głodny, więc pasowało mu to. Ale budka była zamknięta. Chyba nie da się zarobić na małej gastronomii w takiej wiosce, pomyślał i pojechał dalej, na stację benzynową. Tam nic nie widziano i nie słyszano. Aronsson mógł przynajmniej kupić hot doga, nawet jeśli smakował stacją benzynową.

Po szybkim lunchu pojechał do supermarketu Ica, kwiaciarni i maklera nieruchomości. Przystanął, aby porozmawiać z kilkoma mieszkańcami, którzy byli na spacerze z psem, dzieckiem albo małżonkiem. Niestety nie spotkał nikogo, kto mógłby coś powiedzieć na temat dwóch lub trzech mężczyzn z walizką. Tak więc ślad zaginął gdzieś pomiędzy fabryką a stacją benzynową. Komisarz Aronsson zdecydował się wrócić do Malmköping. Miał przecież parę kapci do zidentyfikowania.

* * *

Komisarz Göran Aronsson zadzwonił do komendanta wojewódzkiego policji z samochodu i przekazał informacje o aktualnym stanie. Komendant był wdzięczny, bo musiał

poprowadzić konferencję prasową w hotelu Plevnagården o czternastej i do tej pory nie miał nic do powiedzenia.

Był człowiekiem z duszą aktora, lubił dużo mówić i występować przed publicznością, jeśli tylko nadarzyła się okazja. I teraz wreszcie komisarz Aronsson dał mu to, czego potrzebował do swojego spektaklu.

Tak więc w trakcie konferencji prasowej komendant bardzo się rozwodził, a Aronsson nie zdążył wrócić do Malmköping, żeby mu w tym przeszkodzić (co i tak by się nie udało). Komendant poinformował, że zniknięcie Allana Karlssona wygląda na chwilę obecną na dramatyczne porwanie, dokładnie tak, jak dzień wcześniej przypuszczało internetowe wydanie lokalnej gazety. Policja mogła zakładać, że Karlsson jest przy życiu, ale w rękach ludzi ze świata przestępczego.

Oczywiście pytań dziennikarzy było wiele, ale komendant zgrabnie się wywinął. Dodał jednak, że Karlsson i jego domniemani porywacze byli widziani w wiosce Åkers Styckebruk nie dalej jak w porze lunchu. Zachęcił także najlepszego przyjaciela policji – społeczeństwo – do zgłaszania wszelkich spostrzeżeń.

Ku rozczarowaniu komendanta wojewódzkiego policji ekipy telewizyjne prawdopodobnie odjechały przed konferencją. Nigdy by do tego nie doszło, gdyby ten truteń Aronsson nieco wcześniej wycedził informację o porwaniu. W każdym razie na miejscu była prasa wieczorna: „Expressen” i „Aftonbladet”, a także lokalna gazeta i reporter lokalnego radia. Najdalej w sali jadalnej hotelu Plevnagården stał mężczyzna, w którym komendant nie rozpoznał nikogo z poprzedniego dnia. Może agencja prasowa?

Ale Hultaj nie był z agencji prasowej, został wysłany przez Szefa ze Sztokholmu. I był coraz bardziej przekonany, że Bolec zwiał z forsą. A w takim wypadku już po nim.

* * *

Gdy komisarz Aronsson dotarł do Plevnagården, media już się rozjechały. Po drodze zatrzymał się przy domu spokojnej starości, gdzie potwierdzono, że znalezione kapcie należały do Allana Karlssona (siostra Alice powąchała je i z grymasem pokiwała głową).

Aronsson na nieszczęście spotkał w holu hotelowym komendanta, został poinformowany o przebiegu konferencji prasowej i dostał za zadanie rozwikłać sprawę, i to najlepiej w taki sposób, aby to, co komendant naopowiadał prasie, i rzeczywistość nie pozostawały ze sobą w konflikcie.

Następnie komendant oddalił się, miał sporo do załatwienia. Nadeszła najwyższa pora, aby w sprawę włączyć prokuratora.

Aronsson usiadł z filiżanką kawy, żeby przemyśleć ostatnie wydarzenia. Spośród wszystkiego, nad czym można by się zastanawiać, Aronsson postanowił skupić się na relacji między trójką pasażerów drezyny. Jeśli Tengroth mylił się co do tego, że Karlsson i Jonsson byli pod presją trzeciego pasażera, miałby do czynienia z dramatem zakładnika. To właśnie stwierdził komendant na konferencji prasowej, co osłabiało teorię. Komendant bowiem rzadko miał rację. Poza tym byli przecież świadkowie, którzy widzieli Karlssona i Jonssona na spacerze w Åker – i to z walizką. Czyżby więc staruszkom Karlssonowi

i Jonssonowi udało się obezwładnić młodego i silnego członka Never Again i wrzucić go do rowu?

Niewiarygodne, ale możliwe. Aronsson zdecydował się skorzystać z pomocy psa tropiącego z Eskilstuny. Będzie to długi spacer dla psa i jego opiekuna, od pól rolnika Tengrotha po fabrykę w Åker. Gdzieś tam zaginął przecież członek Never Again.

Potem sami Karlsson i Jonsson rozpłynęli się w powietrzu, gdzieś między zapleczem fabryki a stacją benzynową – to dwustumetrowy odcinek. Ziemia ich pochłonęła i żywa dusza nic nie zauważyła. Jedyne, co znajdowało się na tym odcinku, to zamknięta budka z jedzeniem.

Rozległ się dźwięk telefonu Aronssona. To Centrala Komunikacji dostała nową wskazówkę. Tym razem stulatka widziano w Mjölby, na przednim siedzeniu mercedesa, prawdopodobnie porwanego przez siedzącego za kierownicą mężczyznę w średnim wieku z kitką.

– Mamy to sprawdzić? – zapytał kolega.

– Nie – westchnął Aronsson.

Długie życie komisarza nauczyło go odróżniać właściwe wskazówki od śmieci. Było to pewne pocieszenie, gdy prawie wszystko wydawało się spowite mgłą.

* * *

Benny zatrzymał się w Mjölby, żeby zatankować. Julius ostrożnie otworzył walizkę i wyjął z niej banknot pięciusetkoronowy na benzynę.

Potem stwierdził, że musi trochę rozprostować nogi, i poprosił, żeby Allan został w samochodzie i pilnował walizki. Allan był

zmęczony po całodziennej podróży i obiecał, że nie będzie się ruszał.

Benny wrócił pierwszy i usadowił się za kierownicą. Wkrótce pojawił się też Julius i dał rozkaz: naprzód. Mercedes kontynuował jazdę na południe.

Po krótkiej chwili Julius zaczął czymś szeleścić na tylnym siedzeniu. Wyciągnął w stronę Allana i Benny'ego otwartą torebkę cukierków polly.

– Patrzcie, co zwinąłem – powiedział.

Allan ze zdziwieniem uniósł brwi:

– Ukradłeś torebkę słodyczy, gdy mamy pięćdziesiąt milionów w walizce?

– Macie w walizce pięćdziesiąt milionów? – spytał Benny.

– Oj – powiedział Allan.

– Niezupełnie – odparł Julius. – Dostałeś przecież sto tysięcy.

– I pięćset na benzynę – dodał Allan.

Benny zamilkł na kilka sekund.

– Więc macie czterdzieści dziewięć milionów osiemset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy pięćset w walizce?

– Szybko liczysz – powiedział Allan.

Znów na chwilę zapanowała cisza. Potem Julius stwierdził, że chyba mogą wszystko powiedzieć szoferowi. Jeśli po tym Benny będzie chciał zerwać umowę, to w porządku.

* * *

Tym fragmentem opowiadania, który był dla Benny'ego najtrudniejszy do zrozumienia, był fakt, że człowiek pożegnał się z życiem i został wysłany na eksport. Ale był to przecież wypadek,

naprawdę, nawet jeśli miał na to wpływ alkohol. Sam Benny stronił od alkoholu.

Nowo zatrudniony szofer przemyślał wszystko jeszcze raz i doszedł do wniosku, że te pięćdziesiąt milionów na pewno od początku było w niewłaściwych rękach, że teraz może nawet bardziej przyda się ludzkości. Poza tym jakoś mu się nie podobało złożyć wypowiedzenie pierwszego dnia pracy.

Dlatego obiecał, że nie zrezygnuje z posady, i zapytał, jakie panowie mają plany. Do tej pory nie bardzo chciał pytać, uważał, że ciekawość nie jest dobrą cechą prywatnego szofera, ale teraz to już jest jakby współwinny.

Allan i Julius przyznali, że właściwie nie mają żadnych planów. Ale mogą chyba kontynuować jazdę, aż zacznie się ściemniać, a potem zajechać gdzieś, żeby przedyskutować sprawę bardziej szczegółowo. Tak też zrobili.

– Pięćdziesiąt milionów – powiedział Benny i uśmiechnął się, wrzucając jedynkę.

– Czterdzieści dziewięć milionów osiemset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy pięćset – poprawił Allan.

Julius musiał obiecać, że przestanie kraść dla samej kradzieży. Dodał, że nie będzie to łatwe, bo ma to we krwi i do niczego innego się nie nadaje. Mimo wszystko obiecał, a o Juliusie można powiedzieć, powiedział Julius, że rzadko coś obiecuje, ale jak już obiecuje, to dotrzymuje tego, co obiecał.

Jechali dalej w milczeniu. Allan przysnął na swoim miejscu koło kierowcy. Julius włożył do ust kolejnego cukierka polly. A Benny nucił jakąś piosenkę, której tytułu nie pamiętał.

* * *

Dziennikarza prasy wieczornej, który zwęszy jakąś historię, niełatwo jest powstrzymać. Nie zajęło to więcej niż parę godzin, a reporterzy „Expressen” i „Aftonbladet” mieli o wiele jaśniejszy obraz przebiegu wydarzeń niż ten, który usłyszeli od komendanta wojewódzkiego policji podczas popołudniowej konferencji prasowej. Tym razem „Expressen” pokonał „Aftonbladet”, dzięki temu, że ich reporter jako pierwszy skontaktował się ze spedytorem Ronnym Hulthem, pojechał do niego do domu i obiecując znaleźć partnera dla samotnej kotki Ronny’ego, namówił go na nocowanie w hotelu w Eskilstunie, poza zasięgiem „Aftonbladet”. Najpierw Hulth bał się mówić, pamiętał przecież groźby młodzieńca, ale reporter, po pierwsze, obiecał, że Ronny pozostanie anonimowy, po drugie, zapewniał, że teraz, gdy w sprawę zamieszana jest policja, na pewno nic mu ze strony klubu motocyklowego nie grozi.

Ale „Expressen” nie zadowoliło się Hulthem. Schwytali w swą sieć także kierowcę autobusu oraz mieszkańców Byringe, rolnika z Vidkärr i kilka osób z Åkers Styckebruk. Rezultatem było parę dramatycznych artykułów następnego dnia. Wprawdzie pełnych błędnych przypuszczeń, ale w tych okolicznościach reporter wykonał dobrą dziennikarską robotę.

* * *

Srebrny mercedes jechał dalej. W końcu także Julius przysnął w samochodzie. Allan chrapał z przodu, Julius z tyłu, na niewygodnej poduszce w postaci walizki. Tymczasem Benny starał się wybrać jak najlepszą drogę.

W Mjölby postanowił zjechać z E4 i pojechał drogą krajową 32 w stronę Tranås. Ale nie zatrzymał się, gdy dojechali do Tranås, tylko kontynuował jazdę na południe. Kiedy wjechali na teren województwa Kronoberg, znów zboczył z drogi i na dobre wjechał w smålandzkie lasy. Tam miał nadzieję znaleźć odpowiednie miejsce na nocleg.

Allan przebudził się i dopytywał, czy to pora do łóżka. Potem obudził się Julius, słysząc rozmowy z przodu. Rozejrzał się, i spytał, gdzie są.

Benny poinformował, że znajdują się kilkadziesiąt kilometrów na północ od Växjö i że trochę pomyślał, gdy panowie spali.

Wnioski, do jakich doszedł, są takie, że ze względów bezpieczeństwa powinni znaleźć jakieś dyskretne miejsce na nocleg. Nie wiedzieli przecież, kto ich ściga, ale ten, kto zgarnia walizkę z pięćdziesięcioma milionami, nie może raczej liczyć na chwilę spokoju, o ile bardzo się nie wysili. Dlatego zjechał z drogi do Växjö i teraz zbliżali się do miasteczka o nazwie Rottne. Pomysł Benny'ego polegał na znalezieniu jakiegoś hotelu, w którym mogliby się zatrzymać.

– Dobrze pomyślane – pochwalił Julius – ale jednak nie.

Rozwinął swoją myśl. W najlepszym wypadku w Rottne znajdował się jakiś mały, zapuszczony hotel, do którego nigdy nikt nie zaglądał. Gdyby nagle pojawiło się w nim trzech mężczyzn, bez wcześniejszej rezerwacji, na pewno wzbudziłoby to zainteresowanie w wiosce. Lepiej znaleźć jakieś gospodarstwo wiejskie albo zagrodę w środku lasu i przekupić właściciela, aby pozwolił im przenocować i dał coś do jedzenia.

Zaczynało się ściemniać, gdy po ledwie czterech kilometrach jazdy krętą żwirowaną drogą zauważyli na poboczu skrzynkę na listy. Na skrzynce było napisane „Sjötorp”, a obok znajdował się zjazd, który prawdopodobnie właśnie tam prowadził. Przypuszczenie okazało się zgodne z prawdą. Przejechawszy krętą dróżką jakieś sto metrów, ujrzeli zagrodę. Było to porządne gospodarstwo, miało dwukondygnacyjny dom z czerwonej cegły z białymi narożnikami i oborę, a kilka metrów dalej, koło jeziora, stało coś, co swojego czasu było szopą na narzędzia.

Całość wyglądała na zamieszkaną, więc Benny powoli podjechał mercedesem pod wejście do domu. Wtedy na zewnątrz wyszła kobieta w średnim wieku, z ogniście rudymi, kręconymi włosami, ubrana w jeszcze bardziej ognisty, czerwony dres, przy jej nodze stał owczarek.

Towarzystwo wysiadło z mercedesa i wyszło kobiecie na spotkanie. Julius niepewnie spoglądał na psa, ale nie wyglądało na to, żeby owczarek zamierzał zaatakować. Wręcz przeciwnie, patrzył na gości z ciekawością, prawie przyjaźnie.

Julius odważył się więc spuścić psa z oka i zwrócił się do kobiety. Przywitał się uprzejmie i zapytał o możliwość noclegu i ewentualnie czegoś do jedzenia.

Kobieta spojrzała na to barwne towarzystwo przed sobą: dwóch starców i jednego... dość przystojnego mężczyznę, to trzeba przyznać. Nawet w odpowiednim wieku. I z kitką! Uśmiechnęła się do siebie, więc Julius sądził, że się zgodzi, ale ona powiedziała:

– To nie jest jakiś cholerny hotel.

Oj, pomyślał Allan. Naprawdę tęsknił za posiłkiem i łóżkiem. Życie było wyczerpujące, gdy się w końcu zdecydował jeszcze

trochę pożyć. Mówcie, co chcecie, o czasie spędzonym w domu starców, ale tam przynajmniej nie miał zakwasów w całym ciele.

Julius także wyglądał na zmartwionego, powiedział, że on i jego przyjaciele pobłądzili i są zmęczeni oraz że mogą oczywiście zapłacić, jeśli tylko będą mogli przenocować. W najgorszym wypadku obędą się bez jedzenia.

– Zapłacimy tysiąc koron za osobę, jeśli dostaniemy miejsce do spania – zaproponował Julius.

– Tysiąc koron? – zapytała kobieta. – Czyżbyście skądś uciekali?

Julius zignorował trafne pytanie i wyjaśnił, że przejechali długą drogę i jeśli o niego chodzi, to jeszcze by trochę wytrzymał, ale ten oto Allan ma już swoje lata.

– Wczoraj skończyłem setkę – powiedział Allan słabym głosem.

– Sto lat? – zapytała kobieta niemal z przerażeniem. – O w mordę!

Przez chwilę była cicho i wyglądało na to, że się zastanawia.

– Kurwa, no – powiedziała w końcu. – No to zostańcie już. Ale nie ma mowy o żadnym tysiącu koron. Mówię przecież, że nie prowadzę żadnego cholernego hotelu.

Benny spojrzał na nią z podziwem. Nigdy nie słyszał, żeby jakaś kobieta tyle przeklinała w tak krótkim czasie. Uważał, że to urocze.

– Moja ślicznotka – powiedział. – Można pogłaskać?

– Moja ślicznotka? – zdziwiła się kobieta. – Ślepyś pan? Ale głaskaj, proszę, kurwa, bardzo. Buster jest niegroźny. Każdy z was dostanie pokój na górze, tutaj jest dość miejsca. Pościel jest

czysta, ale uważajcie na trutkę na szczury na podłodze. Jedzenie będzie za godzinę.

Kobieta minęła gości i poszła w kierunku obory z Busterem u boku. Benny zawołał za nią i spytał, czy ma jakieś imię. Odpowiedziała, nie odwracając się, że nazywa się Gunilla, ale sądzi, że „ślicznotka" brzmi nieźle, więc „możesz mnie pan, kurwa, tak nazywać". Benny obiecał, że tak będzie.

– Myślę, że się zakochałem – powiedział Benny.

– Wiem, że jestem zmęczony – powiedział Allan.

W tym momencie z obory rozległ się taki ryk, że nawet śmiertelnie zmęczony Allan wytrzeszczył oczy. Musiało to być jakieś bardzo duże i prawdopodobnie dręczone zwierzę.

– Nie drzyj się tak, Sonja – powiedziała Ślicznotka. – Przecież już, kurwa, idę.

ROZDZIAŁ 7
1929–1939

Widok zagrody w Yxhult nie był przyjemny. Przez ten czas, gdy Allan był pod opieką profesora Lundborga, wszystko zarosło. Dachówki, które zwiał wiatr, leżały teraz rozsypane na ziemi, wychodek nie wiedzieć czemu przewrócił się, a jedno z okien kuchennych było otwarte i uderzało o okiennicę.

Allan stanął przed domem, żeby się wysikać, nie miał już przecież ubikacji. Potem wszedł do środka i usiadł w zakurzonej kuchni. Okno zostawił otwarte. Chciało mu się jeść, ale porzucił pomysł zajrzenia do spiżarni. Wiedział, że nie przysporzy mu to radości.

Urodził się i dorastał w tym miejscu, ale w tym momencie dom wydawał mu się obcy. Może najwyższy czas skończyć z przeszłością i pójść dalej, w przeciwnym kierunku? Tak, na pewno tak.

Allan odszukał swoich kolegów od dynamitu, pozałatwiał wszystkie niezbędne sprawy i zapakował na rower te kilka rzeczy, które miały jakąś wartość. O zmierzchu 3 czerwca 1929 roku ruszył w drogę, z dala od Yxhult, z dala od Flenu. Ładunek wybuchowy eksplodował dokładnie pół godziny później. Zagroda

w Yxhult wyleciała w powietrze, a krowa najbliższego sąsiada poroniła po raz drugi.

Godzinę później Allan siedział w areszcie na posterunku policji we Flenie i jadł kolację, słuchając reprymendy komendanta Krooka. Policja we Flenie akurat dorobiła się samochodu i schwytanie tego, kto właśnie wysadził w powietrze własne domostwo, nie zajęło wiele czasu.

Tym razem powód oskarżenia był jasny.

– Dewastacja stwarzająca zagrożenie publiczne – powiedział komendant Krook tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Może pan podać chleb? – zapytał Allan.

Komendant Krook nie mógł podać chleba. Zaczął natomiast krzyczeć na swojego biednego asystenta, który nie był dość stanowczy, aby odmówić delikwentowi, gdy ten poprosił o kolację. Kiedy Allan skończył jeść, został zaprowadzony do tej samej celi, co poprzednim razem.

– Nie macie tu przypadkiem dzisiejszej gazety? – dopytywał się. – Jako lektury na dobranoc, znaczy się.

Komendant Krook nie odpowiedział, tylko wyłączył światło i trzasnął drzwiami. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił następnego ranka, był telefon do „tego domu wariatów” w Uppsali i nakazanie, żeby przyjechano i zabrano Allana Karlssona.

Ale asystent Benharda Lundborga nie chciał nawet o tym słyszeć, Karlsson był wyleczony, a oni teraz mieli innych do kastracji i analizy. Gdyby tylko komendant wiedział, od ilu ludzi trzeba uratować naród: Żydzi i Cyganie, Murzyni i Mulaci, ograniczeni umysłowo i inni. Wysadzenie w powietrze własnego domu nie kwalifikowało Karlssona do ponownej wycieczki do

Upplandii. Chyba można zrobić z własnym domem, co się chce, czy komendant tak nie uważa? Żyjemy przecież w wolnym kraju, prawda?

W końcu komendant Krook odłożył słuchawkę. Nigdy nie dogada się z tymi miastowymi. Teraz żałował, że nie pozwolił Karlssonowi odjechać na tym jego rowerze poprzedniego wieczoru.

I w taki oto sposób po bezowocnej przedpołudniowej rozmowie komendanta z asystentem profesora Lundborga Allan Karlsson znów siedział na swoim rowerze z przyczepką. Tym razem miał ze sobą prowiant na trzy dni i podwójne koce do okrycia, gdyby zrobiło się zimno. Pomachał na pożegnanie komendantowi Krookowi, który nie odmachał, i popedałował na północ, bo pomyślał, że ten kierunek jest równie dobry jak trzy pozostałe.

Po południu dojechał do Hälleforsnäs i na razie mu to wystarczyło. Allan usiadł na trawie, rozłożył koc i rozpakował prowiant. Przeżuwając kromkę słodkawego chleba z salami, przyglądał się zakładowi przemysłowemu. Przed fabryką leżał stos odlanych luf armatnich. Allan pomyślał, że ten, kto wyrabia armaty, być może potrzebuje kogoś, kto wie, jak spowodować wybuch, kiedy trzeba. Pomyślał również, że mógłby zamieszkać w Hälleforsnäs. O ile byłaby tu robota.

Skojarzenie Allana, że tam, gdzie produkują armaty, tam potrzeba jego szczególnych umiejętności, było może dość naiwne. A jednak właśnie tak było. Po krótkiej rozmowie z fabrykantem, podczas której Allan pominął pewne fakty w życiorysie, został zatrudniony jako pirotechnik. Allan pomyślał, że chyba będzie mu tu dobrze.

* * *

Produkcja armat w odlewni w Hälleforsnäs nie szła najlepiej, było coraz mniej zamówień. Minister obrony narodowej Per Albin Hansson po pierwszej wojnie światowej zmniejszył dotacje na wojsko, a król Gustaw V siedział w zamku i zgrzytał zębami. Per Albin, człowiek o analitycznym umyśle, uważał, że co prawda Szwecja powinna była zostać lepiej uzbrojona w czasie wojny, niż to miało miejsce, ale nie było potrzeby zbroić się teraz, dziesięć lat później. Teraz istniała przecież Liga Narodów.

Konsekwencje dla sörmlandzkiej odlewni były takie, że musiała przekierować produkcję na coś innego oraz że zwalniała ludzi.

Ale nie Allana, bo pirotechników nie było wielu. Fabrykant nie wierzył swojemu szczęściu, gdy pewnego dnia Allan okazał się ekspertem w dziedzinie wszelkiego rodzaju ładunków wybuchowych. Do tej pory fabrykant musiał liczyć na umiejętności tego pirotechnika, którego miał, i to doprawdy nie było dobre, bo ów pirotechnik był obcokrajowcem, słabo mówił po szwedzku i miał czarne włosy, w dodatku na całym ciele.

Allan nie oceniał ludzi po kolorze skóry, zawsze uważał, że gadka profesora Lundborga była raczej dziwna. Był jednak dość ciekawy spotkania z Murzynem, albo Murzynką, wszystko jedno. Z ogromnym zainteresowaniem czytał ogłoszenia w gazecie o tym, że Josephine Baker wystąpi w Sztokholmie, ale musiał zadowolić się Estebánem, swoim ciemnoskórym, hiszpańskim kolegą po fachu.

Allan i Estebán dobrze się dogadywali. Mieszkali zresztą razem w obskurnej norze w bloku robotniczym koło fabryki. Estebán opowiadał o swojej dramatycznej przeszłości. Poznał dziewczynę na zabawie w Madrycie i miał z nią potajemny, acz dość niewinny

romans, nie zdając sobie sprawy, że jest ona córką samego premiera Miguela Primo de Rivery. A nie był to mężczyzna, z którym chciało się mieć na pieńku. Rządził krajem, jak mu się podobało, bezsilny król nie miał nic do gadania. Słowo „premier" było łagodną wersją słowa „dyktator", uważał Estebán. Ale córka premiera była powalająco piękna!

Robotnicza przeszłość Estebána nie przekonała potencjalnego teścia. Dlatego podczas swojego pierwszego spotkania z Primo de Riverą Estebán usłyszał o dwóch możliwościach. Albo wyjedzie z Hiszpanii tak daleko, jak to możliwe, albo tu i teraz dostanie kulkę w kark.

Podczas gdy Primo de Rivera odbezpieczał pistolet, Estebán odpowiedział, że właśnie zdecydował się na pierwsze wyjście, i szybko wycofał się z pokoju, nie pokazując karku mężczyźnie z pistoletem i nie rzucając spojrzenia w stronę, gdzie stała pochlipująca dziewczyna.

Tak daleko, jak to możliwe, myślał Estebán i wybrał się na północ, a potem jeszcze dalej na północ, aż w końcu na tak daleką północ, że jeziora zamarzały tam zimą. Wtedy pomyślał, że to wystarczająco daleko. I tu pozostawał od tamtej pory. Pracę w odlewni dostał trzy lata temu, dzięki pomocy katolickiego księdza i, niech Bóg mu wybaczy, zmyślonej historii o tym, że pracował w Hiszpanii z materiałami wybuchowymi, podczas gdy tak naprawdę głównie zrywał pomidory.

Z czasem Estebán nauczył się jako tako szwedzkiego i dawał sobie radę jako pirotechnik. A teraz, z Allanem u boku, stawał się prawdziwym zawodowcem.

* * *

Allan dobrze się czuł w robotniczej atmosferze odlewni. Po roku mógł się porozumieć takim hiszpańskim, jakiego nauczył go Estebán. Po dwóch latach jego hiszpański był prawie biegły. Ale minęły trzy lata, zanim Estebán poddał się i przestał przekonywać Allana do hiszpańskiej opcji socjalizmu. Próbował wszystkiego, ale Allan był oporny. Tej cechy charakteru przyjaciela Estebán nie mógł pojąć. Nie to, żeby Allan miał przeciwny pogląd na temat socjalizmu i kontrargumentował, on po prostu nie miał żadnego poglądu. A może to właśnie był jego pogląd? Estebán nie miał w końcu innego wyjścia, jak tylko pogodzić się z przekonaniem, że przyjaciel nic nie rozumie.

Allan miał mniej więcej podobny problem. Estebán był dobrym kompanem. Na to, że został skażony tą przeklętą polityką, nikt nic nie mógł poradzić. Nie był doprawdy jedyny.

Upłynął jeszcze jakiś czas, zanim życie Allana przybrało nowy obrót. Zaczęło się od tego, że Estebána doszły słuchy, że Primo de Rivera podał się do dymisji i uciekł z kraju. Do Hiszpanii zbliżała się demokracja, może nawet socjalizm, a tego Estebán nie chciał przegapić.

Dlatego zamierzał wrócić do domu jak najszybciej. Odlewni powodziło się coraz gorzej, ponieważ señor Per Albin zdecydował, że więcej wojen nie będzie. Estebán uważał, że on i Allan wkrótce zostaną zwolnieni z pracy. Jakie Allan ma plany? Może mógłby mu towarzyszyć?

Allan zastanowił się. Z jednej strony nie był zainteresowany rewolucją, ani hiszpańską, ani żadną inną. Z drugiej strony Hiszpania leżała za granicą, jak wszystkie inne kraje, z wyjątkiem Szwecji, i naczytawszy się o zagranicy tak wiele

przez całe swoje życie, nie byłoby głupim pomysłem wreszcie zobaczyć ją naprawdę. Może po drodze wpadną na jakiegoś Murzyna albo dwóch?

Gdy Estebán obiecał, że w drodze do Hiszpanii na pewno spotkają co najmniej jednego Murzyna, Allan nie mógł odmówić. Przyjaciele przeszli więc do omawiania kwestii bardziej praktycznych. Zaraz doszli do wniosku, że fabrykant to „głupi czort" (tak się właśnie wyrazili) i nie zasługuje, żeby się nim przejmować. Dlatego postanowili, że poczekają na wypłatę tygodniówki, a potem cichaczem dadzą drapaka.

Tak też zrobili. Następnej niedzieli wstali o piątej rano i na rowerze z przyczepką udali się na południe, kierunek: Hiszpania. Po drodze Estebán chciał się zatrzymać pod domem fabrykanta, aby załatwić swoje poranne potrzeby do bańki z mlekiem, która codziennie wczesnym rankiem była dostarczana pod bramę fabrykanckiej willi. Pragnął się zemścić za te wszystkie lata, kiedy musiał znosić nazywanie go przez fabrykanta i jego dwóch nastoletnich synów „małpą".

– Zemsta to nic dobrego – przekonywał go Allan. – Z zemstą jak z polityką, jedno kończy się drugim, złe staje się gorszym, a gorsze najgorszym.

Ale Estebán się upierał. Tylko dlatego, że ma się nieco owłosione ramiona i nie mówi biegle językiem fabrykanta, nie można być nazywanym „małpą"!

Allan zgadzał się co do tego i przyjaciele wymyślili sensowny kompromis. Estebán nasika do bańki z mlekiem, ale nie zrobi kupy.

Tym sposobem odlewnia w Hälleforsnäs straciła obu pirotechników. Jeszcze tego samego ranka świadkowie donieśli fabrykantowi, że widziano Allana i Estebána na rowerze z przyczepką, jadących w stronę Katrineholm albo i dalej na południe. Tak więc fabrykant był już przygotowany na nagły brak personelu pirotechnicznego w nadchodzącym tygodniu, gdy w niedzielne przedpołudnie siedział na werandzie swojej fabrykanckiej willi i zadumany popijał mleko, które Sigrid tak uprzejmie podała mu z ciasteczkiem migdałowym. Humor fabrykanta popsuł się jeszcze bardziej, ponieważ coś było nie tak z ciasteczkami. Miały wyraźnie smak amoniaku.

Fabrykant postanowił poczekać, aż będzie po mszy, i wytarmosić Sigrid za ucho. A na razie zadowolił się jeszcze jedną szklanką mleka, aby – jeśli to możliwe – pozbyć się nieprzyjemnego smaku w ustach.

* * *

I tak to Allan wylądował w Hiszpanii. Przeprawa przez Europę zajęła trzy miesiące i po drodze spotkał więcej Murzynów, niż kiedykolwiek mógł sobie wymarzyć. Ale już po spotkaniu pierwszego stracił zainteresowanie. Jedyną różnicą okazał się kolor skóry, no i mówili dziwnymi językami, ale biali też przecież mówili różnymi dziwnymi językami, ci ze Smålandii i z południa. Ten cały Lundborg musiał się jako dziecko wystraszyć jakiegoś Murzyna, pomyślał Allan.

Allan i jego przyjaciel Estebán przybyli do kraju, w którym panował chaos. Król uciekł do Rzymu, a Hiszpania stała się republiką. Z lewej wołano *revolución,* z prawej natomiast

obawiano się tego, co działo się w Rosji Stalina. Czy i w Hiszpanii tak będzie?

Estebán zapomniał na chwilę, że przyjaciel jest niezmiennie apolityczny, i próbował przeciągnąć go na rewolucyjną stronę, ale Allan jak zwykle się opierał. Rozpoznawał znajomą ze Szwecji śpiewkę i nadal nie mógł się nadziwić, dlaczego wszystko miało być odwrotnie, niż było.

Następnie z prawej nadszedł nieudany wojskowy zamach stanu, a po nim z lewej strajk generalny. Potem były wybory powszechne. Lewica wygrała, więc prawica się obraziła, a może było odwrotnie, Allan nie wiedział dokładnie. W każdym razie i tak w końcu wybuchła wojna.

Allan znajdował się na obcej ziemi i nie miał lepszego pomysłu, jak tylko trzymać się pół kroku za Estebánem, który zaciągnął się do armii i natychmiast został mianowany sierżantem, gdy tylko szef plutonu dowiedział się, że Estebán wie, jak wysadzać wszystko w powietrze.

Przyjaciel Allana z dumą nosił mundur i nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zasłuży się na wojnie. Pluton dostał zadanie wysadzenia kilku mostów w pewnej dolinie w Aragonii i sekcji Estebána przydzielono pierwszy z nich. Powierzone zadanie tak rozentuzjazmowało Estebána, że stanął na kamieniu, chwycił broń w lewą dłoń, wzniósł ją ku niebu i krzyknął:

– Śmierć faszyzmowi, śmierć wszystkim faszyst...

Estebán nie zdążył dokończyć zdania, gdy jego głowa i część ramienia zostały oderwane przez to, co było prawdopodobnie pierwszym w tej wojnie wybuchem granatu wroga.

Allan znajdował się jakieś dwadzieścia metrów dalej i uniknął obrzucenia go częściami ciała przyjaciela rozrzuconymi wokół kamienia, na którym tak nierozważnie stanął Estebán. Jeden z szeregowców zaczął płakać.

Allan przyjrzał się temu, co zostało z przyjaciela, i doszedł do wniosku, że nie ma sensu szukać reszty.

– Trzeba ci było zostać w Hälleforsnäs – powiedział i poczuł nagłą tęsknotę za rąbaniem drewna przed chatą w Yxhult.

* * *

Granat, który zabił Estebána, był prawdopodobnie pierwszym w tej wojnie, ale na pewno nie ostatnim. Allan myślał o powrocie do domu, lecz nagle wojna była wszędzie dookoła. Poza tym miałby przed sobą strasznie długą drogę do Szwecji, a tam i tak nikt na niego nie czekał.

Dlatego odszukał dowódcę kompanii Estebána, zaprezentował się jako najlepszy pirotechnik na kontynencie i powiedział, że może wysadzać mosty i inne konstrukcje budowlane w powietrze w zamian za trzy posiłki dziennie i odurzenie winem, gdy okoliczności na to pozwolą.

Dowódca kompanii był bliski wydania rozkazu zastrzelenia Allana, gdy ten uparcie odmawiał śpiewania na cześć socjalizmu i republiki, a także zażądał możliwości pracy w stroju cywilnym. Albo raczej, jak to wyraził Allan:

– Jeszcze jedna sprawa... Jak mam dowódcy wysadzać te mosty, to będę to robił we własnym swetrze, w przeciwnym razie może dowódca je sobie wysadzać sam.

Na dobrą sprawę nie jest się dowódcą kompanii, jeśli pozwala się cywilowi na takie traktowanie. Problem w tym, że jego jedyny znający się na wysadzaniu żołnierz od pewnego czasu leżał rozrzucony dookoła pewnego kamienia na wzgórzu, kawałek drogi stąd.

Gdy dowódca kompanii siedział na swoim składanym krześle wojskowym i zastanawiał się, czy najbliższa przyszłość Allana to rekrutacja czy rozstrzelanie, jeden z szefów plutonu szepnął mu do ucha, że ten młody sierżant, który tak nieszczęśliwie został rozerwany na kawałki, wcześniej przedstawił tego dziwnego Szweda jako mistrza w dziedzinie pirotechniki.

To rozstrzygnęło kwestię. Señor Karlsson mógł a) zostać przy życiu, b) dostać trzy posiłki dziennie, c) zachować strój cywilny i d) skosztować wina od czasu do czasu, tak jak i inni żołnierze, oczywiście w rozsądnej ilości. W zamian miał wysadzać dokładnie to, czego dowódcy sobie życzyli. Poza tym wyznaczono dwóch dodatkowych żołnierzy, żeby mieli na niego oko, bo przecież nadal nie można było wykluczyć, że jest szpiegiem.

Tak mijały miesiące i przechodziły w lata. Allan wysadzał, co było do wysadzenia, i robił to perfekcyjnie. W żadnym razie nie była to bezpieczna praca. Często trzeba było się przemykać i czołgać do wyznaczonego obiektu, założyć ładunki, a potem wrócić na pewny ląd. Po trzech miesiącach zginął jeden ze strażników Allana (przez przypadek przeczołgał się prosto na terytorium wroga). Po sześciu miesiącach stracił życie ten drugi (wstał, żeby rozprostować plecy, i zaraz mu je rozerwało na dwoje). Dowódca kompanii nie zamierzał zastąpić tych dwóch innymi, jak dotąd señor Allan zbyt dobrze się sprawował.

Allan nie widział sensu w zabijaniu ludzi bez potrzeby, dlatego starał się, by dany most był w momencie wybuchu pusty. Jak na przykład ostatni z mostów, który Allan miał wysadzić w tej wojnie. Ale akurat tym razem, gdy Allan właśnie skończył przygotowania i odczołgał się w kierunku krzaków za jeden z filarów mostu, nadszedł patrol wroga, z niskim mężczyzną w środku, w mundurze przyozdobionym medalami. Przyszli z drugiej strony i zdawali się nie mieć pojęcia o tym, że w pobliżu są republikanie, ani tym bardziej o tym, że są blisko dołączenia do Estebána i dziesiątek tysięcy innych Hiszpanów będących w drodze do wieczności.

Wtedy Allan pomyślał, że już wystarczy. Podniósł się więc z krzaków i zaczął wymachiwać ramionami.

– Uciekajcie stamtąd! – krzyczał do niskiego mężczyzny z medalami i jego towarzyszy. – Znikajcie, zanim wylecicie w powietrze!

Niski z medalami bronił się, ale towarzysze otoczyli go, przeciągnęli przez most i nie zatrzymywali, dopóki nie znaleźli się po drugiej stronie, w krzakach obok Allana. Osiem karabinów zostało skierowanych na Allana i co najmniej jeden z nich pewnie by wystrzelił, gdyby nie fakt, że most za nimi nagle wyleciał w powietrze. Fala wybuchu przewróciła niskiego z medalami. W tumulcie nikt nie odważył się strzelić do Allana, kula mogłaby przecież chybić. Poza tym wyglądał na cywila. A gdy dym się rozproszył, nikt już nie myślał o pozbawianiu go życia. Niski z medalami uścisnął jego dłoń i powiedział, że prawdziwy generał wie, jak okazać wdzięczność, i że najlepiej będzie, jeśli wrócą na drugą stronę, mostem lub nie. Jeżeli jego wybawiciel ma ochotę

im towarzyszyć, może czuć się zaproszony, w przeciwnym razie generał tu, na miejscu, zaprosi go na kolację.

– Paella po andaluzyjsku – powiedział generał. – Mój kucharz jest z południa. *¿Comprende?*

O tak, Allan zrozumiał. Zrozumiał, że uratował życie samemu *generalísimo,* że na swoje szczęście stał ubrany we własny, brudny sweter zamiast munduru wroga, że przyjaciele na wzgórzu kilkaset metrów dalej obserwowali przebieg wydarzeń przez lornetki i że dla własnego dobra najlepiej będzie, jeśli zmieni stronę w tej wojnie, której zupełnie nie rozumiał.

Poza tym był głodny.

– *Sí, por favor, mí general* – odpowiedział Allan. – Paella brzmi świetnie. Może nawet ze szklaneczką czerwonego wina albo i dwiema?

* * *

Pewnego razu, dziesięć lat wcześniej, Allan szukał pracy jako pirotechnik w odlewni w Hälleforsnäs. Wtedy zdecydował, że nie musi opowiadać o takich punktach życiorysu, jak choćby ten, że przez cztery lata siedział w wariatkowie, a następnie wysadził w powietrze własny dom. Może właśnie dlatego rozmowa z fabrykantem poszła tak dobrze.

Allan myślał o tym, rozmawiając z generałem Franco. Z jednej strony nie należy przecież kłamać. Z drugiej nie wyszłoby mu na dobre, gdyby zdradził, że to on podłożył ładunek wybuchowy pod mostem i że przez trzy lata był zatrudniony jako cywil w armii republikańskiej. Nie to, żeby Allan tak znowu się bał, ale akurat w tym wypadku w grę wchodziła kolacja z winem. Gdy nadchodzi

pora na jedzenie i alkohol, prawdę można odłożyć na bok, zdecydował i kłamał generałowi w żywe oczy.

Tak więc Allan znalazł się w krzakach, uciekając przed republikanami, widział, jak podkładano ładunek, i całe szczęście, bo inaczej nie mógłby przecież ostrzec generała.

Powodem, dla którego Allan w ogóle znalazł się w Hiszpanii w czasie wojny, był przyjaciel, który miał bliskie relacje ze zmarłym Primo di Riverą. Ale odkąd przyjaciel zginął od granatu wroga, Allan musiał sam walczyć o przetrwanie. Wpadł w szpony republikanów, lecz udało mu się w końcu z nich wyśliznąć.

Allan szybko zmienił temat i opowiedział, że jego ojciec był jednym z najbliższych ludzi rosyjskiego cara Mikołaja i że zginął śmiercią męczeńską w beznadziejnej walce przeciw bolszewickiemu przywódcy Leninowi.

Kolację podano w namiocie sztabu generalnego. Im więcej czerwonego wina Allan w siebie wlewał, tym bardziej malownicze stawały się obrazy bohaterstwa ojca. Generał Franco był bardzo przejęty. Najpierw uratowano mu życie, a teraz okazuje się, że ojciec jego wybawiciela był człowiekiem cara Mikołaja II.

Jedzenie było wyszukane, andaluzyjski kucharz nie ważył się przecież zawieść generała. Wino lało się strumieniami w niekończących się toastach za Allana, za ojca Allana, za cara Mikołaja i jego rodzinę. W końcu generał zasnął akurat wtedy, gdy trzymał Allana w uścisku, aby przypieczętować fakt, że będą sobie mówić po imieniu.

Gdy panowie się obudzili, wojna się skończyła. Generał Franco przejął dowodzenie w nowej Hiszpanii i zaproponował Allanowi posadę strażnika przybocznego. Allan podziękował za propozycję,

ale odparł, że najlepiej będzie, jeśli wróci do domu, o ile Francisco pozwoli. Francisco nie miał nic przeciwko, a nawet napisał list, w którym zapewniał o bezwzględnej ochronie ze strony *generalísimo* („Pokaż go, jak tylko będziesz potrzebował pomocy"), i zapewnił Allanowi królewską eskortę aż do Lizbony, skąd, jak sądził generał, odpływały statki na północ.

Z Lizbony odpływały statki we wszelkie możliwe strony, jak się okazało. Allan stał na nabrzeżu i zastanawiał się przez moment. Potem pomachał listem od generała przed oczami kapitana jakiegoś statku pod hiszpańską banderą i po chwili mógł za darmo być jego pasażerem. Nie było mowy o tym, by Allan pracował na swoje utrzymanie podczas podróży.

Statek nie płynął do Szwecji, i dobrze, bo Allan – jeszcze stojąc na nabrzeżu – zadał sobie pytanie, co by miał tam robić, i nie mógł znaleźć żadnej sensownej odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 8

Wtorek, 3 maja – środa, 4 maja 2005

Po popołudniowej konferencji prasowej Hultaj usiadł przy piwie, żeby pomyśleć. Ale jakkolwiek dużo by myślał, nie pojmował. Czyżby Bolec zaczął uprowadzać stulatków? A może jedno z drugim nie miało nic wspólnego? Od myślenia rozbolała go głowa, więc przestał myśleć i zadzwonił do Szefa, żeby zameldować, że nie ma nic do zameldowania. Dostał rozkaz, aby pozostać w Malmköping i czekać na kolejny rozkaz.

Rozmowa dobiegła końca i Hultaj znów był sam na sam ze swoim pilznerem. Sytuacja robiła się zbyt uciążliwa, nie lubił nie rozumieć, znów rozbolała go głowa. Uciekł więc myślami w przeszłość; wspominał lata młodości na swoim podwórku.

Hultaj zaczął karierę przestępczą w Braås, zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od miejsca, w którym właśnie znajdował się Allan i jego nowi przyjaciele. Tam zgadał się z kilkoma koleżkami i założył klub motocyklowy The Violence. Hultaj był szefem; to on decydował, do którego kiosku mają się włamać i ukraść papierosy. On także wymyślił nazwę The Violence – przemoc. I to on na nieszczęście zlecił swojej dziewczynie wyszycie nazwy klubu na świeżo skradzionych skórzanych kurtkach. Dziewczyna miała na imię Isabella i nigdy nie nauczyła się

w szkole dobrze pisać, ani po szwedzku, ani tym bardziej po angielsku.

Skończyło się na tym, że Isabella wyszyła na kurtkach The Violins. Ponieważ pozostali członkowie klubu odnosili w szkole podobne sukcesy jak ona, a żaden autorytet z zewnątrz nie bardzo się tym przejmował, tak więc nikt w grupie nie zauważył gafy.

Dlatego wszyscy byli mocno zaskoczeni, gdy pewnego dnia przyszedł do The Violins z Braås list od organizatorów imprez z sali koncertowej w Växjö. W liście pytano, czy grupa gra muzykę klasyczną i czy ma ochotę wystąpić na koncercie z udziałem dumy miasta, orkiestry kameralnej Musica Vitae.

Hultaj poczuł się sprowokowany, myślał, że ktoś drwi sobie z niego, i zamiast napaść w nocy na kiosk, pojechał do Växjö i wrzucił kawał płyty chodnikowej przez drzwi wejściowe sali koncertowej. A to z zamiarem nauczenia organizatorów porządku.

Wszystko poszło zgodnie z planem, poza tym, że jego skórzana rękawica poleciała razem z płytą chodnikową i wylądowała na środku holu sali koncertowej. Ponieważ od razu włączył się alarm, nie było czasu, aby ją odzyskać.

Strata rękawicy to nic dobrego. Podróż odbywała się przecież motocyklem i Hultajowi marzła dłoń, gdy jechał do domu tej nocy. Większym problemem był jednak fakt, że jego dziewczyna niefortunnie napisała na rękawicy jego imię, nazwisko i adres, na wypadek gdyby ją zgubił. Dlatego już następnego przedpołudnia policja zabrała Hultaja na przesłuchanie.

Podczas przesłuchania Hultaj tłumaczył się, że organizatorzy koncertu sprowokowali go. Tym sposobem historia The Violence

zamienionych w The Violins trafiła do gazety „Smålandsposten”, a z Hultaja śmiało się całe Braås. Wściekły postanowił kolejny kiosk podpalić, zamiast zadowolić się wyważeniem drzwi. Incydent skończył się tym, że turecko-bułgarski właściciel kiosku, który nocował w środku dla ochrony przed złodziejami, ledwo uszedł z życiem. Hultaj na miejscu zdarzenia zgubił drugą rękawicę (równie starannie podpisaną) i wkrótce po raz pierwszy wylądował w zakładzie karnym. To tam poznał Szefa, a gdy odsiedzieli wyroki, Hultaj zdecydował się na zawsze opuścić i Braås, i swoją dziewczynę, ponieważ zarówno jedno, jak i drugie przynosiło tylko nieszczęście.

Ale The Violence istniało nadal i zachowano nawet kurtki z błędnym napisem. Klub zmienił jednak zakres działania. Teraz zajmował się kradzieżą samochodów i cofaniem liczników. Zwłaszcza to ostatnie przynosiło spore dochody. Jak to mawiał nowy przywódca grupy, młodszy brat Hultaja, „nic tak nie upiększa samochodu jak połowa przejechanych kilometrów na liczniku”.

Hultaj utrzymywał sporadyczny kontakt z bratem i dawnym życiem, ale nie tęsknił za nim.

– E, do kurwy nędzy – streścił jednym zdaniem wspomnienia swojej młodości.

Ciężko było myśleć o bieżących problemach, ciężko wspominać stare. Lepiej więc wypić trzecie piwo, a potem, zgodnie z rozkazem Szefa, zameldować się w hotelu.

* * *

Było niemal zupełnie ciemno, gdy komisarz Aronsson wraz z psem policyjnym Kicki i jego opiekunem dotarli do Åkers Styckebruk po długiej przechadzce wzdłuż torów, aż od Vidkärr.

Pies na nic nie zareagował na całym odcinku. Aronsson zastanawiał się, czy Kicki zrozumiała, że pracuje, a nie jest na jakimś wieczornym spacerze. Ale kiedy już byli na miejscu, przy opuszczonej drezynie, pies stanął na baczność, czy jak to się u psów nazywa. Podniósł jedną łapę i zaczął szczekać. W Aronssonie zapaliła się iskierka nadziei.

– Czy to coś znaczy? – zapytał.

– O tak, spokojnie można tak powiedzieć – odrzekł psi opiekun.

Wyjaśnił, że Kicki ma różne sposoby zachowania, w zależności od tego, co chce przekazać.

– Mów więc pan, co ten pies pokazuje! – powiedział coraz bardziej zniecierpliwiony komisarz Aronsson i wskazał na Kicki, która wciąż stała na trzech łapach i szczekała.

– To – odparł opiekun – oznacza, że na drezynie znajdowało się martwe ciało.

– Martwe ciało? Zwłoki?

– Zwłoki.

Komisarz Aronsson przez chwilę widział oczami wyobraźni, jak członek Never Again zabija biednego stulatka Allana Karlssona. Ale po sekundzie nowa informacja stopiła się z tym, co już wiedział.

– Przecież musiało być dokładnie odwrotnie – wymamrotał i dziwnie mu ulżyło.

* * *

Ślicznotka podała kotlety mielone z ziemniakami i żurawiną, do tego piwo i nalewkę Gammel Dansk. Goście byli głodni, ale najpierw chcieli wiedzieć, co to za zwierzę słychać było z obory.

– To Sonja – powiedziała Ślicznotka. – Mój słoń.

– Słoń? – zdziwił się Allan.

– Słoń? – zdziwił się Julius.

– Tak mi się właśnie wydawało – powiedział Benny.

Były właściciel małej gastronomii zakochał się od pierwszego wejrzenia. A teraz, od drugiego wejrzenia, nic się nie zmieniło. Ta ciągle przeklinająca, rudowłosa kobieta o obfitym biuście była jakby wyjęta z powieści Paasilinna! Fin nie napisał wprawdzie nigdy o żadnych słoniach, ale Benny uważał, że to tylko kwestia czasu.

Słoń pewnego wczesnego sierpniowego poranka przed rokiem stanął w ogrodzie Ślicznotki i kradł jabłka. Może gdyby potrafił mówić, opowiedziałby, że poprzedniego wieczoru uciekł z cyrku w Växjö, aby poszukać czegoś do picia, bo jego opiekun właśnie to robił – pił na mieście, zaniedbując swoje obowiązki.

O zmroku słoń dotarł do jeziora Helgasjön i zdecydował się na nieco więcej niż tylko ugaszenie pragnienia. Kąpiel dla ochłody dobrze mi zrobi, pomyślał pewnie słoń, i brodził w płytkiej wodzie.

Jednak nagle nie było już tak płytko i słoń musiał użyć swoich wrodzonych umiejętności pływackich. Słonie nie myślą raczej tak logicznie jak ludzie i ów słoń był tego najlepszym dowodem, gdy wybrał przepłynięcie dwóch i pół kilometra na drugi brzeg, aby wyjść na suchy ląd, zamiast zawrócić i przepłynąć cztery metry.

Ta słoniowa logika miała dwa następstwa. Jednym było to, że policja i personel cyrku uznali słonia za martwego, gdy podążyli

jego śladami, aż do jeziora Helgasjön i zatoki głębokiej na piętnaście metrów. Drugim następstwem był fakt, że jak najbardziej żywy słoń, pod osłoną nocy, zabłądził do ogrodu Ślicznotki, a żaden człowiek nie zwrócił na to uwagi.

O powyższych wydarzeniach Ślicznotka oczywiście nie wiedziała, ale większości mogła się domyślić, czytając później w lokalnej gazecie o zaginionym słoniu, który prawdopodobnie utonął. Pomyślała, że raczej nie było więcej słoni bawiących w okolicy w tym czasie, więc ten martwy słoń i ten zupełnie żywy pod jej opieką to prawdopodobnie ten sam.

Ślicznotka zaczęła od wymyślenia słoniowi imienia. Nazwała go Sonja, na cześć idolki Sonii Hedenbratt. Następnie Sonja i owczarek Buster oswajali się ze sobą kilka dni, zanim mogli się nawzajem znieść.

Potem przyszła zima, wypełniona ciągłym szukaniem jedzenia dla biednej Sonii, która jadła jak słoń. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności był fakt, że stary ojciec Ślicznotki właśnie kopnął w kalendarz i zostawił w spadku jedynej córce milion koron (dwadzieścia lat wcześniej, odchodząc na emeryturę, sprzedał swój świetnie prosperujący zakład szewski i dobrze zainwestował pieniądze). Dlatego Ślicznotka rzuciła posadę recepcjonistki w przychodni w Rottne i stała się pełnoetatową mamą dla psa i słonia.

Nadeszła wiosna, Sonja mogła znów żywić się trawą i liśćmi, i wtedy na podwórko wjechał mercedes. Były to pierwsze odwiedziny, odkąd przed dwoma laty po raz ostatni zajrzał do niej świętej pamięci ojciec. Ślicznotka przyznała, że nigdy nie lubiła

zadzierać z losem, więc nawet nie przyszło jej do głowy, by próbować ukryć Sonję przed przybyszami.

Allan i Julius siedzieli przez chwilę w milczeniu, przetrawiając opowieść, a Benny zapytał:

– Ale dlaczego Sonja tak ryczy? Myślę, że na pewno coś ją boli.

Ślicznotka wytrzeszczyła ze zdziwienia oczy.

– Jak, do diabła, na to wpadłeś?

Benny nie odpowiedział od razu. Najpierw wziął do ust pierwszy kęs jedzenia, żeby dać sobie czas na zastanowienie. Potem powiedział:

– Jestem „prawie" weterynarzem. Chcecie usłyszeć krótką czy długą wersję?

Wszyscy byli zgodni, że woleliby usłyszeć długą wersję, ale Ślicznotka naciskała, aby przede wszystkim Benny udał się z nią do obory i jako „prawie" weterynarz rzucił okiem na chorą lewą przednią nogę Sonii.

Przy stole pozostali Allan i Julius i zastanawiali się, jak to się stało, że weterynarz z kitką bez większego powodzenia prowadził budkę z jedzeniem w sörmlandzkiej wiosce. A w ogóle, weterynarz z kitką, co to za porządki? Czasy się naprawdę zmieniły na gorsze. Inaczej było za Gunnara Sträng, wtedy z daleka widać było, kto jaki ma zawód.

– Minister finansów z kitką – zaśmiał się Julius – to by było coś...

Benny zbadał biedną Sonję pewną ręką, już wcześniej to robił, będąc na praktyce w ogrodzie zoologicznym Kolmården. Odłamek gałęzi utknął pod paznokciem i spowodował stan zapalny w części stopy. Ślicznotka próbowała wyciągnąć drzazgę, ale nie miała dość

siły. Benny'emu nie zajęło to więcej niż kilka minut z użyciem szczypców i jednoczesnym uspokajaniem Sonii łagodnym głosem. Jednak stopa była zainfekowana.

– Potrzeba antybiotyków – powiedział Benny. – Jakiś kilogram.

– Jeśli wiesz, czego dokładnie potrzeba, to ja wiem, jak to zdobyć – odpowiedziała Ślicznotka.

Załatwienie lekarstwa wymagało nocnej wyprawy do Rottne, więc w oczekiwaniu na właściwą porę Ślicznotka i Benny dołączyli do towarzystwa przy stole.

Wszyscy jedli z apetytem, popijając piwem i Gammel Dansk, poza Bennym, który pił sok. Po kolacji przenieśli się do salonu, na fotele przy kominku, gdzie Benny opowiedział, jak to się stało, że jest „prawie" weterynarzem.

Zaczęło się od tego, że Benny i jego o rok starszy brat Bosse, obaj dorastający w domu w Enskede na południe od Sztokholmu, spędzili kilka wakacji u wujka Franka z Dalarny. Wujek, którego od zawsze nazywano Frasse, odnosił sukcesy jako przedsiębiorca, był właścicielem i szefem kilku lokalnych firm. Handlował wszystkim, od przyczep kempingowych po żwir. Poza spaniem i jedzeniem, Frasse zajmował się wyłącznie pracą. Miał za sobą kilka nieudanych związków, kobiety z czasem nudziły się nim, bo przecież tylko pracował, jadł i spał (i brał prysznic w niedziele).

W każdym razie przez kilka wakacji w latach sześćdziesiątych Benny i Bosse byli do niego wysyłani przez ojca, starszego brata wujka Frassego, aby pooddychali świeżym powietrzem. Z tym świeżym powietrzem to bywało różnie, bo Benny i Bosse natychmiast zostali przyuczeni do obsługi dużej kruszarki do kamieni w żwirowni wujka. Chłopcy dobrze się tam czuli, mimo

że praca była ciężka i przez dwa miesiące raczej wdychali kurz niż świeże powietrze. Wieczorami, podczas kolacji, wujek lubił dawać dobre rady, jego ulubiona brzmiała:

– Pamiętajcie chłopcy, żeby zdobyć dobre wykształcenie. W przeciwnym razie skończycie jak ja.

Benny i Bosse nie uważali, żeby było w tym coś złego, w każdym razie dopóki się nie zabił w tej swojej kruszarce do kamieni, ale wujka cały czas męczył brak wykształcenia. Ledwie potrafił pisać po szwedzku, był kiepski w liczeniu, nie znał słowa po angielsku i z trudem odpowiedziałby na pytanie, jakie miasto jest stolicą Norwegii. Jedyne, na czym wujek Frasse się znał, to interesy. Na nich wzbogacił się jak Krezus.

Jak zamożny był wujek w chwili śmierci, trudno było powiedzieć. Zmarł, gdy Bosse miał dziewiętnaście lat, a Benny wkrótce miał skończyć osiemnaście. Któregoś dnia skontaktował się z nimi pewien adwokat i poinformował, że obaj są wymienieni w testamencie wujka Frassego, ale że sprawa jest skomplikowana i wymaga spotkania.

Tak więc Bosse i Benny spotkali się z adwokatem w jego kancelarii i tam dowiedzieli się, że nieznana im, ale znaczna suma pieniędzy czeka na nich w dniu, w którym obaj zdobędą wyższe wykształcenie.

To jeszcze nie wszystko, bracia mieli dostawać porządną miesięczną pensję podczas studiów, które nie mogły zostać przerwane. W przeciwnym razie miesięczna wypłata zostałaby wstrzymana, podobnie jak wtedy, gdy któryś z braci zdobędzie tytuł i zacznie na siebie zarabiać. Cóż, w testamencie było napisane dużo więcej, kilka mniej lub bardziej zawiłych

szczegółów, ale w gruncie rzeczy chodziło o to, że bracia będą bogaci, gdy ukończą studia.

Bosse i Benny od razu zgłosili się na siedmiotygodniowy kurs spawania i otrzymali odpowiedź adwokata, że taki kurs może ewentualnie dawać podstawy do wypłaty pieniędzy, choć podejrzewa, że „wuj Frank miał na myśli coś bardziej zaawansowanego".

W połowie kursu zdarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze, Benny miał dość bycia popychadłem starszego brata. Tak było przez wszystkie lata, ale teraz nadeszła pora oznajmić mu, że są prawie dorośli i musi sobie poszukać kogoś innego do rozstawiania po kątach.

Po drugie, Benny zrozumiał, że wcale nie chce być spawaczem i nie zamierza ukończyć kursu.

Bracia kłócili się ze sobą przez jakiś czas, a potem Benny poszedł na studia botaniczne na Uniwersytecie Sztokholmskim. Według adwokata testament należało rozumieć tak, że zmiana kierunku studiów jest jak najbardziej w porządku, dopóki się ich nie przerwie.

Tak więc Bosse wkrótce ukończył kurs spawania, ale nie dostał ani grosza ze spadku wujka Frassego, ponieważ jego brat Benny ciągle jeszcze studiował. Poza tym adwokat wstrzymał jego miesięczną wypłatę, zgodnie z testamentem.

Bosse i Benny na dobre stali się wrogami. Cała braterska miłość i wszelkie względy zniknęły, gdy pewnej nocy Bosse po pijanemu skopał motocykl Benny'ego (zakupiony za pieniądze z hojnego zasiłku studenckiego).

Bosse zaczął robić interesy w stylu wujka Frassego, ale bez jego talentu. Po pewnym czasie przeprowadził się do Västergötlandii, po części, by dać interesom szansę na nowy start, ale także by uniknąć przypadkowych spotkań z cholernym bratem. W tym czasie Benny pozostał w świecie uniwersyteckiej braci. Miesięczna wypłata była przecież porządna, a przerywając studia tuż przed egzaminami końcowymi i zmieniając kierunek studiów, Benny mógł żyć jak pączek w maśle, podczas gdy jego brat, despota i łobuz, nadal musiał czekać na swoje pieniądze.

I tak Benny studiował przez trzydzieści lat, aż pewnego dnia sędziwy adwokat oznajmił, że pieniądze się skończyły, więc nie będzie już miesięcznych wypłat ani też żadnych innych. Bracia mogą więc zapomnieć o spadku, krótko poinformował adwokat, który miał już dziewięćdziesiąt lat i być może spadek był jedynym, co trzymało go przy życiu, bo kilka tygodni później zmarł w fotelu przed telewizorem.

Zdarzyło się to zaledwie kilka miesięcy temu, Benny musiał nagle znaleźć sobie pracę. Ale spotkało go rozczarowanie, bo na rynku pracy nie szukano rekordzistów w dziedzinie liczby przestudiowanych lat, tylko dyplomowanych fachowców. I chociaż Benny miał dziesięć „prawie” tytułów magistra, i tak musiał w końcu zainwestować w małą gastronomię, żeby móc się utrzymać. Benny i Bosse byli w kontakcie w związku z wiadomością od adwokata, jednak sygnały ze strony Bossego były takie, że Benny nie miał wątpliwości, że nie powinien go odwiedzać.

W tym momencie opowiadania Julius zaczął się obawiać pytań ze strony Ślicznotki, na przykład o to, w jaki sposób Benny poznał

jego i Allana. Ale Ślicznotka za sprawą piwa i Gammel Dansk nie dbała zbytnio o szczegóły. Była natomiast bliska zakochania się na stare lata, jak zauważyła.

– To jakie tytuły zdążyłeś „prawie" uzyskać, poza lekarzem weterynarii? – dopytywała z błyskiem w oku.

Benny, podobnie jak Julius, zauważył, że jeśli chodzi o rozwój wydarzeń ostatniego dnia, lepiej nie wchodzić w szczegóły, więc był wdzięczny, że Ślicznotka pokierowała rozmowę na inne tory. Nie pamiętał wszystkich tytułów, ale w każdym razie wiedział, że jest „prawie" weterynarzem, „prawie" lekarzem medycyny, „prawie" architektem, „prawie" inżynierem, „prawie" botanikiem, „prawie" nauczycielem języków, „prawie" wuefistą, „prawie" historykiem i jeszcze kilkoma „prawie". A to wszystko doprawione pewną liczbą „prawie" ukończonych kursów, o różnej jakości i znaczeniu. Mógł być nazwany „prawie" kujonem, bo zdarzało się, że ciągnął dwa kierunki studiów jednocześnie.

Benny przypomniał sobie o jeszcze jednej rzeczy, o której „prawie" zapomniał. Wstał i zadeklamował Ślicznotce:

Z mego ubóstwa i ciemności,
z samotnych, długich, zimnych nocy
wznoszę o tobie pieśń, ma piękności,
mój skarbie najprzedniej lśniący.

Zapadła cisza, tylko Ślicznotka wymamrotała pod nosem jakieś przekleństwo i oblała się rumieńcem.

– Erik Axel Karlfeldt – uściślił Benny. – Jego słowami chciałem podziękować za jedzenie i ciepło. Chyba nie powiedziałem, że jestem „prawie" literaturoznawcą.

Następnie Benny posunął się być może o krok za daleko, bo poprosił Ślicznotkę do tańca, ale ona stanowczo odmówiła, mówiąc, że musi być jakaś cholerna miara tych głupot. Jednak Julius zauważył, że Ślicznotka poczuła, że Benny jej schlebia. Zasunęła zamek bluzy od dresu i przygładziła materiał, żeby zaprezentować mu swoje wdzięki.

Potem Allan podziękował towarzystwu, a pozostałej dwójce Ślicznotka zaproponowała kawę, z koniakiem, jeśli ktoś sobie życzy. Julius z radością przyjął cały pakiet, a Benny zadowolił się tylko kawą.

Julius zasypywał Ślicznotkę pytaniami o nią i jej dom. Po części był ciekawy, ale głównie chciał uniknąć rozmowy na ich temat. Udało mu się to, bo Ślicznotka się rozkręciła i zaczęła opowiadać o swoim dorastaniu, o mężczyźnie, za którego wyszła za mąż w wieku osiemnastu lat i którego wyrzuciła dziesięć lat później (ta część opowiadania zawierała jeszcze więcej przekleństw niż zwykle), o tym, że nigdy nie mieli dzieci, o Sjötorp, które było domem letniskowym rodziców, dopóki matka nie zmarła przed siedmioma laty, a ojciec pozwolił jej zamieszkać tu na stałe, o zdecydowanie nudnej pracy recepcjonistki w przychodni w Rottne, o pieniądzach ze spadku, które zaczynały się kończyć, i o tym, że pora wymyślić coś nowego.

– Mam już czterdzieści trzy lata. To przecież, cholera, w pół drogi do grobu.

– Nie bądź taka pewna... – odparł Julius.

* * *

Opiekun Kicki dał znak, by węszyła dalej od drezyny. Komisarz Aronsson miał nadzieję, że zaraz znajdą gdzieś zwłoki, ale już po trzydziestu metrach w kierunku terenów przemysłowych pies zaczął chodzić w kółko, zdawało się, że szuka czegoś na chybił trafił, a potem spojrzał błagalnym wzrokiem na swojego opiekuna.

– Kicki jest przykro, ale nie może powiedzieć, co się stało ze zwłokami – wyjaśnił opiekun.

Jeśli chodzi o tę informację, nie była ona tak dokładna, jak być powinna. Komisarz zrozumiał, że Kicki zgubiła trop jeszcze przy drezynie. Ale gdyby Kicki potrafiła mówić, na pewno powiedziałaby, że ciało przeciągnięto jeszcze kilka metrów przez teren fabryki, a potem ślad po nim zaginął. Wiedząc o tym, komisarz Aronsson prawdopodobnie zadałby pytanie, co wyjechało z fabryki w ciągu ostatnich godzin, i uzyskałby jedną jedyną odpowiedź: ciężarówka z naczepą jadącą do Göteborga, z ładunkiem do portu. Jeśli tak by się stało, wystarczyło zawiadomić policję patrolującą E20 i zatrzymać ciężarówkę gdzieś w okolicy Trollhättan. A tak zwłoki zniknęły z kraju.

Niecałe trzy tygodnie później młody egipski kontroler rozładunku przeżywał męki z powodu odoru wydobywającego się z ładowni statku, który właśnie przepłynął Kanał Sueski.

W końcu nie wytrzymał. Zwilżył kawałek szmaty i zawiązał ją wokół nosa i ust. W jednej z drewnianych skrzyń znalazł rozwiązanie zagadki. Leżały tam na wpół zgniłe zwłoki.

Egipski marynarz zastanawiał się przez chwilę. Zostawić zwłoki w skrzyni i zmarnować resztę podróży – nie brzmiało kusząco. Poza tym na pewno byłby zmuszony zeznawać godzinami przed

policją w Dżibuti, a każdy wie, jak się zachowuje policja w Dżibuti.

Ruszanie zwłok też nie było zachęcające, ale w końcu się zdecydował. Najpierw opróżnił kieszenie delikwenta ze wszystkiego, co miało jakąś wartość, coś mu się przecież należało za fatygę, a potem wyrzucił ciało za burtę.

Tak więc to, co kiedyś było wysokim, szczupłym młodzieńcem z długimi, tłustymi blond włosami, sterczącą bródką i jeansową kurtką z napisem Never Again na plecach, z pluskiem zamieniło się w pokarm dla ryb w Morzu Czerwonym.

* * *

Towarzystwo w Sjötorp rozeszło się tuż przed północą. Julius poszedł na piętro, by się położyć, a Benny i Ślicznotka wsiedli do mercedesa, żeby pojechać do zamkniętej przychodni w Rottne. W połowie drogi odkryli, że Allan leży pod kocem na tylnym siedzeniu. Obudził się i powiedział, że po kolacji wyszedł, żeby się przewietrzyć, i wtedy stwierdził, że samochód to świetne miejsce do spania, bo schody na piętro wydawały się nie do pokonania dla schorowanych kolan, dzień był przecież taki długi.

– Nie ma się już przecież dziewięćdziesięciu lat – stwierdził.

Tak więc przestępstwa mieli dokonać we trójkę, ale to nie szkodziło. Ślicznotka szczegółowo przedstawiła swój plan. Mieli się dostać do przychodni za pomocą klucza, który zapomniała oddać, gdy odchodziła z pracy. Na miejscu musieli zalogować się na komputerze doktora Erlandssona i w jego imieniu wypisać receptę na antybiotyki, na nazwisko Ślicznotki. Aby to zrobić, potrzebne były login i hasło doktora Erlandssona, ale to żaden

problem, jak poinformowała, bo doktor był nie tylko nadętym bufonem, ale także cholernym idiotą. Gdy zainstalowano nowy system komputerowy, to Ślicznotka musiała go nauczyć, jak wypisywać recepty elektroniczne, i to ona wybrała login i hasło.

Mercedes podjechał pod planowane miejsce przestępstwa. Benny, Allan i Ślicznotka wysiedli i obserwowali okolicę przed przystąpieniem do działania. Jak zwykle musiało się wydarzyć coś nieprzewidzianego: jakiś samochód powoli przejechał obok placu, gdzie się zatrzymali, kierowca popatrzył na trio ze zdumieniem równie dużym jak to, z jakim trio popatrzyło na niego. Już jedna żywa dusza w Rottne po północy to sensacja. A teraz były cztery.

Ale samochód odjechał i znów zapadła cisza i ciemność. Ślicznotka poprowadziła Benny'ego i Allana wejściem dla personelu, z tyłu przychodni, a potem do pokoju doktora Erlandssona. Tam włączyła jego komputer i zalogowała się.

Wszystko szło zgodnie z planem i Ślicznotka chichotała z zadowoleniem, aż nagle chichot przeszedł w dłuższą wiązankę przekleństw. Właśnie wpadła na to, że nie da się przecież wypisać recepty na „kilo antybiotyków".

– Napisz erytromycyna, rifamycyna, gentamycyna i rifampicyna, po dwieście pięćdziesiąt gramów każdego – powiedział Benny. – Zaatakujemy zapalenie z dwóch stron.

Ślicznotka z podziwem spojrzała na Benny'ego. Potem poprosiła, żeby sam usiadł i napisał to, co właśnie powiedział. Benny zrobił, o co go proszono, dopisał jeszcze kilka leków, na wszelki wypadek, gdyby w przyszłości nie wszystko szło po ich myśli.

Wydostanie się z przychodni było równie proste jak włamanie się. Jazda do domu przebiegła bez żadnych incydentów. Benny i Ślicznotka pomogli Allanowi wejść na piętro i gdy zbliżało się wpół do drugiej w nocy, zgasło ostatnie światło w Sjötorp.

O tej porze niewiele osób nie spało. Ale w Braås, kilkadziesiąt kilometrów od Sjötorp, młody mężczyzna leżał i przewracał się z boku na bok, chciało mu się palić. To młodszy brat Hultaja, nowy przywódca The Violence. Trzy godziny wcześniej wypalił ostatniego papierosa i po chwili oczywiście miał ochotę na kolejnego. Przeklinał sam siebie, że zapomniał kupić papierosy, zanim wszystko w wiosce zostało zamknięte.

Najpierw miał zamiar wytrzymać do rana, ale koło północy już wiedział, że nie wytrzyma. Wtedy w jego głowie narodził się pomysł wskrzeszenia dawnych zwyczajów i po prostu włamania się do jakiegoś kiosku. Ale nie w Braås, tutaj musiał myśleć o swojej reputacji.

Oczywiście najlepiej byłoby poszukać kiosku z dala od Braås, ale głód nikotyny był zbyt silny. Kompromisem stało się Rottne, położone piętnaście minut drogi stąd. Motocykl i kurtkę zostawił w domu. Ubrany jak zwyczajny obywatel powoli wyjechał na ulice wioski swoim starym volvem 240, tuż po północy. Ku swemu zdziwieniu przed przychodnią zauważył troje ludzi. Po prostu tam stali: rudowłosa kobieta, mężczyzna z kitką, a tuż za nimi bardzo stary dziadek.

Młodszy brat Hultaja nie roztrząsał wydarzenia zbyt długo (rzadko kiedy w ogóle coś roztrząsał). Pojechał jeszcze kilometr tą samą drogą i zatrzymał się pod drzewem w pobliżu kiosku. Niestety nie udało mu się do niego włamać, bo właściciel

zabezpieczył drzwi, i wrócił do domu. Palić chciało mu się równie mocno jak wcześniej.

* * *

Gdy Allan obudził się tuż przed jedenastą, poczuł się silny. Wyjrzał przez okno, przed nim rozpościerał się widok na smålandzki las iglasty, okalający równie smålandzkie jezioro. Allan uważał, że krajobraz przypomina Sörmlandię. Dzień zapowiadał się pięknie.

Włożył jedyne ubranie, jakie miał, i pomyślał, że może mógłby sobie pozwolić na odświeżenie garderoby. Ani on, ani Julius, ani Benny nie mieli ze sobą nawet szczoteczki do zębów.

Kiedy Allan wszedł do salonu, Julius i Benny siedzieli i jedli śniadanie. Julius zdążył już pójść na poranny spacer, Benny natomiast spał długo i głęboko. Ślicznotka wyjęła talerze i szklanki i zostawiła instrukcję obsługi w kuchni. Sama pojechała do Rottne. Liścik zakończony był prośbą, aby panowie zostawili na talerzu resztki śniadania, którymi zajmie się Buster.

Allan powiedział „dzień dobry” i usłyszał to samo w odpowiedzi. Julius dodał, że pomyślał, iż mogliby spędzić w Sjötorp jeszcze jedną noc, skoro okoliczności są tak sprzyjające. Allan dopytywał się, czy to może prywatny szofer naciskał w tej kwestii podczas śniadania, mając na uwadze wczorajsze zadurzenie, którego – jak mu się zdawało – był świadkiem. Julius odpowiedział, że z rana został nakarmiony nie tylko grzanką i jajkami, ale także szeregiem argumentów ze strony Benny’ego, dlaczego najlepiej byłoby zostać w Sjötorp wręcz do końca lata, ale wyciągnięte wnioski były Juliusa własne. Dokąd zresztą mieliby się udać,

gdyby się gdzieś udawali? Czy nie powinni mieć jeszcze jednego dnia na zastanowienie? Jedyne, czego potrzebowali, żeby zostać, to wymyślenia wiarygodnej historii o tym, kim są i dokąd zmierzają. No i pozwolenia Ślicznotki, ma się rozumieć.

Benny z zainteresowaniem śledził rozmowę Juliusa i Allana i miał nadzieję, że skończy się na spędzeniu jeszcze jednej nocy w tym samym miejscu. Uczucia, które żywił do Ślicznotki, nie zmalały od wczoraj, wręcz przeciwnie – był zawiedziony, że nie mógł jej zobaczyć, gdy zszedł na śniadanie. W każdym razie w liściku napisała: „Dzięki za wczoraj". Czy miała na myśli wiersz, który Benny deklamował? Niech już wraca jak najszybciej.

Ale minęła jeszcze prawie godzina, zanim Ślicznotka zajechała na podwórko. Kiedy wysiadła z samochodu, Benny zauważył, że jest jeszcze piękniejsza, niż gdy się ostatnio widzieli. Zamieniła czerwony dres na sukienkę i Benny zastanawiał się, czy przypadkiem nie była u fryzjera. Podszedł kilka kroków w jej stronę i wykrzyknął:

– Moja Ślicznotko! Witaj w domu!

Zaraz za nim stali Allan i Julius i mieli uciechę z tych objawów miłości. Uśmiech zniknął z ich twarzy, gdy tylko Ślicznotka otworzyła usta. Najpierw minęła Benny'ego, potem przemaszerowała obok Allana i Juliusa, aż w końcu stanęła na schodach domu w Sjötorp, odwróciła się i krzyknęła:

– Cholery jedne! Wiem o wszystkim! A teraz chcę to usłyszeć od was. Zbiórka w salonie, ale JUŻ!

I zniknęła wewnątrz domu.

– Skoro wie o wszystkim, to co jeszcze chce wiedzieć? – zapytał Benny.

– Cicho, Benny – powiedział Julius.

– Jak rozkazano – powiedział Allan.

I poszli stawić czoło losowi.

* * *

Ślicznotka zaczęła dzień od nakarmienia Sonii świeżo skoszoną trawą i ubrania się. Wbrew samej sobie musiała przyznać, że chciała się przypodobać temu całemu Benny'emu. Dlatego zmieniła czerwony dres na jasnożółtą sukienkę, a kędzierzawe włosy ujarzmiła w dwa warkocze. Poza tym podmalowała się trochę i doprawiła całość kroplą pachnidła, a potem wsiadła do swojego volkswagena passata i pojechała do Rottne zrobić zakupy.

Buster jak zwykle siedział na swoim miejscu na siedzeniu pasażera i zaczął ujadać, gdy podjechali pod supermarket Ica w Rottne. Później Ślicznotka zastanawiała się, czy ujadanie miało coś wspólnego z tym, że pies zobaczył pierwszą stronę z sensacyjnymi nagłówkami „Expressen", wywieszoną w ramce przed sklepem. Na stronie znajdowały się dwa zdjęcia, to na dole przedstawiało staruszka Juliusa, to na górze – starego staruszka Allana. Tekst brzmiał:

Policja podejrzewa:
STULATEK
UPROWADZONY
przez
GRUPĘ PRZESTĘPCZĄ
Dziś polowanie
na znanego policji

ARCYZŁODZIEJA

Ślicznotka zrobiła się cała czerwona, w jej głowie kłębiły się myśli. Była wyjątkowo wściekła i od razu zrezygnowała z robienia zakupów, bo postanowiła, że jeszcze przed obiadem tych trzech cwaniaków ma się wynieść z jej domu! Poszła tylko do apteki i wykupiła leki, które Benny przepisał Sonii poprzedniej nocy, potem nabyła jeszcze egzemplarz „Expressen", żeby dowiedzieć się szczegółów sprawy.

Im dłużej czytała, tym bardziej była zła. Czy to Benny był z Never Again? Czy to Julius był tym arcyzłodziejem? I kto kogo uprowadził? Przecież zdawało się, że tak się dobrze dogadują!

W końcu złość zwyciężyła nad ciekawością. Jakkolwiek by było, oszukali ją. A Gunilli Björklund nie oszukuje się bezkarnie. „Ślicznotka"! Phi!

Usiadła za kierownicą i przeczytała raz jeszcze: „W dniu swoich setnych urodzin w miniony poniedziałek Allan Karlsson zniknął z Domu Spokojnej Starości w Malmköping. Policja podejrzewa, że został uprowadzony przez grupę przestępczą – klub motocyklowy Never Again. Ze źródeł, do których dotarło «Expressen», wynika, że w sprawę zamieszany jest także znany policji arcyzłodziej, Julius Jonsson".

Potem następował nawał informacji i wypowiedzi świadków. Allana Karlssona widziano na dworcu autobusowym w Malmköping, potem wsiadł do autobusu do Strängnäs, a to wkurzyło jakiegoś członka Never Again. Ale zaraz, zaraz... blondyn koło trzydziestki... Nie był to chyba opis Benny'ego. Ślicznotka poczuła... ulgę?

Czytała dalej. Allana dzień wcześniej widziano na jakiejś drezynie w środku sörmlandzkich lasów wraz z arcyzłodziejem Jonssonem i tym tak wkurzonym członkiem Never Again. „Expressen” nie potrafiło bliżej wyjaśnić relacji między tą trójką, ale przypuszcza się, że Allan był pod presją dwóch pozostałych. Tak przynajmniej sądził rolnik Tengroth z Vidkärr, do którego dotarł reporter gazety.

Na koniec dziennik wyjawiał jeszcze jeden szczegół, mianowicie właściciel małej gastronomii Benny Ljungberg zaginął bez śladu poprzedniego dnia, dokładnie z Åkers Styckebruk, gdzie ostatnio widziano stulatka i arcyzłodzieja. Obsługa pobliskiej stacji benzynowej może to poświadczyć.

Ślicznotka złożyła gazetę i wsadziła Busterowi do pyska. Odjechała w stronę domu, w którym – jak się dowiedziała – miała stulatka, arcyzłodzieja i właściciela małej gastronomii za gości. Ten ostatni – przystojny i uroczy, o szczególnych umiejętnościach medycznych, ale teraz nie czas na romantyzm. Przez chwilę Ślicznotka była bardziej smutna niż zła, ale popracowała nad swoją złością w drodze powrotnej do domu.

* * *

Ślicznotka wydarła „Expressen” z pyska Bustera, rozłożyła na pierwszej stronie ze zdjęciami Allana i Juliusa, przeklinając i złoszcząc się przez chwilę, a następnie zaczęła czytać na głos. Potem zażądała wyjaśnień i powiedziała, że cała trójka za pięć minut ma zniknąć z jej domu, choćby nie wie co. Następnie złożyła gazetę, wsadziła ją z powrotem Busterowi do pyska, skrzyżowała ramiona i zakończyła lodowatym i zdecydowanym:

– Noo?

Benny spojrzał na Allana, który spojrzał na Juliusa, który, dość zadziwiająco, wybuchnął śmiechem.

– Arcyzłodziej! – powiedział. – Więc tak? Jestem arcyzłodziejem! No nieźle.

Ale Ślicznotce nie było do śmiechu. Była cała czerwona na twarzy i zrobiła się jeszcze bardziej czerwona, gdy oznajmiła Juliusowi, że zaraz będzie zbitym na kwaśne jabłko arcyzłodziejem, jeśli ona natychmiast nie dowie się, o co chodzi. I powtórzyła towarzystwu to, co już raz powiedziała do siebie, mianowicie że Gunilli Björklund ze Sjötorp nie oszukuje się bezkarnie. Na potwierdzenie swoich słów zdjęła ze ściany starą śrutówkę. Oczywiście nie da się z niej strzelać, przyznała, ale można nią rozbić głowy zarówno arcyzłodziei, właścicieli małej gastronomii, jak i starców, jeśli trzeba, a zdaje się, że trzeba.

Uśmiech na twarzy Juliusa Jonssona szybko zgasł. Benny stał wrośnięty w podłogę, z ramionami bezwładnie zwisającymi wzdłuż ciała. Nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że miłosne szczęście zaraz się skończy. Wtedy do akcji wkroczył Allan i poprosił Ślicznotkę o czas do namysłu. Jeśli pozwoli, chciałby najpierw na osobności porozmawiać z Juliusem, w pokoju obok. Ślicznotka niechętnie się zgodziła, ale ostrzegła Allana, żeby nie robił głupstw. Obiecał, że będzie się zachowywał, jak należy, wziął Juliusa pod rękę, zaciągnął go do kuchni i zamknął drzwi.

Allan zaczął naradę od zapytania Juliusa, czy ma jakiś pomysł, który – w przeciwieństwie do dotychczasowych jego pomysłów – nie doprowadzi Ślicznotki do szału. Julius odparł, że jedyne, co przychodzi mu do głowy, co mogłoby ich uratować, to zaoferowanie

jej pewnej kwoty z zawartości walizki. Allan zgodził się z nim, chociaż zauważył, że nie byłoby dobrze, gdyby opowiadali jednej osobie dziennie, jak to kradną ludziom walizki, zabijają ich, gdy ci chcą je odzyskać, a następnie elegancko pakują zwłoki i wysyłają transportem do Afryki.

Julius uważał, że Allan przesadza. Do tej pory tylko jeden człowiek musiał pożegnać się z życiem, zresztą na to zasługiwał. I jeśli będą się ukrywać do czasu, aż sprawa ucichnie, to wcale nie musi być więcej ofiar.

Na to Allan odparł, że naprędce coś wymyślił. Uważał, że mogliby podzielić zawartość walizki na cztery części: dla niego, Juliusa, Benny'ego i Ślicznotki. Wtedy nie byłoby ryzyka, że ci dwoje będą za dużo opowiadać innym. Na dodatek mogliby wszyscy zostać w Sjötorp na całe lato, a potem ten cały klub motocyklowy przestanie ich szukać, o ile w ogóle ich szuka, chociaż można było przypuszczać, że raczej tak.

– Dwanaście i pół miliona za przygarnięcie na kilka tygodni – wzdychał Julius, ale językiem ciała dał do zrozumienia, że tok rozumowania Allana jest słuszny.

Spotkanie w kuchni dobiegło końca. Julius i Allan wrócili do salonu. Allan poprosił Ślicznotkę i Benny'ego o jeszcze trzydzieści sekund cierpliwości, kiedy to Julius poszedł do pokoju i wrócił z walizką. Położył ją na ławie w salonie i otworzył.

– Allan i ja zdecydowaliśmy, że podzielimy się tym po równo.

– Kurwa mać! – powiedziała Ślicznotka.

– Po równo? – zapytał Benny.

– Tak, ale wtedy musisz oddać swoje sto tysięcy – rzekł Allan. – I resztę za benzynę.

– Kurwa jego mać! – powiedziała Ślicznotka.

– Usiądźcie, to wszystko opowiem – powiedział Julius.

Ślicznotka, podobnie jak Benny, nie bardzo mogła się pogodzić ze zwłokami, które wylądowały w drewnianej skrzyni, ale była pod wielkim wrażeniem, że Allan wyszedł przez okno i tak po prostu zniknął ze swojego dawnego życia.

– Powinnam była zrobić to samo po czternastu dniach z tym dupkiem, za którego wyszłam za mąż.

Spokój powrócił do Sjötorp. Ślicznotka z Busterem ponownie pojechała po zakupy. Kupiła jedzenie, picie, ubrania, artykuły higieniczne i masę innych rzeczy. Za wszystko zapłacono gotówką, pięćsetkami z pliku.

* * *

Komisarz Aronsson przesłuchał świadka ze stacji benzynowej w Mjölby, kierowniczkę sklepu koło pięćdziesiątki. Zarówno zawód, jak i sposób, w jaki opowiadała o swoich spostrzeżeniach, sprawiały, że była wiarygodna. Potrafiła także wskazać Allana na zdjęciach z obchodów osiemdziesiątych urodzin innego pensjonariusza domu opieki, które odbyły się jakiś tydzień temu. Zdjęcia te udostępniła życzliwie siostra Alice, zresztą nie tylko policji, ale także przedstawicielom mediów.

Komisarz Aronsson musiał przyznać przed samym sobą, że błędnie ocenił sytuację poprzedniego dnia. Ale nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Lepiej skoncentrować się na analizowaniu. Jeśli chodzi o ucieczkę, istniały dwie możliwości: albo staruszkowie i właściciel budki wiedzieli, dokąd zmierzają,

albo pojechali na południe w ciemno. Aronsson skłaniał się ku pierwszej opcji, bo łatwiej odnaleźć tego, kto wie, dokąd się wybiera, niż tego, kto błądzi. Ale nigdy nic nie wiadomo. Nie istniał żaden oczywisty związek między Allanem Karlssonem i Juliusem Jonssonem z jednej strony a Bennym Ljungbergiem z drugiej. Jonsson i Ljungberg mogli być znajomymi, mieszkali zaledwie dwadzieścia kilometrów od siebie. Możliwe też, że Ljungberga uprowadzono i zmuszono do prowadzenia samochodu. Także stulatek mógł zostać uprowadzony, nawet jeśli dwie rzeczy temu przeczyły: a) fakt, że Allan Karlsson wysiadł z autobusu akurat przy stacji Byringe i na pozór sam odszukał Juliusa Jonssona oraz b) zeznania świadków, jakoby Julius Jonsson i Allan Karlsson, najpierw jadąc na drezynie przez las, a potem spacerując przed fabryką, byli ze sobą na dobrej stopie.

Świadek zaznaczył w każdym razie, że srebrny mercedes zjechał z E4 na drogę krajową numer 32 w stronę Tranås. Nawet jeśli od tamtej pory minęła ponad doba, było to interesujące. Ten, kto zjeżdża z E4 na drogę krajową 32 w Mjölby, z miejsca ma ograniczone pole manewru, jeżeli chodzi o możliwy cel podróży. Okolice Västervik/Vimmerby/ Kalmar nie wchodziły w grę, bo wtedy samochód skręciłby już w Norrköping, ewentualnie Linköping, w zależności od tego, kiedy wjechali na E4 z północy.

Jönköping/Värnamo i dalej na południe można było również wykluczyć, bo wtedy nie byłoby w ogóle powodów, by zjeżdżać z Trasy Europejskiej. Być może Oskarshamn i dalej Gotlandia, ale nie wskazywały na to listy pasażerów Gotlandzkich Linii Promowych. Pozostawała więc jedynie północna Smålandia: Tranås, Eksjö, ewentualnie Nässjö, Åseda, Vetlanda i okolice.

W ostateczności dalej na południe do Växjö, ale w takim wypadku mercedes nie wybrałby najszybszej drogi. Było to całkiem możliwe, bo jeśli staruszkowie i właściciel budki czuli, że są ścigani, zrozumiałe było wybieranie mniej uczęszczanych dróg.

Tym, co mimo wszystko przemawiało za tym, że znajdują się nadal w rejonie, który zakreślił komisarz Aronsson, był fakt, że w samochodzie znajdowało się dwóch pasażerów bez aktualnego paszportu; więc raczej nie wybierali się za granicę. Poza tym współpracownicy Aronssona zadzwonili do wszystkich stacji benzynowych na południe, południowy wschód i na zachód w promieniu trzystu kilometrów od Mjölby. Nikt nie widział srebrnego mercedesa z trzema rzucającymi się w oczy pasażerami. Oczywiście mogli zatankować na stacji samoobsługowej, ale ludzie zazwyczaj wybierają stacje z obsługą, bo po dłuższej podróży zawsze ma się ochotę na coś słodkiego, gazowany napój lub kiełbaskę. Na korzyść stacji z obsługą przemawiał też fakt, że panowie już raz taką wybrali, w Mjölby.

– Tranås, Eksjö, Nässjö, Vetlanda, Åseda... i okolice – powiedział do siebie z zadowoleniem komisarz Aronsson, ale po chwili znów zmarkotniał. – No a potem?

* * *

Gdy przywódca The Violence w Braås obudził się przed południem po strasznej nocy, od razu udał się na stację benzynową, żeby nareszcie zaspokoić głód nikotynowy. Na ścianie przed wejściem wisiał podświetlony najnowszy numer „Expressen”. Duże zdjęcie przedstawiało... bez dwóch zdań tego starego dziadka, którego widział poprzedniej nocy w Rottne.

W pośpiechu zapomniał poprosić o papierosy. Ale kupił „Expressen”, ze zdziwieniem przeczytał artykuł i zadzwonił do swojego brata, Hultaja.

* * *

Tajemnicze zniknięcie i potencjalne porwanie stulatka zaangażowało społeczeństwo. TV4 wieczorem puściło program dokumentalny *Fakty na chłodno, wydanie specjalne*, w którym zresztą nie powiedziano nic więcej, niż wcześniej napisało „Expressen”, a po nim „Aftonbladet”, ale i tak oglądalność przekroczyła półtora miliona widzów; wśród nich byli sam stulatek i jego troje nowych kompanów w smålandzkim Sjötorp.

– Gdybym nie wiedział co i jak, pewnie żal by mi było staruszka – powiedział Allan.

Ślicznotka oglądała program nieco mniej beztrosko i stwierdziła, że Allan, Julius i Benny najlepiej zrobią, jeśli będą się trzymać z dala od ludzi przez jakiś czas. A mercedes od tej pory będzie stał zaparkowany za stodołą. Ona natomiast następnego ranka miała zamiar pojechać i kupić autobus, na który już jakiś czas miała oko. Musieli przecież brać pod uwagę nagłą zmianę planów, a wtedy wszyscy będą musieli się jakoś zabrać, włącznie z Sonją.

ROZDZIAŁ 9
1939–1945

Pierwszego września 1939 roku statek pod hiszpańską banderą z Allanem na pokładzie dopłynął do Nowego Jorku. Allan zamierzał rozejrzeć się trochę po kraju, a potem wsiąść na statek powrotny, ale tego samego dnia jeden z kolegów *generalísimo* napadł na Polskę i w Europie znów była wojna na całego. Na statek pod hiszpańską banderą nałożono embargo, zaraz go zresztą skonfiskowano i służył US Navy aż do 1945 roku.

Wszystkich z pokładu wysłano do biura imigracyjnego na Ellis Island. Tam każdy usłyszał te same cztery pytania od oficera biura: 1) Nazwisko? 2) Narodowość? 3) Zawód? 4) Cel pobytu w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej?

Wszyscy towarzysze Allana ze statku powiedzieli, że są prostymi hiszpańskimi marynarzami, którzy nie mają co ze sobą począć, odkąd skonfiskowano ich miejsce pracy. Zaraz więc wpuszczono ich do kraju, gdzie musieli sobie radzić najlepiej, jak potrafili.

Ale Allan wyróżniał się spośród wszystkich. Po pierwsze, nosił nazwisko, którego hiszpańskojęzyczny tłumacz nie potrafił wymówić. Po drugie, pochodził z kraju zwanego *Suecia*. Po trzecie, najważniejsze, powiedział zgodnie z prawdą, że jest ekspertem od

materiałów wybuchowych z doświadczeniem, zarówno w pracy w fabryce armat, jak i ostatnio z wojny między Hiszpanami a Hiszpanami.

Allan wyciągnął też list od generała Franco. Hiszpański tłumacz z przerażeniem przełożył jego treść oficerowi biura imigracyjnego, ten natychmiast wezwał swojego szefa, a szef swojego szefa.

Pierwszą decyzją było odesłanie Szweda faszysty tam, skąd przybył.

– Jak tylko załatwicie mi jakiś statek, to raczej nim odpłynę – powiedział Allan.

Ale to nie było tak łatwe. Kontynuowano przesłuchanie. A im więcej najwyższy rangą oficer usłyszał od Allana, tym mniej faszystowski wydawał się Szwed. Nie był też komunistą. Ani narodowym socjalistą. Nie był nikim, kim się wydawał, a tylko ekspertem od materiałów wybuchowych. Natomiast opowiadanie o tym, jak przeszedł na ty z generałem Franco, było tak nieprawdopodobne, że aż mogło wydawać się prawdziwe.

Najwyższy rangą oficer miał brata w Los Alamos, w Nowym Meksyku, i z tego, co było mu wiadomo, brat zajmował się właśnie bombami i tym podobną bronią na potrzeby wojska. Z braku lepszych pomysłów zamknięto Allana na czas nieokreślony, a potem szef biura imigracyjnego poruszył sprawę Szweda ze swoim bratem, gdy spotkali się w rodzinnej posiadłości w Connecticut w Święto Dziękczynienia. Brat oznajmił, że nie jest zbyt zainteresowany ściąganiem sobie na kark miłośnika Franco, ale faktycznie potrzeba im wszelkiego rodzaju ekspertów i pewnie

dałoby radę znaleźć jakąś niewykwalifikowaną i niezbyt objętą tajemnicą pracę dla tego Szweda, o ile zrobi tym bratu przysługę.

Szef biura imigracyjnego podziękował za pomoc, i bracia zabrali się do indyka.

Jakiś czas później Allan po raz pierwszy w życiu leciał samolotem i późną jesienią 1939 roku dołączył do bazy armii amerykańskiej w Los Alamos, gdzie natychmiast odkryto, że nie zna słowa po angielsku. Hiszpańskojęzyczny porucznik dostał za zadanie dowiedzieć się, jakie umiejętności zawodowe tak właściwie ma ten Szwed, więc Allan musiał mu wypisać swoje formuły. Porucznik przejrzał zapiski i pomyślał, że wprawdzie Szwed wykazał się pomysłowością, ale był przekonany, że moc ładunków Allana jest za słaba, by wysadzić w powietrze choćby samochód.

– Oj, nie za słaba – odpowiedział Allan. – Nie tylko samochód, ale i sprzedawcę. Sam próbowałem.

Allan mógł zostać, na początku pozwolono mu przebywać w bardziej oddalonych barakach, ale mijały miesiące i lata, a on zaczął mówić po angielsku i w końcu ograniczono restrykcje dotyczące jego poruszania się po bazie. Jako nader spostrzegawczy pachołek wojskowy uczył się za dnia, jak robić ładunki zupełnie innej mocy niż te, które sam odpalał w niedziele na żwirowisku za własną chałupą. Natomiast wieczorami, gdy większość młodych mężczyzn w bazie Los Alamos wybierała się do miasta, by podrywać kobiety, Allan siedział w strzeżonej bibliotece i zgłębiał tajniki zaawansowanych technik wybuchowych.

* * *

Allan uczył się coraz więcej, w takim samym tempie, w jakim wojna w Europie (a wkrótce na całym świecie) zwiększała swój zasięg. Co prawda nie mógł wykorzystać swoich umiejętności w praktyce, nadal był tylko zwykłym ciurą (nawet jeśli bardzo docenianym), ale wciąż się uczył. Teraz nie chodziło już tylko o nitroglicerynę i azotan sodu – to dla amatorów – lecz o wodór i uran, i inne jakże skomplikowane sprawy.

Od 1942 roku wprowadzono w Los Alamos szczególnie surowe zasady bezpieczeństwa. Baza otrzymała od prezydenta Roosevelta tajne zadanie stworzenie bomby, która za jednym zamachem unicestwiłaby dziesięć, a może i dwadzieścia hiszpańskich mostów, jeśli zaszłaby taka potrzeba, sądził Allan. Pomocnicy byli potrzebni nawet w najbardziej tajnych pracach i temu tak lubianemu Szwedowi udzielono dostępu najwyższego stopnia.

Musiał przyznać, że sprytni byli ci Amerykanie. Zamiast tego, do czego Allan był przyzwyczajony, zajmowano się teraz eksperymentowaniem nad atomami, które miały się podzielić tak, że wybuch byłby większy niż jakikolwiek dotychczas na świecie.

W tej pracy prawie osiągnięto sukces w kwietniu 1945 roku. Naukowcy – a także Allan – wiedzieli, jak wywołać reakcję jądrową, ale nie wiedzieli, jak ją kontrolować. Problem fascynował Allana, który siedział samotnie wieczorami w bibliotece i dumał nad tym, o co nikt go nie prosił. Szwedzki pomocnik się nie poddawał, aż tu pewnego wieczoru... oj! Pewnego wieczoru... znalazł rozwiązanie!

Każdego tygodnia tej wiosny najważniejsi wojskowi siedzieli na wielogodzinnych naradach z najlepszymi fizykami, z dyrektorem

naukowym Oppenheimerem na czele i z Allanem serwującym kawę i ciasto.

Fizycy rwali włosy z głowy i prosili Allana o dolewkę, wojskowi drapali się po brodzie i prosili Allana o dolewkę, fizycy i wojskowi biadolili wspólnie i prosili Allana o dolewkę. Tak to się ciągnęło, tydzień za tygodniem. Allan już od jakiegoś czasu znał rozwiązanie problemu, ale pomyślał, że nie wypada, żeby kelner mówił kucharzowi, jak się gotuje, dlatego postanowił zachować je dla siebie.

Aż do czasu, gdy – sam siebie wprawiając w zdumienie – powiedział:

– Przepraszam bardzo, ale dlaczego nie podzielicie uranu na dwie równe części?

Jakby mu się to wymsknęło, akurat kiedy nalewał kawę samemu dyrektorowi naukowemu Oppenheimerowi.

– Coś ty powiedział? – odparł dyrektor naukowy Oppenheimer, który bardziej niż słowami Allana był zdziwiony tym, że kelner w ogóle otworzył usta.

Allan nie miał innego wyjścia, jak tylko kontynuować:

– No tak, jak podzielicie uran na dwie równe części i potem złączycie je w odpowiednim momencie, wybuchnie dokładnie wtedy, kiedy będziecie chcieli, a nie tu w bazie.

– Równe części? – powtórzył dyrektor naukowy Oppenheimer. W tym momencie miał ogromny mętlik w głowie, ale powiedział właśnie „równe części?”.

– No tak, ma tu pan dyrektor trochę racji. Części nie muszą być akurat równie duże, najważniejsze, by były odpowiednio duże, gdy się je połączy.

Porucznik Lewis, który ręczył za Allana jako służącego, wyglądał, jakby chciał go zamordować, ale jeden z fizyków przy stole zareagował, myśląc na głos:

– Ale co masz na myśli, mówiąc, że je połączymy? I kiedy? W powietrzu?

– Dokładnie, panie fizyku. A może jest pan chemikiem? Nie? W każdym razie nie macie przecież problemu z wywołaniem wybuchu. Problem w tym, że nie potraficie go kontrolować. Ale masa krytyczna podzielona na dwa to dwie masy niekrytyczne, nieprawdaż? I odwrotnie, dwie niekrytyczne masy staną się masą krytyczną.

– I jak je połączymy też już pan... Przepraszam, ale kim pan jest? – zapytał dyrektor naukowy Oppenheimer.

– Jestem Allan.

– Jak pan Allan uważa, że je połączymy? – kontynuował Oppenheimer.

– Za pomocą zwykłego, przyzwoitego ładunku wybuchowego – odpowiedział Allan. – Jestem w tym dobry, ale nie mam wątpliwości, że z tym sobie panowie poradzą.

Fizycy w ogóle, a dyrektorzy naukowi w szczególności to nie idioci. Oppenheimer w kilka sekund przerobił długie na metr równania i doszedł do wniosku, że kelner najprawdopodobniej ma rację. I pomyśleć, że coś tak skomplikowanego mogło mieć tak proste rozwiązanie! Zwykły, przyzwoity ładunek wybuchowy w tylnej części bomby mógł być zdalnie sterowany i wysłać jedną masę niekrytyczną uranu-235 na spotkanie drugiej masy niekrytycznej. Natychmiast zrobiłoby się krytycznie. Neutrony

zaczęłyby się przemieszczać, atomy uranu rozszczepiać się. Rozpoczęłoby to reakcję łańcuchową i...

– Bang – powiedział do siebie dyrektor naukowy Oppenheimer.

– Dokładnie – odpowiedział Allan. – Widzę, że pan dyrektor już wszystko obliczył. A tak w ogóle, czy ktoś życzy sobie jeszcze kawy?

W tym momencie otworzyły się drzwi tajnego pomieszczenia i wszedł wiceprezydent Truman z jedną ze swoich rzadkich i zawsze niezapowiedzianych wizyt.

– Usiądźcie – rzekł wiceprezydent do mężczyzn, którzy pospiesznie stanęli na baczność.

Na wszelki wypadek także Allan usiadł na jednym z wolnych krzeseł przy stole. Jeśli wiceprezydent mówi, żeby siedzieć, to najlepiej usiąść, tak to działa w Ameryce, pomyślał.

Wtedy wiceprezydent poprosił dyrektora naukowego Oppenheimera o aktualny raport, a ten znów stanął na baczność i w pośpiechu, bo nie wpadł na nic innego, oznajmił, że ten oto mister Allan, siedzący w rogu stołu, chyba właśnie rozwiązał ostatni problem, jak kontrolować detonację. Rozwiązanie mister Allana nie było jeszcze dowiedzione, ale dyrektor naukowy Oppenheimer powiedział całemu zgromadzeniu, że jest przekonany o tym, że przejdzie ono do historii i że w ciągu trzech miesięcy będzie można przeprowadzić próbny wybuch.

Wiceprezydent rozejrzał się po sali i otrzymał w odpowiedzi potwierdzające skinienia. Porucznik Lewis ostrożnie znów zaczął oddychać. W końcu spojrzenie wiceprezydenta spoczęło na Allanie.

– Myślę, że z całą pewnością jest pan bohaterem dnia, mister Allan. Osobiście potrzebuję coś zjeść, zanim udam się z powrotem do Waszyngtonu. Czy zechce mi pan towarzyszyć?

Allan pomyślał, że to najwyraźniej jakaś wspólna cecha światowych przywódców, że zapraszają na kolację, gdy tylko są z czegoś zadowoleni, ale nic nie powiedział. Podziękował za zaproszenie i obaj mężczyźni wspólnie opuścili pomieszczenie. Przy stole pozostał dyrektor naukowy Oppenheimer i wyglądał jednocześnie na spokojnego i nieszczęśliwego.

* * *

Wiceprezydent Truman kazał zamknąć swoją ulubioną meksykańską restaurację w centrum Los Alamos, żeby on i Allan mogli ją mieć dla siebie, oczywiście poza kilkudziesięcioma ochroniarzami rozstawionymi w różnych miejscach.

Szef odpowiedzialny za bezpieczeństwo zauważył, że mister Allan nie jest Amerykaninem oraz że nie przeszedł kontroli przed spotkaniem w cztery oczy z wiceprezydentem, ale Truman zlekceważył jego uwagi, mówiąc, że mister Allan wykonał właśnie najbardziej patriotyczny gest, jaki można sobie wyobrazić.

Wiceprezydent był w wyśmienitym humorze. Zaraz po kolacji zamiast do Waszyngtonu kazał lecieć Air Force 2 do stanu Georgia, gdzie prezydent Roosevelt przebywał w sanatorium, aby łagodzić objawy choroby Heine-Medina. Taką wiadomość prezydent na pewno chciał usłyszeć od razu, tego Harry Truman był pewien.

– Ja wybiorę danie, a pan trunek – powiedział wiceprezydent wesoło i podał Allanowi kartę win.

Truman odwrócił się do kierownika sali, który z ukłonem przyjął zamówienie na porządną porcję tacos, enchilady, tortilli kukurydzianej i kilku różnych sosów.

– A co podać do picia, sir? – zapytał kierownik sali.

– Dwie butelki tequili – odpowiedział Allan.

Harry Truman roześmiał się i zapytał, czy ma zamiar spić wiceprezydenta. Allan odparł, że przez ostatnie lata nauczył się, że Meksykanie potrafią robić wódkę równie mocną jak ta, którą Szwedzi nazywają czystą, ale pan wiceprezydent może oczywiście pić mleko, jeśli uważa, że bardziej pasuje.

– Nie, słowo się rzekło – odparł Truman i uzupełnił zamówienie o cytrynę i sól.

Trzy godziny później byli dla siebie „Harrym" i „Allanem". Zauważcie, co kilka butelek tequili może zrobić dla zbratania ludzi. Coraz bardziej wstawionemu wiceprezydentowi zajęło chwilę, zanim załapał, że Allan to imię, nic innego. Allan zdążył do tej pory opowiedzieć, jak to sprzedawca wyleciał w powietrze w jego zagrodzie i jak on sam uratował życie generała Franco. Wiceprezydent ze swej strony zabawiał Allana naśladowaniem prezydenta Roosevelta próbującego podnieść się ze swojego wózka inwalidzkiego.

Gdy nastrój był znakomity, szef bezpieczeństwa podszedł do wiceprezydenta.

– Czy mogę z panem pomówić, sir?

– Mów – wybełkotał wiceprezydent.

– Najlepiej w cztery oczy, sir.

– Cholera, ale jesteś podobny do Humphreya Bogarta! Widziałeś, Allan?

– Sir... – powiedział zakłopotany szef bezpieczeństwa.
– No, ale o co, do diabła, chodzi? – warknął wiceprezydent.
– Sir, chodzi o prezydenta Roosevelta.
– No, co tam z tym starym capem? – zaśmiał się wiceprezydent.
– Nie żyje, sir.

ROZDZIAŁ 10

Poniedziałek, 9 maja 2005

Od czterech dni Hultaj przesiadywał pod supermarketem Ica w Rottne i wyglądał przede wszystkim Bolca, ale także stuletniego dziada, rudej baby, gościa z kitką i mercedesa. Sam nie wpadłby na to, żeby siedzieć tam, gdzie siedział, był to pomysł Szefa. Po telefonie od młodszego brata, a jednocześnie przywódcy The Violence w Braås, z informacją, jakoby stulatek stał przed przychodnią w Smålandii w środku nocy, Hultaj od razu zadzwonił z raportem do szefa. Wtedy Szef zdecydował o obserwacji najczęściej uczęszczanego sklepu spożywczego w miasteczku. Wydedukował, że skoro bywa się na spacerze w Rottne w środku nocy, to znaczy, że przebywa się w okolicy, poza tym każdy musi jeść, a kiedy jedzenie się skończy, to trzeba pojechać i kupić nowe. Brzmiało logicznie. Szef w końcu nie był szefem ot tak, bez powodu. Ale to było cztery dni wcześniej. Hultaj zaczynał tracić nadzieję.

Jego koncentracja też nie była na najwyższym poziomie. Dlatego początkowo nie zwrócił uwagi na rudowłosą kobietę, gdy podjechała na parking czerwonym volkswagenem passatem zamiast srebrnym mercedesem, którego się spodziewał. Ale ponieważ idąc do sklepu, przeszła się tuż przed nosem Hultaja,

zauważył ją. Nie był pewien, czy to właśnie ona, ale była w odpowiednim wieku, zgodnie z zeznaniem świadka, i miała odpowiedni kolor włosów.

Hultaj zadzwonił do Szefa do Sztokholmu, ale ten nie był równie entuzjastycznie nastawiony co on. Przede wszystkim miał nadzieję odnaleźć Bolca albo chociaż tego przeklętego starucha.

No cóż. Kazał Hultajowi spisać numery rejestracyjne samochodu, a potem dyskretnie śledzić rudą, żeby zobaczyć, dokąd pojedzie. Potem Hultaj miał zdać raport.

* * *

Komisarz Aronsson spędził ostatnie cztery doby w hotelu w Åsedzie. Jego plan był taki, że będzie blisko centrum wydarzeń, jeśli pojawi się nowa informacja.

Ale tak się nie stało i Aronsson już miał udać się do domu, gdy dostał wiadomość od kolegów z Eskilstuny. Podsłuch telefonu drania z Never Again, Pera-Gunnara Gerdina, przyniósł rezultaty.

Gerdin, albo „Szef", jak go nazywano, stał się sławny przed kilku laty, kiedy dziennik „Svenska Dagbladet" ujawnił, że w Zakładzie Karnym Hall na dużą skalę organizowała się grupa przestępcza o nazwie Never Again. Pozostałe media podchwyciły temat i w prasie wieczornej już wkrótce można było zobaczyć zdjęcie i nazwisko przywódcy, Gerdina. O tym, że większość planów spełzła na niczym z powodu listu mamy Pera-Gunnara Gerdina, media nigdy się nie dowiedziały.

Komisarz Aronsson kilka dni wcześniej zarządził śledzenie i podsłuchiwanie rozmów telefonicznych Gerdina, i nareszcie coś

mieli. Rozmowa została oczywiście nagrana, wydrukowana i przefaksowana do Aronssona do Åsedy:

– Halo?

– No, to ja.

– Masz coś do zaraportowania?

– No, może. Siedzę przecież przed tym sklepem Ica i właśnie jakaś ruda baba przyszła na zakupy.

– Tylko baba? A Bolec nie? I żadnego stulatka?

– Nie, tylko baba. Nie wiem, czy...

– Przyjechała mercedesem?

– Eee, nie zdążyłem zobaczyć... ale nie ma żadnego mercedesa na parkingu, więc innym musiała przyjechać.

(pięciosekundowa cisza)

– Halo?

– No, jestem, myślę, ktoś przecież, kurwa, musi.

– No tak, ale ja tylko...

– Musi przecież być więcej niż jedna ruda w Smålandii.

– No, ale ta jest w odpowiednim wieku, według tego, co...

– Zrób tak: jedź za nią samochodem, spisz numery, tylko nie spieprz tego, sprawdź, dokąd pojedzie. I staraj się, żeby cię, kurwa, nie zauważyła. Potem znowu zadzwoń.

(pięciosekundowa cisza)

– Skapowałeś, czy mam powtórzyć?

– Nie, no, czaję. Odezwę się, jak tylko będę coś wiedział.

– I następnym razem dzwonisz na mój telefon na kartę. Nie mówiłem, że wszystkie służbowe na tamten numer?

– No, ale to chyba tylko, jak robimy interesy z Ruskimi? Nie myślałem, że będziesz miał teraz włączony, jak...

– *Idiota*.

(pochrząkiwanie i koniec rozmowy)

Komisarz Aronsson przeczytał wydruk i ułożył układankę z nowych kawałków.

Bolec, którego wymienił Gerdin, to pewnie Bengt Bylund, jeden z członków Never Again, obecnie uznany za zmarłego. A ten, który zadzwonił do Gerdina, to prawdopodobnie Henrik „Hultaj" Hultén, polujący w Smålandii na Bolca.

Aronsson otrzymał potwierdzenie swoich przypuszczeń, a teraz sprecyzował wnioski: gdzieś w Smålandii, jak wiadomo, znajduje się Allan Karlsson wraz z Juliusem Jonssonem, Bennym Ljungbergiem i jego mercedesem. A także rudowłosa kobieta, w niewiadomym wieku, ale niezbyt młoda, bo właśnie nazwano ją babą. Chociaż dla takich jak Hultaj dosyć szybko można być babą.

Never Again w Sztokholmie podejrzewało, że Bolec także znajduje się w tej grupie. Czy w takim razie uciekał przed swoimi? Dlaczego się nie odezwał? No tak, bo był martwy! Ale tego Szef jeszcze nie pojął, sądził natomiast, że Bolec ukrywa się gdzieś w Smålandii wraz z... skąd się wzięła ta ruda?

Wtedy Aronsson zażądał informacji na temat krewnych Allana, Benny'ego i Juliusa. Czy mieli może jakąś siostrę lub kuzynkę, albo kogoś w tym stylu, zamieszkałą w Smålandii i o rudych włosach?

„Jest w odpowiednim wieku, według tego, co...", powiedział Hultaj.

Według czego? Według tego, co ktoś im powiedział? Ktoś, kto widział grupę w Smålandii, zadzwonił i dał im cynk? Szkoda, że dopiero teraz mogą podsłuchiwać telefon Gerdina.

W tej sytuacji Hultaj pewnie pojechał za rudowłosą i albo zawrócił, bo okazała się nie tą osobą, albo... wiedział, gdzie znajduje się Allan Karlsson i jego przyjaciele. W takim wypadku Szef był już pewnie w drodze do Smålandii, aby wyciągnąć z Allana i jego bandy prawdę o tym, co stało się z Bolcem i walizką.

Aronsson chwycił za telefon i zadzwonił do prowadzącego śledztwo w Eskilstunie. Prokurator Conny Ranelid z początku nie był zbyt zaangażowany w sprawę, ale jego zainteresowanie wzrastało z każdą nową informacją, o której donosił Aronsson.

– Nie strać teraz z oczu Gerdina i jego chłopca na posyłki – powiedział prokurator.

* * *

Ślicznotka umieściła dwie reklamówki z jedzeniem w bagażniku swojego passata i udała się z powrotem do domu w Sjötorp.

W bezpiecznej odległości za nią jechał Hultaj. Pierwsze, co zrobił, gdy wyjechali na szosę, to zadzwonił do Szefa (na telefon na kartę, miał jednak instynkt przetrwania), żeby przekazać markę i numery samochodu rudej. Obiecał też, że się odezwie, kiedy dojadą na miejsce.

Opuścili Rottne i rudowłosa zaraz skręciła w małą żwirową drogę. Hultaj rozpoznał miejsce, to tu dojechał kiedyś jako ostatni w pewnym rajdzie. Jego ówczesna dziewczyna była pilotem; w połowie drogi zauważyła, że trzyma mapę do góry nogami.

Żwirowa droga była sucha i samochód rudej zostawiał za sobą kłęby kurzu. Hultaj mógł więc spokojnie za nią jechać, nawet nie mając jej w zasięgu wzroku. Problem w tym, że kłęby kurzu

zniknęły po kilku kilometrach. Kurwa! Hultaj przyspieszył, ale samochodu nie było widać.

Najpierw wpadł w panikę, ale zaraz się uspokoił. Babsko musiało gdzieś skręcić po drodze. Trzeba tylko zawrócić i poszukać.

Niecały kilometr drogi potem, jadąc z powrotem tą samą trasą, Hultaj wymyślił rozwiązanie zagadki. Przy drodze stała tam skrzynka na listy, a za nią ciągnęła się wąska dróżka w prawo, tędy musiała pojechać!

Biorąc pod uwagę rozwój wydarzeń, Hultaj był za bardzo w gorącej wodzie kąpany. Zbyt gwałtownie skręcił kierownicą i pokierował samochód tam, gdzie prowadziła wąska dróżka. Założenie, że będzie dyskretny i ostrożny, zostało więc w tyle, gdzieś koło skrzynki na listy.

Jak już wiadomo, wszystko toczyło się szybko i zanim się obejrzał, dróżka się skończyła i wjechał na podwórko. Gdyby Hultaj jechał trochę szybciej, nie zdążyłby się nawet zatrzymać i wjechałby prosto w tego starego dziada, który tam stał i karmił... słonia?

* * *

Allan szybko odnalazł w Sonii przyjaciółkę. Mieli w końcu wiele wspólnego. Jedno z nich pewnego dnia wyszło przez okno i tym samym zmieniło koleje swojego losu, drugie zaś w tym samym celu weszło do jeziora. Oboje zresztą widzieli kawałek świata. Poza tym Sonja wyglądała, jakby miała blizny na pysku, jak mądry stulatek mniej więcej, uważał Allan.

Słonica bynajmniej nie robiła sztuczek cyrkowych przed byle kim, ale tego staruszka lubiła. Dawał jej owoce, drapał po trąbie i mówił do niej w przyjazny sposób. Nie żeby cokolwiek rozumiała z tego, co mówił, ale to nie szkodziło. Było jej przyjemnie. Więc kiedy staruszek prosił, żeby usiadła, siadała, kiedy prosił, żeby zrobiła obrót, robiła. Pokazała mu nawet, że potrafi stać na tylnych nogach, nawet jeśli staruszek nie znał odpowiedniej komendy. To, że dostawała przy tym jabłko albo dwa i jeszcze więcej pieszczot, było tylko dodatkiem. Sonja nie sprzedawała się w ten sposób.

Ślicznotka lubiła siedzieć na schodach werandy razem z Bennym i Busterem, z kubkiem kawy dla dwunożnych i psimi słodyczami dla czworonoga. Siedzieli tak i patrzyli, jak rozwija się związek Allana i Sonii, a Julius w tym czasie godzinami próbował złowić okonia w jeziorze.

Wiosenne ciepło utrzymywało się. Słońce świeciło od tygodnia, a prognozy mówiły o dalszym wyżu.

Benny, który, pomijając całą resztę, był „prawie" architektem, w mgnieniu oka narysował, jak powinien zostać urządzony nowo zakupiony autobus Ślicznotki, aby przypaść Sonii do gustu. Kiedy dotarło do Ślicznotki, że Julius nie tylko jest złodziejem, ale także starym handlarzem drewna i potrafi zrobić użytek z młotka i gwoździ, powiedziała do Bustera, że sprawili sobie porządnych przyjaciół i że dobrze, że ich nie wyrzucili tamtego wieczoru. W jedno popołudnie Julius zmontował wyposażenie autobusu zgodnie z instrukcjami Benny'ego. Potem Sonja wchodziła do środka z Allanem i wychodziła, żeby wszystko wypróbować, i zdawała się lubić to, co jej zaoferowano, chociaż oczywiście nie

rozumiała, po co jej dwie zagrody zamiast jednej. Było jej trochę ciasno, ale miała dwa rodzaje przekąsek do przeżuwania, na lewo i na wprost, oraz wodę do picia na prawo. Podłoga była podwyższona i lekko pochyła, a na odchody Sonii skonstruowano specjalną rynnę z tyłu. Była wypełniona po brzegi sianem, aby absorbować większość tego, co ewentualnie mogło w nią wpaść podczas podróży.

Do tego rozbudowany system wentylacyjny w formie otworów wywierconych wzdłuż obu boków autobusu i przesuwana szybka do kabiny kierowcy, tak żeby Sonja mogła mieć kontakt wzrokowy ze swoją panią podczas jazdy. Autobus zamienił się więc w luksusowy pojazd dla słonia, i to w zaledwie kilka dni.

Im bardziej grupa była gotowa do wyjazdu, tym mniej chciało im się odjeżdżać. Życie w Sjötorp stało się naprawdę przyjemne dla wszystkich. Zwłaszcza dla Benny'ego i Ślicznotki, którzy już trzeciej nocy stwierdzili, że szkoda używać pościeli w różnych pokojach, skoro można ją dzielić. Wszystkie wieczory przy kominku były bardzo miłe, przede wszystkim dzięki dobremu jedzeniu, piciu i interesującym opowieściom z życia Allana Karlssona.

Ale w poniedziałkowy poranek lodówka i szafki prawie świeciły pustkami, i była to najwyższa pora, aby Ślicznotka wybrała się do Rottne, żeby uzupełnić zapasy. Na wszelki wypadek podróż odbyła się jej starym passatem. Mercedes stał na swoim miejscu, za stodołą.

Kupiła jedną reklamówkę różności dla siebie i panów, i drugą pełną świeżych, argentyńskich jabłek dla Sonii. Gdy Ślicznotka wróciła do domu, dała torbę z jabłkami Allanowi, a resztę

produktów wstawiła do lodówki i szafek w kuchni, potem zaś z kilogramem belgijskich truskawek dołączyła do Benny'ego i Bustera, siedzących na schodach werandy. Siedział tam także Julius, podczas jednej z nielicznych przerw w wędkowaniu.

Właśnie wtedy na podwórko z impetem wjechał ford mustang i niewiele brakowało, a skosiłby z trawnika Allana i Sonję.

Najspokojniej zareagowała Sonja. Była tak skupiona na kolejnym jabłku od Allana, że ani nie widziała, ani nie słyszała, co działo się dookoła. A może i coś zauważyła, bo gdy chciała zrobić piruet, zatrzymała się w pół obrotu, z zadem wypiętym w stronę Allana i nowego gościa.

Prawie najspokojniej zareagował Allan. Tak wiele razy w życiu otarł się o śmierć, że jakiś pędzący ford mustang nie robił mu różnicy. Jak zahamuje w porę, to zahamuje. No i zahamował.

Równie spokojnie zareagował Buster. Był surowo wychowany, wiedział, że nie wolno wybiegać i szczekać, jeśli obcy przychodzili z wizytą. Ale postawił uszy i szeroko otworzył ślepia. Trzeba obserwować sytuację.

Ślicznotka, Benny i Julius natomiast podskoczyli na werandzie i zatrzymali się, ustawieni w rządku, czekając na to, co się wydarzy.

I wydarzyło się. Hultaj, nieco oszołomiony w pierwszej chwili, wysiadł ze swojego mustanga z rewolwerem, który wymacał w torbie leżącej na podłodze z tyłu samochodu. Skierował go najpierw na zadek słonia, ale potem się zmiarkował i zmienił cel na Allana i trójkę przyjaciół w rządku na werandzie i krzyknął (odrobinę bez przekonania):

– Ręce do góry!

– Ręce do góry?

To najgłupsze, co Allan słyszał od jakiegoś czasu, więc zaczął mówić:

– Jak pan to sobie wyobraża, że co mu zrobimy, jeśli nie podniesiemy rąk do góry? Że ja sam, stulatek, zacznę rzucać w pana jabłkami? Albo że ta krucha kobietka przewierci pana na wylot belgijskimi truskawkami? Albo...?

– Dobra, dobra, trzymajcie se ręce, gdzie chcecie, ale nie wymyślajcie żadnych numerów.

– Numerów?

– Zamknij się już, staruchu! Mów lepiej, gdzie ta jebana walizka. I ten, co się miał nią zająć.

A więc tak, pomyślała Ślicznotka. To koniec szczęśliwego żywota. Rzeczywistość dogoniła ich wszystkich. Nikt Hultajowi nie odpowiedział, wszyscy myśleli intensywnie, może poza słoniem, który odwrócił się i stwierdził, że pora zrobić kupę. Gdy słoń musi sobie ulżyć, rzadko się zdarza, żeby ten, kto akurat stoi w pobliżu, nie zwrócił na to uwagi.

– O kurwa – powiedział Hultaj i kilkoma szybkimi krokami oddalił się od brei, która lała się ze sło... – na co wam, kurwa, słoń?

Nadal żadnej odpowiedzi. Ale Buster nie mógł już dłużej wytrzymać. Czuł, że coś jest nie tak. Oj, tak chętnie by sobie poszczekał na obcego. I mimo że znał zasady, nie mógł się powstrzymać przed warknięciem. To sprawiło, że Hultaj dopiero teraz zauważył owczarka na werandzie i instynktownie cofnął się dwa kroki, uniósł rewolwer i wyglądał tak, jakby był gotów strzelić, jeśli zajdzie potrzeba.

Właśnie w tym momencie w głowie Allana narodził się pewien pomysł. Był szalony, to prawda, bo istniało ryzyko, że to on poświęci życie, o ile nie jest nieśmiertelny. Wziął głęboki oddech i przystąpił do działania. Z naiwnym uśmiechem na ustach zaczął iść w kierunku łobuza z rewolwerem. Wysilił się i powiedział najbardziej drżącym głosem, jaki potrafił z siebie wydobyć:

– Jaki ładny pistolet! Prawdziwy? Mogę potrzymać?

Benny, Julius i Ślicznotka pomyśleli, że dziadkowi odbiło.

– Stój, Allan! – wykrzyknął Benny.

– No, stój, staruchu, bo będę strzelał – powiedział Hultaj.

Ale Allan człapał dalej naprzód. Hultaj zrobił krok do tyłu, wyciągnął rękę z rewolwerem w stronę Allana z jeszcze groźniejszą miną i... tak, zrobił to! Zrobił dokładnie to, na co Allan miał nadzieję. W stresie zrobił jeszcze jeden krok do tyłu...

Jeśli ktoś kiedykolwiek wdepnął w maź, która jest świeżą kupą słonia, wie, że utrzymanie wtedy równowagi graniczy z cudem. Hultaj tego nie wiedział, ale szybko się nauczył. Noga z tyłu poślizgnęła się, Hultaj zamachał ramionami, cofnął się o krok drugą nogą i teraz cały był już w kupie. Bezradnie upadł do tyłu i miękko wylądował na plecach.

– Siad, Sonja, siad – powiedział Allan, aby dopełnić swój wyszukany plan.

– Nie, do diabła, Sonja, nie siad! – krzyczała Ślicznotka, która nagle zrozumiała, co się za chwilę stanie.

– Ja pierdolę – powiedział Hultaj, leżąc na plecach w odchodach słonia.

Sonja, stojąca tyłem do wszystkich, usłyszała wyraźnie komendę Allana. A staruszek był, jak wiadomo, miły, więc

z chęcią go słuchała. Poza tym Sonja uważała, że jej pani potwierdziła komendę, ponieważ nie poznała dotychczas słowa „nie”.

Tak więc Sonja usiadła. Zad wylądował na czymś miękkim i ciepłym, powodując głuchy chrupot i coś, co brzmiało jak krótki świst, a potem zrobiło się zupełnie cicho. Sonja siedziała, więc może teraz pora na kolejne jabłko?

– I tak zginął numer dwa – powiedział Julius.

– Kurwa mać, ja pierdolę – powiedziała Ślicznotka.

– Fuj – powiedział Benny.

– Masz tu jabłuszko, Sonja – powiedział Allan.

Henrik „Hultaj” Hultén nie powiedział nic.

* * *

Szef czekał już trzy godziny na telefon Hultaja. W końcu stwierdził, że coś się musiało stać nicponiowi. Szefowi ciężko było pojąć, że ludzie nie potrafią po prostu robić tego, co im nakaże, i nic poza tym.

Wygląda na to, że pora samemu się zabrać do sprawy. Szef zaczął od odszukania numeru rejestracyjnego, który dostał od Hultaja. W kilka minut z rejestru samochodowego zdobył dane czerwonego passata, którego właścicielką była Gunilla Björklund, Sjötorp, Rottne, Smålandia.

ROZDZIAŁ 11

1945–1947

O ile możliwe jest wytrzeźwienie w ciągu sekundy po wlaniu w siebie całej flaszki tequili, to właśnie stało się z wiceprezydentem Harrym S. Trumanem.

Nagła śmierć prezydenta Roosevelta spowodowała oczywiście natychmiastowe przerwanie miłej kolacji z Allanem i Truman zażądał bezzwłocznego transportu do Waszyngtonu i Białego Domu. Allan został sam w restauracji i przez dobrą chwilę musiał dyskutować z kierownikiem sali, żeby uniknąć zapłacenia rachunku. W końcu kierownik zaakceptował argument Allana, że przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej musi być chyba wystarczająco wiarygodny, by udzielić mu kredytu, i że w tych okolicznościach wiadomo nawet, gdzie Truman mieszka.

Allan przespacerował się dla zdrowia do bazy wojskowej i powrócił do swojej roli pachołka najlepszych fizyków, matematyków i chemików Ameryki, mimo że ci czuli się teraz w jego towarzystwie nieswojo. Zrobił się dziwny nastrój i po kilku tygodniach Allan pomyślał, że pora zwijać żagle. Pewna rozmowa telefoniczna do mister Karlssona rozwiązała tę kwestię:

– Cześć, Allan, Harry z tej strony.

– Jaki Harry? – spytał Allan.

– Truman, Allan. Harry S. Truman. Prezydent, na Boga!

– Aha, jak miło! Dziękuję za kolację, panie prezydencie. Mam nadzieję, że nie siedział pan sam za sterami w drodze do domu?

Nie, oczywiście, że nie. Mimo powagi chwili zasnął na kanapie w Air Force 2 i obudził się dopiero, gdy lądowali, pięć godzin później.

Ale teraz rzecz się miała tak, że Harry Truman miał parę spraw do załatwienia, które odziedziczył po poprzedniku, i do jednej z nich potrzebował prawdopodobnie pomocy Allana, jeśli Allan nie ma nic przeciwko.

Allan nie miał absolutnie nic przeciwko i następnego ranka po raz ostatni opuścił bazę w Los Alamos.

* * *

Gabinet Owalny był mniej więcej tak owalny, jak Allan mógł przypuszczać. Siedział tam teraz, naprzeciwko swojego kolegi od kieliszka z Los Alamos, i słuchał jego wywodu.

Rzecz wyglądała tak, że prezydent miał problem z pewną kobietą, której z powodów politycznych nie mógł po prostu zignorować. Nazywała się Song Meiling, może Allan słyszał o niej? Nie?

W każdym razie była żoną przywódcy chińskiego Kuomintangu, Czang Kaj-szeka. Była też niesamowicie piękną kobietą, wykształconą w Ameryce, najlepszą przyjaciółką pani Roosevelt, przyciągała tysiące widzów, gdzie tylko się pojawiła, przemawiała nawet przed Kongresem. A teraz nie dawała prezydentowi Trumanowi spokoju z powodu niedotrzymanych ustnych obietnic,

które – jak twierdziła – prezydent Roosevelt dał jej w sprawie walki z komunizmem.

– Wiedziałem, że znowu chodzi o politykę – powiedział Allan.

– Trochę ciężko uniknąć tego tematu, gdy jest się prezydentem Stanów Zjednoczonych – odparł Harry Truman.

W każdym razie w walce między Kuomintangiem a komunistami panował zastój, bo w pewnym sensie mieli wspólne interesy w Mandżurii. Jednak wkrótce mieli się stamtąd wycofać Japończycy i wtedy Chińczycy na pewno zaczną się bić między sobą.

– Skąd wiadomo, że Japończycy się wycofają? – zastanawiał się Allan.

– Kto jak kto, ale ty najlepiej powinieneś to wiedzieć – odpowiedział Truman i zaraz zmienił temat.

Prezydent kontynuował nudne, według Allana, sprawozdanie z sytuacji w Chinach. Według tajnych raportów szczęście było w wojnie domowej po stronie komunistów, a w Office of Strategic Services podawano w wątpliwość militarną taktykę Czang Kajszeka. Było jasne, że próbuje trzymać w garści miasta, natomiast nie dba o tereny wiejskie, gdzie rozprzestrzeniają się komuniści. Przywódcę komunistów, Mao Zedonga, amerykańscy agenci wkrótce mieli wyeliminować, ale istniało duże ryzyko, że jego idee zdążą zakotwiczyć się w głowach ludności. Nawet żona Czang Kajszeka, ta jakże irytująca Song Meiling, zauważyła, że trzeba zrobić coś więcej. Prowadziła wręcz alternatywną politykę militarną, równoległą do polityki męża.

Prezydent kontynuował sprawozdanie na ten temat, ale Allan przestał słuchać. Zamiast tego rozglądał się po Gabinecie

Owalnym, zastanawiając się, czy szyby w oknach są kuloodporne i dokąd mogą prowadzić drzwi na lewo. Pomyślał też, że niełatwo było pewnie nosić ten ogromny dywan do czyszczenia, gdy zaszła potrzeba. W końcu musiał przerwać prezydentowi, zanim ten zacząłby zadawać pytania, żeby upewnić się, czy Allan rozumie.

– Wybacz, Harry, ale co tak naprawdę chcesz, żebym zrobił?

– Więc tak jak już powiedziałem, chodzi o ograniczenie aktywności komunistów na wsiach...

– I co chcesz, żebym zrobił?

– Song Meiling naciska, że powinniśmy wesprzeć Kuomintang większą ilością broni i uzupełnić to wyposażenie, które już mają.

– I co chcesz, żebym zrobił?

Gdy Allan zadał swoje pytanie po raz trzeci, prezydent zamilkł, jakby musiał się przygotować, zanim to powie. Potem odpowiedział:

– Chcę, żebyś pojechał do Chin i wysadzał mosty.

– To czemu od razu tego nie powiedziałeś? – odparł Allan i rozpromienił się.

– Tak dużo mostów, jak to możliwe, żeby przeszkodzić komunistom, ile tylko...

– Miło będzie zobaczyć nowy kraj – powiedział Allan.

– Chcę, żebyś nauczył ludzi Song Meiling wysadzać mosty oraz...

– To kiedy jadę?

* * *

Allan był wprawdzie ekspertem od ładunków wybuchowych i w stanie nietrzeźwym szybko zaprzyjaźnił się z przyszłym

amerykańskim prezydentem, ale był także Szwedem. Gdyby choć trochę interesował się grą polityczną, może zapytałby prezydenta, dlaczego to właśnie on został wybrany do tego zadania. Prezydent był przygotowany na to pytanie i gdyby mu je zadano, odparłby zgodnie z prawdą, że Stany Zjednoczone nie mogą sobie pozwolić na prowadzenie jednocześnie dwóch prawdopodobnie wykluczających się projektów pomocy militarnej Chinom. Oficjalnie wspierano Czang Kaj-szeka i Kuomintang. Teraz po cichu uzupełniono to wsparcie o pełny załadunek statku z wyposażeniem do wysadzania mostów na dużą skalę, zamówiony przez żonę Czang Kaj-szeka, piękną, acz żmijowatą (według prezydenta) i na wpół zamerykanizowaną Song Meiling. Najgorsze było to, że Truman nie mógł wykluczyć, że to wszystko uknuła nad filiżanką herbaty z Eleonorą Roosevelt. O tak, niezły bajzel. Ale teraz nie pozostawało nic innego, jak tylko doprowadzić do spotkania Allana Karlssona z Song Meiling, a wtedy prezydent będzie miał problem z głowy.

Kolejna sprawa na biurku to raczej formalność, bo w myślach już podjął decyzję. Niemniej jednak trzeba było, jak by to powiedzieć, nacisnąć guzik. Na pewnej wyspie, na wschód od Filipin, załoga B-52 czekała na jego znak. Wszystkie testy zostały przeprowadzone. Nic nie mogło pójść nie tak.

Następnego dnia był 6 sierpnia 1945 roku.

* * *

Radość Allana Karlssona, że coś nowego miało się dziać w jego życiu, zgasła, gdy po raz pierwszy spotkał Song Meiling. Dostał instrukcje odszukania jej w apartamencie hotelowym

w Waszyngtonie. Po przedostaniu się przez kilka rzędów ochroniarzy stał wreszcie przed wspomnianą damą, wyciągnął rękę w jej stronę i powiedział:

– Dzień dobry pani, nazywam się Allan Karlsson.

Song Meiling nie uścisnęła jego dłoni. Wskazała natomiast fotel obok.

– Siadaj! – rozkazała.

Allana przez lata podejrzewano o bycie wszystkim, od szaleńca po faszystę, ale nigdy o bycie psem. Rozważał zwrócenie damie uwagi na ten niewłaściwy ton, ale w końcu zrezygnował, zaciekawiony, co się wydarzy. Poza tym fotel wyglądał na wygodny.

Gdy Allan usiadł, Song Meiling zaczęła mówić o najgorszym, co mógł sobie wyobrazić, mianowicie o polityce. Odwoływała się też do prezydenta Roosevelta, jako rzekomego zleceniodawcy całej akcji, a to wydawało się Allanowi dziwne, bo jak można prowadzić operacje militarne z zaświatów?

Song Meiling mówiła, jak ważne jest powstrzymanie komunistów, przeszkodzenie błaznowi Mao Zedongowi w rozprzestrzenianiu jego politycznego jadu z prowincji na prowincję oraz – co dziwne, myślał Allan – że Czang Kajszek nie ma o niczym pojęcia.

– Jak to właściwie jest z waszą miłością? – zapytał Allan.

Song Meiling oświadczyła, że ta kwestia nie powinna obchodzić takiego pachołka jak on. Karlsson został wyznaczony przez prezydenta Roosevelta jako jej bezpośrednio podporządkowany w tej operacji i na przyszłość byłoby lepiej, gdyby tylko odpowiadał na zadane pytania, nic poza tym.

Allan nigdy nie dawał się ponieść złości, zdawało się, że tego nie potrafi, ale tym razem wdał się w dyskusję.

– Z tego, co ostatnio słyszałem o prezydencie Roosevelcie, to to, że nie żyje, a jeśli coś by się w tej kwestii zmieniło, to na pewno pisałaby o tym prasa. Jestem tu za względu na prezydenta Trumana, który mnie o to poprosił. Ale jeśli będzie pani nadal taka opryskliwa, być może się rozmyślę. Chiny mogę odwiedzić innym razem, a mostów już się nawysadzałem.

Song Meiling nie zdarzyło się, żeby ktoś jej się sprzeciwił, odkąd jej matka próbowała powstrzymać ślub córki z buddystą, wiele lat temu. Poza tym potem matka prosiła o wybaczenie, ponieważ ślub doprowadził przecież córkę na sam szczyt.

Teraz Song Meiling musiała przemyśleć sprawę. Źle oceniła sytuację. Do tej pory Amerykanie zaczynali drżeć na całym ciele, gdy wspominała o swojej znajomości z parą prezydencką, państwem Rooseveltami. Ale jak traktować tego człowieka, jeśli nie tak jak wszystkich? Co za jednego przysłał jej ten patałach Truman*?*

Song Meiling wprawdzie nie bratała się z kim popadnie, ale jej świadomość celu była ważniejsza niż zasady. Dlatego zmieniła taktykę:

– Oczywiście zapomnieliśmy porządnie się przywitać – powiedziała i po zachodniemu wyciągnęła rękę. – Ale lepiej późno niż wcale!

Allan nie pamiętał długo cudzych win. Uścisnął jej wyciągniętą dłoń i uśmiechnął się wyrozumiale. Nie zgadzał się natomiast co do tego, że lepiej późno niż wcale. Na przykład jego ojciec stał się

zagorzałym miłośnikiem cara Mikołaja na dzień przed rosyjską rewolucją.

* * *

Dwa dni później Allan leciał do Los Angeles razem z Song Meiling i jej dwudziestoma prywatnymi ochroniarzami. Tam czekał na nich statek, który miał ich zabrać do Szanghaju wraz z całym ładunkiem dynamitu.

Allan wiedział, że nie będzie mógł uniknąć towarzystwa Song Meiling przez całą długą podróż po Oceanie Spokojnym, na to statek był zbyt mały. Dlatego zdecydował, że nawet nie będzie próbował, i skorzystał z oferty stałego miejsca przy stole kapitana każdego wieczoru przy kolacji. Zaletą było dobre jedzenie, wadą – to, że nie byli z kapitanem sami, a towarzyszyła im Song Meiling, która zdawała się niezdolna do rozmowy na inne tematy niż polityka.

Szczerze powiedziawszy, była jeszcze jedna wada, bo zamiast wódki serwowano zielony likier bananowy. Allan przyjmował to, co mu oferowano, ale myślał, że po raz pierwszy pije coś, czego w gruncie rzeczy nie da się pić. Napoje alkoholowe powinny przepływać przez gardło do żołądka, najlepiej tak szybko, jak tylko się da, a nie oblepiać podniebienie.

Ale Song Meiling z chęcią kosztowała likier i im więcej kieliszków w siebie wlewała, tym bardziej subiektywne stawały się jej długie jak wieczność wywody o polityce.

Podczas kolacji na Oceanie Spokojnym Allan całkiem niedobrowolnie dowiedział się między innymi o tym, że błazen Mao Zedong i jego komuniści mogą wygrać wojnę domową, co

w gruncie rzeczy spowodowane jest tym, że Czang Kaj-szek, małżonek Song Meiling, jest beznadziejnym dowódcą. Poza tym jest właśnie w trakcie pertraktacji pokojowych z Mao Zedongiem w południowochińskim mieście Chongqing. Czy pan Karlsson i pan kapitan słyszeli kiedykolwiek coś podobnego? Pertraktować z komunistą! Do czego sensownego mogło to doprowadzić?

Song Meiling była pewna, że pertraktacje zostaną zerwane. Raporty jej tajnych służb donosiły, że znaczna część armii komunistów czeka na przywódcę Mao w niedostępnych terenach górskich prowincji Syczuan, niedaleko Chongqing. Jej specjalni agenci uważali, dokładnie tak jak sama Song Meiling, że błazen i jego siły udadzą się na północny wschód, w kierunku Shaanxi i Henanu, w swoim ohydnym pochodzie propagandowym.

Allan starał się nie odzywać, aby wieczorne wywody polityczne nie zajęły jeszcze więcej czasu, ale beznadziejnie uprzejmy kapitan stawiał pytanie za pytaniem, dolewając bananowego paskudztwa.

Kapitan zastanawiał się, dlaczego właściwie Mao Zedong stanowi takie zagrożenie. Kuomintang ma przecież za plecami Stany Zjednoczone i jest, o ile kapitanowi wiadomo, lepiej uzbrojony.

Pytanie przedłużyło męki tego wieczoru o prawie pół godziny. Song Meiling wyjaśniła, że jej nieudolny mąż ma tyle samo inteligencji, charyzmy i zdolności przywódczych co dojna krowa. Czang Kaj-szek błędnie uważał, że wystarczy tylko mieć kontrolę nad miastami.

Jej plan, do którego włączyła Allana i swoją prywatną ochronę, nie polegał na walce wręcz z Mao, jak by to wyglądało?

Dwudziestu kiepsko uzbrojonych mężczyzn, dwudziestu jeden, wliczając Allana, przeciwko całej armii uzbrojonych przeciwników w górzystym Syczuanie... Nie, miała lepszy pomysł.

Plan polegał na tym, żeby w pierwszej kolejności ograniczyć ruchliwość ludzi błazna, żeby mocno utrudnić przemieszczanie się armii komunistycznej, a w następnym etapie przekonać jej pokracznego męża, aby wykorzystał sytuację, wprowadził swoje siły także na wieś i uświadomił ludowi chińskiemu, że potrzebuje Kuomintangu do obrony przed komunizmem, a nie odwrotnie. Song Meiling zrozumiała bowiem, podobnie jak błazen, to, czego Czang Kaj-szek nie przyjmował do wiadomości – że łatwiej być przywódcą ludu, jeśli ma się lud po swojej stronie.

Jednak nawet ślepej kurze trafi się czasem ziarno i bardzo dobrze się stało, że Czang Kaj-szek zaprosił Mao na pertraktacje akurat do Chongqing w południowo-zachodniej części kraju. Bo przy odrobinie szczęścia błazen i jego żołnierze znajdowaliby się na południe od Jangcy po zerwaniu rozmów pokojowych, aż do momentu, gdy jej ochroniarze i Karlsson dotarliby na miejsce. Wtedy najwyższa pora, aby Karlsson zaczął wysadzać mosty! Błazen na długi czas utknąłby w górach Tybetu.

– A gdyby znalazł się po złej stronie rzeki, wystarczy się przegrupować. W Chinach jest pięćdziesiąt tysięcy rzek, więc gdziekolwiek się ten pasożyt uda, na jego drodze zawsze będzie jakiś ciek wodny.

Błazen i pasożyt, pomyślał Allan, w walce z beznadziejną, nieudolną pokraką, równie inteligentną jak krowa. A między nimi żmija upita zielonym likierem bananowym.

– Ciekawe, jak się sprawy rozwiną – powiedział szczerze Allan. – A tak z innej beczki, nie ma pan kapitan przypadkiem ociupinki jakiejś wódki, żeby przepłukać ten likier?

Niestety kapitan nie miał. Ale było wiele innych trunków, jeśli pan Karlsson życzyłby sobie urozmaicenia: likier cytrusowy, śmietankowy, miętowy...

– Zmieniając temat – dodał Allan. – Kiedy będziemy w Szanghaju?

* * *

Jangcy to nie byle jaki ciek wodny. Rzeka ciągnie się przez tysiące kilometrów, w niektórych miejscach jest szeroka na kilometr. Poza tym jest na tyle głęboka, by mogły po niej pływać okręty z ładunkiem tysięcy ton.

Jest także piękna, wijąc się przez chińskie krajobrazy, miasta, pola i strome skały.

Allan i dwudziestu ochroniarzy Song Meiling udali się statkiem rzecznym w kierunku Syczuanu, w celu uprzykrzenia życia komunistycznemu dorobkiewiczowi Mao Zedongowi. Podróż rozpoczęli 12 października 1945 roku, dwa dni po tym, jak negocjacje pokojowe rzeczywiście zostały przerwane.

Wyprawa nie posuwała się zbyt szybko, bo dwudziestu ochroniarzy chciało się zabawić dzień lub dwa za każdym razem, gdy statek przybijał do jakiegoś portu (myszy harcowały, gdy kot udał się bezpiecznie do letniej rezydencji pod Tajpej). Często się zatrzymywali. Najpierw w Nankinie, potem w Wuhu, Anqing, Jiujiang, Huangshi, Wuhan, Yueyang, Yidu, Fengjie, Wanzhou,

Chongqing i Luzhou. W każdym z tych miejsc było pijaństwo, prostytutki i ogólne rozpasanie.

Ponieważ taki tryb życia generuje duże koszty, dwudziestu żołnierzy Song Meiling wymyśliło nowy podatek. Chłopi, którzy chcieli wyładować w porcie swoje towary, musieli uiścić opłatę w wysokości pięciu juanów albo odejść z kwitkiem. Do tego, kto się wykłócał, strzelano.

Dochody z podatku natychmiast szły na uciechy w najmroczniejszych dzielnicach miast, które – co dość praktyczne – zwykle leżały w okolicy portu. Allan pomyślał, że skoro Song Meiling uważała, że to ważne, aby mieć ludność po swojej stronie, może powinna była przekazać tę informację swoim żołnierzom. Ale to oczywiście był jej problem, nie Allana.

Minęły dwa miesiące, zanim Allan i dwudziestu żołnierzy dotarło do prowincji Syczuan, a siły Mao Zedonga już dawno zdążyły udać się na północ. Poza tym nie przeprawili się górami, tylko zeszli w dolinę i stoczyli bitwę z wojskami Kuomintangu, które zajęły miasto Yibin.

O mały włos Yibin dostałby się w ręce komunistów. W walce zginęło trzy tysiące żołnierzy Kuomintangu, przynajmniej dwa i pół tysiąca z nich dlatego, że byli zbyt pijani, by walczyć. Dla porównania komunistów zginęło trzystu, prawdopodobnie trzeźwych.

Bitwa o Yibin skończyła się mimo wszystko zwycięstwem Kuomintangu, bo wśród pięćdziesięciu wziętych do niewoli komunistów był prawdziwy brylant. Czterdziestu dziewięciu więźniów można było zastrzelić i zakopać w dole, ale ten pięćdziesiąty! Mmmm! Ten pięćdziesiąty to nikt inny jak piękna

Jiang Qing, aktorka, która stała się zwolenniczką marksizmu-leninizmu oraz – przede wszystkim! – czwartą żoną Mao Zedonga.

* * *

Od razu zaczęto długie narady między dowództwem wojsk Kuomintangu w Yibinie a żołnierzami Song Meiling. Kłótnia dotyczyła tego, kto przejmie odpowiedzialność za więźnia-gwiazdę, Jiang Qing. Dowództwo wojsk Kuomintangu do tej pory trzymało więźnia w zamknięciu, w oczekiwaniu, aż łódź z załogą Song Meiling dotrze na miejsce. Nie ważono się na nic innego, bo na pokładzie mogła przecież być sama Song Meiling. A z nią nie było dyskusji.

Ale Song Meiling, jak się okazało, była w Tajpej, więc dowództwo uważało, że sprawa jest prosta. Jiang Qing zostanie najpierw brutalnie zgwałcona, a następnie, o ile nadal będzie przy życiu, zastrzelona.

Żołnierze ze straży Song Meiling nie mieli nic przeciwko gwałtowi, mogli nawet pomóc, ale Jiang Qing w żadnym wypadku nie mogła zginąć. Musiała trafić w ręce Song Meiling albo przynajmniej Czang Kaj-szeka, którzy podejmą decyzję. Chodziło o politykę na dużą skalę, wyjaśnili doświadczeni politycznie żołnierze prowincjonalnemu szefowi wojsk w Yibinie.

Szef nie odważył się w końcu sprzeciwić i z niezadowoleniem obiecał, że jeszcze tego samego popołudnia przekaże brylant. Spotkanie zakończono, a żołnierze postanowili uczcić zwycięstwo porządną rundą po mieście. Ale będzie wesoło podczas podróży z brylantem!

Końcowe negocjacje prowadzono na pokładzie statku rzecznego, którym przypłynęli Allan i żołnierze. Allan nie mógł się nadziwić, że zrozumiał prawie wszystko, co powiedziano. Podczas gdy żołnierze zabawiali się w różnych miastach, Allan siedział na tylnym pokładzie razem z sympatycznym chłopcem okrętowym, Ah Mingiem, który – jak się okazało – miał duży talent pedagogiczny. W dwa miesiące udało mu się nauczyć Allana niemal swobodnego używania chińskiego (zwłaszcza jeśli chodzi o przekleństwa i wulgaryzmy).

* * *

Allan już jako dziecko nauczył się, że należy być podejrzliwym w stosunku do ludzi, którzy mimo okazji odmawiają napicia się. Nie mógł mieć więcej niż sześć lat, gdy ojciec położył rękę na jego małym ramieniu i powiedział:

– Uważaj na księży, mój synu. I takich, co nie piją wódki. Najgorsi ze wszystkich są księża, którzy nie piją wódki.

Z drugiej strony ojciec Allana nie był całkiem trzeźwy, gdy pewnego dnia spuścił lanie niewinnemu pasażerowi pociągu i w ten sposób bezzwłocznie pożegnał się z koleją państwową. To natomiast sprawiło, że także matka skierowała do Allana złotą myśl:

– Uważaj na pijaków, Allan. Sama powinnam była uważać.

Mały chłopiec dorastał i do tego, co przekazali mu rodzice, dokładał własne spostrzeżenia. Księża czy politycy, teraz to wszystko jedno, uważał Allan, poza tym nie grało roli, czy są komunistami, faszystami, kapitalistami czy kimkolwiek innym. Zgadzał się natomiast z ojcem co do tego, że porządni ludzie nie

piją soczku. I zgadzał się z matką, że należy się dobrze zachowywać, nawet jeśli jest się nieco podchmielonym.

W praktyce oznaczało to, że Allan w trakcie podróży stracił chęć niesienia pomocy Song Meiling i jej dwudziestu żołnierzom-pijakom (było ich zresztą już tylko dziewiętnastu, odkąd jeden wypadł za burtę i utonął). Nie chciał być świadkiem gwałtu na więźniu, którego zamknięto pod pokładem, bez względu na to, czy więzień jest komunistą, czy też nie i z kim jest w związku małżeńskim.

Tak więc Allan zdecydował się zbiec i zabrać ze sobą więźnia spod pokładu. Poinformował chłopca okrętowego i przyjaciela, Ah Minga, o swoim zamiarze i poprosił pokornie o pomoc przy załatwieniu prowiantu dla przyszłych uciekinierów. Ah Ming obiecał, że pomoże, ale pod jednym warunkiem – że będzie mógł uciec z nimi.

Osiemnastu z dziewiętnastu żołnierzy Song Meiling wraz z kucharzem okrętowym i kapitanem statku rzecznego zabawiło się w dzielnicy uciech miasta Yibin. Dziewiętnasty żołnierz, ten, który wyciągnął najkrótszą zapałkę, siedział naburmuszony pod drzwiami przy schodach prowadzących do celi Jiang Qing pod pokładem.

Allan przysiadł, by porozmawiać ze strażnikiem, i zaproponował po kieliszku. Strażnik odparł, że musi pilnować być może najważniejszego więźnia narodu i że w takiej sytuacji nie wypada siedzieć i żłopać wódkę ryżową.

– Oczywiście, zgadzam się – powiedział Allan. – Ale jeden kieliszek chyba nie zaszkodzi?

– Nie – odparł strażnik z namysłem. – Jeden kieliszek nie zaszkodzi, rzecz jasna.

Dwie godziny później Allan i strażnik zdążyli opróżnić dwie butelki, a chłopiec okrętowy Ah Ming biegał tam i z powrotem do spiżarni i serwował smakołyki. Allan w trakcie tego zrobił się nieco senny, a strażnik, który miał zostać upity, zasnął bezpośrednio na pokładzie.

– Tak, tak – powiedział Allan i spojrzał na nieprzytomnego chińskiego żołnierza u swych stóp. – Uważaj, zanim zaczniesz pić ze Szwedem, o ile sam nie jesteś Finem albo przynajmniej Rosjaninem.

Ekspert od bomb Allan Karlsson, chłopiec okrętowy Ah Ming i nieskończenie wdzięczna żona komunistycznego przywódcy Jiang Qing opuścili statek rzeczny pod osłoną nocy i wkrótce znaleźli się w górach, gdzie Jiang Qing spędziła już wiele czasu z zastępami męża. Znali ją tybetańscy nomadzi z okolicy, więc zbiegowie nie mieli problemów z najedzeniem się do syta, nawet wtedy, gdy prowiant zabrany przez Ah Minga się skończył. Nie dziwiło, że Tybetańczycy byli przyjaźnie nastawieni do przedstawiciela armii wyzwolenia ludu, ponieważ było powszechnie wiadomo, że gdy tylko komuniści wygrają walkę o Chiny, niezależność Tybetu zostanie sformalizowana.

Według pomysłu Jiang Qing cała trójka miała jak najszybciej udać się na północ, omijając obszar kontrolowany przez Kuomintang. Po kilku miesiącach górskiej wędrówki mieli dotrzeć do Xi’an w prowincji Shaanxi, gdzie powinien czekać na nich małżonek Jiang Qing, o ile wyprawa nie przedłuży się.

Ah Ming był zachwycony obietnicą Jiang Qing, że w przyszłości będzie mógł obsługiwać samego Mao. Chłopiec w tajemnicy został komunistą, widząc, jak zachowywali się żołnierze straży, więc odpowiadała mu taka sytuacja.

Natomiast Allan stwierdził, że jest pewien, iż komuniści świetnie dadzą sobie radę bez niego, więc czy w porządku byłoby, gdyby Allan mógł się udać do domu, jak Jiang Qing sądzi?

Owszem, tak uważała, ale „dom" to była przecież Szwecja, która leżała bardzo daleko. Jak pan Karlsson zamierza rozwiązać ten problem?

Allan odparł, że łódź lub samolot oczywiście byłyby najodpowiedniejsze, ale niestety morza świata były dosyć daleko, aby w grę wchodziła łódź, a żadnych lotnisk w górach nie widział, nie miał zresztą pieniędzy.

– Muszę się więc udać piechotą – odpowiedział Allan.

* * *

Sołtys wsi, w której serdecznie przyjęto troje zbiegów, miał brata, podróżującego w życiu więcej niż ktokolwiek inny. Był aż w Ułan Bator na północy i w Kabulu na zachodzie. Poza tym zanurzył stopy w Zatoce Bengalskiej podczas podróży do Azji Południowo-Wschodniej. Ale teraz przebywał w domu, w wiosce, i sołtys wezwał go do siebie i poprosił o narysowanie mapy świata, tak żeby pan Karlsson mógł za jej pomocą trafić z powrotem do Szwecji. Brat obiecał, że to zrobi, i już następnego dnia był gotowy ze swoim zadaniem.

Nawet jeśli zadbało się o porządne ubranie, można to chyba nazwać brawurą, gdy z pomocą ręcznie narysowanej mapy i kompasu zamierza się przejść Himalaje. Właściwie mógł powędrować na północ od łańcucha górskiego albo, także na północ, od Jeziora Aralskiego i Morza Kaspijskiego, ale rzeczywistość i ręcznie robiona mapa nie szły w parze. Allan pożegnał się z Jiang Qing i Ah Mingiem i rozpoczął swoją wyprawę, która miała prowadzić przez Tybet, Himalaje, Indie Brytyjskie, Afganistan, Iran i Turcję, aż do Europy.

Po dwóch miesiącach wędrówki Allan zorientował się, że wybrał złą stronę łańcucha górskiego i że najlepiej będzie zawrócić i zacząć od początku. Po kolejnych czterech miesiącach (po właściwej stronie) Allan pomyślał, że dosyć wolno mu to idzie. Dlatego na rynku w pewnej górskiej wiosce kupił wielbłąda, targując się najlepiej, jak potrafił, za pomocą języka migowego i tego chińskiego, który znał. W końcu Allan i sprzedawca dogadali się, ale dopiero wtedy, gdy sprzedawca dał się przekonać, że Allan wraz z wielbłądem nie będzie musiał wziąć córki sprzedawcy.

Co prawda, zastanawiał się przez chwilę, czy jednak nie wziąć również córki. Nie dla celów kopulacyjnych, żadnych ciągot w tym kierunku nie miał. W pewnym sensie zostały one w sali operacyjnej doktora Lundborga. To raczej towarzystwo było kuszące. Życie w górach Tybetu bywa samotne.

Ale ponieważ córka nie mówiła w żadnym innym języku poza monotonnym tybetańsko-birmańskim, z którego Allan nie rozumiał ani słowa, pomyślał więc, że równie dobrze może mówić do wielbłąda. Poza tym nie można było wykluczyć, że córka

wiązała z przedsięwzięciem pewne seksualne plany. Allan wyczuwał to w jej wzroku.

Dlatego stało się tak, że kolejne dwa miesiące spędził w samotności, kołysząc się na wielbłądzim grzbiecie, zanim spotkał trzech nieznajomych, także na wielbłądach. Allan pozdrowił ich we wszystkich językach, jakie znał: po chińsku, hiszpańsku, angielsku i szwedzku. Na szczęście jeden z języków zadziałał, mianowicie angielski.

Jeden z nieznajomych zapytał Allana, kim jest i dokąd zmierza. Allan odpowiedział, że ma na imię Allan i jedzie do domu do Szwecji. Mężczyźni wytrzeszczyli oczy. Zamierzał jechać na wielbłądzie aż do północnej Europy?

– Z małą przesiadką na statek przez Östersund – odrzekł Allan.

Trzej mężczyźni nie wiedzieli, co to Östersund. Ale gdy upewnili się, że Allan nie jest na usługach brytyjsko-amerykańskiego lokaja szacha Iranu, zaproponowali mu, aby dołączył do nich.

Opowiedzieli, że poznali się jakiś czas temu, gdy razem studiowali angielski na uniwersytecie w Teheranie. W przeciwieństwie do pozostałych studentów w grupie wybrali ten język nie po to, aby biegać na posyłki brytyjskiego zwierzchnika. Po studiach spędzili dwa lata w najbliższych kręgach źródła inspiracji komunistów, Mao Zedonga, a teraz byli w drodze powrotnej do Iranu.

– Jesteśmy marksistami – powiedział jeden z mężczyzn. – Toczymy walkę w imieniu międzynarodowego robotnika, przeprowadzimy rewolucję społeczną w Iranie i na całym świecie, zniesiemy system kapitalistyczny, zbudujemy społeczeństwo

oparte na ekonomicznej i społecznej równości wszystkich ludzi i na indywidualnych możliwościach jednostki; od każdego według możliwości, każdemu według potrzeb.

– Aha – odpowiedział Allan. – A nie macie przypadkiem trochę wódki?

Mieli. Butelka wędrowała z grzbietu jednego wielbłąda na drugi i Allan pomyślał po chwili, że zanosi się na niezłą podróż.

Jedenaście miesięcy później mężczyźni zdążyli uratować sobie nawzajem życie co najmniej trzy razy. Przeżyli lawinę, napad opryszków, ekstremalny mróz i powtarzające się okresy głodu. Dwa wielbłądy zdechły, trzeciego musieli zabić i zjeść, a czwartego byli zmuszeni podarować afgańskiemu celnikowi w zamian za wpuszczenie do kraju.

Allan nigdy nie sądził, że łatwo przejdzie Himalaje. Z czasem zaczął uważać, że miał szczęście, spotykając tych trzech sympatycznych irańskich komunistów, bo nie byłoby miło samemu stawiać czoło burzom piaskowym w dolinach i czterdziestostopniowemu mrozowi w górach. Zresztą czterdziestostopniowego mrozu i tak nie dali rady pokonać. Grupa musiała rozbić obóz na wysokości dwóch tysięcy metrów, aby przeczekać zimę przełomu 1946–1947.

Trzej komuniści próbowali oczywiście wciągnąć Allana do walki, zwłaszcza gdy dowiedzieli się, jakie ma zręczne ręce, jeśli chodzi o dynamit i tym podobne. Allan odpowiadał, że życzy im powodzenia, ale musi wracać do ojczyzny i zająć się domem w Yxhult. W pośpiechu zapomniał, że osiemnaście lat temu wysadził ten dom w powietrze.

W końcu mężczyźni porzucili próby przekonania Allana i zadowolili się tym, że był dobrym towarzyszem, takim, który nie narzeka na byle śnieg. Jego poważanie w grupie urosło jeszcze bardziej, gdy w oczekiwaniu na lepszą pogodę i z braku lepszych zajęć wymyślił, jak uzyskać alkohol z koziego mleka. Komuniści nie pojmowali, jak to zrobił, ale mleko było całkiem mocne i dzięki temu było im cieplej, a czasem i mniej nudno.

Wiosną 1947 roku dotarli wreszcie na drugą stronę najwyższych gór świata. Im bliżej byli irańskiej granicy, tym intensywniej komuniści rozmawiali o przyszłości Iranu. Najwyższa pora wygonić obcych z kraju. Brytyjczycy przez wszystkie lata wspierali skorumpowanego szacha i to już było wystarczająco straszne. A gdy szach znudził się chodzeniem na ich smyczy i zaczął się jeżyć, strącili go z tronu i posadzili na nim jego syna. Allan skojarzył to z Song Mei ling i jej stosunkiem do Czang Kajszeka i pomyślał, że dziwne relacje rodzinne mają ludzie na świecie.

Syn był oczywiście łatwiejszy do przekupienia niż ojciec i teraz Brytyjczycy i Amerykanie kontrolowali irańską ropę, w czym mieli im przeszkodzić trzej irańscy komuniści zainspirowani przez Mao Zedonga. Problem w tym, że pozostałych irańskich komunistów ciągnęło raczej w stronę Związku Radzieckiego Stalina, a poza tym była cała masa innych zawadzających elementów radykalnych, które mieszały w to wszystko także religię.

– Interesujące – powiedział Allan, a pomyślał zupełnie odwrotnie.

W odpowiedzi usłyszał długą marksistowską deklarację na temat tego, że to bardziej niż interesujące. Trójka zwycięży albo zginie.

Już następnego dnia okazało się, że faktem jest alternatywa numer dwa, bo gdy tylko czwórka przyjaciół wkroczyła na irańską ziemię, wszyscy zostali aresztowani przez patrol graniczny, który akurat był w pobliżu. Na nieszczęście trzej komuniści mieli przy sobie własne egzemplarze *Manifestu komunistycznego* (i to po persku), i już za to z miejsca ich zastrzelono. Allana ocalił fakt, że nie miał przy sobie żadnej literatury. Poza tym wyglądał na obcokrajowca i wymagał dalszego dochodzenia.

Z lufą wbitą w plecy Allan zdjął czapkę z głowy i podziękował trzem irańskim komunistom za towarzystwo w wyprawie przez Himalaje. Pomyślał, że chyba nigdy się nie przyzwyczai, że przyjaciele, jakich zdobył, umierają na jego oczach.

Na dłuższą chwilę żałoby nie było czasu. Związano go bowiem i rzucono na koc, leżący na platformie ciężarówki. Z nosem w kocu prosił po angielsku, żeby go zawieziono do szwedzkiej ambasady w Teheranie, ewentualnie amerykańskiej, jeśli Szwecja nie ma w mieście swojej reprezentacji.

– *Khafe sho!* – usłyszał w odpowiedzi groźnym tonem.

Allan nie zrozumiał, ale… zrozumiał. Nie zaszkodzi zamknąć na chwilę usta.

* * *

Pół kuli ziemskiej dalej, w Waszyngtonie, prezydent Harry S. Truman miał na głowie własne zmartwienia. Powoli zbliżały się wybory w Ameryce i trzeba było obrać odpowiednią taktykę.

Najważniejszą kwestią strategiczną było to, do jakiego stopnia może głaskać Murzynów z Południa. Równowaga polegała na tym, by z jednej strony zachowywać się nowocześnie, a z drugiej nie być zbyt uległym. To w taki sposób trzyma się opinię publiczną po swojej stronie.

A na światowej scenie politycznej miał Stalina, z którym musiał się jakoś obchodzić. W tym przypadku nie był jednak gotowy na żadne kompromisy. Stalinowi udało się oczarować tych i owych, ale nie Harry'ego S. Trumana.

W obliczu innych wydarzeń Chiny zeszły na drugi plan. Stalin udzielał pomocy temu tam Mao Zedongowi, więc Truman nie mógł robić tego samego w stosunku do amatora Czang Kaj-szeka. Song Meiling dostała to, o co prosiła, ale już wystarczy. Ciekawe zresztą, co się stało z Allanem Karlssonem? Przemiły typ, doprawdy.

* * *

Porażek militarnych Czang Kaj-szeka było coraz więcej. Plan Song Meiling upadł, gdy odpowiedzialny pirotechnik zniknął, na dodatek zabierając ze sobą żonę błazna.

Song Meiling raz za razem żądała spotkania z prezydentem Trumanem, aby móc udusić go własnymi rękoma za to, że nasłał na nią Allana Karlssona, ale Truman nigdy nie miał czasu jej przyjąć. Stany Zjednoczone odwróciły się od Kuomintangu plecami; korupcja, hiperinflacja i głód – wszystko sprzyjało Mao Zedongowi. W końcu Czang Kaj-szek, Song Meiling i ich podwładni uciekli do Tajwanu. Lądowa część Chin stała się komunistyczna.

ROZDZIAŁ 12

Poniedziałek, 9 maja 2005

Przyjaciele w Sjötorp zrozumieli, że nadeszła pora, aby zająć miejsce w autobusie i na dobre udać się w drogę. Ale przedtem musieli załatwić kilka niezbędnych spraw.

Ślicznotka ubrała się w płaszcz przeciwdeszczowy, kaptur i kalosze, wyciągnęła szlauch, żeby spłukać zwłoki bandyty, którego Sonja właśnie zasiedziała na śmierć. Ale najpierw wyjęła z jego prawej ręki rewolwer i położyła ostrożnie na werandzie (potem zapomniała o nim), z lufą skierowaną na gruby świerk cztery metry dalej. Nigdy nie wiadomo, kiedy takie urządzenia wystrzelą.

Gdy Hultaj został uwolniony od odchodów Sonii, Julius i Benny wpakowali go pod siedzenie jego własnego forda mustanga. Normalnie nie zmieściłby się tam, ale teraz był przecież elegancko spłaszczony.

Julius usiadł za kierownicą auta bandyty i odjechał, a za nim pojechał Benny w passacie Ślicznotki. Zamierzali poszukać jakiegoś ustronnego miejsca, w wystarczająco dużej odległości od Sjötorp, a potem oblać samochód Hultaja benzyną i podpalić, dokładnie tak, jak zrobiliby to profesjonalni gangsterzy w takiej sytuacji.

Lecz do tego potrzebowali najpierw kanistra, a potem benzyny. Dlatego Julius i Benny przystanęli pod stacją przy Sjösåsvägen w Braås. Benny wszedł do budynku, żeby załatwić sprawę, a Julius, żeby kupić coś dobrego do żucia.

Nowiutki ford mustang z silnikiem V8 i ponad trzystu końmi mechanicznymi pod stacją benzynową w Braås jest równie dużą sensacją jak boeing 747 na środku Sveavägen w Sztokholmie. Nie zajęło więcej niż sekundę, gdy młodszy brat Hultaja i jego kolega z The Violence zdecydowali, że muszą chwytać dzień. Młodszy brat wskoczył do mustanga, a kolega miał oko na domniemanego właściciela, który właśnie wybierał żelki w budynku stacji. Co za zdobycz! I co za idiota! Kluczyki w stacyjce!

Gdy Benny i Julius wyszli na zewnątrz, jeden z nowo zakupionym kanistrem na benzynę, drugi z gazetą pod pachą i ustami pełnymi żelek, mustanga nie było.

– Czy nie tutaj zaparkowałem samochód? – zapytał Julius.

– No tutaj – odparł Benny.

– Mamy problem? – spytał Julius.

– Teraz to mamy problem – powiedział Benny.

Wsiedli do nieskradzionego passata i pojechali z powrotem do Sjötorp. Pusty kanister nadal był pusty. Ale to bez znaczenia.

* * *

Mustang był czarny z dwoma jasnożółtymi naklejonymi pasami na dachu. Prawdziwy okaz, za który brat Hultaja i jego kumpel na pewno dostaną sporo grosza. Kradzież była równie przypadkowa co bezproblemowa. W ciągu mniej niż pięciu minut

po nieplanowanym zajściu samochód został bezpiecznie zaparkowany w garażu The Violence.

Już następnego dnia wymieniono tablice rejestracyjne, po czym braciszek Hultaja przekazał samochód swojemu pachołkowi, by ten odstawił go do współpracownika w Rydze i wrócił promem. To, co zwykle miało miejsce później, wyglądało następująco: Łotysze fałszowali numery i dokumenty samochodu i sprzedawali go komuś z The Violence jako całkiem legalne auto.

Ale tym razem sprawy potoczyły się inaczej, bo z samochodu od Szwedów, stojącego w garażu w Ziepniekkalns na południowych przedmieściach Rygi, zaczęło okropnie śmierdzieć. Szef garażu zbadał sprawę bliżej i odkrył zwłoki na podłodze pod tylnym siedzeniem. Rzucał przekleństwa, wyrwał tablice rejestracyjne i wszystko, co w jakiś sposób mogło pomóc w zidentyfikowaniu auta. Potem zaczął niszczyć kiedyś tak piękny okaz mustanga i skończył dopiero, gdy samochód wyglądał na bezwartościowy. Następnie znalazł pijaczka, który dał się przekupić i za cztery butelki wina odstawił samochód na szrot, ze zwłokami i całą resztą.

* * *

Przyjaciele w Sjötorp byli gotowi do drogi. To, że mustang z martwym bandytą został skradziony, było oczywiście kłopotliwe, ale tylko do momentu, gdy Allan stwierdził, że jest, jak jest, a w przyszłości będzie, co będzie. Poza tym twierdził, że przecież mogą mieć spore nadzieje na to, że złodziej nie skontaktuje się z policją. Trzymanie się z daleka od policji leżało jakby z zasady w naturze złodziei samochodów.

Było wpół do szóstej wieczorem. Dobrze, że wyjechali, zanim zaczęło się ściemniać, bo autobus był duży, a drogi na początku wąskie i kręte.

Sonja stała na swoim miejscu w zagrodzie na kółkach, wszystkie ślady słonia zostały starannie usunięte zarówno z podwórza, jak i ze stodoły. Passat Ślicznotki i mercedes Benny'ego musiały zostać, nie były przecież zamieszane w żadne przestępstwo, a zresztą co by zrobili z samochodami?

Autobus ruszył w drogę. Ślicznotka zamierzała sama prowadzić, wiedziała, jak się prowadzi autobus. Ale okazało się, że Benny był „prawie" nauczycielem szkoły jazdy i miał w swoim prawie jazdy wszystkie litery, jakie tylko są możliwe, więc w tej sytuacji najlepiej, żeby on siedział za kółkiem. Grupa nie musiała przecież łamać prawa więcej razy, niż im się to do tej pory zdarzyło.

Przy skrzynce na listy Benny skręcił w lewo, z dala od Rottne i Braås. Według Ślicznotki po umęczeniu się nieco na żwirówkach trafiliby w końcu do Åby, a potem pojechali drogą numer 30 na południe od Lammhult. Tam dojechaliby w pół godziny, dlaczego więc nie mieliby wykorzystać tego czasu na dyskusję, dokąd się tak właściwie wybierają?

* * *

Cztery godziny wcześniej Szef siedział zniecierpliwiony i czekał na tego ze swoich pachołków, który jeszcze nie zniknął. Gdy tylko Caracas wróci po załatwieniu swoich spraw, cokolwiek by to było, wybierze się z Szefem na południe. Ale nie na motocyklu i nie w kurtce klubowej. Pora na ostrożność.

Szef zaczął zresztą podawać w wątpliwość swoją wcześniejszą strategię z kurtkami klubowymi i napisem Never Again na plecach. Pierwotnym celem było stworzenie poczucia tożsamości i przynależności do bandy oraz wzbudzenie respektu w nienależących do bandy. Ale po pierwsze, banda była dużo mniejsza, niż Szef planował; trzymać w kupie czwórkę złożoną z Bolca, Hultaja, Caracasa i siebie samego – to mógł i bez kurtek. A po drugie, ich działalność sprawiła, że kurtka klubowa jako znak firmowy stała się zbyt rozpoznawalna. Rozkaz, który Bolec dostał przed transakcją w Malmköping, był nieco dwuznaczny, bo z jednej strony miał się tam udać publicznym środkiem transportu, w imię zasad dyskrecji, z drugiej miał mieć na sobie kurtkę klubową z napisem Never Again na plecach, żeby pokazać Ruskowi, komu podskakuje, jeśliby podskakiwał.

A teraz Bolec zwiał... czy co tam się właściwie wydarzyło. A na plecach nosił wiadomość mniej więcej takiej treści: Jeśli masz jakieś pytania, zadzwoń do Szefa.

Kurwa mać! – pomyślał Szef. Kiedy to zamieszanie się skończy, kurtki zostaną spalone. Ale gdzie, do cholery, jest ten Caracas? Przecież mieli już jechać!

Caracas pojawił się osiem minut później i tłumaczył spóźnienie tym, że był w Seven-Eleven po arbuza.

– Orzeźwiający i pyszny – wyjaśnił Caracas.

– Orzeźwiający i pyszny? Pół organizacji zniknęło wraz z pięćdziesięcioma milionami koron, a ty idziesz kupić owoce?

– Nie owoce, tylko warzywo – powiedział Caracas. – Z rodziny dyniowatych tak naprawdę.

Tego już Szef nie wytrzymał, chwycił arbuza i roztrzaskał go na głowie biednego Caracasa. Na to Caracas się rozpłakał i powiedział, że on już tak dłużej nie chce. Odkąd najpierw Bolec, a potem Hultaj zniknęli, tylko mu się od Szefa dostaje, jakby to była jego wina. O nie, niech sobie Szef radzi teraz sam, Caracas zamierza zadzwonić po taksówkę i pojechać na lotnisko Arlanda, żeby polecieć prosto do rodziny, do... Caracas. Wtedy przynajmniej odzyska swoje prawdziwe imię.

– *¡Vete a la mierda!* – zapłakał Caracas i wybiegł.

Szef westchnął. Wszystko coraz bardziej się plątało. Najpierw zniknął Bolec, i z perspektywy czasu Szef musiał przyznać, że odreagowywał sporo frustracji z tego powodu na Hultaju i Caracasie. Potem zniknął Hultaj, i z perspektywy czasu Szef musiał przyznać, że odreagowywał sporo frustracji z tego powodu na Caracasie. A potem zniknął Caracas – żeby kupić arbuza. I z perspektywy czasu Szef musiał przyznać, że... z tego powodu nie powinien był rozbijać arbuza na głowie Caracasa.

Teraz został sam z polowaniem na... no tak, nie wiedział nawet, na co poluje. Musiał znaleźć Bolca. Czy Bolec ukradł walizkę? Czy był aż tak głupi? I co się stało z Hultajem?

Odpowiednio do stanowiska Szef jeździł najnowszym modelem bmw X5. I przeważnie zbyt szybko. Policjanci w śledzącym go samochodzie cywilnym sumowali wykroczenia podczas jazdy do Smålandii i po trzystu kilometrach zgodnie uznali, że mężczyzna za kierownicą bmw przed nimi nie powinien odzyskać prawa jazdy przez najbliższe czterysta lat, o ile zostałby oskarżony o wszystkie przewinienia, których się dopuścił.

Śledzenie Szefa doprowadziło ich do Åsedy, a tam komisarz Aronsson zmienił kolegów ze Sztokholmu, podziękował za pomoc i powiedział, że teraz już sobie poradzi.

Za pomocą nawigacji GPS w bmw Szef nie miał najmniejszych problemów ze znalezieniem drogi do Sjötorp. Ale im był bliżej, tym bardziej się niecierpliwił. Nielegalna szybka jazda była tak szybka, że komisarz Aronsson miał trudności z nadążeniem za nim. Musiał przecież utrzymywać pewien dystans, tak żeby Per-Gunnar „Szef" Gerdin nie zauważył, że jest śledzony, ale teraz prawda była taka, że Aronsson zaczynał tracić go z oczu. Tylko na długich prostych odcinkach drogi mógł wypatrzyć bmw aż do... aż nie mógł go już wcale dostrzec!

Dokąd pojechał Gerdin? Musiał chyba gdzieś skręcić. Aronsson zwolnił, czuł pot na czole, nie podobała mu się myśl o tym, co prawdopodobnie miało nastąpić.

Znalazł zjazd w lewo. Czy to tamtędy pojechał Gerdin? Czy może pojechał prosto do... Rottne, tak się nazywa ta miejscowość? Po drodze było mnóstwo progów zwalniających, więc powinien teraz dogonić Gerdina. O ile Gerdin nie skręcił tuż przed miasteczkiem.

Tak się musiało stać. Aronsson zawrócił i skręcił tam, gdzie – jak zgadywał – wcześniej Gerdin zrobił to samo. Teraz musi mieć oczy szeroko otwarte, bo jeśli Gerdin skręcił w tę dróżkę, cel podróży jest blisko.

* * *

Szef zahamował gwałtownie, gdy zmniejszył prędkość ze stu osiemdziesięciu do dwudziestu kilometrów, i szybko wjechał na

żwirową drogę, którą wskazała nawigacja. Teraz od celu dzieliło go zaledwie 3,7 kilometra. Dwieście metrów od skrzynki na listy w Sjötorp droga skręcała po raz ostatni i za zakrętem Szef dostrzegł tylną część autobusu, który wytoczył się z tego zjazdu, w który Szef właśnie miał wjechać. Co teraz zrobić? Kto był w autobusie? I kto jest nadal w Sjötorp?

Szef zdecydował, że pozwoli pojazdowi odjechać. Skręcił w dróżkę i zjechał nią do, jak się okazało, podwórza przed domem, stodołą i budką rybacką, której czasy świetności dawno minęły.

Ale żadnego Hultaja. Ani Bolca. Ani starca. Ani rudej baby. Ani walizki na kółkach.

Szef spędził na miejscu jeszcze minutę. Wyraźnie nie było tam ludzi, ale za stodołą stały ukryte dwa samochody: czerwony volkswagen passat i srebrny mercedes.

– Właściwe miejsce, bez dwóch zdań – powiedział do siebie Szef. – Ale chyba kilka minut za późno?

I postanowił dogonić autobus. Powinno się udać – trzy, cztery minuty jazdy na krętej, żwirowej drodze.

Szef ruszył i bmw poniosło go prosto na główną drogę. Tam, przy skrzynce na listy, skręcił w lewo, tak samo jak to wcześniej zrobił autobus. Nacisnął pedał gazu i zniknął w kłębach kurzu. To, że z drugiej strony zbliżało się niebieskie volvo, ani trochę nie obeszło Szefa.

Komisarz Aronsson najpierw ucieszył się, że znów ma Gerdina na oku, ale biorąc pod uwagę prędkość, z jaką Gerdin prowadził swoją czterokołową diabelską maszynę, ponownie stracił nadzieję. Nie miał szans go dogonić. Równie dobrze może zamiast tego spojrzeć na to miejsce... nazywa się Sjötorp... to tam pojechał

Gerdin i zawrócił... a nazwisko na skrzynce na listy brzmi Gunilla Björklund.

– Nie zdziwiłbym się, gdybyś miała rude włosy, Gunillo – powiedział.

Tak oto volvo komisarza Aronssona wjechało na to samo podwórko, na które wjechały ford mustang Henrika „Hultaja" Hulténa dziewięć godzin wcześniej i bmw Pera-Gunnara „Szefa" Gerdina na kilka minut przed komisarzem.

Komisarz Aronsson skonstatował od razu, podobnie jak Szef, że Sjötorp jest opuszczone. Poświęcił jednak zdecydowanie więcej czasu na poszukiwanie kolejnych elementów układanki. Jeden znalazł w postaci gazet wieczornych z poprzedniego dnia w kuchni i sporej ilości świeżych warzyw w lodówce. Ucieczka musiała więc nastąpić dzisiaj. Kolejnym były oczywiście mercedes i volkswagen passat za stodołą. Jeden mówił Aronssonowi całkiem sporo, drugi – jak zgadywał – należał do Gunilli Björklund.

Pozostały mu dwa nader interesujące spostrzeżenia. Po pierwsze, znalazł rewolwer leżący na werandzie domu. Co tam robił? I czyich odcisków palców było na nim pełno? Aronsson zgadywał, że Hultaja Hulténa, i ostrożnie wsadził rewolwer do plastikowej torby.

Kolejnego spostrzeżenia dokonał przy skrzynce na listy w drodze powrotnej. Wśród listów z tego dnia znajdował się jeden z wydziału komunikacji, potwierdzający zmianę właściciela żółtej scanii K113, rocznik 1992.

– Jeździcie sobie autobusem? – zapytał głośno komisarz samego siebie.

* * *

Żółty autobus powoli posuwał się naprzód. Dogonienie go nie zajęło bmw wiele czasu. Ale na wąskiej drodze Szefowi nie pozostawało nic innego, jak tylko jechać za autobusem i snuć fantazje na temat tego, kto się w nim znajduje i czy przypadkiem ma ze sobą szarą walizkę na kółkach.

Szczęśliwie nieświadomi niebezpieczeństwa czającego się pięć metrów za nimi, przyjaciele w autobusie omawiali aktualną sytuację i szybko uzgodnili, że najlepiej byłoby, gdyby znaleźli jakąś kryjówkę na najbliższe kilka tygodni. Planowali ukryć się w Sjötorp, ale doskonały pomysł nagle stał się kiepski w związku z niespodziewanym gościem i tym, że Sonja usiadła na tymże gościu.

Problem w tym, że okazało się, iż Allan, Julius, Benny i Ślicznotka mieli pewną cechę wspólną: brak krewnych oraz znajomych, którzy ewentualnie mogliby przyjąć w gościnę żółty autobus z zawartością w postaci ludzi i zwierząt.

Allan tłumaczył się, że wszyscy jego przyjaciele zginęli w taki lub inny sposób, a zresztą w tej sytuacji i tak by już umarli ze starości.

Julius powiedział, że jego specjalnością są nieprzyjaciele, a nie przyjaciele. Co prawda, zaprzyjaźnił się z Allanem, Bennym i Ślicznotką, ale to było jakby nieistotne akurat w tym kontekście.

Ślicznotka przyznała, że po rozwodzie stała się aspołeczna, potem pewien słoń trafił do jej stodoły, a to niezupełnie sprzyjało kontaktom towarzyskim. Więc ona też nie miała nikogo, z kim mogłaby się skontaktować i poprosić o pomoc.

Pozostawał Benny, który miał brata. Najbardziej wściekłego brata na świecie.

Julius zastanawiał się, czy nie daliby rady przekupić brata pieniędzmi, i wtedy Benny się rozchmurzył. Mieli przecież mnóstwo milionów w walizce! Nie udałoby się go przekupić, Bosse był bardziej dumny niż chciwy. Ale teraz przynajmniej myśleli właściwym torem. I Benny znalazł rozwiązanie. Poprosi, aby mógł naprawić szkody wyrządzone bratu przez te wszystkie lata.

Następnie Benny zadzwonił do brata i zdążył tylko powiedzieć, kto dzwoni, zanim usłyszał, że Bosse ma naładowaną śrutówkę i serdecznie zaprasza braciszka, jeśli ten chce dostać kulkę w tyłek.

Benny oznajmił, że nie bardzo ma na to ochotę, ale wraz z kilkoma przyjaciółmi mógłby ewentualnie wpaść po drodze, bo chciałby uregulować z bratem sprawy finansowe. Panowała przecież pewna dysproporcja między tym, co przypadło obu braciom ze spadku wuja Frassego.

Bosse poprosił, żeby braciszek przestał wyrażać się tak cholernie skomplikowanie, po czym przeszedł do rzeczy:

– To ile masz?

– Co powiesz na trzy miliony? – spytał Benny.

Bosse zamilkł na chwilę, musiał przemyśleć sprawę. Znał brata na tyle dobrze, aby wiedzieć, że nie zadzwoniłby do niego, żeby go nabierać. Braciszek ma po prostu kupę kasy. Trzy miliony! Fantastycznie! Ale... kto ma dużo, chce mieć jeszcze więcej.

– Co powiesz na cztery? – spróbował Bosse.

Lecz Benny postanowił przecież raz na zawsze, że starszy brat nie będzie już go rozstawiał po kątach, więc powiedział:

– W sumie możemy też zatrzymać się w jakimś hotelu, jeśli uważasz, że sprawimy kłopot.

Na to Bosse odpowiedział, że braciszek nigdy nie sprawiał żadnego kłopotu. Zaprasza Benny'ego i jego przyjaciół serdecznie, a jeśli Benny jednocześnie chce zatrzeć dawną urazę trzema milionami – albo trzema i pół, jeśli tak by uważał – to jest to tylko dodatkowy plus.

Benny otrzymał instrukcje, jak dojechać do domu brata, i sądził, że dojadą w kilka godzin.

Wyglądało na to, że wszystko idzie jak najlepiej. Poza tym droga była teraz szeroka i prosta.

Właśnie tego potrzebował Szef, nieco szerszej i prostszej drogi. Niemal od dziesięciu minut tkwił za autobusem, a jednocześnie bmw poinformowało go, że potrzebuje benzyny. Szef nie tankował od Sztokholmu, kiedy miałby na to czas?

Koszmarem byłoby, gdyby benzyna skończyła się tu i teraz, a on patrzyłby tylko na oddalający się autobus, być może z Bolcem i Hultajem, i walizką, i kimś tam jeszcze w środku.

Dlatego Szef przystąpił do działania z taką energią, jaka przystała szefowi organizacji przestępczej ze Sztokholmu. Nacisnął gaz do dechy, w sekundę minął żółty autobus, przejechał jeszcze sto pięćdziesiąt metrów, a potem zatrzymał samochód w poprzek drogi. Następnie wyciągnął rewolwer ze schowka na rękawiczki i przygotował się do przejęcia właśnie wyprzedzonego pojazdu.

Szef miał więcej zdolności analitycznych niż jego asystenci, obecnie martwi lub na emigracji. Pomysł z ustawieniem samochodu w poprzek drogi, aby zmusić autobus do zatrzymania

się, przyszedł mu do głowy w związku z tym, że w bmw kończyła się benzyna, ale Szef przypuszczał, całkiem właściwie, że kierowca autobusu naprawdę będzie wolał się zatrzymać. Jego wniosek oparty był na wiedzy, że ludzie w ogóle niechętnie najeżdżają na innych, aby nie ryzykować swojego i cudzego życia oraz zdrowia.

I rzeczywiście, Benny nacisnął na hamulec. Szef myślał więc właściwie.

Nie przemyślał jednak całej sprawy wystarczająco porządnie. W swojej kalkulacji powinien był wziąć pod uwagę ryzyko, że ładunek autobusu zawiera słonia ważącego kilka ton, powinien był też zastanowić się, jakie będzie to miało konsekwencje dla linii hamowania autobusu, zwłaszcza że podłoże było żwirowe, a nie asfaltowe.

Benny naprawdę robił, co mógł, żeby uniknąć zderzenia, ale prędkość była mimo wszystko bliska pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, gdy autobus ważący piętnaście ton ze słoniem i całą resztą uderzył w samochód, który stanął mu na drodze. Bmw niczym rękawiczka zostało wystrzelone trzy metry w górę i dwadzieścia metrów w dal, gdzie wylądowało na osiemdziesięcioletnim świerku.

– I tak zginął numer trzy – powiedział Julius.

Wszyscy dwunożni pasażerowie autobusu wysiedli z niego (niektórym przyszło to z większą łatwością niż innym) i podeszli do rozbitego bmw.

Na kierownicy leżał i wyglądał na martwego nieznany przyjaciołom mężczyzna, a w dłoni nadal ściskał rewolwer –

i dokładnie taki sam model, jakim numer dwa groził im wcześniej tego samego dnia.

– Do trzech razy sztuka – powiedział Julius. – Ciekawe, kiedy się skończą.

Benny zaprotestował nieśmiało przeciwko lekkiemu tonowi Juliusa. Wystarczyłoby chyba, gdyby pozbawiali życia jednego bandytę dziennie, ale dzisiaj zaliczyli już drugiego, a nawet nie było szóstej po południu. Zdążyliby jeszcze z kilkoma, gdyby sprawy źle się potoczyły.

Allan zaproponował, aby ukryli gdzieś trupa, bo nigdy nie jest za dobrze być blisko powiązanym z tymi, których właśnie się zabiło, o ile nie chciało się o tym opowiedzieć, a Allan nie widział ku temu powodów.

Ślicznotka natomiast zaczęła krzyczeć na trupa leżącego na kierownicy, jak mógł być tak kurewsko głupi, że stanął w poprzek drogi.

Trup odpowiedział słabym rzężeniem i poruszeniem jednej nogi.

* * *

Komisarz Aronsson nie miał akurat nic lepszego do roboty, jak tylko jechać w tym samym kierunku, co Gerdin niecałe pół godziny wcześniej. Nie miał oczywiście nadziei na dogonienie lidera Never Again, ale może spotka po drodze coś interesującego? Zresztą Växjö powinno leżeć gdzieś w pobliżu, komisarz musiał zatrzymać się w jakimś hotelu, żeby przeanalizować sytuację i przespać się kilka godzin.

Przejechawszy kawałek drogą, Aronsson zauważył wrak nowiutkiego bmw X5 przyklejony do świerku. Najpierw pomyślał, że nic dziwnego, że Gerdin wylądował na drzewie, biorąc pod uwagę, z jaką prędkością jechał ze Sjötorp. Ale bliższe oględziny dały Aronssonowi inny obraz sytuacji.

Po pierwsze, samochód był pusty. Wokół fotela kierowcy było pełno krwi, ale żadnego kierowcy nie było.

Po drugie, prawa strona samochodu była nienaturalnie wgnieciona i gdzieniegdzie widać było wyraźnie ślady żółtej farby. Coś sporego i żółtego musiało uderzyć w bmw z dużą prędkością.

– Na przykład żółta scania K113, rocznik 1992 – wymamrotał komisarz Aronsson.

Od początku nie było to trudne do zgadnięcia, ale wszystko stało się jeszcze jaśniejsze, gdy okazało się, że przednia tablica rejestracyjna scanii został wbita w prawe tylne drzwi bmw. Wystarczyło, że Aronsson porównał numery z tymi, które zamieszczono w liście wydziału komunikacji, żeby był pewien.

Komisarz Aronsson nadal nie pojmował, co się dzieje. Ale jedna sprawa wydawała mu się coraz bardziej jasna, nawet jeśli niewiarygodna: stuletni Allan Karlsson i jego ekipa są, zdaje się, dość dobrzy w pozbawianiu ludzi życia, a potem zaczarowywaniu zwłok tak, żeby zniknęły.

ROZDZIAŁ 13

1947–1948

Allan zdecydowanie spędził w swoim życiu wygodniejsze noce niż ta w pozycji leżącej na brzuchu w ciężarówce do Teheranu. Było mu też zimno i nie miał żadnego specjalnie przetworzonego koziego mleka, które by go rozgrzało. Zresztą ręce miał związane z tyłu.

Nic dziwnego, że poczuł zadowolenie, gdy podróż wreszcie dobiegła końca. Było późne przedpołudnie, kiedy ciężarówka zatrzymała się przed głównym wejściem do dużego brązowego budynku w centrum stolicy.

Dwóch żołnierzy przy wzajemnej pomocy postawiło obcokrajowca na nogi i otrzepało z grubsza z kurzu. Rozwiązali pęta na rękach, ale nadal pilnowali go, kierując w niego lufy karabinów. Gdyby Allan znał język perski, mógłby przeczytać napis na małej złotawożółtej mosiężnej tabliczce przy wejściu do budynku, gdzie się znajdował. Ale nie znał. I nie przejmował się tym. Ważniejsze dla niego było to, czy dostanie jakieś śniadanie. Albo obiad. A najlepiej jedno i drugie.

Żołnierze natomiast wiedzieli, dokąd prowadzą podejrzanego komunistę. I gdy popychali Allana przez drzwi, jeden z nich pożegnał go z szyderczym uśmiechem i powiedział po angielsku:

– *Good luck*.

Allan podziękował uprzejmie za życzenie powodzenia, mimo że zrozumiał, iż było ironiczne, i pomyślał, że najlepiej będzie, jeśli skupi się na tym, co za chwilę się wydarzy.

Oficer patrolu, który go schwytał, starannie dokonał formalności związanych z przekazaniem Allana równemu stopniem na miejscu, do którego trafili. Gdy Allan został należycie wpisany do rejestru, przeniesiono go do aresztu w najbliższym korytarzu.

Areszt był niczym cudowna kraina Shangri-La w porównaniu z tym, do czego się ostatnio przyzwyczaił. Cztery łóżka ustawione w rzędzie, podwójne koce na każdym łóżku, elektryczne oświetlenie pod sufitem, umywalka z bieżącą wodą w jednym rogu i nocnik w rozmiarze dla dorosłych, z przykrywką, w drugim. Poza tym podano mu porządną porcję kaszy i cały litr wody dla zaspokojenia głodu i pragnienia.

Trzy łóżka były wolne, ale na czwartym leżał mężczyzna, miał splecione dłonie i przymknięte oczy. Gdy Allan wszedł do środka, mężczyzna przebudził się z drzemki i wstał. Był wysoki i chudy, nosił białą koloratkę, która odznaczała się od reszty czarnego stroju. Allan wyciągnął dłoń, żeby się przedstawić, i powiedział, że niestety nie opanował jeszcze tutejszego języka, ale może ksiądz rozumie to i owo po angielsku?

Ubrany na czarno mężczyzna odparł, że owszem – ponieważ urodził się i wychował w Oksfordzie. Mężczyzna w czerni przedstawił się jako Kevin Ferguson, anglikański pastor, od dwunastu lat przebywający w Iranie i poszukujący zbłąkanych

dusz, które mógłby zwerbować w szeregi wyznających właściwą wiarę. A jak tam z religijnością pana Karlssona?

Allan odpowiedział, że czysto fizycznie nie ma pojęcia, gdzie się znajduje, ale z tego powodu nie czuje się zbłąkaną duszą.
W kwestii wiary wychodził z założenia, że skoro się czegoś nie wie na pewno, nie warto zgadywać.

A ponieważ pastor Ferguson właśnie zamierzał coś powiedzieć, więc Allan dodał szybko, że prosi pastora o uszanowanie tego, że nie ma ochoty być anglikaninem ani nikim innym.

Chociaż pastor Ferguson nie należał do tych, którzy szybko rezygnują, tym razem się zawahał. Może nie powinien być zbyt nachalny w stosunku do jedynego poza Bogiem, kto mógł go wyratować z sytuacji, w jakiej się znalazł?

Musiał znaleźć kompromis. Bez przekonania powiedział, że nie zaszkodziłoby chyba, gdyby pan Karlsson usłyszał od niego nieco o jedności Trójcy Świętej. Był to pierwszy z trzydziestu dziewięciu artykułów anglikańskiego wyznania wiary.

– Ze wszystkich jedności tu na ziemi chyba najmniej jestem zainteresowany jednością Trójcy Świętej – odparł Allan.

Po tych niezbyt mądrych słowach, zdaniem pastora Fergusona, ksiądz obiecał zostawić pana Karlssona w spokoju, „mimo że Bóg na pewno miał w tym jakiś cel, umieszczając nas w jednym areszcie”.

Wyjaśnił natomiast ich położenie.

– Nie wygląda to dobrze – powiedział. – Możemy być na dobrej drodze do spotkania Stwórcy i gdybym czegoś przed chwilą nie obiecał, to dodałbym jeszcze, że może właśnie z tego powodu najwyższy czas, by pan dołączył do wyznawców właściwej wiary.

Allan rzucił księdzu surowe spojrzenie, ale nic nie powiedział. Pastor kontynuował opowiadanie, mówiąc, że znajdują się w areszcie służby bezpieczeństwa, czyli krótko mówiąc, bezpieki. Być może brzmi to dla pana Karlssona bezpiecznie i dobrze, ale prawda jest taka, że bezpieka dba jedynie o bezpieczeństwo szacha, nikogo innego, i właściwie jest po to, aby utrzymywać ludność irańską w strachu i szacunku oraz w granicach możliwości do upadłego zwalczać komunistów, socjalistów, islamistów i element niepożądany w ogóle.

– Taki jak anglikańscy pastorzy? – spytał Allan.

Pastor Ferguson odpowiedział, że ogólnie anglikańscy pastorzy nie mają się czego obawiać, bo w Iranie panuje wolność religii. Ale akurat ten anglikański pastor posunął się za daleko, jak mu się samemu zdawało.

– Nie ma dobrych widoków dla tego, kto wpadnie w szpony bezpieki, a jeśli o mnie chodzi, boję się, że to mój ostatni przystanek na ziemi – powiedział pastor Ferguson i posmutniał.

Allanowi zrobiło się żal kolegi z aresztu, mimo że był księdzem, więc na pocieszenie powiedział, że razem wymyślą jakiś sposób, żeby się stąd wydostać, ale wszystko w swoim czasie. Najpierw chciał usłyszeć, co takiego zrobił pastor, że wpadł kłopoty.

Pastor Ferguson pociągnął nosem i wziął się w garść. Nie żeby bał się śmierci, wyjaśnił, uważał jednak, że ma jeszcze tyle do zrobienia na ziemi. Pastor zawsze oddaje swoje życie w ręce Boga, ale jeśli pan Karlsson, w oczekiwaniu na decyzje Pana Boga, wymyśli jakąś radę dla siebie i księdza, Bóg na pewno nie będzie miał im tego za złe.

Potem pastor zaczął swoje opowiadanie. Pan przemówił do niego we śnie, gdy był zaraz po święceniach. „Jedź w świat na misję", powiedział. A ponieważ nie powiedział nic więcej, pastor musiał sam wymyślić, dokąd ma się udać.

Angielski przyjaciel i biskup podpowiedział mu, że mógłby pojechać do Iranu – kraju, gdzie panująca wolność religii jest okropnie wykorzystywana. Na przykład liczba anglikanów była nieduża, podczas gdy roiło się od szyitów, sunnitów, żydów i wierzących w jakieś istne czary-mary. Jeśli w ogóle byli jacyś chrześcijanie, to raczej Ormianie i Asyryjczycy, a przecież każdy wie, że ci rozumieją wszystko na opak.

Allan odparł, że on nie wiedział, ale teraz już wie i dziękuje za informację.

Pastor kontynuował opowiadanie. Iran i Wielka Brytania żyły ze sobą na dobrej stopie, więc dzięki jednemu z najwyżej postawionych w Kościele kontaktów politycznych podrzucono go do Teheranu brytyjskim samolotem dyplomatycznym.

Wydarzyło się to ponad dziesięć lat temu, w 1935 roku. Od tamtej pory zakradał się do meczetów, synagog i różnych świątyń i czekał na właściwy moment, żeby w końcu przerwać ceremonię i z pomocą tłumacza nauczać prawdziwej religii.

Allan pochwalił kolegę z aresztu i przyznał, że pastor z pewnością jest odważnym mężczyzną. Pytanie tylko, jak to jest z jego rozumem, bo takie działanie chyba rzadko dobrze się kończy?

Pastor Ferguson przyznał, że faktycznie nigdy nie kończyło się to dobrze. Nigdy nie dano mu powiedzieć do końca, zawsze on i tłumacz byli wyrzucani i dostawali porządne baty. Jednak nic

nie powstrzymało pastora przed dalszą walką. Wiedział, że sadził małe anglikańskie ziarna w duszach tych, których spotykał.

W końcu wieść o pastorze rozeszła się na tyle, że miał problem ze znalezieniem tłumacza. Żaden nie pomógł mu więcej niż raz, a po pewnym czasie oczywiście zaczęli między sobą plotkować.

Dlatego pastor zrobił przerwę w działalności misyjnej, aby nauczyć się języka perskiego. Jednocześnie zastanawiał się, jak ulepszyć taktykę, i któregoś dnia poczuł się na tyle pewny językowo, że wcielił w życie nowy plan.

Zamiast chodzić po świątyniach, odwiedzał targi, na których, jak wiedział, roiło się od różnych innowierców, stawał na przyniesionej ze sobą drewnianej skrzyni i przemawiał.

Ten sposób postępowania wprawdzie nie skutkował tak częstym laniem jak w pierwszym roku działalności księdza, ale liczba uratowanych dusz ciągle nie była taka, na jaką liczył pastor Ferguson.

Allan zapytał, do ilu nawróceń się pastor Ferguson de facto przyczynił, i usłyszał w odpowiedzi, że zależy, jak na to spojrzeć. Z jednej strony zdobył dokładnie po jednym konwertycie z każdej religii, z którą pracował, czyli w sumie ośmiu. Z drugiej strony dopiero kilka miesięcy temu dotarło do niego, że wszystkich ośmiu w rzeczy samej mogło być szpiegami bezpieki, wysłanymi, aby kontrolować misjonarza.

– A więc między zero a osiem – podsumował Allan.

– Prawdopodobnie bliżej zera niż ośmiu – odpowiedział pastor Ferguson.

– W ciągu dwunastu lat – dodał Allan.

Pastor przyznał, że było mu ciężko, gdy spostrzegł, że ten i tak dość marny rezultat okazał się tak naprawdę jeszcze marniejszy. I zrozumiał, że tą metodą pracy nigdy nie osiągnie sukcesu w tym kraju, bo chociaż Irańczycy chcieli się nawracać, nie ważyli się. Służby bezpieczeństwa były przecież wszędzie, a zmiana religii z pewnością oznaczałaby dodanie tej informacji do dossier danej osoby do archiwum służb bezpieczeństwa. A często droga od dossier w archiwum do tajemniczego zniknięcia była krótka.

Allan dodał, że mogło także zdarzyć się tak, że ten czy inny Irańczyk, bez względu na pastora Fergusona lub bezpiekę, był po prostu zadowolony z tej religii, w którą wierzył, czy pastor tak nie sądzi?

Pastor Ferguson odparł, że rzadko słyszał tak głupie gadanie, ale odpowiedź ma utrudnioną, ponieważ pan Karlsson zabronił mu wszelkich anglikańskich wywodów. Czy w takim razie pan Karlsson może wysłuchać reszty opowiadania pastora bez przerywania, jeśli nie jest to konieczne?

Dalszy ciąg był taki, że pastor Ferguson, świadomy tego, że jest infiltrowany przez służby bezpieczeństwa, zaczął myśleć o czymś wielkim.

Pozbył się swoich ośmiu prawdopodobnie szpiegujących go uczniów, a potem skontaktował się z podziemiem komunistycznym i poprosił o spotkanie. Przedstawił się jako brytyjski reprezentant Prawdziwej Nauki, który chce porozmawiać o planach na przyszłość.

Zajęło trochę czasu, zanim zorganizowano spotkanie, ale w końcu siedział w towarzystwie pięciu mężczyzn przewodzących komunistom w prowincji Chorasan-e Rezawi. Właściwie wolałby

spotkać komunistów z Teheranu, bo jak sądził, to oni decydowali, ale to spotkanie też mogło się udać.

Albo nie.

Pastor Ferguson przedstawił im swój plan, który – mówiąc krótko – polegał na tym, że anglikanizm stanie się religią narodową Iranu, gdy komuniści przejmą władzę. Jeśli komuniści zgodziliby się na ten warunek, pastor obiecał przyjąć posadę przywódcy Kościoła, a jako taki zadbałby o to, aby dostarczono odpowiednią liczbę Biblii. Kościoły zbudowano by później, na początek można by wykorzystać synagogi i meczety. A tak w ogóle, jak się panom komunistom wydaje, czy długo jeszcze potrwa, zanim wybuchnie rewolucja?

Komuniści nie zareagowali z takim entuzjazmem albo chociaż zaciekawieniem, jakiego się spodziewał pastor. Przeciwnie, dowiedział się, że w żadnym wypadku nie będzie żadnego anglikanizmu ani innego -izmu poza komunizmem, gdy nadejdzie ten właściwy dzień. Następnie nakrzyczeli na pastora, że za pomocą fałszywej gry doprowadził do tego spotkania. Jeszcze nigdy tak nie zmarnowali czasu.

Liczbą głosów trzy do dwóch zdecydowano, że pastorowi należy się seria batów, zanim wsiądzie do pociągu powrotnego do Teheranu, a liczbą głosów pięć do zera zdecydowano, że dla jego własnego zdrowia najlepiej będzie, jeśli nie będzie się fatygował do nich ponownie.

Allan uśmiechnął się i powiedział, że w żaden sposób nie potrafi wykluczyć możliwości, że pastor jest niespełna rozumu, jeśli pastor Ferguson wybaczy. Próba religijnego porozumienia

z komunistami była całkiem niedorzeczna, nie pojmował pastor tego?

Pastor odpowiedział, że lepiej, aby poganie tacy jak pan Karlsson nie oceniali tego, co mądre lub nie. Ale oczywiście zrozumiał, że szanse na powodzenie były niewielkie.

– Tylko niech pan pomyśli, panie Karlsson, niech pan pomyśli, co by było, gdyby się udało. Niech pan pomyśli, że mógłbym wysłać telegram do arcybiskupa w Canterbury z informacją, że zdobyliśmy pięćdziesiąt milionów nowych anglikanów za jednym zamachem.

Allan przyznał, że różnica między szaleństwem a geniuszem może być cienka niczym włos i trudno powiedzieć, o czym jest mowa w tym przypadku, ale ma pewne podejrzenia.

W każdym razie okazało się, że policja szacha założyła podsłuch u komunistów w Chorasan-e Rezawi, a pastor Ferguson ledwie zdążył wysiąść z pociągu w stolicy, a już został schwytany i zabrany na przesłuchanie.

– Przyznałem się do wszystkiego, a nawet więcej – dodał pastor – bo moje chude ciało nie jest stworzone do znoszenia tortur. Porządna porcja batów to jedno, a tortura to drugie.

W związku z natychmiastowym i przesadnym przyznaniem się do winy został przeniesiony do tego oto aresztu i siedział w nim już drugi tydzień, bo szef bezpieki, wicepremier, był w podróży służbowej w Londynie.

– Wicepremier? – dopytywał Allan.

– No tak, albo raczej naczelny morderca – odparł Kevin Ferguson.

Mówiło się o bezpiece, że trudno o bardziej sterowaną odgórnie organizację. Sianie strachu wśród ludności albo zabijanie komunistów, socjalistów i islamistów nie wymagało oczywiście błogosławieństwa szefa. Ale gdy tylko cokolwiek choćby odrobinę odstawało od normy, wtedy decyzję podejmował szef. Szach mianował go wicepremierem, ale w rzeczywistości był on mordercą – uważał pastor. Według strażników w areszcie najlepiej wymazać „wice", gdy się do niego zwraca, a wygląda na to, że zarówno w pańskim, jak i w moim przypadku nie unikniemy spotkania z nim.

Być może pastor zdążył mieć więcej do czynienia z podziemiem komunistycznym, niż się do tego przyznawał, bo kontynuował:

– Odkąd skończyła się wojna, CIA siedzi tu i buduje tajny aparat policyjny szacha.

– CIA? – zapytał Allan.

– Tak, tak się teraz nazywają. Wcześniej nazywali się OSS, ale to ta sama brudna organizacja. To oni nauczyli irańskich policjantów wszystkich sztuczek i tortur. Czy można nazwać człowiekiem tego, który pozwala CIA niszczyć świat w ten sposób?

– Ma pastor na myśli amerykańskiego prezydenta?

– Harry S. Truman będzie się smażył w piekle, zapamiętaj pan moje słowa – powiedział pastor Ferguson.

– Ach tak, tak pastor myśli – odparł Allan.

* * *

Dni mijały w areszcie w centrum Teheranu. Allan opowiedział swoją historię pastorowi Fergusonowi, nie pomijając niczego. Wysłuchawszy do końca, pastor zamilkł, przestał rozmawiać

z Allanem, gdy zrozumiał, jaki związek kolega z aresztu ma z amerykańskim prezydentem i – co gorsza – z bombami nad Japonią.

Zwrócił się natomiast do Boga i prosił o radę. Czy to Pan zesłał mu pana Karlssona na pomoc? A może wręcz przeciwnie, stał za tym szatan?

Ale Bóg milczał, czasem tak miał, a pastor Ferguson zawsze rozumiał to w ten sposób, że musi odpowiedzieć sobie sam. Nie zawsze kończyło się dobrze, gdy pastor na własną rękę próbował coś wymyślić, ale nie mógł tego zaniechać z tak błahego powodu.

Po dwóch dniach i dwóch nocach rozważań pastor doszedł do wniosku, że na razie zawrze pokój z poganinem z łóżka obok. Poinformował też Allana, że zamierza ponownie z nim rozmawiać.

Allan odparł, że wprawdzie było cicho i przyjemnie, gdy pastor tak sobie milczał, ale mimo wszystko byłoby lepiej, gdyby ze sobą rozmawiali.

– Poza tym musimy się stąd jakoś wydostać, i to najlepiej zanim ten cały naczelny morderca wróci z Londynu. W takim razie nie możemy siedzieć każdy w swoim kącie i boczyć się na siebie, nie uważa pastor?

Owszem, pastor się zgadzał. Gdy naczelny morderca wróci, czeka ich krótkie przesłuchanie, po którym po prostu znikną. Tak to się odbywało, z tego, co słyszał pastor Ferguson.

Areszt nie był wprawdzie prawdziwym więzieniem z porządnie zamkniętymi drzwiami. Wręcz przeciwnie, zdarzało się, że strażnicy nie dbali o to, aby zamknąć je dobrze. Ale wyjścia i wejścia do budynku zawsze strzegło co najmniej czterech

strażników i raczej żaden z nich nie stałby obojętnie, gdyby Allanowi i pastorowi przyszło do głowy, żeby czmychnąć.

Czy dałoby się spowodować jakieś zamieszanie? – zastanawiał się Allan. A potem dać drapaka w ogólnym chaosie? Trzeba to przemyśleć.

Allan potrzebował ciszy do pracy, dał więc pastorowi zadanie, aby dowiedział się od strażników, ile mają czasu. To znaczy dokładnie, kiedy wraca naczelny morderca. Kiedy będzie za późno?

Pastor obiecał, że zapyta, gdy tylko nadarzy się okazja. Być może nawet od razu, bo właśnie usłyszeli szczęk w drzwiach. Najmłodszy i najsympatyczniejszy ze strażników zajrzał do środka i wyglądało na to, że im współczuje, gdy powiedział:

– Premier wrócił z Anglii, pora na przesłuchanie. Który z was chce być pierwszy?

* * *

Szef służby bezpieczeństwa siedział w swoim biurze w Teheranie i był w kiepskim humorze.

Właśnie wrócił z Londynu, gdzie dostał reprymendę od Brytyjczyków. On, premier (no, prawie), szef urzędu, jedna z najważniejszych osób irańskiego społeczeństwa, dostał reprymendę od Brytyjczyków!

Szach robił oczywiście wszystko, aby ci wyniośli Anglicy byli zadowoleni. Ropa była w rękach Brytyjczyków, a on sam dbał o to, aby oczyścić kraj z tych, którzy chcieli innego porządku. A to niełatwa sprawa, bo kto tak naprawdę był zadowolony z rządów szacha? Ani islamiści, ani komuniści, a już na pewno nie

miejscowi pracownicy przemysłu naftowego, którzy dosłownie zaharowywali się na śmierć za odpowiednik brytyjskiego funta na tydzień.

I za to wszystko teraz dostał burę zamiast pochwały!

Szef bezpieki zdawał sobie sprawę, że popełnił błąd, postępując za ostro wobec pewnego prowokatora nieznanego pochodzenia. Prowokator odmawiał powiedzenia czegokolwiek poza żądaniem, aby go wypuszczono, bo jest niewinny On tylko powiedział w sklepie mięsnym, że kolejka obowiązuje wszystkich, nawet zatrudnionych w państwowej policji bezpieczeństwa.

Gdy prowokator skończył, założył ręce na piersi i na resztę pytań odpowiadał milczeniem. Szefowi tajnej policji nie podobał się jego wyraz twarzy (był nader prowokujący), więc zastosował kilka najnowszych metod tortur CIA (podziwiał amerykańską pomysłowość). Dopiero wtedy wyszło na jaw, że prowokator jest zatrudniony jako asystent w ambasadzie brytyjskiej, a to oczywiście okazało się wyjątkowo niefortunne.

Tak więc najpierw doprowadzono asystenta do jako takiego porządku, a potem go wypuszczono, ale tylko po to, aby za chwilę został starannie przejechany przez ciężarówkę, która szybko zniknęła z miejsca wypadku. W taki oto sposób unika się kryzysów dyplomatycznych, pomyślał szef policji i był z siebie zadowolony.

Ale Brytyjczycy zebrali do kupy to, co zostało z asystenta, wysłali do Londynu i przyjrzeli się zwłokom przez lupę. Potem wezwano tam szefa policji i poproszono o wyjaśnienia, dlaczego asystent w ambasadzie brytyjskiej w Teheranie najpierw zaginął na trzy dni, a potem nagle pojawił się na ulicy przed głównym

biurem służby bezpieczeństwa, gdzie po chwili został tak starannie przejechany, że prawie nie dało się zauważyć śladów tortur, które wcześniej przeszedł.

Szef tajnej policji zaklinał się oczywiście, że nie ma o niczym pojęcia, zgodnie z zasadami gry dyplomatycznej, ale akurat ten asystent był synem jakiegoś lorda, który był bliskim przyjacielem byłego premiera Winstona Churchilla, i teraz Brytyjczycy zdecydowanie musieli ingerować.

Dlatego państwowemu urzędowi bezpieczeństwa odebrano odpowiedzialność za wizytę wyżej wymienionego Churchilla w Teheranie za dosłownie kilka tygodni. W zamian przygotują ją amatorzy z prywatnej straży szacha. Przekraczało to oczywiście ich kompetencje. Był to duży uszczerbek na honorze szefa tajnej policji. I dystansowało go od szacha w sposób, który mu się nie podobał.

Aby rozchmurzyć swoje ponure myśli, szef służby bezpieczeństwa kazał wezwać do siebie pierwszego z dwóch wrogów publicznych czekających w areszcie. Spodziewał się krótkiego przesłuchania, szybkiej i dyskretnej egzekucji i tradycyjnie skremowania zwłok. Potem obiad, a po południu zdążyłby jeszcze załatwić tego drugiego.

* * *

Allan Karlsson zgłosił się na ochotnika jako pierwszy. Szef tajnej policji przywitał go w drzwiach do swojego gabinetu, uścisnął dłoń, poprosił, aby pan Karlsson usiadł, zaproponował filiżankę kawy, a nawet papierosa.

Allan pomyślał, że wprawdzie nigdy wcześniej nie spotkał żadnego naczelnego mordercy, ale i tak podejrzewał, że są mniej sympatyczni w sposobie bycia niż, jak się zdawało, ten tutaj. Allan poprosił o kawę, ale podziękował za papierosa, o ile pan premier uważa, że tak wypada.

Szef tajnej policji zawsze dokonywał przesłuchania w uprzejmy sposób. Tylko dlatego, że zaraz skaże się kogoś na śmierć, trzeba się zachowywać jak hołota? Poza tym bawiło go, gdy widział zapalającą się iskierkę nadziei w oczach ofiary. Ludzie są tacy naiwni.

Akurat ta ofiara nie wyglądała na zbyt przerażoną, jeszcze nie. I zwróciła się do szefa tajnej policji w taki sposób, jak ten chciał, aby go tytułowano. Interesujący i dobry początek.

Podczas przesłuchania Allan opowiedział – z braku przemyślanej strategii przetrwania – wybrane fragmenty ostatnio przeżytych doświadczeń: mianowicie że jest ekspertem od materiałów wybuchowych, który został przez prezydenta Harry'ego S. Trumana wysłany na niemożliwą do wykonania misję zwalczenia komunistów w Chinach, że potem rozpoczął długą wędrówkę do Szwecji i że żałuje, iż wszedł bez należytych zezwoleń na terytorium kraju, ale obiecuje bezzwłocznie opuścić ten kraj, jeśli tylko pan premier na to pozwoli.

Szef bezpieki zadał jeszcze kilka pytań, głównie dotyczących faktu przebywania Allana w towarzystwie irańskich komunistów w momencie aresztowania. Allan odpowiedział zgodnie z prawdą, że spotkał komunistów przypadkiem i wspólnie postanowili przeprawić się przez Himalaje. Dodał też, że jeśli pan premier planuje podobną wycieczkę, nie powinien być zbyt drobiazgowy

w stosunku do tych, którzy mogliby udzielić mu pomocy, bo górom zdarza się, że czasem są okropnie wysokie.

Wicepremier nie planował przemierzać Himalajów pieszo, podobnie jak nie planował puścić wolno człowieka siedzącego przed nim. Ale przyszła mu do głowy pewna myśl. Może mógł mu się przydać ten ekspert od wybuchów z międzynarodowym doświadczeniem, zanim pozwoli mu się zniknąć na dobre? Zbyt podekscytowanym głosem zapytał, jakie Karlsson ma doświadczenie, jeśli chodzi o potajemne pozbawianie życia znanych i pilnie strzeżonych osobistości.

Allan nigdy nie zajmował się planowanym zabijaniem ludzi, jakby byli jakimiś mostami. I wcale mu tego nie brakowało. Ale teraz nie mógł postąpić pochopnie. Czyżby ten kopcący jak komin naczelny morderca coś planował?

Allan pomyślał kilka sekund, poszperał w pamięci i w pośpiechu, z braku czegoś lepszego, odpowiedział:

– Glenn Miller.

– Glenn Miller? – powtórzył szef tajnej policji.

Allan pamiętał z bazy w Los Alamos ogólną konsternację, gdy podano do wiadomości, że legenda jazzu Glenn Miller nie odnalazł się, odkąd samolot amerykańskich sił powietrznych UC-64 z nim na pokładzie zaginął nad kanałem La Manche.

– Dokładnie – potwierdził Allan i przybrał tajemniczy ton. – Rozkaz był taki, że ma to wyglądać na katastrofę lotniczą, i udało się. Zadbałem o to, aby silnik się spalił, samolot spadł gdzieś na środku kanału La Manche. Nikt go od tamtej pory nie widział. Los godny zdrajcy i nazisty, jeśli mnie pan premier pyta o zdanie.

– To Glenn Miller był nazistą? – zapytał zdumiony szef bezpieki.

Allan przytaknął (i w duchu poprosił wszystkich potomków Glenna Millera o wybaczenie). Wicepremier natomiast próbował otrząsnąć się z wiadomości, że jego wielki idol tak naprawdę był na usługach Hitlera.

W tej sytuacji Allan pomyślał, że najlepiej przejąć kontrolę nad rozmową, zanim szef tajnej policji zacznie stawiać masę dodatkowych pytań o Glenna Millera.

– Jeśli pan premier chce, jestem gotowy z maksymalną dyskrecją pozbyć się kogokolwiek, w zamian za to, że później rozstaniemy się jak przyjaciele.

Szef policji nadal nie doszedł do siebie po przykrym wyznaniu na temat mężczyzny, który stworzył *Moonlight Serenade*, ale nie mógł pozwolić, aby traktowano go jak byle kogo. W żadne układy dotyczące przyszłości Allana Karlssona nie zamierzał się wdawać.

– Jeśli chcę, pozbędziesz się tego, kogo ci wskażę, w zamian za to, że ewentualnie rozważę możliwość twojego pozostania przy życiu – powiedział szef służby bezpieczeństwa i wyciągnął rękę ponad stołem, żeby zgasić papierosa w niedopitej kawie Allana.

– Tak, to oczywiście miałem na myśli – powiedział Allan – tylko wyraziłem się odrobinę niejasno.

* * *

Tego popołudnia przesłuchanie przybrało inny obrót niż ten, do którego wicepremier był przyzwyczajony. Zamiast sprzątnąć domniemanego wroga publicznego, odroczył spotkanie, aby w spokoju przeanalizować nową sytuację. Po obiedzie znowu kazał

przyprowadzić do siebie Allana Karlssona i plany zaczęły nabierać kształtów.

Chodziło o pozbawienie życia Winstona Churchilla, będącego pod ochroną straży przybocznej szacha. Musi się to odbyć w taki sposób, żeby nikt nie mógł w najmniejszym stopniu powiązać z tym służby bezpieczeństwa, a tym bardziej jej szefa. Ponieważ można się spodziewać, że Brytyjczycy dokładnie zbadają sprawę, żadne zaniedbanie nie wchodziło w grę. Gdyby plan się udał, konsekwencje byłyby jak najbardziej korzystne dla szefa tajnej policji.

Po pierwsze, zatkałoby to gęby tych wyniosłych Brytyjczyków, którzy odebrali mu odpowiedzialność za wizytę Churchilla. Po drugie, szef dostałby zadanie oczyszczenia szeregów straży przybocznej szacha po jej porażce. Taka sytuacja z pewnością spowodowałaby umocnienie jego pozycji.

Szef tajnej policji i Allan siedzieli i układali plan, jakby byli najlepszymi kolegami. Z tym że ten pierwszy gasił papierosa w kawie tego drugiego za każdym razem, gdy poczuł, że atmosfera robi się zbyt zażyła.

Wicepremier poinformował Allana, że jedyny kuloodporny samochód w Iranie stoi zaparkowany w garażu urzędu, pół piętra niżej; był to specjalnie skonstruowany ciemnoczerwony i bardzo elegancki samochód marki DeSoto Suburban. Z dużym prawdopodobieństwem straż przyboczna niedługo odezwie się w sprawie samochodu, bo jak inaczej mieliby przewieźć Churchilla z lotniska do pałacu szacha?

Allan powiedział, że dobrze podłożony ładunek wybuchowy w podwoziu samochodu być może rozwiązałby problem. Jednak ze

względu na życzenie pana premiera, żeby nie zostawić żadnych śladów, zaproponował dwa specjalne rozwiązania.

Pierwsze było takie, że ładunek składałby się z dokładnie takich samych materiałów, których używali komuniści Mao Zedonga w Chinach. Allan miał akurat pełną wiedzę na ten temat i był pewien, że będzie potrafił upozorować zamach na dzieło komunistów.

Drugim rozwiązaniem miało być zainstalowanie zdalnie sterowanego ładunku w przedniej części podwozia samochodu. Wówczas Allan pokierowałby ładunkiem tak, żeby wybuchł on, po uprzednim odczepieniu się od auta, dokładnie pod fotelem, na którym siedziałby Winston Churchill, paląc swoje cygaro. Ładunek wyrwałby dziurę w podłodze samochodu i wysłałby Churchilla na tamten świat, ale spowodowałby też porządną wyrwę w podłożu.

– Tym sposobem ludzie pomyślą, że ładunek był umieszczony na jezdni, a nie w samochodzie. Czy taka mała zasłona dymna pasuje panu premierowi?

Szef służby bezpieczeństwa zachichotał z radości i podekscytowania i wrzucił dopiero co zapalonego papierosa do dopiero co nalanej kawy Allana. Allan powiedział, że oczywiście pan premier może robić, co zechce, ze swoimi papierosami i kawą Allana, ale jeśli nie jest zbyt zadowolony z popielniczki stojącej obok, to może wyda mu małą przepustkę, aby mógł pójść do miasta i kupić panu premierowi nową i ładną popielniczkę.

Szef tajnej policji nie zwracał uwagi na gadkę Allana o popielniczkach, pozwolił natomiast na wyjście do miasta

i zażądał kompletnej listy tego, czego Karlsson potrzebuje, aby w jak najkrótszym czasie móc uzbroić rzeczony samochód.

Allan zapisał nazwy wszystkich dziewięciu materiałów wchodzących w skład ładunku, a potem dodał dziesiąty – nitroglicerynę – która, jak pomyślał, też mogła się przydać. I jedenasty – słoiczek atramentu. Następnie poprosił o najbardziej zaufanego współpracownika pana premiera, jako asystenta i szefa zaopatrzenia, a także o to, aby pan premier pozwolił jego współwięźniowi, pastorowi Fergusonowi, na pełnienie funkcji tłumacza.

Szef tajnej policji wymamrotał, że najchętniej sprzątnąłby tego całego pastora od razu, bo nie lubi księży, ale niech będzie, teraz nie można marnować czasu. Po czym znów zgasił papierosa w kawie Allana, aby jeszcze raz przypomnieć Allanowi, kto tu rządzi, i poinformował, że to koniec spotkania.

* * *

Dni mijały i wszystko szło zgodnie z planem. Szef straży przybocznej szacha rzeczywiście odezwał się i poinformował, że przyjedzie odebrać suburbana w następną środę. Wicepremier gotował się ze złości. Szef straży przybocznej informował, że odbierze samochód, nie pytał. Szef służby bezpieczeństwa był tak zły, że na chwilę zapomniał, że właściwie świetnie się składa. Bo co by było, gdyby straż przyboczna nie odezwała się w sprawie samochodu? A szef straży i tak niedługo zostanie ukarany.

Teraz Allan wiedział dokładnie, ile ma czasu na przygotowanie ładunku. Niestety pastor Ferguson zrozumiał, co miało się wydarzyć. Będzie współwinny morderstwa byłego premiera

Churchilla i być może jego życie zakończy się zaraz po zamachu. Nie tęsknił szczególnie za spotkaniem z Panem bezpośrednio po tym, gdy kogoś zamorduje.

Ale Allan uspokajał pastora, mówiąc, że ma plan, który zaradzi jednemu i drugiemu. Po pierwsze, widzi pewną możliwość ocalenia pastora i siebie, po drugie – niekoniecznie kosztem pana Churchilla.

Sprawa wymagała tego, żeby pastor słuchał Allana, gdy nadejdzie właściwy moment, i ksiądz obiecał, że tak zrobi. Pan Karlsson był przecież jedyną nadzieją na przeżycie, jaką pastor miał, bo Bóg nadal nie odpowiadał na jego pytania. Trwało to już od prawie miesiąca. Czyżby był zły na pastora, że ten zamierzał sprzymierzyć się z komunistami?

* * *

Nadeszła środa. Auto było uzbrojone i gotowe. Ładunek w podwoziu samochodu był nieco za silny w stosunku do zadania, natomiast doskonale ukryty, nawet dla kogoś, kto doszukiwałby się czegoś podejrzanego.

Allan pokazał szefowi tajnej policji, jak działa pilot, i wyjaśnił szczegółowo, jaki będzie rezultat końcowy wybuchu. Wicepremier uśmiechał się i wyglądał na szczęśliwego. Oraz ugasił osiemnastego w tym dniu papierosa w kawie Allana.

Allan wyjął nowy kubek, który wcześniej ukrył za skrzynką z narzędziami, i umieścił go strategicznie na stoliku obok schodków prowadzących na korytarz, do aresztu i głównego wejścia. Nie robiąc wiele szumu, wziął pastora pod ramię i opuścili garaż, szef tajnej policji natomiast obchodził suburbana

dookoła, kopcił dziewiętnastego papierosa i rozkoszował się myślą o tym, co się wydarzy.

Pastor z mocnego uścisku Allana wywnioskował, że zrobiło się poważnie. Pora ślepo wykonywać to, co pan Karlsson każe.

Droga prowadziła obok cel i dalej ku recepcji. Tam Allan nie zatrzymał się obok uzbrojonych strażników, tylko szedł dalej pewnie, nadal trzymając pastora w mocnym uścisku.

Strażnicy przyzwyczaili się do Karlssona i pastora i nie widzieli żadnego ryzyka ucieczki z ich strony, dlatego raczej ze zdziwienia dowódca straży zawołał:

– Hola! Gdzie się wybieracie?

Allan zatrzymał się na progu drzwi do wolności i przybrał zaskoczoną minę.

– Przecież wolno nam wyjść na zewnątrz. Czyżby pan premier o tym nie poinformował?

Pastor Ferguson był przerażony, ale zmusił się do wciągnięcia przez nos nieco powietrza, żeby nie zemdleć.

– Zatrzymajcie się dokładnie tam, gdzie stoicie – powiedział szef straży zdecydowanym głosem. – Nigdzie nie pójdziecie, dopóki nie uzyskam potwierdzenia pana premiera, że to, co mówicie, jest prawdą.

Trzech strażników miało pilnować pastora i Karlssona, gdy tymczasem sam szef straży przeszedł korytarzem do garażu, żeby uzyskać potwierdzenie wicepremiera. Allan uśmiechnął się pokrzepiająco do pastora i powiedział, że zaraz wszystko się wyjaśni. O ile wszystkiego czort nie weźmie, oczywiście.

Ponieważ szef służby bezpieczeństwa, po pierwsze, wcale nie dał Allanowi i pastorowi pozwolenia na opuszczenie aresztu, a po

drugie, w ogóle nie miał takich planów, zareagował gwałtownie.

– Co też ty mówisz?! Stoją przy wyjściu i kłamią ci w twarz?! Nie, teraz to cholera...

Wicepremier rzadko przeklinał. Zawsze dbał o zachowanie pewnej klasy. Ale w chwili obecnej był zdenerwowany. I zgodnie z przyzwyczajeniem wrzucił papierosa do kawy tego przeklętego Karlssona. Jednak tym razem w kubku nie było kawy, tylko czysta nitrogliceryna wymieszana z czarnym atramentem. Wybuch był tak duży, że wicepremiera i dowódcę straży rozerwało na kawałki. Biała chmura dymu przedostała się z garażu do korytarza, na którego końcu stali Allan, pastor i trzej strażnicy.

– Teraz idziemy – powiedział Allan do pastora, i poszli.

Strażnicy byli dość przytomni, aby pomyśleć, że powinni zatrzymać Karlssona i pastora, ale zaledwie ułamek sekundy później wybuchł ładunek pod samochodem, którym miał jechać Winston Churchill. I tym samym udowodnił Allanowi, że z dużym zapasem wystarczyłby do tego, do czego został przeznaczony. Budynek niebezpiecznie się przechylił, a cały parter płonął, gdy Allan zmienił rozkaz i powiedział do pastora:

– Teraz raczej biegnijmy.

Dwóch z trzech strażników zostało wbitych w ścianę przez falę uderzeniową i spłonęło. Trzeci nie był w stanie wystarczająco zebrać myśli, by skupić się na więźniach. Najpierw zastanawiał się przez chwilę, co się stało, a potem wybiegł z budynku, aby nie skończyć jak jego koledzy. Allan i pastor pobiegli w jedną stronę. Jedyny ocalały strażnik w drugą.

* * *

Odkąd Allan i pastor w dość specyficzny sposób opuścili budynek służby bezpieczeństwa, nadeszła pora, aby pastor się na coś przydał. Wiedział bowiem, gdzie znajduje się większość placówek dyplomatycznych, i zaprowadził Allana do ambasady szwedzkiej. Tam wyściskał go porządnie i podziękował za wszystko.

Allan zapytał, co teraz pastor zamierza zrobić. Czy uda się do ambasady Wielkiej Brytanii? Czy to daleko stąd?

Pastor odpowiedział, że niedaleko, ale co by miał tam robić? Tam wszyscy i tak byli anglikanami. Nie, pastor wymyślił nową strategię. Jeśli czegoś go nauczyły ostatnie wydarzenia, to tego, że wszystko zaczyna się i kończy w urzędzie bezpieczeństwa. Chodzi więc o to, aby wpłynąć na organizację od środka. Gdy wszyscy pracownicy i zwolennicy będą anglikanami, wtedy reszta pójdzie jak po maśle.

Allan odparł, że zna dobry dom wariatów w Szwecji, na wypadek gdyby kiedyś pastor coś sobie uświadomił. Pastor odpowiedział, że w żadnym razie nie chce wyjść na niewdzięcznego, ale w końcu ma swoje powołanie i wie, co robi, a teraz czas się pożegnać. Zamierzał najpierw odszukać tego strażnika, który przeżył i pobiegł w przeciwną stronę. W gruncie rzeczy to dobry i miły chłopak, pewnie można go będzie przekonać do właściwej wiary.

– Żegnaj! – powiedział pastor uroczyście i oddalił się.

– No to pa – powiedział Allan.

Patrzył długo za pastorem i pomyślał, że świat jest wystarczająco dziwny, aby pastor mógł przeżyć nawet to, na co sam się teraz posyła.

I tu się Allan mylił. Pastor odszukał strażnika, który błądził po Park-e Shahr w centrum Teheranu z poparzonymi ramionami i odbezpieczonym karabinem maszynowym w rękach.

– Ależ to ty, mój synu – powiedział pastor i podszedł, aby go objąć.

– Ty! – krzyknął strażnik. – To przecież ty!

I oddał do pastora dwadzieścia dwa strzały w pierś. Oddałby i więcej, gdyby naboje się nie skończyły.

* * *

Allan został wpuszczony do ambasady szwedzkiej dzięki swojemu sörmlandzkiemu dialektowi. Potem było już gorzej, bo Allan nie miał żadnych dokumentów poświadczających, kim jest. Tak więc ambasada nie mogła wystawić mu paszportu, a tym bardziej zapewnić podróży do Szwecji. Poza tym, jak wyjaśnił trzeci sekretarz Bergqvist, Szwecja właśnie wprowadziła specjalne numery pesel i jeśli to prawda, że pan Karlsson przebywa za granicą od wielu lat, pewnie nie ma go w krajowych rejestrach.

Allan odparł, że bez względu na to, czy nazwiska wszystkich Szwedów teraz stały się numerami, czy nie, to on był i jest Allanem Karlssonem z Yxhult koło Flenu i życzy sobie, żeby pan trzeci sekretarz załatwił mu dokumenty.

Trzeci sekretarz był w chwili obecnej najwyższym urzędnikiem w ambasadzie, bo jako jedyny nie pojechał na konferencję dyplomatyczną do Sztokholmu. Oczywiście wszystko musiało dziać się naraz. Nie dość, że część centrum Teheranu stoi w ogniu od godziny, to jeszcze zjawia się tu jakiś człowiek i twierdzi, że jest Szwedem. Wprawdzie istniały pewne poszlaki, że mężczyzna

mówi prawdę, ale w dyplomacji trzeba się trzymać zasad, jeśli się nie chce nagłego końca kariery. Dlatego trzeci sekretarz Bergqvist powtórzył, że nie będzie żadnego paszportu, dopóki pana Karlssona nie da się zidentyfikować.

Allan odpowiedział, że uważa, że trzeci sekretarz Bergqvist jest bardzo uparty, ale sam problem być może da się rozwiązać, jeśli trzeci sekretarz ma dostęp do telefonu.

Owszem, ma, ale rozmowy są drogie. Gdzie pan Karlsson zamierza zadzwonić?

Allana zaczął już męczyć ten przekorny człowiek, więc nie odpowiedział, tylko zapytał:

– Czy Per Albin nadal jest premierem Szwecji?

– Co? Nie – odpowiedział zdumiony sekretarz. – Premier nazywa się Erlander. Tage Erlander. Premier Per Albin Hansson zmarł w zeszłym roku. Ale dlaczego...

– Może pan przez chwilę być cicho, to zaraz wszystko się wyjaśni.

Allan podniósł słuchawkę i zadzwonił do Białego Domu w Waszyngtonie, przedstawił się i porozmawiał z główną sekretarką prezydenta. Oczywiście bardzo dobrze pamiętała pana Karlssona, a poza tym słyszała o nim dużo dobrego od pana prezydenta i jeśli pan Karlsson uważa, że to naprawdę ważne, to zobaczy, czy da się obudzić prezydenta, w Waszyngtonie jest przecież ledwo po ósmej, rozumie pan Karlsson, prezydent Truman rzadko ochoczo wstaje rankiem z łóżka.

Po chwili wybudzony prezydent Truman odezwał się w słuchawce i przez kilka minut rozmawiał z Allanem. Kiedy już serdecznie pogawędzili o tym, co się u nich ostatnio działo, Allan

przeszedł do sedna. Gdyby Harry mógł być tak miły i zadzwonił do nowego szwedzkiego premiera Erlandera, aby potwierdzić, kim jest Allan, a Erlander natomiast mógłby zadzwonić do ambasady szwedzkiej w Teheranie i powiedzieć, aby Allanowi bezzwłocznie wydano paszport.

Oczywiście Harry Truman wszystko załatwi, potrzebuje tylko, żeby mu przeliterowano nazwisko tego trzeciego sekretarza, tak żeby wszystko było dobrze.

– Prezydent Truman chce wiedzieć, jak dokładnie pisze się pańskie nazwisko – powiedział Allan do trzeciego sekretarza Bergqvista. – Może pan sam to z nim załatwić, żeby było prościej?

Potem trzeci sekretarz prawie w transie przeliterował swoje nazwisko prezydentowi Stanów Zjednoczonych, odłożył słuchawkę i nic nie powiedział przez osiem minut. Dokładnie tyle czasu zajęło, zanim premier Tage Erlander zadzwonił i kazał sekretarzowi Bergqvistowi: a) natychmiast wydać Allanowi Karlssonowi paszport ze statusem dyplomatycznym oraz b) bezzwłocznie załatwić panu Karlssonowi transport do Szwecji.

– Ale on przecież nie ma numeru pesel – próbował sekretarz Bergqvist.

– Proponuję, żeby pan trzeci sekretarz rozwiązał to zadanie – powiedział premier Erlander – o ile nie chce pan stać się czwartym albo piątym sekretarzem.

– Nie ma czwartego ani piątego sekretarza – próbował trzeci sekretarz.

– I jakie wyciąga pan z tego wnioski?

* * *

Bohater wojenny Winston Churchill w 1945 roku dość zaskakująco przegrał brytyjskie wybory parlamentarne, wdzięczność Brytyjczyków nie była aż tak duża.

Ale Churchill planował rewanż i w jego oczekiwaniu podróżował po świecie. Nie zdziwiłoby byłego premiera, gdyby ten nowy partacz laburzysta, który teraz dowodził Wielką Brytanią, wprowadził ekonomię planową i rozdzielił imperium ludowi, który nie wie, co z nim zrobić.

Weźmy tylko Indie Brytyjskie, które właśnie się rozpadały. Hindusi i muzułmanie oczywiście nie potrafią się dogadać, a na środku siedzi po turecku przeklęty Mahatma Gandhi i przestaje jeść, gdy tylko mu się coś nie podoba. Co to za strategia wojenna? Na ile by się to zdało podczas ataków bombowych nazistów na Anglię?

Z Brytyjską Afryką Wschodnią nie jest tak kiepsko, jeszcze nie, ale to tylko kwestia czasu, gdy Murzyni też będą chcieli być sobie panami.

Churchill zrozumiał, że nie wszystko może zostać tak, jak było, ale mimo to Brytyjczycy potrzebują doświadczonego przywódcy, a nie takiego socjalisty jak Clement Attlee (Winston Churchill należał do tych, dla których publiczne pisuary były tym samym co socjalizm).

Jeśli chodzi o Indie, bitwa była przegrana, tyle Churchill zrozumiał. Sytuacja rozwijała się w tym kierunku od wielu lat, a w czasie wojny trzeba w końcu było wysyłać Hindusom sygnały o zbliżającej się niepodległości, żeby poza walką o przetrwanie nie trzeba było mieć na głowie wojny domowej.

Ale był jeszcze czas, aby w wielu innych miejscach nie dopuścić do utraty wpływów. Plan Churchilla na jesień zakładał wizytę w Kenii i zasięgnięcie informacji na miejscu. Jednak najpierw były premier zahaczył o Teheran, żeby napić się herbaty z szachem.

Niefortunnie trafił w środek chaosu. Dzień przed jego przyjazdem doszło do eksplozji w urzędzie bezpieczeństwa. Budynek się zawalił i spłonął. Ten idiota, szef tajnej policji, ten sam, którego barbarzyńskie metody dotknęły też pracowników ambasady brytyjskiej, oczywiście zginął.

Prawdę mówiąc, nie wydarzyła się żadna wielka szkoda, może z wyjątkiem tego, że jedyny pancerny samochód szacha spłonął w garażu urzędu i skończyło się na znacznie krótszym spotkaniu z szachem, niż Churchill planował. Poza tym ze względów bezpieczeństwa odbyło się ono na lotnisku.

Mimo wszystko dobrze, że wizyta miała miejsce. Według szacha sytuacja jest pod kontrolą. Eksplozja w budynku głównej siedziby urzędu bezpieczeństwa była problematyczna, jak na razie nie udało się ustalić przyczyn. Natomiast to, że w wybuchu zginął szef urzędu, szach mógł przeżyć. I tak wyglądało na to, że tracił swoją pozycję.

A więc stabilna politycznie sytuacja. Trwa wybór nowego szefa urzędu bezpieczeństwa. Wyniki Anglo-Iranian Oil Company są rekordowe. Ropa bogaci i Anglię, i Iran jak się patrzy. Zwłaszcza Anglię, szczerze powiedziawszy, ale słusznie, bo Iran nie przyczynia się do własnego bogacenia niczym więcej, jak tylko tanią siłą roboczą. Tak, no i samą ropą oczywiście.

– Spokojna głowa, jeśli chodzi o sytuację w Iranie – podsumował Winston Churchill i przywitał się ze szwedzkim attaché wojskowym, któremu przydzielono miejsce w jego samolocie w drodze powrotnej do Londynu.

– Miło słyszeć, że pan Churchill jest zadowolony – odparł Allan. – I że wygląda cało i zdrowo.

* * *

Z międzylądowaniem w Londynie Allan dotarł w końcu na lotnisko Bromma i znalazł się na szwedzkiej ziemi po raz pierwszy od jedenastu lat. Była późna jesień 1947 roku i pogoda odpowiednia do pory roku.

W hali przylotów na Allana czekał pewien młodzieniec, który przedstawił się jako asystent premiera Erlandera i poinformował, że ten chciałby spotkać się z panem Karlssonem bezzwłocznie, jeśli to możliwe.

Allan nie miał nic przeciwko i z chęcią poszedł za asystentem, który z dumą zaprosił go do nowiutkiego samochodu rządowego, czarnego, błyszczącego volvo PV 444.

– Widział pan kiedyś coś bardziej eleganckiego? – spytał asystent, który interesował się samochodami. – Czterdzieści cztery konie mechaniczne!

– Widziałem całkiem ładnego, ciemnoczerwonego suburbana w zeszłym tygodniu – odparł Allan. – Ale pański samochód jest w lepszym stanie.

Jechali z Brommy do Sztokholmu i Allan rozglądał się z zainteresowaniem. Wstyd się przyznać, ale nigdy wcześniej nie

był w stolicy. Piękne miasto, trzeba powiedzieć, z wodą i niewysadzonymi mostami na każdym kroku.

Na miejscu, w kancelarii rządu, Allan został zaprowadzony do gabinetu premiera. Premier przywitał Allana słowami: „Panie Karlsson! Tyle o panu słyszałem!", po czym wypchnął asystenta za drzwi i zamknął je.

Allan tego nie powiedział, ale pomyślał, że on wręcz przeciwnie – nie wie absolutnie nic o Tage Erlanderze. Nie wiedział nawet, czy premier jest prawicowy, czy lewicowy. Na pewno był taki albo taki, bo jeśli czegoś życie nauczyło Allana, to że ludzie upierali się, by myśleć albo tak, albo tak.

W każdym razie premier może sobie być, kim chce. Teraz trzeba słuchać, co ma do powiedzenia.

Jak się okazało, premier oddzwonił do prezydenta Trumana i przeprowadził dłuższą rozmowę na temat Allana. W związku z tym teraz wie wszystko o...

Tu premier Erlander zamilkł. Pełnił swoją funkcję niespełna rok i jeszcze musiał się wiele nauczyć. Jednak jednej rzeczy był pewien, mianowicie, że czasem lepiej nie okazywać, że wie się, co się wie.

Dlatego premier nie dokończył zdania. Co Truman opowiedział mu o Allanie Karlssonie, na zawsze pozostało między nimi. Zamiast tego powiedział:

– Rozumiem, że nie ma pan do czego wracać tu w Szwecji, więc załatwiłem wynagrodzenie w gotówce za dokonane czyny w służbie narodu... w pewnym sensie... W każdym razie ma pan tu dziesięć tysięcy koron.

I premier podał Allanowi grubą kopertę z banknotami, za pokwitowaniem odbioru. Ład i porządek.

– Dziękuję bardzo, panie premierze. Właśnie dociera do mnie, że dzięki tej pięknej zapomodze będę mógł kupić sobie nowe ubranie i wynająć pokój w hotelu na dzisiejszą noc. Może nawet umyję zęby po raz pierwszy od sierpnia czterdziestego piątego.

Premier przerwał Allanowi, gdy ten zaczął opisywać, w jakim stanie są jego kalesony. Następnie poinformował Allana, że suma jest oczywiście bezwarunkowa, ale mimo wszystko chciałby zdradzić, że w Szwecji ma miejsce pewna działalność związana z rozszczepianiem jąder atomowych i z chęcią poprosiłby, żeby pan Karlsson rzucił na nią okiem.

Prawda była taka, że premier Erlander nie wiedział, co robić w wielu sprawach, które odziedziczył po Perze Albinie, gdy jego serce po prostu przestało bić poprzedniej jesieni. Jedną z nich było ustosunkowanie się Szwecji do faktu istnienia czegoś takiego jak bomba atomowa. Naczelny wódz Jung naciskał na niego, żeby kraj chronił się przed komunizmem, przecież między Szwecją a Związkiem Radzieckim była jako bufor tylko mała Finlandia.

Ta kwestia miała dwie strony. Z jednej naczelnemu wodzowi Jungowi poszczęściło się i ożenił się z panną z dobrej, bogatej rodziny, i było powszechnie wiadomo, że w piątkowe wieczory pije grog ze starym królem. Socjaldemokrata Erlander nie znosił myśli, że Gustaw V mógłby chociaż sobie wyobrazić, że ma wpływ na szwedzką politykę bezpieczeństwa.

Z drugiej Erlander nie mógł wykluczyć, że Jung i król rzeczywiście mają rację. Na Stalinie i komunistach nie można było polegać i gdyby przyszło im do głowy rozszerzyć sferę swoich

interesów bardziej na zachód, Szwecja leżała nieprzyjemnie blisko.

Instytut Badawczy Obrony Narodowej, zwany FOA, przekazał wszelką swoją (ograniczoną) wiedzę na temat energii jądrowej nowo powstałej firmie AB Atomenergi. Tam pracowali eksperci i próbowali wymyślić, co też wydarzyło się w Hiroszimie i Nagasaki. Na dodatek mieli bardziej ogólne zadanie: Zanalizować nuklearną przyszłość z perspektywy Szwecji. Nigdy nie powiedziano tego wprost, ale premier Erlander zrozumiał, że to mętnie sformułowane zadanie bez owijania w bawełnę powinno brzmieć: Jak, do cholery, mamy sami skonstruować bombę atomową, jeśli zajdzie taka potrzeba?

A teraz odpowiedź na pytanie miał przed sobą. Tage Erlander przede wszystkim chciał, żeby inni nie wiedzieli, że on wie. W polityce chodzi o właściwe kroki.

Dlatego poprzedniego dnia skontaktował się z szefem badawczym AB Atomenergi, doktorem Sigvardem Eklundem, i poprosił o zaproszenie Allana Karlssona na rozmowę kwalifikacyjną, aby doktor dokładnie dowiedział się, czy będzie z Allana jakiś pożytek. Oczywiście jeśli pan Karlsson będzie zainteresowany, czego premier miał się dowiedzieć następnego dnia.

Doktor Eklund nie był zachwycony, że premier narzuca mu, kogo ma zatrudnić do projektu atomowego. Podejrzewał wręcz, że Allan Karlsson może być podstawiony, aby rząd miał u nich swojego socjaldemokratycznego szpiega. Ale obiecał przyjąć Karlssona na rozmowę, mimo że – co dość dziwne – premier nie chciał nic powiedzieć o jego kwalifikacjach. Erlander powtarzał

tylko słowo „dokładnie”. Doktor Eklund miał dokładnie wypytać Karlssona o jego doświadczenie.

Allan ze swej strony odpowiedział, że nie ma nic przeciwko spotkaniu z doktorem Eklundem, ani żadnym innym doktorem, o ile zadowoli tym pana premiera.

* * *

Dziesięć tysięcy koron to niezdrowo dużo pieniędzy, pomyślał Allan i poszedł do najdroższego hotelu, jaki mógł znaleźć.

Portier w hotelu Grand był sceptyczny w stosunku do brudnego i kiepsko ubranego mężczyzny, do momentu, gdy Allan wyciągnął swój szwedzki paszport dyplomatyczny.

– Oczywiście mamy pokój dla attaché wojskowego – poinformował portier. – Zapłaci pan gotówką czy mamy przesłać fakturę do Ministerstwa Spraw Zagranicznych?

– Może być gotówka – powiedział Allan. – Czy mam zapłacić z góry?

– O nie, panie attaché. Tego by tylko brakowało! – Portier pokłonił się.

Gdyby portier mógł przewidywać przyszłość, na pewno inaczej by odpowiedział.

* * *

Następnego dnia doktor Eklund przyjął umytego i dość elegancko ubranego Allana Karlssona w swoim biurze w Sztokholmie. Poprosił, aby Allan usiadł, i zaproponował kawę i papierosa, dokładnie jak miał w zwyczaju naczelny morderca z Teheranu (z tą różnicą, że doktor Eklund gasił papierosy w popielniczce).

Wciąż był niezadowolony, że premier wtrąca się w jego działalność, to zadanie dla nauki, a nie polityków – a już na pewno nie socjaldemokratów!

Prawda była taka, że Eklund zdążył już przedyskutować sprawę telefonicznie z naczelnym wodzem i miał jego wsparcie. Co oznaczało, że jeśli mężczyzna przysłany przez premiera nie będzie wystarczająco dobry, nie zatrudnią go. Koniec kropka!

Allan czuł niemiłą atmosferę w pokoju i przypomniało mu to sytuację sprzed kilku lat, kiedy po raz pierwszy spotkał Song Meiling. Ludzie mogą się zachowywać, jak chcą, ale Allan uważał, że zupełnie niepotrzebnie są niemili, jeśli nie ma takiej potrzeby.

Spotkanie obu mężczyzn było krótkie.

– Premier poprosił mnie, abym dokładnie sprawdził, czy pasowałby pan na jakieś stanowisko w naszej firmie. I zamierzam to zrobić, oczywiście za pańskim pozwoleniem.

Allan uważał, że to zupełnie w porządku, iż doktor chce wiedzieć o nim więcej, a dokładność to zaleta, więc niech nie pomija żadnego pytania.

– No więc – powiedział doktor Eklund – zacznijmy od pańskich studiów, panie Karlsson...

– Nie ma za dużo do opowiadania – odparł Allan. – Tylko trzy lata.

– Trzy lata – wybuchnął doktor Eklund. – Po zaledwie trzech latach studiów akademickich nie może się pan nazywać fizykiem, matematykiem ani chemikiem!

– Nie no, trzy lata w sumie. Przestałem chodzić do szkoły, zanim skończyłem dziewięć lat.

Teraz doktor Eklund musiał przez chwilę ochłonąć. Facet nie ma więc żadnego wykształcenia! Czy potrafi chociaż czytać i pisać? Ale przecież premier prosił o...

– Czy ma pan w takim razie jakieś doświadczenie zawodowe, które byłoby adekwatne do działalności, którą – jak pan wie – prowadzi AB Atomenergi?

– Owszem, tak chyba można twierdzić – odrzekł Allan. – Pracowałem w Stanach Zjednoczonych, w bazie Los Alamos w Nowym Meksyku.

Na to rozjaśniła się twarz doktora Eklunda. Może Erlander mimo wszystko miał swoje powody. Było teraz powszechnie wiadomo, co osiągnięto w Los Alamos. Czym się tam pan zajmował?

– Podawałem kawę – odpowiedział Allan.

– Kawę? – Twarz doktora Eklunda znów zgasła.

– Tak, i czasem herbatę. Byłem pomocnikiem i kelnerem.

– Był pan pomocnikiem w Los Alamos... Czy brał pan w ogóle udział w jakichkolwiek doświadczeniach związanych z rozszczepianiem jąder atomowych?

– Nie – odparł Allan. – Wypowiedziałem się raz na jednym spotkaniu, na którym miałem właściwie tylko podawać kawę.

– Wypowiedział się pan na spotkaniu, na którym właściwie był pan kelnerem... i co było potem?

– No, przerwano nam... i poproszono mnie, abym opuścił pokój.

Doktor Eklund siedział bez słowa przed Allanem. Kogo ten premier mu przysłał? Czy Erlander myślał, że kelner, który rzucił szkołę, zanim skończył dziewięć lat, może brać udział w konstruowaniu bomby atomowej? Przecież nawet dla

socjaldemokraty musi istnieć jakaś granica, do jakiej można się trzymać naiwnej tezy o równej wartości wszystkich ludzi.

Doktor Eklund pomyślał, że to będzie cud, jeśli ten początkujący premier utrzyma się na swoim stołku do końca roku, a do Allana powiedział, że jeżeli pan Karlsson nie ma nic do dodania, to ich spotkanie dobiegło końca. Doktor Eklund nie sądzi, żeby było tu dla pana Karlssona miejsce na chwilę obecną. Ta pomocnica, która parzy kawę wysoko wykwalifikowanym pracownikom AB Atomenergi, wprawdzie nigdy nie była w Los Alamos, ale jest zadowalającym pracownikiem. Zresztą Greta sprząta jeszcze pokoje, a to dodatkowy plus.

Allan siedział cicho przez chwilę i zastanawiał się, czy ma wyjawić, że w odróżnieniu od doktora Eklunda, jego wysoko wykwalifikowanych pracowników, a także Grety wie, jak skonstruować bombę atomową.

Jednak zdecydował, że doktor Eklund nie zasługuje na taką wiadomość, o ile nie ma dość rozumu, aby zadać mu to pytanie. Poza tym kawa Grety smakowała jak lura.

* * *

Allan nie dostał pracy w AB Atomenergi, jego kwalifikacje uważano za zbyt niskie. Ale i tak czuł się zadowolony, siedząc na ławce przed hotelem Grand i mając piękny widok na zamek królewski po drugiej stronie zatoki. A jak miałby się czuć? Nadal dysponował większością pieniędzy, w które tak życzliwie zaopatrzył go premier, wytwornie mieszkał, jadał co wieczór w dobrych restauracjach, a tego styczniowego dnia popołudniowe słońce rozgrzewało mu i ciało, i duszę.

Oczywiście tyłek trochę marzł, gdy się siedziało na ławce, więc tym bardziej zaskakujące było to, że do Allana właśnie ktoś się dosiadł.

– Dzień dobry – powiedział Allan uprzejmie.

– *Good afternoon, mister Karlsson* – odpowiedział mężczyzna obok.

ROZDZIAŁ 14

Poniedziałek, 9 maja 2005

Gdy komisarz Aronsson zdał najświeższy raport prokuratorowi Conny'emu Ranelidowi z Eskilstuny, ten zdecydował się wydać list gończy za Allanem Karlssonem, Juliusem Jonssonem, Bennym Ljungbergiem i Gunillą Björklund.

Aronsson i prowadzący śledztwo mieli stały kontakt, odkąd stulatek wyszedł przez okno i zaginął, a zainteresowanie prokuratora było z czasem coraz większe. Teraz myślał więc o możliwości spektakularnego oskarżenia Allana Karlssona o zabójstwo, mimo że nie znaleziono żadnej ofiary. W historii szwedzkiego prawa istniało kilka przypadków, będących przykładem, że jest to możliwe, ale wymagało perfekcyjnych dowodów i zdolnego prokuratora. Z tym drugim Conny Ranelid nie miał najmniejszych problemów, a jeśli chodzi o pierwsze – zamierzał stworzyć łańcuch poszlak, w którym pierwsze ogniwo łańcucha byłoby najsilniejsze.

Komisarz Aronsson przyłapał się na tym, że czuje się zawiedziony rozwojem sytuacji. Lepiej byłoby uratować staruszka ze szponów gangu kryminalistów niż – jak teraz – nie uratować kryminalistów przed staruszkiem.

– Czy naprawdę można powiązać Allana Karlssona i resztę ze śmiercią Bylunda, Hulténa i Gerdina, dopóki nie znajdziemy ciał? – zapytał Aronsson i miał nadzieję, że odpowiedź będzie brzmiała „nie”.

– Nie trać nadziei, Göran – odparł prokurator Conny Ranelid. – Gdy tylko znajdziesz tego starucha, zobaczysz, że wszystko opowie. A jeśli jest na to zbyt stary, reszta będzie śpiewać jak z nut!

Prokurator Ranelid jeszcze raz omówił z komisarzem sytuację. Najpierw wyjaśnił strategię. Nie sądził, że mógłby zamknąć wszystkich za zabójstwo, ale było parę spraw, jak pomocnictwo w zabójstwie, nieumyślne spowodowanie śmierci oraz poplecznictwo, za które mógł ich przymknąć. Nawet zbezczeszczenie zwłok mogło wchodzić w grę, ale ta kwestia wymagała więcej czasu do namysłu.

Im później dany członek grupy dołączył do niej, tym trudniej będzie oskarżyć go o coś poważniejszego (o ile sam się nie przyzna, oczywiście), dlatego prokurator postanowił skoncentrować się na tym, o którym była mowa od początku, na stuletnim Allanie Karlssonie.

– W jego przypadku musimy zadbać, żeby dostał dożywocie – zarechotał prokurator Ranelid.

Staruszek musiał zabić najpierw Bylunda, a potem Hulténa i Gerdina, w przeciwnym razie stałoby się odwrotnie, to znaczy Bylund, Hultén lub Gerdin zabiliby jego. Na to, że wszyscy trzej członkowie Never Again mieli skłonność do agresji, prokurator dysponował zarówno nowymi, jak i starymi dowodami.

Mimo to Allan nie mógł twierdzić, że zabił w obronie koniecznej, bo powodem była walizka o nieznanej prokuratorowi zawartości. To o nią od początku chodziło. Dziadek tak naprawdę nie musiał zabijać, wystarczyło nie kraść walizki lub przynajmniej zwrócić ją właścicielom, o ile faktycznie została skradziona.

Poza tym prokurator potrafił znaleźć wiele „geograficznych" powiązań między Karlssonem – staruchem – a ofiarami. Ofiara numer jeden, dokładnie jak Karlsson, wysiadła na stacji Byringe, chociaż nie równocześnie, dokładnie jak Karlsson ofiara numer jeden jechała na drezynie, zresztą w tym samym czasie co Karlsson. I w odróżnieniu od Karlssona i jego kompana ofiary numer jeden nie widziano od tamtej pory. Natomiast „ktoś" zostawił za sobą ślady. To, kim jest ten „ktoś", wydawało się oczywiste. Zarówno starzec, jak i złodziejaszek Jonsson byli przy życiu tego samego dnia później.

„Geograficzne" powiązanie między Karlssonem a ofiarą numer dwa nie było równie mocne. Na przykład nie widziano ich razem. Ale srebrny mercedes i pozostawiony rewolwer mówiły prokuratorowi Ranelidowi – a wkrótce zapewne także sądowi – że Karlsson i ofiara Hultén, zwana Hultajem, byli w Sjötorp w Smålandii. Odcisków palców Hulténa na rewolwerze jeszcze nie potwierdzono, ale prokurator był pewien, że to kwestia czasu.

Znalezienie rewolweru było darem niebios. Nie dość, że łączył on Hultaja Hulténa ze Sjötorp, to jeszcze potwierdzał on motyw, aby pozbawić życia także ofiarę numer dwa.

Jeśli chodzi o Karlssona, istnieje tak fantastyczne odkrycie jak DNA, które staruszek zostawił wszędzie w mercedesie i w Smålandii. Tak więc istniał wzór: Hultaj + Karl sson = Sjötorp!

DNA użyje się oczywiście także, aby potwierdzić, że krew w zmiażdżonym bmw należała do ofiary numer trzy – Pera-Gunnara Gerdina, zwanego Szefem. Lada moment zaczną się bardziej dokładne oględziny zdemolowanego auta, a wtedy na pewno okaże się, że Karlsson i jego kompani zostawili tam swoje ślady. Jak inaczej wyciągnęliby zwłoki z samochodu?

Dlatego też prokurator miał motyw oraz powiązanie w czasie i przestrzeni między Allanem Karlssonem z jednej strony a trzema bandytami z drugiej.

Komisarz Aronsson ośmielił się zapytać, skąd prokurator ma pewność, że trzy ofiary na pewno są ofiarami, to znaczy nie żyją. Prokurator Ranelid prychnął i odpowiedział, że jeśli chodzi o jedynkę i trójkę, raczej nie ma wątpliwości. Co do dwójki zamierzał zaufać sądowi – bo gdy zgodzi się co do śmierci jedynki i trójki, dwójka będzie ogniwem w tym słynnym łańcuchu poszlak.

– A może sądzi pan, komisarzu, że dwójka całkiem dobrowolnie oddała rewolwer tym, którzy właśnie pozbawili życia jej przyjaciela, aby potem czule się pożegnać i odjechać, nie czekając na przyjazd swojego szefa kilka godzin później? – powiedział prokurator Ranelid kąśliwie.

– Nie, raczej tak nie sądzę – bronił się komisarz.

Prokurator przyznał Aronssonowi, że argumenty są dość słabe, ale to łańcuch wydarzeń sprawia, że przypadek jest mocny. Prokuratorowi brakowało ofiar i narzędzia zbrodni (poza żółtym autobusem). Ale plan był taki, że najpierw skaże się Karlssona za zabójstwo ofiary numer jeden. Dowody co do ofiary numer trzy i – przede wszystkim – ofiary numer dwa były niewystarczające, ale

pełniły nadzwyczajną funkcję wzmacniającą oskarżenie o zabójstwo ofiary numer jeden.

– Zamknę dziada za zabójstwo lub przynajmniej pomocnictwo. A jak już skażę starucha, reszta się posypie – w różnym stopniu, ale na pewno dostaną za swoje.

Prokurator nie mógł oczywiście zatrzymać grupy ludzi, opierając się na tezie, że w czasie przesłuchania będą sobie przeczyć na tyle, żeby od razu można ich było aresztować. Mimo wszystko miał tę kwestię w zanadrzu, to przecież amatorzy. Stulatek, złodziejaszek, właściciel małej gastronomii i baba. Jak na Boga się wymigają podczas przesłuchania?

– Jedź do Växjö, Aronsson, i weź pokój w jakimś przyzwoitym hotelu. Dziś wieczorem puszczę przeciek, że stulatek jest domniemanym seryjnym mordercą, a jutro rano dostaniemy tyle informacji, gdzie może się znajdować, że zgarniesz go jeszcze przed obiadem, obiecuję.

ROZDZIAŁ 15

Poniedziałek, 9 maja 2005

– Masz tu trzy miliony koron, kochany bracie. Chciałbym również przeprosić za to, jak się zachowywałem w związku ze spadkiem wuja Frassego.

Benny od razu przeszedł do rzeczy, gdy zobaczył Bossego po raz pierwszy od trzydziestu lat. Przekazał mu reklamówkę z pieniędzmi, zanim zdążyli sobie podać ręce. I mówił dalej, podniosłym tonem, podczas gdy starszy brat ciągle jeszcze z trudem łapał oddech.

– A teraz usłyszysz dwie rzeczy. Po pierwsze, naprawdę potrzebujemy twojej pomocy, bo nieźle nabroiliśmy. Po drugie, pieniądze są twoje i zasłużyłeś na nie. Jeśli będziesz musiał nas stąd wywieźć, to tak zrobisz, ale pieniądze, tak czy siak, zostają u ciebie.

Bracia stali w blasku jedynego działającego przedniego światła w żółtym autobusie, tuż przed wejściem do sporego domu Bossego w Klockaregård, na równanie Västgöta, niecałe dziesięć kilometrów na południowy zachód od Falköping. Bosse zebrał myśli najlepiej, jak się dało, a potem powiedział, że ma kilka pytań, jeśli nie mają nic przeciwko. Potem, w zależności od odpowiedzi, zdecyduje, jak to będzie z gościnnością. Benny

przytaknął i obiecał szczerze odpowiedzieć na wszystkie pytania starszego brata.

– No to zacznijmy – powiedział Bosse. – Czy pieniądze, które właśnie dostałem, są uczciwie zarobione?

– Ani trochę – odparł Benny.

– Szuka was policja?

– Prawdopodobnie i policja, i złodzieje – powiedział Benny. – Ale głównie złodzieje.

– Co się stało z autobusem? Ma uszkodzony przód.

– Z dużą prędkością wjechaliśmy na jednego złodzieja.

– Zginął?

– Niestety nie. Leży w autobusie ze wstrząsem mózgu, złamanymi żebrami, złamaną prawą ręką i porządnie otwartą raną na prawym udzie. Stan jest poważny, ale stabilny, jak to się mówi.

– Macie go tu ze sobą?

– Niestety tak.

– Co jeszcze powinienem wiedzieć?

– Hmm, może że po drodze pozbawiliśmy życia kilku innych złodziei, kumpli tego na wpół martwego w autobusie. Wszyscy się upierają, żeby nam odebrać te pięćdziesiąt milionów, które przypadkiem dostały się w nasze ręce.

– Pięćdziesiąt milionów?

– Pięćdziesiąt milionów. Minus trochę kosztów. Za ten oto autobus, między innymi.

– Czemu jeździcie autobusem?

– Bo mamy ze sobą słonia.

– Słonia?

– Nazywa się Sonja.

– Słoń?

– Azjatycki.

– Słoń?

– Słoń.

Bosse zamilkł na chwilę. Potem powiedział:

– Czy słoń też jest skradziony?

– No nie, raczej nie można tak powiedzieć.

Bosse znów zamilkł na chwilę, po czym rzekł:

– Kurczak z rożna i smażone ziemniaczki na kolację. Może być?

– Zdecydowanie – odparł Benny.

– Czy będzie coś do picia do kolacji? – dobiegł stary głos z wnętrza autobusu.

* * *

Gdy okazało się, że trup we wraku samochodu jednak żyje, Benny natychmiast wysłał Juliusa po apteczkę znajdującą się za siedzeniem kierowcy. Benny wiedział, że komplikuje życie reszcie grupy, ale jako „prawie" lekarz musiał myśleć o swojej „prawie" lekarskiej etyce. Dlatego też było wykluczone, aby zostawił umierającego, żeby się wykrwawił.

Dziesięć minut później jechali w stronę równiny Västgöta. Niedoszłego trupa wyciągnięto z wraku samochodu, Benny zbadał go, postawił diagnozę i dzięki zawartości apteczki zadbał o odpowiednią opiekę medyczną; przede wszystkim zatrzymał silne krwawienie z rany na udzie oraz usztywnił złamaną prawą rękę.

Następnie Allan i Julius musieli się przesiąść na tył do Sonii, żeby niedoszłego trupa można było położyć po przekątnej w kabinie kierowcy autobusu, a Ślicznotka czuwała przy nim niczym pielęgniarka. Wcześniej Benny stwierdził, że puls i ciśnienie są w miarę w porządku. Za pomocą odpowiedniej ilości morfiny, którą podał Benny, ranny zasnął, mimo tego, co go spotkało.

Gdy tylko stało się jasne, że przyjaciele mogą zostać u Bossego, Benny ponownie zbadał pacjenta. Niedoszły trup nadal spał głęboko dzięki morfinie i Benny postanowił, że poczekają, zanim go przeniosą.

Potem dołączył do grupy siedzącej w przestronnej kuchni Bossego. Podczas gdy gospodarz zajmował się przygotowaniem jedzenia, przyjaciele opowiadali, co się po kolei wydarzyło w ciągu kilku ostatnich dramatycznych dni. Zaczął Allan, potem mówił Julius, następnie Benny z wtrąceniami Ślicznotki, i znowu Benny, gdy doszli do kraksy bmw bandyty numer trzy.

Chociaż Bosse właśnie usłyszał ze szczegółami o tym, że dwóch mężczyzn pożegnało się z życiem i że fakt ten ukryto w sprzeczności ze szwedzkim prawem, chciał, żeby powtórzono mu tylko jedną rzecz:

– Poczekajcie, czy ja dobrze rozumiem... Czyli macie słonia w autobusie, który stoi przed domem?

– Tak, ale jutro rano wyjdzie na zewnątrz – odparła Ślicznotka.

Poza tym Bosse nie sądził, żeby było o czym dyskutować. Prawo często mówi jedno, a sumienie drugie, uważał, i pomyślał, że nie musi daleko szukać, spokojnie znalazłby kilka przykładów z własnego życia.

– Mniej więcej jak z naszym spadkiem, tyle że odwrotnie – wypsnęło się Bossemu.

– No rzeczywiście, a kto rozbił mój motocykl? – odparował Benny.

– Ale to dlatego, że zrezygnowałeś z kursu na spawacza – powiedział Bosse.

– Bo cały czas mną pomiatałeś – odrzekł Benny.

Wyglądało na to, że Bosse ma odpowiedź na odpowiedź Benny'ego, a Benny na odpowiedź Bossego, ale przerwał im Allan i powiedział, że zdążył się trochę rozejrzeć po świecie i jeśli czegoś go to nauczyło, to tego, że największe i – wydawać by się mogło – niemożliwe do rozwiązania konflikty na Ziemi powstawały w oparciu o stwierdzenie: „Głupi jesteś, nie, to ty jesteś głupi, nieprawda, to ty jesteś głupi". Według Allana rozwiązanie było takie, że opróżniało się razem trzy ćwiartki wódki i patrzyło w przyszłość. Ale na nieszczęście Benny był abstynentem. Allan oczywiście mógłby się zająć jego częścią wódki, ale nie sądził, żeby to było to samo.

– Więc trzy ćwiartki wódki rozwiązałyby konflikt izraelsko-palestyński? – dziwił się Bosse. – Ciągnie się już przecież od czasów biblijnych.

– Akurat jeśli chodzi o ten konflikt, możliwe, że trzeba by więcej niż jednej butelki – odpowiedział Allan. – Ale zasada jest ta sama.

– Nie zadziała, gdy wypiję coś innego? – zapytał Benny i poczuł się, jakby niszczył porządek świata, będąc abstynentem.

Allan był zadowolony z rozwoju sytuacji. Kłótnia między braćmi minęła, jak zauważył, i dodał, że rzeczona wódka przyda się do czego innego niż rozwiązywanie konfliktów.

Bosse stwierdził, że alkohol może poczekać, bo jedzenie jest gotowe. Świeżo grillowany kurczak z pieczonymi ziemniaczkami, a do tego pilzner dla dorosłych i sok dla braciszka.

Gdy kolacja w kuchni właśnie miała się rozpocząć, Per-Gunnar „Szef" Gerdin akurat się wybudził. Bolała go głowa, bolało go, gdy oddychał, jedna ręka była chyba złamana, bo obwiązano ją trójkątną chustą, a z rany na prawym udzie zaczęła sączyć się krew, gdy Szef wyczłapał z kabiny kierowcy autobusu. Wcześniej, ku swemu zaskoczeniu, w schowku na rękawiczki znalazł własny rewolwer. Pomyśleć tylko, że wszyscy na świecie, poza nim samym, wydają się idiotami.

Nadal był pod wpływem morfiny, dlatego mógł znieść ból, ale ciężko mu było zebrać myśli. Kuśtykał dookoła Klockaregård i zaglądał w okna, aż przekonał się, że wszyscy domownicy zebrali się w kuchni, włącznie z owczarkiem. Wyjście z kuchni do ogrodu nie było zamknięte na klucz. To przez nie wszedł, zdecydowanym krokiem, z rewolwerem w lewej dłoni i zaczął:

– Zamknijcie psa w spiżarni, bo jak nie, to od razu go zastrzelę. Potem zostanie mi pięć nabojów w magazynku, po jednym dla każdego z was.

Szef sam siebie zaskoczył, że był tak opanowany mimo złości. Ślicznotka wyglądała bardziej na nieszczęśliwą niż przerażoną, gdy odprowadzała Bustera do spiżarni i zamykała za nim drzwi. Buster zdziwił się nieco i zrobił się trochę niespokojny, ale przede wszystkim był zadowolony. Właśnie zamknięto go w spiżarni; można sobie wyobrazić gorszy los dla psa.

Piątka przyjaciół stała w rzędzie. Szef poinformował, że walizka, stojąca w rogu, jest jego i że zamierza wziąć ją ze sobą,

gdy będzie wychodził. Być może jedna lub kilka osób zachowa życie, w zależności od tego, jakie odpowiedzi na swoje pytania uzyska Szef, oraz od tego, ile z zawartości walizki zniknęło.

Allan przerwał ciszę i powiedział, że wprawdzie brakuje kilku milionów, ale może pan rewolwerowiec zadowoli się tym, co zostało, skoro ze względu na różne okoliczności stało się tak, że dwaj koledzy pana rewolwerowca umarli. Wszak teraz jest mniej osób do podziału zawartości walizki.

– To Bolec i Hultaj nie żyją? – zapytał Szef.

– Gawron?! – wykrzyknął nagle Bosse. – To przecież ty! Kopę lat!

– Bosse Łobuz?! – wykrzyknął Per-Gunnar „Gawron" Gerdin w odpowiedzi.

I tak Bosse Łobuz i Gawron Gerdin uścisnęli się nawzajem na środku kuchni.

– Myślę, że zdecydowanie to też przeżyję – powiedział Allan.

* * *

Bustera wypuszczono ze spiżarni, Benny opatrzył krwawiącą ranę Gerdina Gawrona, a Bosse Łobuz nakrył dla jeszcze jednej osoby.

– Wystarczy widelec – powiedział Gawron. – I tak nie mogę używać prawej ręki.

– Normalnie to nieźle władałeś nożem, jak trzeba było – odpowiedział Bosse Łobuz.

Gawron i Łobuz byli kiedyś dobrymi przyjaciółmi, ale także wspólnikami w branży spożywczej. Gawron zawsze był bardziej niecierpliwy, zawsze chciał iść o krok dalej. W końcu ich drogi się rozeszły, gdy Gawron naciskał, żeby zaczęli importować szwedzkie

klopsiki z Filipin, potraktowane formaliną, żeby przedłużyć ich świeżość z trzech dni do trzech miesięcy (lub trzech lat, w zależności od tego, ile się użyło formaliny). Wtedy Bosse powiedział „dość". Stwierdził, że nie chce sprzedawać czegoś, od czego ludzie mogą umrzeć. Gawron uważał, że Bosse przesadza. Twierdził, że nikt nie umarł od odrobiny chemii w jedzeniu, a w przypadku spożywania produktów z formaliną to nawet mogło być przeciwnie.

Przyjaciele rozstali się w przyjaźni. Bosse opuścił okolicę, przeprowadził się do Västergötlandii, a Gawron, na próbę, obrabował firmę importową z takim powodzeniem, że odłożył na bok plany klopsikowe i oddał się rabowaniu na cały etat.

Na początku Gawron i Bosse kontaktowali się ze sobą kilka razy w roku, ale z czasem coraz rzadziej, aż w końcu w ogóle – dopóki Gawron tego wieczoru całkiem niespodziewanie stanął, chwiejąc się, w kuchni Bossego, dokładnie tak groźny, jak Bosse pamiętał, że Gawron może być, gdy jest w takim nastroju.

Jednak złość Gawrona minęła w tej samej sekundzie, w której rozpoznał swojego wspólnika i przyjaciela z młodości. A teraz usiadł przy stole z Bossem Łobuzem i jego przyjaciółmi. Nic nie można poradzić na to, że zabili Bolca i Hultaja. Zajmą się tym i sprawą walizki następnego dnia. Bo teraz pora rozkoszować się jedzeniem i pilznerem.

– Na zdrowie! – powiedział Per-Gunnar „Gawron" Gerdin i zemdlał z twarzą w talerzu.

Gawronowi wytarto twarz, przetransportowano go do łóżka dla gości i położono w nim. Benny sprawdził aktualny stan zdrowia

pacjenta, a potem zaaplikował mu kolejną dawkę morfiny, po której ten spał do następnego dnia.

Pozostali wreszcie mogli w spokoju delektować się kurczakiem i ziemniakami. I to jak się delektować!

– Ten kurczak naprawdę smakuje jak drób! – pochwalił Julius i reszta zgodziła się, że nigdy wcześniej nie jedli czegoś bardziej soczystego. W czym tkwiła tajemnica?

Bosse powiedział, że sprowadza świeże kurczaki z Polski („żadnych śmieci, prawdziwe jedzenie"), a potem własnoręcznie wstrzykuje w mięso około litra przygotowanej wody z mieszanką przypraw. Następnie je pakuje i ponieważ tak wiele pracy zostało wykonane na równinie Västgöt, sprzedaje jako „szwedzkie".

– Podwójnie dobre dzięki przyprawom, podwójnie ciężkie dzięki wodzie i podwójnie pożądane dzięki krajowi pochodzenia – streścił Bosse.

Zrobił się z tego niezły biznes, mimo że Bosse był tylko drobnym handlarzem. I wszyscy kochali jego kurczaki. Natomiast nigdy nie sprzedawał ich hurtownikom z okolicy, ktoś mógł przecież go odwiedzić i zauważyć, że ani jeden kurczak nie chodzi po jego podwórku.

To miał na myśli, mówiąc o różnicy między prawem a sumieniem, jak dodał. Polacy nie są chyba gorsi w hodowaniu swoich kur niż Szwedzi? Jakość nie ma chyba nic wspólnego z granicami państw?

– Ludzie są szurnięci – stwierdził Bosse. – We Francji najlepsze mięso jest francuskie, w Niemczech niemieckie. To samo w Szwecji. Więc dla dobra wszystkich zatajam pewne informacje.

– To było genialne posunięcie z twojej strony – przyznał Allan. – Bez ironii.

Bosse powiedział, że podobnie robi z arbuzami, które także sprowadza, tyle że nie z Polski, ale z Hiszpanii lub Maroka. Te jak najbardziej nazywa hiszpańskimi, bo nikt i tak by nie uwierzył, że są ze szwedzkiego Skövde. Ale zanim je sprzeda, wstrzykuje w każdy owoc litr wody z cukrem.

– Są wtedy dwa razy cięższe – dobrze dla mnie! – i trzy razy smaczniejsze – dobrze dla konsumenta!

– To też było genialne posunięcie z twojej strony – powiedział Allan. – Nadal bez ironii.

Ślicznotka pomyślała, że na pewno znalazłby się ten czy inny konsument, który ze względów zdrowotnych nie powinien spożywać litra wody z cukrem, ale nic nie powiedziała. Nie uważała, żeby ona czy ktokolwiek inny przy tym stole mógł się wypowiadać na temat moralności. Poza tym arbuz był w smaku niemal równie boski jak kurczak.

* * *

Komisarz Göran Aronsson siedział w restauracji hotelu Royal Corner w Växjö i jadł *chicken cordon bleu*. Kurczak, który nie był z Västergötlandii, był suchy i bez smaku. Ale Aronsson popił go butelką dobrego wina.

W tym momencie prokurator zdążył już na pewno szepnąć to i owo do ucha jakiemuś reporterowi, a następnego dnia dziennikarze znów zaczną się rozpisywać. Prokurator Ranelid miał oczywiście rację, że dostaną wiele wskazówek, gdzie może się znajdować żółty autobus z rozbitym przodem. Czekając na to,

Aronsson może zostać, gdzie jest. Nie ma przecież nic lepszego do roboty: żadnej rodziny, żadnych bliskich przyjaciół, nawet żadnego sensownego hobby. Gdy to dziwne polowanie się skończy, będzie musiał naprawić swoje życie.

Komisarz Aronsson zakończył dzień dżinem z tonikiem, użalając się nad sobą i fantazjując na temat, jak by to było wyciągnąć służbową broń i zastrzelić pianistę przy barze. Gdyby się nie upił, a przemyślał porządnie to, co już wiedział, historia zapewne przyjęłaby inny obrót.

* * *

W redakcji dziennika „Expressen” odbyto tego samego wieczoru krótkie kolegium, zanim ustalono tytuł na pierwszą stronę jutrzejszego numeru. W końcu szef działu wiadomości postanowił, że jeden trup to morderstwo, dwa trupy – podwójne morderstwo, ale trzy trupy to jeszcze niestety nie masowe morderstwo, jak chcieliby niektórzy. Ale i tak tytuł miał niezłą siłę rażenia:

Zaginiony
STULATEK
podejrzany o
POTRÓJNE MORDERSTWO

* * *

Był późny wieczór w Klockaregård, a radosna atmosfera sięgała zenitu. Opowiadano anegdotę za anegdotą. Najlepszy okazał się Bosse, gdy wyciągnął Biblię i oznajmił, że teraz opowie historię, jak to nie całkiem dobrowolnie przeczytał ją od deski do deski.

Allan zapytał, jakim to diabelnym torturom Bosse został poddany, ale to nie było tak. Nikt nie zmusił Bossego do czytania, nie – to ciekawość samego Bossego przejęła nad nim kontrolę.

– Aż tak ciekawski chyba nigdy nie będę – powiedział Allan.

Julius zapytał, czy Allan może przestać przerywać Bossemu, tak żeby w końcu mogli wysłuchać opowiadania. Allan zapewnił, że może, a Bosse mógł kontynuować.

Pewnego dnia kilka miesięcy wcześniej dostał telefon od znajomego z wysypiska śmieci w Skövde. Poznali się na wyścigach konnych w Axevalli, gdzie ich marzenia obracały się wniwecz za każdym razem, gdy w mieście organizowano turnieje V75. Znajomy wyczuł, że sumienie Bossego ma pewne pole manewru i że Bosse zawsze jest zainteresowany nowymi źródłami dochodu.

Tym razem było tak, że właśnie przywieziono na wysypisko pół tony książek, które zaklasyfikowano jako materiał do spalenia, a nie jako literaturę. Kolega Bossego zaciekawił się, co to za literatura, i rozpakował paletę, aby za chwilę w swoich dłoniach trzymać Biblię (miał nadzieję na coś zupełnie innego).

– Ale nie była to byle jaka Biblia – powiedział Bosse i podał im egzemplarz do obejrzenia. – Mamy do czynienia z najcieńszą Biblią, oprawioną w prawdziwą skórkę, ze złotymi literami i tak dalej... I patrzcie na to: galeria postaci, kolorowe mapy, indeks...

– Do diabła – powiedziała Ślicznotka, będąc pod wrażeniem.

– Może akurat nie do niego – poprawił Bosse – ale rozumiem, co masz na myśli.

Znajomy był pod takim samym wrażeniem jak przyjaciele teraz i zamiast spalić cudeńko, zadzwonił do Bossego i zaproponował,

że przemyci mu całość z wysypiska... powiedzmy, za tysiąc koron, za fatygę.

Bosse od razu się zgodził i jeszcze tego samego popołudnia miał w stodole pięćset kilogramów Biblii. Ale jakkolwiek by się jej przyglądał, nie mógł odkryć, co było nie tak. W końcu o mało od tego nie zwariował. Dlatego też pewnego wieczoru usiadł przy kominku w salonie i zaczął czytać, od „Na początku Bóg stworzył..."[1] i dalej. Na wszelki wypadek zaglądał do własnej Biblii, którą dostał na bierzmowanie. Musi być gdzieś jakiś błąd w druku, w przeciwnym razie nie wyrzucano by czegoś tak pięknego i... świętego.

Bosse czytał i czytał, wieczór za wieczorem, Stary Testament, potem Nowy Testament, czytał dalej i porównywał z Biblią od bierzmowania, lecz nadal nie znajdował błędu.

Aż pewnego wieczoru doszedł do ostatniego rozdziału, a w końcu do ostatniej strony i ostatniego zdania.

To tam! To tam był ten niewybaczalny i niezrozumiały błąd w druku, który sprawił, że wydawca Biblii zdecydował się ją spalić.

Teraz Bosse rozdał każdemu przy stole po jednym egzemplarzu i wszyscy mogli sami otworzyć na ostatniej stronie i przeczytać ostatnie zdanie, a potem po kolei wybuchnęli śmiechem.

Bosse zadowolił się odnalezieniem błędu, nie był zainteresowany, skąd się tam wziął. Jego ciekawość została zaspokojona, a na dodatek przeczytał pierwszą książkę, odkąd skończył szkołę, a nawet stał się nieco religijny. Nie żeby pozwolił Bogu wtrącać się w swoją działalność biznesową w Klockaregård ani też by Pan był obecny, gdy wypełniał deklarację podatkową,

ale poza tym Bosse składał swoje życie w ręce Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Bo chyba żaden z wymienionych nie mógł mieć nic przeciwko temu, że Bosse stał na targowiskach w południowej Szwecji w weekendy i sprzedawał Biblie z błędem? („Dziewięćdziesiąt dziewięć koron za sztukę! O Boże, jaki interes!").

Ale gdyby Bosse był zainteresowany i wbrew logicznym przypuszczeniom udałoby mu się dowiedzieć, skąd ten błąd, mógłby opowiedzieć przyjaciołom, co następuje:

Pewien drukarz z przedmieść Rotterdamu przeszedł kryzys osobisty. Wiele lat wcześniej wstąpił w szeregi świadków Jehowy, ale wyrzucono go, gdy odkrył i głośno podał w wątpliwość fakt, że zgromadzenie przewidziało ponowne przyjście Jezusa nie mniej jak czternaście razy między 1799 a 1980 rokiem – i dość szokująco myliło się za każdym z tych czternastu razy.

Potem drukarz próbował u zielonoświątkowców; podobała mu się nauka o rzeczach ostatecznych, z otwartymi ramionami przyjmował ideę o końcowym zwycięstwie Boga nad złem, o powrocie Jezusa (mimo że zielonoświątkowcy nie ustalili daty jego przyjścia) i o tym, że wszyscy z czasów młodości drukarza, z jego ojcem włącznie, będą się smażyć w piekle.

Lecz i to zgromadzenie pożegnało drukarza. Tym razem powód był taki, że ofiara zbierana przez cały miesiąc zaginęła, będąc pod opieką drukarza. Drukarz zaklinał się, że nie ma ze zniknięciem pieniędzy nic wspólnego. A zresztą czy chrześcijaństwo nie polega na wybaczaniu? A co miał zrobić, kiedy popsuł mu się samochód i potrzebował nowego, żeby nie stracić pracy?

Zgorzkniały jak diabli drukarz zabrał się do zadania na ten dzień, które dość ironicznie polegało na wydrukowaniu dwóch tysięcy egzemplarzy Biblii. Chodziło o zamówienie ze Szwecji, gdzie – z tego, co drukarz wiedział – ciągle mieszkał jego ojciec, odkąd zostawił rodzinę, gdy drukarz miał sześć lat.

Ze łzami w oczach drukarz składał rozdział za rozdziałem w specjalnym programie do składania książek. Gdy doszedł do ostatniego rozdziału – Apokalipsy św. Jana – coś w nim pękło. Jak Jezus miałby kiedykolwiek wrócić na ziemię? Przecież zło opanowało wszystko! Zło na zawsze przezwyciężyło dobro, więc jaki jest tego wszystkiego sens? A Biblia... to jakiś żart!

I w taki sposób sfrustrowany drukarz dodał coś od siebie po ostatnim zdaniu w ostatnim rozdziale szwedzkiego wydania Biblii, które właśnie miało pójść do druku. Drukarz nie pamiętał za wiele z ojczystego języka swojego taty, ale pamiętał rymowankę, która – jak uważał – pasowała do kontekstu. I tak ostatnie dwa wersy Biblii plus dodatkowy wers drukarza zostały wydrukowane tak:

„20. Mówi Ten, który o tym świadczy: «Zaiste, przyjdę niebawem». Amen. Przyjdź, Panie Jezu!

21. Łaska Pana Jezusa ze wszystkimi![2].

22. Koniec i bomba, a kto czytał, ten trąba”.

Późny wieczór przeszedł w noc w Klockaregård. Lała się wódka i kwitła miłość braterska, i pewnie nadal by tak było, gdyby abstynent Benny nie zauważył, jak zrobiło się późno. Dlatego przerwał uciechy i oznajmił, że zdecydowanie najwyższa pora iść do łóżek. Następnego dnia czeka ich przecież dużo spraw do przemyślenia i najlepiej, żeby każdy był wtedy wypoczęty.

– Gdybym był z natury ciekawy, zastanawiałbym się pewnie, w jakim humorze będzie jutro ten, który zemdlał, kiedy się obudzi.

---

[1] Księga Rodzaju 1,1. Wszystkie cytaty z Biblii według: Biblia Tysiąclecia, wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.

[2] J 22,21.

ROZDZIAŁ 16

1948–1953

Mężczyzna, który dosiadł się do Allana, właśnie powiedział: *Good afternoon, mister Karlsson*, i Allan wyciągnął z tego kilka wniosków. Po pierwsze, mężczyzna nie jest Szwedem, w przeciwnym razie spróbowałby chyba mówić po szwedzku. Po drugie, wie, kim jest Allan, ponieważ zwrócił się do niego po nazwisku.

Mężczyzna był niezwykle elegancko ubrany, miał szary kapelusz z czarnym rondem, szary płaszcz i czarne buty. Mógł być biznesmenem. Wyglądał przyjaźnie i zdecydowanie miał sprawę do Allana, więc Allan odpowiedział po angielsku:

– Czyżby moje życie właśnie miało przybrać nowy obrót?

Mężczyzna powiedział, że nie można tego wykluczyć, ale dodał życzliwie, że to zależy od pana Karlssona. W każdym razie zleceniodawca mężczyzny chciałby się spotkać z panem Karlssonem, żeby zaproponować mu pracę.

Allan odpowiedział, że wprawdzie dobrze mu tak, jak jest, ale nie może przecież do końca życia siedzieć na ławce. I spytał, czy żąda za dużo, chcąc wiedzieć, kim ten zleceniodawca jest. Allan miał na myśli, że łatwiej jakąś propozycję przyjąć lub odrzucić,

jeśli się wie, co się przyjmuje lub odrzuca. Czy jego rozmówca tak nie sądzi?

Przyjazny mężczyzna w zupełności się zgadzał, ale zleceniodawca jest dość niezwykły i wolałby sam się przedstawić.

– Mogę natomiast bezzwłocznie zaprowadzić pana do owego zleceniodawcy, jeśli to panu odpowiada.

O tak, jak najbardziej, uważał Allan, czemu nie, i dowiedział się, że czeka ich kawałek drogi. Jeśli pan Karlsson chciałby zabrać ze sobą rzeczy z pokoju hotelowego, to mężczyzna obiecuje poczekać w hotelowym holu. Może zresztą podwieźć Allana do hotelu, bo samochód z kierowcą czeka tuż obok.

Był to elegancki samochód, czerwony ford coupé, najnowszy model. I prywatny szofer! Małomówny typ. Wcale nie wyglądał tak przyjaźnie jak przyjazny mężczyzna.

– Chyba możemy sobie darować pokój hotelowy – powiedział Allan. – Jestem przyzwyczajony do podróżowania bez bagażu.

– W porządku – odpowiedział przyjazny mężczyzna i poklepał szofera po ramieniu w sposób, który oznaczał „jedź”.

Trasa prowadziła do Dalarö, ponad godzinę jazdy na południe krętymi drogami. Allan i przyjazny mężczyzna rozmawiali przez ten czas o tym i owym. Mężczyzna rozwodził się nad nieskończoną wielkością opery, a Allan opowiadał, jak przejść Himalaje, nie zamarzając przy tym na śmierć.

Słońce zaszło za horyzont, gdy czerwony ford wjechał do wioski, latem tak popularnej wśród turystów wędrujących po szkierach, a zimą tak ciemnej i cichej, jak to tylko możliwe.

– Aha, więc to tutaj mieszka ten zleceniodawca – powiedział Allan.

– Niezupełnie – odparł przyjazny mężczyzna.

Niezbyt przyjazny szofer przyjaznego mężczyzny nie powiedział nic, tylko wysadził Allana i mężczyznę tuż przed przystanią w Dalarö i odjechał. Przedtem mężczyzna zdążył wyjąć z bagażnika forda futro i przyjaźnie otulił nim ramiona Allana, jednocześnie przepraszając, że teraz czeka ich krótki spacer na mrozie.

Allan nie należał do tych, którzy bez potrzeby zastanawiają się nad tym, co ma się zaraz w ich życiu wydarzyć. Co się stanie, to się stanie, nie ma nad czym się zastanawiać.

Niemniej jednak Allan był nieco zaskoczony, gdy przyjazny mężczyzna poprowadził go drogą z dala od centrum Dalarö, a potem przez lód – w czarny jak smoła wieczór na szkierach.

Przyjazny i Allan maszerowali naprzód. Czasem mężczyzna zapalał latarkę, mrugał nią w zimową ciemność, aby następnie użyć jej do oświetlenia kompasu, którym wyznaczał właściwy kierunek marszu. Nie rozmawiał z Allanem przez całą drogę, tylko głośno liczył kroki – w języku, którego Allan wcześniej nie słyszał.

Po piętnastu minutach wędrówki w szybkim tempie przez całkowitą pustkę przyjazny mężczyzna oznajmił, że są na miejscu. Wokół nich było ciemno, poza migającym światełkiem na wyspie w oddali. Mężczyzna poinformował, że światło na południowym wschodzie to Kymendö, które z tego, co mu wiadomo, zasłynęło w historii literatury szwedzkiej. Allanowi nic o tym nie było wiadomo, i więcej nie zdążyli na ten temat porozmawiać, bo lód pękł pod stopami Allana i mężczyzny.

Prawdopodobnie przyjazny mężczyzna źle obliczył kroki. Albo kapitan łodzi podwodnej nie był tak dokładny, jak powinien. Ale jakkolwiek by było, statek długości dziewięćdziesięciu siedmiu metrów spowodował załamanie się lodu w pobliżu Allana i mężczyzny. Obaj polecieli do tyłu i o mały włos nie wpadli do lodowatej wody. Lecz wszystko dobrze się skończyło i Allan znalazł się w środku łodzi, w cieple.

– Teraz widać pożytek z niezaczynania dnia od zgadywania, co się wydarzy – powiedział Allan. – Jak długo musiałbym zgadywać, żeby zgadnąć coś takiego?

W tej sytuacji przyjazny mężczyzna stwierdził, że czas przestać być takim tajemniczym. Powiedział, że nazywa się Julij Borysowicz Popow, że pracuje dla Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, że jest fizykiem, a nie politykiem ani wojskowym, że został wysłany do Sztokholmu, aby przekonać pana Karlssona, aby ten udał się z nim do Moskwy. Julija Borysowicza wybrano do tego zadania, ponieważ można się było spodziewać pewnego oporu ze strony pana Karlssona, a doświadczenie Julija Borysowicza jako fizyka mogło mieć wpływ na powodzenie misji, bo panowie mówili jakby tym samym językiem.

– Ale ja nie jestem fizykiem – powiedział Allan.

– Możliwe, ale mój zleceniodawca mówi, że umie pan to, czego ja z chęcią bym się nauczył.

– Aha, no proszę. Co takiego ma na myśli?

– Bombę, panie Karlsson. Bombę.

* * *

Julij Borysowicz i Allan Emmanuel od razu się polubili. Zgoda na podróż z nieznajomym bez wiedzy dokąd, do kogo i dlaczego – to imponowało Julijowi Borysowiczowi i zakrawało na beztroskę, której jemu samemu brakowało. Allan ze swej strony doceniał fakt, że mógł porozmawiać z kimś, kto nie próbuje mu wciskać kitu o polityce albo religii.

Poza tym wkrótce okazało się, że Julij Borysowicz i Allan Emmanuel cieszą się jak dzieci na widok gorzałki, chociaż jeden nazywa ją „bränvin", a drugi „wodka". Julij Borysowicz poprzedniego wieczoru miał okazję skosztować szwedzkiej wersji, gdy – jeśli ma być szczery – obserwował Allana Emmanuela w restauracji w hotelu Grand. Na początku uważał, że jest zbyt wytrawna, nie ma tej rosyjskiej słodyczy, ale po kilku kieliszkach przyzwyczaił się. A po kilku kolejnych przez jego usta przeszło pełne uznania „niczego sobie".

– Chociaż ta jest oczywiście lepsza – powiedział Julij Borysowicz i podniósł litrową butelkę wódki Stolicznaja, siedząc z Allanem Emmanuelem w pustej mesie oficerskiej. – Zdecydowanie napijemy się po kieliszku!

– Dobry pomysł – odparł Allan. – W wodzie człowiek nabiera apetytu.

Już po pierwszym kieliszku Allan zaproponował bruderszaft. Nazywanie Julija Borysowicza Julijem Borysowiczem za każdym razem, gdy chciało się go prosić o uwagę, na dłuższą metę było męczące. Allan nie chciał być nazywany Allanem Emmanuelem, bo nie nazywano go tak, odkąd ochrzcił go ksiądz w Yxhult.

– Więc od teraz ty jesteś Julij, a ja Allan – powiedział Allan. – W przeciwnym razie wysiadam ze statku tu i teraz.

– Nie rób tego, drogi Allanie, jesteśmy na głębokości dwustu metrów – powiedział Julij. – Lepiej się napij.

Julij Borysowicz Popow był zapalonym socjalistą i niczego nie pragnął bardziej, jak tylko dalej pracować w imię radzieckiego socjalizmu. Towarzysz Stalin miał twarde pięści, to Julij musiał przyznać, ale ten, kto lojalnie i z przekonaniem służył systemowi, nie miał się czego obawiać. Allan odpowiedział, że nie zamierza służyć żadnemu systemowi, ale oczywiście może dać Julijowi kilka rad, jeśli utknął w martwym punkcie w kwestii bomby atomowej. Jednak najpierw Allan chciał spróbować jeszcze kieliszek tej wódki, której nazwy nie dało się wypowiedzieć, nawet będąc trzeźwym. Poza tym Julij obiecał iść w tym kierunku, to znaczy nie rozmawiać o polityce.

Julij podziękował serdecznie za obietnicę pomocy i wyznał bez owijania w bawełnę, że marszałek Beria, jego bezpośredni szef, zamierza zaoferować szwedzkiemu ekspertowi sto tysięcy dolarów amerykańskich, o ile pomoc Allana przyniesie rezultat w postaci gotowej bomby.

– To chyba dobrze – powiedział Allan.

Zawartość butelki regularnie się kurczyła, gdy Allan i Julij rozmawiali o wszystkim (poza polityką i religią). Poruszyli też problematykę bomby atomowej i mimo że miało to być zadanie na kolejne dni, Allan zdążył dać Julijowi kilka rad. I jeszcze kilka.

– Hmm, myślę, że rozumiem… – powiedział główny fizyk Julij Borysowicz Popow.

– Ale ja nie rozumiem – powiedział Allan. – Wyjaśnij mi jeszcze raz, co z tą operą. To nie jest tylko wycie?

Julij uśmiechnął się, wypił porządny łyk wódki, wstał – i zaczął śpiewać. Nie wystarczyła mu jakaś tam ludowa przyśpiewka, tylko aria *Nessun dorma z Turandot* Pucciniego.

– To było cholernie dobre – powiedział Allan, gdy Julij skończył.

– Nessun dorma! – dodał Julij poważnym głosem. – Niech nikt nie śpi!

Bez względu na to, czy wolno im było spać, czy nie, wkrótce zasnęli i obaj, każdy na swojej koi obok mesy. Gdy się obudzili, statek był już przycumowany w porcie w Leningradzie. Czekała na nich limuzyna, która miała ich zawieźć na Kreml do marszałka Berii.

– Sankt Petersburg, Piotrogród, Leningrad... Nie moglibyście się zdecydować? – spytał Allan.

– Dzień dobry, Allanie – odpowiedział Julij.

Julij i Allan usiedli z tyłu limuzyny humber pullman, która zawiozła ich z Leningradu do Moskwy; podróż trwała cały dzień. Przesuwana szyba oddzielała kierowcę od salonu, gdzie siedział Allan i jego nowy przyjaciel. W salonie znajdowała się lodówka, wypełniona butelkami z wodą, napojami i wszelkim alkoholem, bez którego na chwilę obecną wszyscy pasażerowie mogli się obejść. Były tam także salaterka żelkowych malin i patera z pralinkami z prawdziwej czekolady. Samochód i jego wyposażenie mogłyby być doskonałym przykładem radzieckiej, socjalistycznej sztuki inżynierskiej, gdyby nie to, że limuzyna była importowana z Anglii.

Julij opowiedział Allanowi o swojej przeszłości, między innymi o tym, że robił badania dla laureata Nagrody Nobla, Ernesta

Rutherforda, legendarnego nowozelandzkiego fizyka jądrowego. To dlatego Julij Borysowicz mówił tak dobrze po angielsku. Allan natomiast opowiedział coraz bardziej zdumionemu Julijowi o swoich przygodach w Hiszpanii, Ameryce, Chinach, Himalajach i Iranie.

– Co się potem stało z tym anglikańskim pastorem? – zapytał Julij.

– Nie wiem – odparł Allan. – Albo udało mu się zanglikanizować całą Persję, albo jest martwy. Najmniej prawdopodobne jest coś pomiędzy.

– To trochę tak, jak rzucić rękawicę Stalinowi w Związku Radzieckim – powiedział otwarcie Julij. – Pomijając fakt, że jest to grzech przeciwko rewolucji, szanse na przeżycie byłyby niewielkie.

Szczerość Julija tego dnia i w tym towarzystwie zdawała się nie mieć granic. Mówił otwarcie, co myśli o marszałku Berii, szefie bezpieki, który nagle, choć bez większego entuzjazmu, stał się także głównym odpowiedzialnym za postępy projektu budowy bomby atomowej. Beria, mówiąc krótko, nie miał wstydu. Wykorzystywał seksualnie kobiety i dzieci, niepożądany element posyłał do obozów pracy lub wręcz na śmierć.

– Zrozum mnie dobrze – dodał Julij. – Niepożądanego elementu trzeba się oczywiście jak najszybciej pozbyć, ale musi być niepożądany z właściwych, rewolucyjnych powodów. Precz z tymi, którzy nie służą socjalizmowi! Ale ten, kto nie służy marszałkowi Berii... ech, Allan. Marszałek Beria nie jest żadnym prawdziwym rewolucjonistą. Jednak nie można o to obwiniać towarzysza Stalina. Nigdy nie miałem okazji go poznać, ale on odpowiada za cały kraj, niemalże cały kontynent. Jeśli w nawale pracy dał

marszałkowi Berii większy zakres obowiązków, niż ten jest w stanie ogarnąć... to towarzysz Stalin ma do tego jak najbardziej prawo! A teraz – drogi Allanie – opowiem ci coś naprawdę wspaniałego. Ja i ty jesteśmy dziś po południu zaproszeni na audiencję, nie tylko u marszałka Berii, ale także u samego towarzysza Stalina! Zaprasza nas na kolację.

– Doprawdy nie mogę się doczekać – powiedział Allan. – Ale co będziemy jeść przedtem? Mamy się żywić żelkowymi malinami?

Julij poprosił, aby kierowca limuzyny zatrzymał się w małym miasteczku po drodze, i kupił Allanowi kilka kanapek. Potem kontynuowali podróż i interesującą rozmowę.

Allan między kęsami myślał o tym całym marszałku Berii, który z opisu Julija przypominał zmarłego nagłą śmiercią szefa tajnej policji w Teheranie.

Julij próbował zrozumieć swojego szwedzkiego kolegę. Szwed miał niedługo zjeść kolację ze Stalinem i powiedział, że nie może się doczekać. Ale Julij musiał zapytać, czy to kolacji Allan nie może się doczekać, czy spotkania z przywódcą.

– Głód nie ma ambicji – powiedział Allan dyplomatycznie i pochwalił jakość rosyjskich kanapek. – Ale, drogi Juliju, wybaczysz, jeśli postawię jeszcze pytanie lub dwa?

– Oczywiście, drogi Allanie. Pytaj, zrobię, co w mojej mocy, żeby odpowiedzieć.

Allan powiedział, że szczerze mówiąc, nie słuchał zbyt uważnie politycznych wywodów Julija przed chwilą, bo polityka to nie to, co najbardziej interesuje Allana. Poza tym pamiętał dokładnie, że poprzedniego wieczoru Julij obiecał nie iść w tym kierunku.

Allan zwrócił jednak uwagę na opis niedoskonałości marszałka Berii w opowiadaniu Julija. Allan uważał, że spotkał już w życiu ludzi podobnego pokroju. Z jednej strony z tego, co zrozumiał, marszałek Beria jest bezwzględny. Z drugiej natomiast zadbał o to, aby zajęto się Allanem w specjalny sposób, z limuzyną i tak dalej.

– Zastanawiam się, dlaczego po prostu nie kazał mnie uprowadzić, a potem przemocą wycisnąć ze mnie to, co chce wiedzieć – powiedział Allan. – Zaoszczędziłby przecież żelkowych malin, pralinek, stu tysięcy dolarów i masy innych rzeczy.

Julij odrzekł, że w stwierdzeniu Allana jest trochę racji. Nieraz marszałek Beria – w imię rewolucji – torturował niewinnych ludzi. Julij wiedział o tym. – Ale tym razem było tak… – powiedział Julij i zamilkł. – Było tak – powtórzył i otworzył lodówkę, żeby wyjąć piwo i napić się, mimo wczesnej godziny – że marszałek Beria właśnie poniósł ogromną porażkę, stosując wspomnianą przez Allana metodę. Uprowadzono pewnego zachodniego eksperta ze Szwajcarii i postawiono przed oblicze marszałka Berii, ale wszystko skończyło się tragicznie. Jeśli Allan wybaczy, Julij nie chciałby opowiadać więcej, lecz Allan musi mu uwierzyć. Nauczka z ostatniej porażki była taka, że postanowiono „kupić” wiedzę zachodnich specjalistów na temat budowy bomby atomowej, jakkolwiek wulgarnie by to brzmiało.

* * *

Program budowy arsenału atomowego zaczął się od listu fizyka jądrowego Gieorgija Nikołajewicza Florowa do towarzysza Stalina, datowanego na kwiecień 1942 roku, w którym podkreślał, że do

tej pory w zachodnich alianckich mediach nie powiedziano ani słowa i nie napisano ani linijki o metodzie rozszczepienia jądra atomowego, odkąd ją odkryto w 1939 roku.

Towarzysz Stalin nie był w ciemię bity (chociaż w młodości codziennie był bity przez ojca). Uważał, dokładnie tak jak fizyk Florow, że taka konsekwentna cisza na temat odkrycia sprzed trzech lat nie może znaczyć nic innego, jak tylko to, że właśnie konstruowano bombę, która pewnego dnia da Związkowi Radzieckiemu – mówiąc obrazowo po rosyjsku – szach-mat.

Nie było zatem czasu do stracenia, gdyby nie to, że Hitler i nazistowskie Niemcy byli właśnie pochłonięci zajmowaniem części Związku Radzieckiego – to znaczy wszystkiego na zachód od Wołgi, co obejmowało Moskwę, i to już było straszne, ale także Stalingrad!

Bitwa o Stalingrad stała się osobistym wyzwaniem dla Stalina. Wprawdzie zginęło około półtora miliona ludzi, ale Armia Czerwona zwyciężyła i zaczęła wypychać Hitlera ze swojego terytorium, wkrótce aż do bunkru w Berlinie.

Dopiero gdy Niemcy osłabły, a Stalin poczuł pewność, że on i jego naród mają przyszłość, wtedy nareszcie coś się ruszyło w badaniach nad rozszczepieniem jądra atomowego, jako zmodernizowanej wersji nieaktualnego już ubezpieczenia na życie pod nazwą Ribbentrop–Mołotow. Chociaż bomb atomowych nie produkuje się w jedno popołudnie, zwłaszcza gdy taka bomba nie jest jeszcze skonstruowana. Radzieckie badania trwały już od kilku lat, nie przynosząc rezultatu, gdy pewnego dnia nastąpił wybuch – w Nowym Meksyku. Amerykanie wygrali wyścig, i nic dziwnego, biorąc pod uwagę fakt, że przystąpili do niego dużo

wcześniej. A po próbie na pustyni w Nowym Meksyku nastąpiły jeszcze dwa wybuchy: jeden w Hiroszimie, drugi w Nagasaki. Tym samym Truman utarł nosa Stalinowi, pokazał, kto rządzi, i nie trzeba było znać Stalina, żeby zrozumieć, że ten tak łatwo się z tym nie pogodzi.

– Rozwiąż problem – powiedział towarzysz Stalin do marszałka Berii. – Albo wyrażę się jaśniej: Rozwiąż problem!

Marszałek Beria zrozumiał, że jego fizycy, chemicy i matematycy utknęli w martwym punkcie i nic to nie da, nawet jeśli wyśle połowę do gułagu. Poza tym nic nie wskazywało na to, żeby radzieccy agenci za granicą mieli szansę przeniknąć do najświętszej bazy w Los Alamos. Wykradzenie amerykańskich projektów chwilowo nie wchodziło w grę.

Rozwiązaniem było więc importowanie umiejętności, które uzupełniłyby te znajdujące się w centrum badawczym w zamkniętym mieście Sarow, oddalonym kilka godzin jazdy samochodem na południowy wschód od Moskwy. Ponieważ marszałek Beria zadowalał się tylko najlepszym, powiedział do szefa międzynarodowej siatki agentów:

– Sprowadź mi tu Alberta Einsteina.

– Ale... Albert Einstein... – powiedział zszokowany szef.

– Albert Einstein ma najbystrzejszy mózg na świecie. Zamierzasz zrobić, co mówię, czy tęskno ci do śmierci? – spytał marszałek Beria.

Szef siatki agentów właśnie spotkał nową kobietę swojego życia i nic na ziemi nie pachniało tak pięknie jak ona, więc tęsknoty do śmierci nie odczuwał ani trochę. Ale zanim zdążył poinformować o tym marszałka, Beria powiedział:

– Rozwiąż problem. Albo wyrażę się jaśniej: Rozwiąż problem!

Nie można było tak po prostu zgarnąć Alberta Einsteina i wysłać go w paczce do Moskwy. Poza tym trzeba go najpierw zlokalizować. Urodził się w Niemczech, ale mieszkał we Włoszech, potem w Szwajcarii i Ameryce, i wciąż podróżował do wszelkich możliwych miejsc z wszelkich możliwych powodów.

Na tę chwilę miał dom w New Jersey, ale według miejscowych agentów dom zdawał się pusty, zresztą marszałek Beria życzył sobie, żeby do porwania doszło w Europie. Przeszmuglowanie sławy z Ameryki przez Atlantyk wywołałoby pewne komplikacje.

Ale gdzie gość się znajduje? Nigdy lub rzadko zapowiadał swoje podróże i był znany z tego, że potrafi przybyć na ważne i umówione spotkanie kilka dni spóźniony.

Szef siatki agentów zrobił listę kilku miejsc w miarę blisko powiązanych z Einsteinem i rozlokował agentów w każdym z tych miejsc. Chodziło oczywiście o dom w New Jersey i willę najlepszego przyjaciela w Genewie. Ponadto wydawca Einsteina w Waszyngtonie i dwóch innych przyjaciół, jeden w Bazylei, drugi w Cleveland w Ohio.

Kilkudniowe cierpliwe czekanie przyniosło nagrodę – w postaci mężczyzny w szarym płaszczu z postawionym kołnierzem i w kapeluszu. Mężczyzna szedł w Genewie ulicą przed domem, w którym mieszkał najlepszy przyjaciel Einsteina, Michele Besso. Zadzwonił do drzwi i został serdecznie przyjęty przez samego Besso, ale także przez pewną starszą parę, która wymagała bliższego przyjrzenia się. Obserwujący to agent skontaktował się z kolegą mającym takie samo zadanie w Bazylei dwieście pięćdziesiąt kilometrów stąd. Po godzinach nieustannego

zaglądania w okna i porównań z dostępnymi fotografiami obaj agenci stwierdzili, że to bez wątpienia Albert Einstein jest w odwiedzinach u swojego najlepszego przyjaciela. Starsza para to prawdopodobnie szwagier Michele Besso, Paul, z małżonką Mają, siostrą Alberta Einsteina. Co za rodzinna impreza!

Albert został u przyjaciela w towarzystwie siostry i jej męża dwa dni bacznie obserwowany przez agenta, a potem znów włożył swój płaszcz, rękawiczki i kapelusz i udał się w drogę, równie dyskretnie, jak przybył.

Jednak zdążył tylko zniknąć za rogiem, gdy zaatakowano go od tyłu i w mgnieniu oka wrzucono na tylne siedzenie samochodu, a potem uśpiono chloroformem. Stamtąd przewieziono go przez Austrię na Węgry, które były wystarczająco przyjaźnie nastawione do Związku Radzieckiego, aby nie zadawać zbędnych pytań, gdy Związek Radziecki wyraził chęć lądowania na lotnisku wojskowym w Peczu, aby zatankować samolot z dwoma obywatelami radzieckimi i jednym śpiącym mężczyzną na pokładzie, a potem odlecieć w nieznanym kierunku. Następnego dnia rozpoczęto przesłuchanie Alberta Einsteina w budynku służb bezpieczeństwa w Moskwie, pod przewodnictwem marszałka Berii. Pytanie tylko, czy Einstein zechce współpracować dla własnego dobra, czy będzie się opierał, nic tym nie zyskując.

Niestety okazało się, że jednak wybrał to drugie. Mówił, że nie poświęcił metodzie rozszczepienia jądra atomowego ani jednej myśli (mimo że było powszechnie wiadomo, że już w 1939 roku porozumiewał się z prezydentem Rooseveltem w tej sprawie, co następnie doprowadziło do projektu Manhattan). Prawda była

taka, że Albert Einstein nie chciał nawet przyznać, że jest Albertem Einsteinem. Twierdził z szaleńczym uporem, że jest Herbertem Einsteinem, młodszym bratem Alberta Einsteina. Problem w tym, że Albert Einstein nie miał brata, miał tylko siostrę. Dlatego na ten numer nie dali się nabrać marszałek Beria i prowadzący przesłuchanie i już mieli użyć przemocy, gdy doszły ich wieści, że coś nader dziwnego dzieje się przy Siódmej Alei w Nowym Jorku, wiele tysięcy kilometrów od Moskwy.

Mianowicie tam, w Carnegie Hall, Albert Einstein prowadził popularnonaukowy wykład na temat teorii względności, na oczach dwóch tysięcy ośmiuset specjalnie zaproszonych gości, z których co najmniej trzech zdawało na bieżąco raporty Związkowi Radzieckiemu.

Dwóch Albertów Einsteinów to o jeden za dużo jak dla marszałka Berii, nawet jeśli jeden z nich znajdował się po drugiej stronie Atlantyku. Dosyć szybko udało się ustalić, że ten w Carnegie Hall jest tym właściwym, więc kim, u diabła, jest ten drugi?

Pod groźbą narażenia się na coś, na co nikt nie chciałby być narażony, fałszywy Albert Einstein obiecał, że wszystko wyjaśni marszałkowi.

– Pan marszałek usłyszy całą prawdę, tylko proszę mi nie przerywać, bo robię się wtedy nerwowy.

Marszałek Beria obiecał nie przerywać w inny sposób, jak tylko strzałem w skroń fałszywego Einsteina, jeśli tylko nie będzie miał żadnych wątpliwości, że to, co słyszy, to wierutne kłamstwo.

– Proszę więc zaczynać. Nie będę przeszkadzał – powiedział Beria i odbezpieczył swój pistolet.

Mężczyzna, który wcześniej twierdził, że jest nieznanym bratem Alberta Einsteina, wziął głęboki wdech i zaczął od... powtórzenia tych słów (wtedy było blisko, żeby pistolet wystrzelił).

Potem nastąpiła opowieść, która – jeśli prawdziwa – była tak smutna, że marszałek Beria nie mógł tak od razu zgładzić jej narratora.

Herbert Einstein opowiedział, że Hermann i Pauline Einsteinowie rzeczywiście mieli dwójkę dzieci: najpierw syna Alberta, potem córkę Maję. Co do tego marszałek miał absolutną rację. Ale było niestety tak, że tata Einstein nie potrafił trzymać się z dala od swojej pięknej, acz średnio zdolnej sekretarki w jego zakładzie produkującym instalacje gazowe i wodno-kanalizacyjne w Monachium. Rezultatem tego związku był Herbert, skrywany i nie całkiem prawowity brat Alberta i Mai.

Tak jak zauważyli to już agenci marszałka, Herbert był niemalże kopią Alberta, mimo że miał trzynaście lat mniej. To, czego oczywiście nie dało się ocenić po wyglądzie, to fakt, że Herbert na nieszczęście odziedziczył zdolności po swojej matce. Albo raczej ich brak.

Gdy Herbert miał dwa lata, w 1895 roku, rodzina Einsteinów przeprowadziła się z Monachium do Mediolanu. Herberta wzięto ze sobą, ale bez matki. Tata Einstein zaoferował jej dogodne rozwiązanie, ale mama Herberta nie była zainteresowana. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby zamienić bratwurst na spaghetti, niemiecki na... jak się tam ten język we Włoszech nazywał. Poza tym same kłopoty z tym maluchem: krzyczał cały czas, żeby go karmić, i robił pod siebie. Jeśli Hermann chce wziąć Herberta do Mediolanu, to dobrze, ale ona zamierza zostać tu, gdzie jest.

Matka Herberta dostała od taty Einsteina solidny grosz na życie. Potem rzekomo spotkała prawdziwego hrabiego, który przekonał ją do zainwestowania wszystkich pieniędzy w jego prawie gotową maszynę do produkcji eliksiru życia, który leczył wszystkie choroby, jakie tylko istnieją. Ale nagle hrabia zniknął i najwyraźniej zabrał ze sobą eliksir, bo oszukana mama Herberta zmarła jakiś rok później na gruźlicę.

I tak Herbert dorastał ze starszym rodzeństwem, Albertem i Mają. Ale, aby uniknąć skandalu, tata Einstein zdecydował, że Herbert będzie nazywany jego bratankiem, a nie synem. Herbert nigdy nie zbliżył się zanadto do brata, kochał natomiast serdecznie swoją siostrę, nawet jeśli musiał nazywać ją kuzynką.

– Podsumowując – powiedział Herbert Einstein – matka mnie opuściła, ojciec mnie nie uznał, a na dodatek jestem równie inteligentny, co worek ziemniaków. Nie zrobiłem nic pożytecznego przez całe swoje życie, utrzymywałem się tylko ze spadku po ojcu i nie wymyśliłem ani jednej mądrej rzeczy.

Marszałek Beria, słuchając opowiadania, opuścił pistolet i zabezpieczył go ponownie. Możliwe, że historia była prawdziwa, i marszałek niemal podziwiał samoświadomość, którą głupi Herbert Einstein zdawał się mieć.

Co miał teraz począć? Marszałek z zadumą wstał z fotela w pokoju przesłuchań. Dobro i zło odłożył na chwilę na bok w imię rewolucji. Miał wystarczająco dużo problemów, niepotrzebny mu jeszcze jeden na głowie. Tak, tak zrobi. Odwrócił się do dwóch strażników przy drzwiach i powiedział:

– Pozbądźcie się go.

Potem opuścił pokój.

* * *

Niezręczna sytuacja z Herbertem Einsteinem nie była najłatwiejsza do zrelacjonowania towarzyszowi Stalinowi, ale marszałek Beria miał niebywałe szczęście, bo zanim zdążył popaść w niełaskę, nastąpił przełom w bazie w Los Alamos w Nowym Meksyku.

Przez lata w tak zwany projekt Manhattan zaangażowano ponad sto trzydzieści tysięcy osób i oczywiście więcej niż jedna z nich była oddana rewolucji socjalistycznej. Ale nikomu nie udało się przedostać tak daleko w najbardziej tajne korytarze, aby Związek Radziecki tą drogą mógł poznać najskrytszą tajemnicę Ameryki.

Lecz wiadomo było coś prawie równie ważnego. Wiadomo było, że to pewien Szwed rozwiązał zagadkę, i wiadomo było, jak się nazywa!

Po uaktywnieniu całej szwedzkiej sieci szpiegów tylko pół dnia zajęło ustalenie, że Allan Karlsson mieszka w hotelu Grand w Sztokholmie i nie ma nic do roboty, odkąd tajny, acz infiltrowany przez Związek Radziecki (oczywiście) szwedzki projekt atomowy w osobie dyrektora badawczego poinformował Karlssona, że jego usługi nie są mu potrzebne.

– Pytanie tylko, kto zdobył mistrzostwo świata w głupocie – powiedział marszałek Beria do siebie – szef szwedzkiego projektu atomowego czy matka Herberta Einsteina... Tym razem marszałek Beria wybrał inną taktykę. Zamiast uprowadzić mężczyznę siłą, Allan Karlsson miał zostać przekonany do wyjawienia tego, co wie, w zamian za pokaźne wynagrodzenie w dolarach amerykańskich. Tym, który miał go przekonać

w pierwszej fazie, był naukowiec, podobnie jak sam Allan Karlsson, a nie jakiś kanciasty i sztywny agent. Tenże agent wylądował (na wszelki wypadek) za kierownicą jako prywatny kierowca Julija Borysowicza Popowa, bardzo sympatycznego i prawie równie bardzo kompetentnego fizyka z najtajniejszego zespołu marszałka Berii do spraw broni atomowej.

Teraz donoszono, że wszystko poszło zgodnie z planem, że Julij Borysowicz jest w drodze powrotnej do Moskwy, że ma ze sobą Allana Karlssona i że Karlsson wyraził się pozytywnie w sprawie pomocy.

* * *

Marszałek Beria miał swoje biuro za murami Kremla, tak jak sobie życzył towarzysz Stalin. Sam przywitał Allana Karlssona i Julija Borysowicza, gdy weszli do holu.

– Witam serdecznie, panie Karlsson – powiedział Beria i uścisnął jego dłoń.

– Dziękuję, panie marszałku – odrzekł Allan.

Marszałek nie był z tych, którzy potrafią siedzieć i w nieskończoność gadać o niczym. Według niego życie było na to za krótkie (zresztą był nieprzystosowany społecznie). Dlatego powiedział do Allana:

– Czy dobrze zrozumiałem z raportu, panie Karlsson, że jest pan chętny wspomagać Związek Radziecki w kwestiach nuklearnych w zamian za wynagrodzenie w wysokości stu tysięcy dolarów?

Allan odparł, że nie zastanawiał się zbytnio nad wynagrodzeniem, ale chętnie pomoże Julijowi Borysowiczowi, jeśli

tego potrzebuje, a na to wygląda. Byłoby natomiast najlepiej, gdyby pan marszałek mógł poczekać z bombą atomową do następnego dnia, bo ostatnio Allan dużo się napodróżował.

Marszałek Beria odpowiedział, że rozumie, iż podróż osłabiła pana Karlssona, że niedługo będą razem jeść kolację u towarzysza Stalina, a następnie pan Karlsson będzie mógł wypocząć w najlepszym pokoju gościnnym, jaki Kreml może zaoferować.

Towarzysz Stalin nie żałował jedzenia. Był czerwony kawior i śledzie, ogórki kiszone i sałatka mięsna, opiekane warzywa i barszcz z pielmenie, bliny z kawiorem i pstrąg, rolady, kotlety z baraniny, pierogi, lody. Do tego podano wino w różnych kolorach oraz oczywiście wódkę. I jeszcze więcej wódki.

Przy stole siedział sam towarzysz Stalin, Allan Karlsson z Yxhult, Julij Borysowicz Popow, szef NKWD marszałek Ławrientij Pawłowicz Beria, a także niewielki, prawie niewidoczny młody mężczyzna bez imienia, niepijący i niejedzący. Był tłumaczem i zdawał się nie istnieć.

Stalin był w wyśmienitym humorze od początku. Ławrientij Pawłowicz nigdy nie zawodził! Oczywiście gafa z Einsteinem dosięgła uszu Stalina, ale teraz to już przeszłość. Zresztą Einstein (to znaczy ten właściwy) ma przecież tylko swój mózg; Karlsson ma dokładną i szczegółową wiedzę!

Potem zrobiło się jeszcze milej, bo Karlsson wydawał się tak przyjemną osobą. Opowiedział Stalinowi o swojej przeszłości, chociaż bardzo skrótowo. Jego ojciec walczył w imię socjalizmu w Szwecji, a potem w tej samej sprawie pojechał do Rosji. Doprawdy godne pochwały! Syn natomiast brał udział w wojnie domowej w Hiszpanii i Stalin nie chciał być niegrzeczny, pytając,

po czyjej stronie. Potem pojechał do Ameryki (musiał pewnie uciekać, przypuszczał Stalin) i traf sprawił, że służył aliantom... ale to można przecież wybaczyć, Stalin w ostatnich latach wojny też w pewnym sensie robił to samo.

Już po kilku minutach od rozpoczęcia dania głównego Stalin nauczył się śpiewać szwedzką przyśpiewkę *Helan går, sjunghoppfaderallanlallanlej*, którą intonowano przy każdym podniesieniu kieliszka. Allan pochwalił głos Stalina, a ten opowiedział, że w młodości śpiewał zarówno w chórze, jak i występował jako solista na weselach, wstał i udowodnił swój talent, podskakując dookoła stołu i wymachując rękoma i nogami na wszystkie strony do piosenki, która Allanowi brzmiała prawie... hindusko... ale nieźle!

Allan nie potrafił śpiewać, nie miał żadnych zdolności artystycznych, ale nastrój zdawał się wymagać od niego czegoś więcej niż *Helan går*, a tym, co sobie w pośpiechu przypomniał, był wiersz Vernera von Heidenstama, do którego nauczenia się na pamięć zmuszał drugoklasistów nauczyciel Allana ze szkoły ludowej.

Tak więc Stalin usiadł, a Allan wstał i zadeklamował:

> *Szwecjo, Szwecjo, ojczyzno,*
> *prowincjo naszej tęsknoty, nasz domu na ziemi.*
> *Teraz dźwięczą strumienie, gdzie wojska pożogą lśniły,*
> *a czyn stawał się baśnią, ale ramię w ramię lud ci miły*
> *przysięga jak dawniej wierność słowami starymi.*

Ośmioletni Allan nie rozumiał, co deklamuje, a teraz, gdy znów deklamował, bardzo się w to wczuwając, zauważył, że trzydzieści

siedem lat później nadal nie rozumie. Ale wyrecytował wiersz po szwedzku, więc rosyjsko-angielski niewidzialny tłumacz siedział cicho na swoim krześle i był jeszcze bardziej niewidzialny.

Allan natomiast wyjaśnił (gdy skończyły się oklaski), że zadeklamował wiersz Vernera von Heidenstama. Możliwe, że zachowałby tę informację dla siebie lub nieco ją zredagował, gdyby wiedział, jak towarzysz Stalin zareaguje.

Rzecz się miała mianowicie tak, że towarzysz Stalin kiedyś był poetą, i to całkiem niezłym. Duch czasu zrobił z niego w końcu walecznego rewolucjonistę; dość to poetyckie, można by rzec, w każdym razie Stalin zachował zainteresowanie poezją oraz wiedzę o najwybitniejszych poetach owych czasów.

Na nieszczęście Allana Stalin bardzo dobrze znał Vernera von Heidenstama. I w przeciwieństwie do Allana wiedział też doskonale o jego miłości do… Niemiec. Poza tym miłość ta była odwzajemniona. Prawa ręka Hitlera, Rudolf Hess, w latach trzydziestych odwiedzał Heidenstama w domu i niedługo później Heidenstam uzyskał tytuł doktora honoris causa na uniwersytecie w Heidelbergu.

To wszystko dramatycznie zmieniło nastrój towarzysza Stalina.

– Siedzi pan i znieważa szczodrego gospodarza, który go przyjął z otwartymi ramionami? – powiedział Stalin.

Allan zapewnił, że nie miał takiego zamiaru. Jeśli to Heidenstam tak wzburzył pana Stalina, to Allan prosi o wybaczenie. Może pocieszeniem będzie fakt, że Heidenstam nie żyje od kilku lat?

– A to tam *sjunghoppfaderallanlallanlej*, co to właściwie znaczy? Czy to też hołd na cześć wrogów rewolucji, do którego

wypowiedzenia namówił pan zresztą samego Stalina? – ciągnął Stalin, mówiąc o sobie w trzeciej osobie, jak zwykle, gdy był wzburzony.

Allan odparł, że potrzebuje chwili na zastanowienie, jak przetłumaczyć *sjunghoppfaderallanlallanlej* na angielski, ale towarzysz Stalin może być spokojny, że to nic innego, jak tylko wesoły okrzyk.

– Wesoły okrzyk? – powtórzył Stalin podniesionym głosem. – Sądzi pan, że Stalinowi wesoło?

Allana powoli zaczynała męczyć drobiazgowość Stalina, który zrobił się czerwony ze zdenerwowania, chociaż w gruncie rzeczy nie było powodu. Stalin kontynuował:

– A jak to właściwie było z wojną domową w Hiszpanii? Może najlepiej zapytać pana zwolennika Heidenstama, po której stronie walczył?

Czyżby ten szatan miał szósty zmysł? – pomyślał Allan. Stalin był już tak wściekły, jak tylko to możliwe, więc równie dobrze można się przyznać.

– Właściwie to nie walczyłem, panie Stalin, ale pomagałem najpierw trochę republikanom, a na koniec trochę przypadkiem zmieniłem stronę i stałem się bliskim przyjacielem generała Franco.

– Generała Franco? – krzyczał teraz Stalin i podniósł się z takim impetem, że krzesło się za nim przewróciło.

Najwyraźniej można było być jeszcze bardziej wściekłym. Allanowi zdarzyło się w ciągu jego bogatego w wydarzenia życia, że ktoś na niego krzyczał, ale on nigdy nie odkrzykiwał i nie miał zamiaru robić tego w przypadku Stalina. Co nie znaczy, że nie był

poruszony sytuacją. Wręcz przeciwnie, szybko zaczął żywić antypatię do krzykliwego osobnika po drugiej stronie stołu. Allan postanowił odpowiedzieć na swój sposób:

– To nie wszystko, panie Stalin. Byłem też w Chinach z zamiarem walki przeciw Mao Zedongowi, a potem udałem się do Iranu i zapobiegłem zamachowi na Churchilla.

– Na Churchilla? Tę spasioną świnię! – wrzeszczał Stalin.

Stalin znów potrzebował sekundy, żeby dojść do siebie, wypijając całą szklankę wódki. Allan spoglądał z zazdrością, chętnie sam by poprosił o dolewkę, ale pomyślał, że może to nie najlepszy moment na życzenie tego typu.

Marszałek Beria i Julij Borysowicz nie mówili nic. Ale mieli różne wyrazy twarzy. Beria spoglądał na Allana złowrogo, a Julij wyglądał na nieszczęśliwego.

Stalin otrząsnął się po wybiciu tej ilości wódki, którą właśnie w siebie wlał, a nawet zniżył głos do normalnego poziomu. Nadal jednak był wściekły.

– Czy Stalin dobrze rozumie? – spytał Stalin. – Stałeś po stronie Franco, zwalczałeś towarzysza Mao, uratowałeś... życie świni z Londynu i dałeś do rąk arcykapitalistów najgroźniejszą broń na świecie.

– Towarzysz Stalin troszkę to może wyolbrzymił, ale w gruncie rzeczy rozumuje słusznie. Nawiasem mówiąc, mój ojciec przyłączył się do zwolenników cara, zanim zakończył swój żywot, jeśli pan Stalin chce także to dorzucić przeciwko mnie.

– Mogłem to, cholera, przeczuć – wymamrotał Stalin i w nerwach zapomniał mówić w trzeciej osobie. – A teraz jesteś tu, aby się sprzedać radzieckiemu socjalizmowi? Sto tysięcy

dolarów to cena za twoją duszę? Czy może cena wzrosła w ciągu wieczoru?

Allan właśnie stracił chęć niesienia pomocy. Wprawdzie Julij nadal był dobrym człowiekiem i to on potrzebował pomocy w tej sprawie. Ale nie dało się uniknąć tego, by owoc pracy Julija trafił w ręce towarzysza Stalina, a z niego żaden towarzysz. Wręcz przeciwnie, wydawał się niezrównoważony, więc najlepiej będzie nie dawać mu tej bomby do zabawy.

– E tam – powiedział Allan – nigdy nie chodziło o pienią...

Nie zdążył dokończyć, bo Stalin na nowo eksplodował.

– Wydaje ci się, że kim ty jesteś, przeklęty szczurze? – wrzeszczał Stalin. – Myślisz, że ty – wyznawca faszyzmu, ohydnego amerykańskiego kapitalizmu, wszystkiego na tej ziemi, co Stalin tak bardzo potępia – że ty, t y możesz przyjechać na Kreml, na Kreml, i targować się ze Stalinem, targować się ze Stalinem?

– Dlaczego pan wszystko powtarza dwa razy? – dziwił się Allan, a Stalin ciągnął dalej:

– Związek Radziecki jest gotowy na nowo wypowiedzieć wojnę, zobaczysz! Będzie wojna, będzie nieunikniona wojna, aż amerykański kapitalizm zostanie unicestwiony.

– Ach, tak pan powiadasz? – rzekł Allan.

– Żeby walczyć i zwyciężyć, nie potrzebujemy twojej przeklętej bomby atomowej! To, czego potrzebujemy, to socjalistyczne dusze i serca! Ten, kto czuje, że nigdy nie przegra, ten nigdy nie przegra!

– O ile ktoś na niego nie zrzuci bomby atomowej – powiedział Allan.

– Zniszczę kapitalizm! Słyszysz? Zniszczę każdego jednego kapitalistę! A zacznę od ciebie, psie, jak nam nie pomożesz z bombą!

Allan zauważył, że zdążył już być psem i szczurem w ciągu dwóch minut. Oraz że Stalin zdecydowanie nie jest do końca zdrowy, bo teraz zamierza mimo wszystko skorzystać z usług Allana.

Ale Allan nie zamierzał dłużej siedzieć i słuchać chama. Przyjechał do Moskwy, żeby pomóc, a nie żeby na niego wrzeszczano. Niech Stalin radzi sobie radzić sam.

– Myślałem nad jedną rzeczą – powiedział Allan.

– Jaką? – spytał Stalin ze złością.

– Że może wziąłbyś i zgolił te wąsy?

Na tym zakończyła się kolacja, bo tłumacz zemdlał.

* * *

Plany w pośpiechu zmieniono. Allan nigdy nie został zakwaterowany w najlepszym pokoju gościnnym na Kremlu, tylko w celi bez okna, w piwnicy siedziby radzieckiej bezpieki. Towarzysz Stalin zdecydował, że Związek Radziecki sam sobie poradzi z bombą atomową albo za pomocą badań własnych ekspertów, albo starego dobrego szpiegostwa. Już więcej nie będzie porywań żadnych osobników z Zachodu, a już na pewno nie będzie targowania się z kapitalistami albo faszystami, albo jednym i drugim.

Julij był głęboko nieszczęśliwy. Nie tylko dlatego, że namówił miłego Allana Karlssona na wyprawę do Związku Radzieckiego, gdzie teraz z pewnością czeka go śmierć, ale także dlatego, że

towarzysz Stalin okazał się mieć takie ludzkie wady! Wielki przywódca był inteligentny, wykształcony, dobrze tańczył i pięknie śpiewał. I był też całkowicie szalony! Allan przypadkiem zacytował niewłaściwego poetę i w kilka sekund przyjemna kolacja zamieniła się w... katastrofę.

Ryzykując własne życie, Julij próbował bardzo ostrożnie porozmawiać z marszałkiem Berią na temat przyszłej egzekucji Allana i ewentualnego wyjścia z tej sytuacji.

Ale źle ocenił marszałka. Wprawdzie gwałcił kobiety i dzieci, wprawdzie skazywał na tortury i śmierć zarówno winnych, jak i niewinnych, wprawdzie wiele innych rzeczy... Jakkolwiek jego metody były często okrutne, marszałek Beria zawsze świadomie pracował na korzyść Związku Radzieckiego.

– Nie martw się, drogi Juliju Borysowiczu, Karlsson nie zginie, a przynajmniej jeszcze nie teraz.

Marszałek Beria wyjaśnił, że zamierza ukryć Allana Karlssona jako rezerwę, na wypadek gdyby Julij Borysowicz i jego koledzy nie mogli sobie poradzić z bombą dłużej, niż da się to wytrzymać. W wyjaśnieniu zawarta była ukryta groźba i marszałek Beria był z tego bardzo zadowolony.

* * *

Oczekując na proces, Allan siedział w jednej z wielu cel w budynku bezpieki. Jedyne, co się działo, poza tym, że nie działo się nic, to że Allan dostawał codziennie bochenek chleba, trzydzieści dziewięć gramów cukru i trzy ciepłe posiłki (zupę jarzynową, zupę jarzynową i zupę jarzynową).

Jedzenie na Kremlu było zdecydowanie smaczniejsze niż to w areszcie. Ale Allan pomyślał, że nawet jeśli zupa smakuje, jak smakuje, to może się nią delektować w spokoju, bez wysłuchiwania kogoś, kto stoi nad nim i wrzeszczy na niego z niezrozumiałych powodów.

Nowa dieta trwała sześć dni, zanim specjalne kolegium służb bezpieczeństwa wezwało go na proces sądowy. Sala sądowa znajdowała się, podobnie jak cela Allana, w ogromnym budynku bezpieki przy placu Łubiańskim, tylko kilka pięter wyżej. Allana posadzono na krześle przed sędzią za pulpitem. Na lewo od sędziego siedział prokurator, naburmuszony mężczyzna, a na prawo obrońca Allana – drugi naburmuszony mężczyzna.

Najpierw prokurator powiedział coś po rosyjsku, czego Allan nie zrozumiał. Potem adwokat powiedział coś po rosyjsku, czego Allan także nie zrozumiał. Na to sędzia skinął głową z zastanowieniem, jak się wydawało, a potem na wszelki wypadek zajrzał do swoich notatek, przeczytał i oznajmił:

– Kolegium specjalne skazuje Allana Emmanuela Karlssona, obywatela Królestwa Szwecji, jako element niebezpieczny dla socjalistycznego społeczeństwa radzieckiego, na trzydzieści lat poprawczego obozu pracy we Władywostoku.

Sędzia poinformował skazanego, że może się odwoływać od wyroku; musiałby złożyć odwołanie do Rady Najwyższej ZSRR w przeciągu trzech miesięcy od dnia dzisiejszego. Ale adwokat Allana Karlssona w jego imieniu poinformował, że nie będzie żadnego odwołania. Wręcz przeciwnie, Allan Karlsson jest wdzięczny za tak łagodny wyrok.

Allana wprawdzie nigdy nie zapytano, czy jest wdzięczny, czy nie, ale wyrok miał bezsprzecznie pozytywne strony. Po pierwsze, skazany został przy życiu, a zdarzało się to rzadko, gdy było się zaklasyfikowanym jako element niebezpieczny. A po drugie, wylądował w obozie pracy we Władywostoku, z najbardziej znośnym klimatem na Syberii. Pogoda tam nie była o wiele gorsza niż w domu w Sörmlandii, natomiast w głębi kraju i bardziej na północ mogło być nawet pięćdziesiąt, sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt stopni mrozu.

Allan miał więc szczęście. Wciśnięto go do wagonu wraz z trzydziestoma równie szczęśliwie wybranymi, dopiero co skazanymi dysydentami. Akurat temu transportowi przydzielono nie mniej niż trzy koce na więźnia, bo fizyk jądrowy Julij Borysowicz Popow przekupił strażników więziennych i ich dowódcę plikiem rubli. Dowódca strażników uważał za dziwne to, że taki prominentny obywatel angażuje się w coś tak zwykłego jak transport do gułagu, i rozważał zgłoszenie tego wyżej, ale dotarło do niego, że właśnie przyjął pieniądze i lepiej będzie nie poruszać tematu.

Allanowi niełatwo było znaleźć towarzystwo do rozmowy w wagonie, prawie wszyscy mówili tylko po rosyjsku. Ale jeden mężczyzna około pięćdziesięciu pięciu lat znał włoski, a ponieważ Allan płynnie mówił po hiszpańsku, mogli się całkiem nieźle dogadać. Wystarczająco dobrze, aby Allan mógł zrozumieć, że mężczyzna jest głęboko nieszczęśliwy i najchętniej odebrałby sobie życie, o ile, według własnej opinii, nie byłby takim tchórzem. Allan pocieszał go, jak mógł, powiedział, że może wszystko samo

się rozwiąże, gdy pociąg dotrze na Syberię, bo tam nawet potrójne koce mogą nie wystarczyć, jeśli pogoda nie dopisze.

Włoch pociągnął nosem i otrząsnął się. Podziękował Allanowi za wsparcie i wziął go za rękę. Zresztą tak naprawdę nie był Włochem, tylko Niemcem. Herbert mu było na imię. Nazwisko, jego zdaniem, nie grało roli.

* * *

Herbert Einstein nigdy nie miał w życiu za dużo szczęścia.
Z powodu pomyłki administracyjnej został skazany na trzydzieści lat poprawczego obozu pracy zamiast na śmierć, której szczerze pragnął.

Nie zamarzł też na śmierć w syberyjskiej tundrze, o to zadbały dodatkowe koce. Poza tym styczeń 1948 roku był najłagodniejszy od wielu lat. Ale Allan obiecał, że w przyszłości na pewno nadarzy się okazja. Byli w końcu w drodze do obozu pracy, jeśli nie będzie innego wyjścia, zawsze może zapracować się na śmierć, jak Herbert myśli?

Herbert westchnął i powiedział, że chyba jest na to za leniwy, ale nie wie dokładnie, bo nigdy w życiu nie pracował.

W tym Allan widział wyraźną szansę, bo w obozie pracy nie można było chodzić i się obijać, wtedy na pewno strażnicy wysłaliby w jego kierunku serie z karabinów.

Herbertowi spodobała się ta myśl, a jednocześnie przeszedł go dreszcz. Serie z karabinów? Czy to nie jest strasznie bolesne?

* * *

Allan Karlsson nie wymagał od losu niczego szczególnego. Potrzebował tylko łóżka, porządnej porcji jedzenia, czegoś do roboty i od czasu do czasu odrobiny wódki. Jeśli to dostał, mógł znieść prawie wszystko. Obóz we Władywostoku oferował wszystko, czego Allan sobie życzył, poza wódką.

W tym czasie port we Władywostoku składał się z dwóch stref: zamkniętej i otwartej. Zamknięta otoczona była dwumetrowym ogrodzeniem, za którym znajdował się poprawczy obóz pracy złożony z czterdziestu brązowych baraków w rzędzie, po cztery rzędy w szeregu. Ogrodzenie prowadziło aż do nabrzeża. Te statki, które miały załadunek lub rozładunek w obozie, przybijały po stronie ogrodzenia, pozostałe – poza nim. Zresztą prawie całą pracę wykonywali więźniowie, tylko małe kutry rybackie z załogą i kilka tankowców starszego typu musiały sobie radzić same.

Z drobnymi wyjątkami dni w obozie pracy we Władywostoku wyglądały podobnie. Pobudka o szóstej, śniadanie kwadrans później. Praca trwała dwanaście godzin, od wpół do siódmej do wpół do siódmej, z półgodzinną przerwą na obiad o dwunastej. Zaraz po skończonym dniu pracy była kolacja, a potem zamykano więźniów w barakach aż do następnego ranka.

Jedzenie było pożywne: wprawdzie przeważnie ryby, ale rzadko w postaci zupy. Strażnicy nie byli zbyt przyjaźni, ale przynajmniej nie strzelali do ludzi bez potrzeby. Nawet Herbert Einstein przeżył, mimo że było to wbrew jego woli. Oczywiście ociągał się bardziej niż jakikolwiek inny więzień, ale ponieważ zawsze trzymał się blisko ciężko pracującego Allana, nikt nic nie zauważył.

Allan nie miał nic przeciwko pracy za dwóch. Natomiast wkrótce wprowadził zasadę, że Herbert nie może narzekać na swoje beznadziejne życie, bo to już Allan wiedział, a nie ma problemów z pamięcią. Dlatego nie warto powtarzać w kółko tego samego.

Herbert posłuchał i wtedy było dobrze, tak jak było dobrze prawie ze wszystkim.

Gdyby nie ta wódka. Allan wytrzymał dokładnie pięć lat i trzy tygodnie. Potem powiedział:

– Teraz chcę się napić. A tu nie ma nic do picia. Pora więc zwijać manatki.

ROZDZIAŁ 17

Wtorek, 10 maja 2005

Wiosenne słońce świeciło dziewiąty dzień z rzędu i mimo że ranek był chłodny, Bosse nakrył do śniadania na werandzie.

Benny i Ślicznotka wyprowadzili Sonję z autobusu na polankę za domem. Allan i Gawron Gerdin siedzieli razem w hamaku i lekko się bujali. Jeden miał sto lat, drugi czuł się, jakby miał tyle. Bolała go głowa, a połamane żebra utrudniały oddychanie, prawą ręką nie mógł nic zrobić i najgorsze – otwarta rana na udzie. Benny zajrzał do nich i zaproponował, że obandażuje ranę za chwilę, ale najlepiej zacząć od kilku mocnych tabletek przeciwbólowych. Do wieczora mogliby załatwić morfinę, jeśli trzeba.

Potem Benny wrócił do Sonii i zostawił Allana i Gawrona samych. Allan pomyślał, że chyba pora na poważną rozmowę między mężczyznami. Zaczął od tego, że jest mu przykro, że... Bolec, tak się nazywał? ...że Bolec skonał w sörmlandzkim lesie i że... Hultaj? ...przypadkiem znalazł się pod Sonją niedługo potem. Zarówno Bolec, jak i Hultaj byli, mówiąc delikatnie, groźni, więc może była to okoliczność łagodząca, nie sądzi pan Gawron?

Gawron Gerdin odparł, że nie jest miło słyszeć, że chłopcy nie żyją, ale w pewnym sensie nie dziwi go, że obezwładnił ich stuletni dziadek, nawet jeśli z małą obstawą, bo obaj byli niezwykle głupi. Jedyny, który mógł przebić ich głupotę, to czwarty członek klubu, Caracas, ale on właśnie opuścił kraj i był na dobrej drodze gdzieś do Ameryki Południowej, Gawron nie wiedział dokładnie, skąd Caracas pochodził.

Gawron Gerdin zasmucił się, jakby żal mu było samego siebie, bo to właśnie Caracas potrafił rozmawiać z handlarzami kokainą z Kolumbii; teraz Gawron nie miał ani tłumacza, ani pośrednika do dalszych interesów. Siedział tam z nie wiedzieć iloma złamanymi kośćmi i bez pomysłu na życie.

Allan pocieszał go, mówiąc, że na pewno są jeszcze inne narkotyki, które pan Gawron mógłby sprzedawać. Allan nie znał się na narkotykach, ale czy pan Gawron z Bossem Łobuzem nie mogliby wyhodować czegoś na działce?

Gawron odpowiedział, że Bosse Łobuz jest jego najlepszym przyjacielem, ale ma też swoją przeklętą moralność. Gdyby nie to, Gawron i Bosse mogliby być teraz europejskimi królami klopsików.

Bosse przerwał tę melancholię w hamaku, informując, że śniadanie czeka na stole. Nareszcie Gawron będzie mógł spróbować najbardziej soczystego kurczaka na świecie, a do tego arbuza importowanego bezpośrednio z raju.

Po śniadaniu Benny opatrzył ranę na udzie Gawrona, po czym Gawron oznajmił, że musi się zdrzemnąć, jeśli przyjaciele wybaczą. Przyjaciele zdecydowanie nie mieli nic przeciwko.

Kolejne godziny w Klockaregård minęły następująco:

Benny i Ślicznotka przerobili stodołę na jak najbardziej odpowiednie lokum dla Sonii.

Julius i Bosse udali się po zapasy do Falköping, gdzie zauważyli nagłówki gazet, mówiące o tym, że stulatek i jego ekipa najwyraźniej w amoku przemierzają kraj.

Allan po śniadaniu wrócił na hamak, sam sobie przydzielając główne zadanie nieprzemęczania się. Chętnie w towarzystwie Bustera.

A Gawron leżał i spał.

Ale gdy Julius i Bosse wrócili z zakupów, zaraz wezwali wszystkich na zebranie do kuchni. Nawet Gawron Gerdin został zmuszony do wstania z łóżka i udziału w zebraniu.

Julius zaczął od opowiedzenia, jakie nagłówki on i Bosse widzieli wszędzie w Falköping, a także co wyczytali w gazetach. Kto chciał, mógł przeczytać sam w spokoju po zebraniu, ale w skrócie chodziło o to, że wszyscy obecni są poszukiwani, poza Bossem, który nigdzie nie był wymieniony, i poza Gawronem, który według artykułu jest martwy.

– To ostatnie nie jest całkiem prawdziwe, ale jestem przecież w dość kiepskiej formie – przyznał Gawron Gerdin.

Julius opowiadał dalej, że to oczywiście poważna sprawa być oskarżonym o zabójstwo, nawet jeśli w końcu inaczej by to nazwano. A potem dał wypowiedzieć się innym. Czy powinni sami zadzwonić na policję, powiedzieć, gdzie się znajdują, i pozwolić, aby dosięgło ich ramię sprawiedliwości?

Nim ktokolwiek inny zdążył wyrazić swoje zdanie, Gawron Gerdin wydarł się, że po jego niedoszłym trupie dobrowolnie zadzwonią i zgłoszą się na policję.

– Jeśli tak będzie, znowu poszukam swojego rewolweru. Co z nim zresztą zrobiliście?

Allan odparł, że ukrył rewolwer w bezpiecznym miejscu, biorąc pod uwagę, że pan Gawron jest faszerowany przez Benny'ego tymi wszystkimi dziwnymi lekami. I czy pan Gawron nie uważa, że lepiej, żeby poleżał jeszcze trochę w ukryciu?

No dobra, Gawron mógł się na to zgodzić, jeśli w końcu on i pan Karlsson raz na zawsze odrzucą tę formę grzecznościową.

– Gawron jestem – powiedział Gawron i uścisnął dłoń stulatka.

– A ja Allan – powiedział Allan. – Miło mi poznać.

Gawron zdecydował więc pod groźbą użycia broni (choć bez broni), że nikt nic nie powie policji i prokuraturze. Jego doświadczenie podpowiadało mu, że sprawiedliwość nie zawsze jest tak sprawiedliwa, jak powinna. Pozostali zgodzili się, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, jak źle by się to dla nich skończyło, gdyby sprawiedliwość tym razem okazała się sprawiedliwa.

Rezultatem krótkiej narady było to, że żółty autobus ukryto w magazynie przemysłowym Bossego, wraz z całą masą jeszcze niedosłodzonych arbuzów. Postanowiono też, że jedyną osobą, której wolno opuścić zagrodę bez pozwolenia grupy, jest Bosse Łobuz – jedyny z nich, który nie był ani poszukiwany, ani uznany za martwego.

Kwestię tego, co dalej mają zrobić, na przykład z walizką pieniędzy i tym, co z niej rozdzielono na lewo i prawo, grupa zdecydowała na chwilę odłożyć. Albo, jak to wyraził Gawron Gerdin:

– Boli mnie głowa, jak o tym myślę, i boli mnie w piersi, jak nabieram powietrza, żeby powiedzieć, że boli mnie głowa, jak o tym myślę. Zapłaciłbym w tym momencie pięćdziesiąt milionów za tabletkę przeciwbólową, jeśli trzeba.

– Masz tu dwie – powiedział Benny. – I to za darmo.

* * *

Dzień był gorączkowy dla komisarza Aronssona. Dzięki mediom policja dostała kilka wskazówek, gdzie podejrzany o potrójne morderstwo i jego kompani mogą się znajdować. Ale jedyne, w co komisarz Aronsson mógł uwierzyć, to wskazówka zastępcy komendanta policji w Jönköping, Gunnara Löwenlinda. Zadzwonił i powiedział, że na drodze E4 na południe od Jönköping, na wysokości Råslätt, widział żółty autobus marki Scania z uszkodzonym przodem i jednym działającym światłem. Gdyby nie to, że wnuczek właśnie zaczął wymiotować w swoim foteliku w samochodzie, Löwenlind zadzwoniłby do swoich kolegów z drogówki, ale wyszło tak, jak wyszło.

Komisarz Aronsson drugi wieczór z rzędu spędzał w barze hotelu Royal Corner w Växjö i znów miał zaburzoną funkcję oceny sytuacji z powodu alkoholu we krwi.

– E4 na północ – zastanawiał się komisarz. – Czyżbyście wracali do Sörmlandii? A może zamierzacie ukryć się w Sztokholmie?

I zdecydował, że wymelduje się z hotelu następnego dnia i pojedzie do domu, do swojego przygnębiającego trzypokojowego mieszkania w centrum Eskilstuny. Spedytor Ronny Hulth z Malmköping miał przynajmniej kota do przytulania. Göran

Aronsson nie ma nic, pomyślał Göran Aronsson i wychylił ostatniego drinka tego wieczoru.

ROZDZIAŁ 18
1953

Oczywiście przez pięć lat i trzy tygodnie Allan porządnie nauczył się rosyjskiego, ale także odświeżył swój chiński. Port był przecież ruchliwym miejscem i Allan nawiązał kontakt z bywającym tam marynarzem, który informował go o wieściach ze świata.

Otóż między innymi wydarzyło się to, że Związek Radziecki zdetonował własną bombę atomową półtora roku po tym, jak Allan spotkał Stalina, Berię i sympatycznego Julija Borysowicza. Na Zachodzie podejrzewano szpiegostwo, bo bomba wydawała się zbudowana na dokładnie tych samych zasadach co amerykańska. Ale Allan przypominał sobie, ile wskazówek dał Julijowi już wtedy, gdy płynęli łodzią podwodną i zaczęli pić wódkę prosto z butelki.

– Myślę, że zdecydowanie potrafisz pić i słuchać jednocześnie, drogi Juliju Borysowiczu – powiedział.

Allan dowiedział się także, że Stany Zjednoczone, Francja i Wielka Brytania połączyły swoje strefy okupacyjne i utworzyły Republikę Federalną Niemiec, więc teraz Zachód i Wschód miały każde swoje Niemcy i to brzmiało dla Allana całkiem praktycznie.

Szwedzki król umarł, notkę o tym Allan mógł przeczytać w brytyjskiej gazecie, która nie wiedzieć czemu trafiła w ręce

chińskiego marynarza, a ten pomyślał o szwedzkim więźniu z Władywostoku, z którym zwykle rozmawiał, i dlatego wziął gazetę ze sobą. Król był wprawdzie martwy już od niemal roku, gdy Allan się o tym dowiedział, ale to nic. Nowy król został od razu posadzony na tronie, więc kraj nie cierpiał z tego powodu.

Inny temat poruszany przez marynarzy w porcie to między innymi wojna w Korei. I nic dziwnego, że o tym mówiono. Korea leżała przecież tylko dwieście kilometrów stąd.

Z tego, co Allan zrozumiał, wydarzyło się mniej więcej to:

Sprawa Półwyspu Koreańskiego była jakby nierozstrzygnięta, gdy skończyła się druga wojna światowa. Stalin i Truman bratersko okupowali każdy swoją część, a granicę między północą a południem wyznaczał trzydziesty ósmy równoleżnik. Potem rozpoczęto niekończące się negocjacje na temat tego, jak Korea ma być rządzona, ale ponieważ Stalin i Truman nie do końca mieli te same poglądy polityczne (właściwie to wcale nie te same), skończyło się tak jak w przypadku Niemiec. Stany Zjednoczone utworzyły Koreę Południową, na co Związek Radziecki odpowiedział utworzeniem Korei Północnej. A potem Stany Zjednoczone i Związek Radziecki zostawili Koreańczyków samych sobie.

Chociaż nie wyszło to na dobre. Kim Ir Sen na północy i Li Syng Man na południu uważali, że każdy z nich najlepiej się nadaje do kierowania całym półwyspem, więc z tego powodu rozpętała się wojna.

Trzy lata i jakieś cztery miliony poległych później nic się nie zmieniło (poza tym, że zginęli ludzie). Północ była nadal północą,

a południe południem. I nadal dzielił je trzydziesty ósmy równoleżnik.

Jeśli chodzi o napicie się wódki, czyli główny powód ucieczki z obozu, naturalne byłoby oczywiście odpłynąć na pokładzie któregoś ze statków zawijających i wypływających z portu we Władywostoku. Ale na ten sam pomysł wpadło siedmiu przyjaciół Allana z obozu i wszystkich siedmiu złapano i ukarano śmiercią. Za każdym razem w barakach panowała żałoba. Najmocniej zdawał się żałować Herbert Einstein. Tylko Allan rozumiał, że Herbert żałował, że tym razem to znowu nie on.

Problemem z dostaniem się na statek było coś tak banalnego jak fakt, że więźniowie nosili charakterystyczne czarno-białe stroje. Niemożliwe było w jakiś sposób stopić się z tłumem. Poza tym wąski pas lądu był łatwy do obserwacji, a dobrze przeszkolone psy obwąchiwały każdy załadunek dostający się na pokład statku.

Ponadto niełatwo było znaleźć statek, który bez problemu przyjąłby Allana jako pasażera na gapę. Wiele transportów płynęło do Chin, inne do Wonsan na wschodnim wybrzeżu Korei Północnej. Istniały powody, aby sądzić, że chiński lub północnokoreański kapitan, który znalazłby więźnia obozu na pokładzie, albo zawróciłby i wydał go z powrotem, albo wyrzuciłby go za burtę (z tym samym skutkiem, a mniej biurokracji).

Nie, droga morska była trudna, jeśli chciało się uciec, a tego przecież Allan chciał. Chociaż droga lądowa nie wydawała się łatwiejsza. Ucieczka na północ na Syberię w prawdziwy mróz oczywiście nie była dobrym rozwiązaniem. Ani na zachód, do Chin.

Pozostawało południe, a tam leżała Korea Południowa, gdzie na pewno zajęto by się uciekinierem z obozu, domniemanym wrogiem komunizmu. Problem w tym, że Korea Północna leżała po drodze.

Po drodze było też więcej tego i owego, na czym można by się potknąć, zauważył Allan, zanim jeszcze zdążył wymyślić coś, co przypominało plan ucieczki drogą lądową na południe. Ale nie warto się tak długo namyślać, bo można się zamyślić na śmierć, a wtedy to już na pewno nie będzie żadnej wódki.

Czy powinien spróbować uciec sam czy razem z kimś? W takim wypadku byłby to Herbert, nieszczęście. Allan pomyślał, że mógłby nawet mieć pożytek z Herberta na etapie przygotowań. Poza tym weselej uciekać we dwóch niż samemu.

– Uciec? – spytał Herbert Einstein. – Drogą lądową? Do Korei Południowej? Przez Koreę Północną?

– Mniej więcej tak – odparł Allan. – Taki jest w każdym razie plan.

– Nie może być więcej niż mikroskopijna szansa, że przeżyjemy – powiedział Herbert.

– Rzeczywiście, nie może – odpowiedział Allan.

– Wchodzę w to! – rzekł Herbert.

Po pięciu latach w obozie było powszechnie wiadomo, jak niewiele chodziło po głowie więźnia numer sto trzydzieści trzy, a to, co mimo wszystko chodziło, w jakiś sposób zdawało się sprzeczać sobą.

To natomiast powodowało pewien pobłażliwy stosunek do Herberta Einsteina ze strony strażników obozu. Gdyby

którykolwiek inny więzień nie stał jak należy w kolejce po jedzenie, kiedy powinien w niej stać, w najlepszym wypadku dostałby reprymendę, w prawie najlepszym – kuksańca karabinem w brzuch, a w najgorszym – kulka w łeb i do widzenia.

Ale Herbert nadal – po pięciu latach – błądził wśród baraków. Przecież wszystkie były jednakowo brązowe, tej samej wielkości – jak dla niego jeden wielki mętlik. Jedzenie podawano zawsze między barakami trzynaście a czternaście, ale sto trzydzieści trzy i tak można było znaleźć błądzącego przy baraku numer siedem. Albo dziewiętnaście. Albo dwadzieścia pięć.

– Do cholery, Einstein – słyszało się z ust strażników. – To tam jest kolejka po jedzenie. Nie, nie tam, tam! Tam gdzie była przez cały cholerny czas!

Tę opinię, uważał Allan, on i Herbert będą mogli wykorzystać. Oczywiście dało się uciec w stroju więźnia, ale utrzymanie się potem przy życiu w tymże stroju przez dłużej niż minutę było trudniejsze. Allan i Herbert potrzebowali żołnierskich mundurów. A jedynym więźniem, który mógł się zbliżyć do składu z ubraniami żołnierzy, był więzień numer sto trzydzieści trzy, Einstein.

Dlatego Allan poinformował przyjaciela, co ma zrobić. Chodziło o to, żeby „zabłądził", gdy będzie zbliżała się pora obiadu, bo wtedy przerwę na jedzenie miał także personel składu. Przez te pół godziny skład był obserwowany tylko przez żołnierza z karabinem maszynowym na wartowni numer cztery. Znał on jak wszyscy inni zachowania więźnia sto trzydzieści trzy i w razie zauważenia go raczej by na niego nawrzeszczał, niż wystrzelił

w jego stronę masę ołowiu. A nawet jeśli Allan mylił się w tej kwestii, nie byłby to koniec świata, biorąc pod uwagę odwieczne pragnienie śmierci Herberta.

Herbert uważał, że nieźle to Allan wymyślił. Ale co takiego miał zrobić?

Oczywiście wszystko wyszło na opak. Herbert naprawdę zabłądził i po raz pierwszy trafił do kolejki po jedzenie. Tam stał już, wzdychając, Allan i uprzejmie odpędził Herberta w stronę składu z ubraniami. Ale to nie pomogło, znowu poszło nie tak i zanim Herbert się zorientował, wylądował w pralni. A co tam znalazł, jeśli nie cały stos świeżo wypranych i wyprasowanych mundurów żołnierskich?

Zabrał dwa, ukrył pod płaszczem i udał się z powrotem do baraków. Wkrótce rzeczywiście zauważył go strażnik na wartowni numer cztery, który nawet nie nakrzyczał na Herberta. Poza tym wydawało mu się, że idiota idzie do własnego baraku.

– Sensacja – wymamrotał i powrócił do tego, co właśnie robił, czyli marzenia.

Teraz Allan i Herbert mieli mundury, które świadczyłyby o tym, że są dumnymi rekrutami Armii Czerwonej. Pozostawała tylko cała reszta.

W ostatnim czasie Allan zauważył, że wiele statków płynęło w stronę północnokoreańskiego Wonsan. Związek Radziecki oficjalnie nie stał po stronie Korei Północnej w wojnie, ale mnóstwo sprzętu wojskowego zaczęto sprowadzać pociągami do Władywostoku, gdzie ładowano go na statki, które płynęły w tym samym kierunku. Nie było na nich napisane, dokąd płyną, ale

każdy marynarz miał język w gębie, a Allan był wystarczająco sprytny, aby zapytać. W niektórych przypadkach zresztą można było zobaczyć, z czego się składa załadunek, widział na przykład samochody terenowe, a nawet czołgi, w innych przypadkach były to zwykłe drewniane kontenery.

Allan zastanawiał się nad zastosowaniem podobnego manewru co w Teheranie sześć lat wcześniej. Zgodnie ze starym rzymskim powiedzeniem, że szewc powinien trzymać się kopyta, Allan pomyślał, że małe fajerwerki mogłyby mu pomóc. I to wtedy przyszły mu na myśl kontenery płynące do północnokoreańskiego Wonsan. Allan nie mógł wiedzieć na pewno, ale domyślał się, że wiele z nich zawierało materiały wybuchowe i gdyby taki kontener zajął się ogniem w porcie, a potem pojawiłyby się wybuchy tu i ówdzie... wtedy być może Allan i Herbert mieliby szansę uciec za jakiś róg, przebrać się w radzieckie mundury... i... tak, wtedy byłby potrzebny jakiś samochód... oczywiście z kluczykami w stacyjce i pełnym bakiem, no i żeby właściciel auta nie rościł sobie do niego prawa. A wtedy strzeżone bramy otworzyłyby się na rozkaz Allana i Herberta, a poza obrębem portu i obozu nikt nie zauważyłby niczego dziwnego, nikt nie szukałby skradzionego samochodu i nikt by za nimi nie pojechał. Takie rozwiązanie byłoby najlepsze, bo nie trzeba by się martwić, jak się przedrzeć do Korei Północnej oraz – przede wszystkim – jak się potem dostać z północy na południe.

– Nie nadążam – powiedział Herbert. – Zdaje się, że twój plan nie jest jeszcze całkiem gotowy.

– To nie ty nie nadążasz – protestował Allan. – No, może trochę, ale w tej sprawie masz zupełną rację. A im dłużej o tym myślę,

tym bardziej jestem przekonany, że niech się dzieje, co chce, a zobaczysz, że będzie, co będzie, bo zwykle tak jest. Prawie zawsze, tak naprawdę.

Pierwsza i jedyna realna część planu ucieczki polegała na dyskretnym podpaleniu odpowiedniego kontenera. Do tego potrzeba było: a) odpowiedniego kontenera i b) czegoś do rozniecenia ognia. W oczekiwaniu na to, że jakiś statek z odpowiednim kontenerem zawinie do portu, Allan znowu wysłał na misję powszechnie znanego ze swej głupoty Herberta Einsteina. Herbert ukradł rakietę świetlną, którą ukrył w spodniach, zanim radziecki wartownik zauważył go w miejscu, gdzie nie miał prawa się znajdować. Lecz zamiast go zastrzelić albo przynajmniej przeszukać, strażnik nakrzyczał na więźnia numer sto trzydzieści trzy, że po pięciu latach powinien wreszcie przestać się gubić. Herbert przeprosił i podreptał na drżących nogach. Celowo w złym kierunku.

– Twój barak leży na lewo, Einstein! – wrzeszczał za nim wartownik. No co za idiota!

Allan pochwalił Herberta za dobrze wykonane zadanie i znakomite aktorstwo. Herbert zarumienił się od pochwały, jednocześnie umniejszając swoje zasługi komentarzem, że nietrudno grać głupiego, jeśli się nim jest. Allan odparł, że nie wie, czy to trudne, bo wszyscy głupcy, których dotąd w życiu spotkał, próbowali udawać kogoś zupełnie innego.

Nadszedł ten dzień, który wydawał się właściwy. Był chłodny poranek 1 marca 1953 roku, gdy nadjechał pociąg z większą liczbą wagonów, niż Allan, a już na pewno Herbert, mógł zliczyć.

Transport był zdecydowanie wojskowy, a wszystko miało zostać przeładowane na trzy statki, których celem podróży była Korea Północna. W skład transportu wchodziło osiem czołgów T-34, nie dało się ich przecież ukryć, ale reszta była zapakowana w porządne drewniane kontenery bez informacji o zawartości. Nie były jednak tak szczelne, żeby nie można było wcisnąć rakiety świetlnej do jednego z nich. I dokładnie to zrobił Allan, gdy po pół dnia pracy wreszcie nadarzyła się okazja.

Oczywiście z kontenera zaczęło się dymić, ale na szczęście minęło kilka sekund, zanim się zapaliło, więc Allan zdążył się oddalić i nie został zauważony. Po chwili kontener zaczął się palić, piętnaście stopni mrozu w powietrzu nie mogło temu zapobiec.

Według planu miał nastąpić wybuch, gdy ogień dotrze do jakiegoś zapakowanego granatu ręcznego czy czegoś podobnego. Wówczas strażnicy zamieniliby się w stado rozbieganych kurczaków, a Allan i Herbert pobiegliby do swojego baraku, żeby się przebrać.

Problem w tym, że nie nastąpił żaden wybuch. Natomiast strasznie się dymiło i zrobiło się tylko gorzej po tym, jak strażnicy, którzy sami bali się zbliżać, kazali więźniom lać wodę na płonący kontener.

Trzech więźniów pod osłoną dymu zaczęło się wspinać po dwumetrowym ogrodzeniu, aby przedostać się do otwartej strefy portu. Ale żołnierz z wartowni numer dwa zorientował się, co się święci, więc wysłał z karabinu maszynowego kilka serii pocisków smugowych przez dym w kierunku trzech więźniów. Trafił ich kilkoma strzałami i mężczyźni padli martwi na ziemię. Jeśli nie zginęli od razu, to zginęli sekundę później, bo wartownik

przedziurawił nie tylko więźniów, ale także kontener stojący na lewo od tego, który podpalił Allan. Kontener Allana zawierał tysiąc pięćset koców wojskowych. Kontener obok – tysiąc pięćset granatów ręcznych. Amunicja smugowa zawiera fosfor i gdy pierwszy pocisk trafił pierwszy granat, ten wystrzelił i ułamek sekundy później zapalił pozostałe tysiąc czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć granatów. Eksplozja była tak silna, że cztery kolejne kontenery wyleciały w powietrze, a ich fragmenty zostały rozrzucone od trzydziestu do osiemdziesięciu metrów dalej w stronę obozu.

Piąty kontener w rzędzie zawierał siedemset min lądowych i po chwili nastąpił równie silny wybuch co ten pierwszy, z takim skutkiem, że zawartość kolejnych czterech kontenerów wystrzeliła na wszystkie strony.

Chaos był tym, czego pragnęli Allan i Herbert, i chaos ten osiągnęli. Ale mimo wszystko to był dopiero początek, bo teraz ogień zajmował kontener za kontenerem. Jeden z nich zawierał benzynę i olej napędowy, a tym raczej nie gasi się pożarów. Kolejny zawierał amunicję, która zaczęła żyć własnym życiem. Dwie wartownie i osiem baraków stało w płomieniach, jeszcze zanim zapaliły się granatniki przeciwpancerne. Pierwszy strzał zburzył trzecią wartownię, drugi – główne wejście do obozu, z impetem wyrywając z ziemi szlaban i całą resztę.

Cztery statki czekały w porcie na załadunek i kolejne cztery granatniki zapaliły je wszystkie.

Wtedy wybuchł jeszcze jeden kontener z granatami ręcznymi i zapoczątkował następną reakcję łańcuchową, która w końcu dosięgła kontener stojący najdalej. Przypadkiem był to kolejny

ładunek granatników przeciwpancernych, które teraz wystrzeliły w drugą stronę, w kierunku otwartej strefy portu, gdzie właśnie cumował tankowiec z sześćdziesięcioma pięcioma tonami ropy. Strzał prosto w mostek kapitański pozbawił tankowiec dowództwa, a trzy strzały w burtę okrętu wywołały ogień większy niż cały pożar do tej pory.

Gwałtownie płonący tankowiec przesuwał się wzdłuż wybrzeża w stronę centrum miasta. Podczas tej ostatniej podróży zapalił wszystkie domy po drodze na odcinku ponad dwóch kilometrów. Nie minęło więc więcej niż trzydzieści minut, a – dosłownie – cały Władywostok stał w płomieniach.

* * *

Towarzysz Stalin właśnie kończył przyjemną kolację w asyście poddanych Berii, Malenkowa, Bułganina i Chruszczowa w rezydencji w Kryłatskoje, gdy dotarła do niego wiadomość o tym, że Władywostoku właściwie już nie ma, odkąd pożar kontenera z kocami przybrał niefortunny obrót.

Wiadomość sprawiła, że Stalin... zrobił się dziwny.

Nowy ulubieniec Stalina, energiczny Nikita Siergiejewicz Chruszczow, zapytał, czy może udzielić w tej sprawie dobrej rady, a Stalin odparł słabo, że oczywiście może.

– Drogi towarzyszu Stalinie – powiedział Chruszczow. – Proponuję, żeby to, co się wydarzyło, się nie wydarzyło. Proponuję, aby Władywostok bezzwłocznie odciąć od świata, a potem cierpliwie odbudować i uczynić z niego bazę naszej floty na Oceanie Spokojnym, dokładnie tak, jak towarzysz Stalin planował. Ale przede wszystkim – to, co się wydarzyło, się nie

wydarzyło, w przeciwnym razie wskazywałoby na słabość, na której okazanie nie możemy sobie pozwolić. Czy towarzysz Stalin rozumie, co mam na myśli? Czy się zgadza?

Stalin nadal czuł się dziwnie. Był zresztą podchmielony. Ale skinął głową i powiedział, że życzeniem Stalina jest, aby Nikita Siergiejewicz był osobiście odpowiedzialny za to, że to, co się wydarzyło... się nie wydarzyło. Następnie oznajmił, że pora na Stalina, aby się zbierał, bo zdecydowanie nie czuje się dobrze.

Władywostok, myślał marszałek Beria. Czy to nie tam wysłałem tego szwedzkiego faszystowskiego eksperta, na wszelki wypadek, gdybyśmy sami nie skonstruowali bomby? Całkiem o nim zapomniałem, powinienem był się pozbyć drania, gdy tylko Julij Borysowicz Popow zasłużył się rozgryzieniem zagadki na własną rękę. No cóż, teraz pewnie i tak spłonął. Ale nie musiał przecież pociągnąć za sobą całego miasta.

Przy drzwiach do swojej sypialni Stalin oznajmił, że pod żadnym pozorem nie wolno mu przeszkadzać. Zamknął za sobą drzwi, przysiadł na brzegu łóżka, rozpiął koszulę i rozmyślał.

Władywostok... Miasto, które postanowił uczynić bazą dla radzieckiej floty na Oceanie Spokojnym! Władywostok... który miał odegrać kluczową rolę w zbliżającej się ofensywie w wojnie koreańskiej! Władywostoku...

Już nie ma!

Stalin zdążył sobie postawić pytanie, jak, do cholery, kontener z kocami mógł się zapalić przy piętnastu, dwudziestu stopniach mrozu. Ktoś musi za to odpowiadać... i ten szatan... będzie... będzie...

Stalin padł twarzą na podłogę. Leżał tam z wylewem przez całą dobę, bo towarzysz Stalin powiedział, że nie chce, aby mu przeszkadzano, więc nie przeszkadzano.

* * *

Barak Allana i Herberta zajął się ogniem jako jeden z pierwszych i przyjaciele od razu musieli zmienić plany co do przemknięcia do środka i przebrania się w mundury.

Ale ogrodzenie obozu już dawno zostało uszkodzone i jeśli stały jeszcze jakieś wartownie, to nie było w nich żadnych strażników. Wydostanie się z obozu nie stanowiło więc większego problemu. Problemem było to, co miało się wydarzyć później. Nie udało się ukraść żadnego wojskowego samochodu, bo wszystkie płonęły. Przedostanie się do miasta, żeby tam wykombinować jakiś samochód, też nie wchodziło w grę. Z jakiegoś powodu płonął cały Władywostok.

Większość więźniów, którzy przeżyli pożar i eksplozje, stanęła w zwartej grupie na drodze, w bezpiecznej odległości od granatów, granatników i wszystkiego, co fruwało w powietrzu. Niektórzy udali się w drogę w poszukiwaniu szczęścia, wszyscy w kierunku północno-zachodnim, bo dla Rosjanina to jedyna wyobrażalna droga ucieczki. Na zachodzie była przecież woda, na południu wojna koreańska, na wschodzie były Chiny, a na północy miasto, które było na dobrej drodze, aby doszczętnie spłonąć. Pozostawał kierunek Syberia, prawdziwa i prawdziwie lodowata Syberia. Jednak żołnierze przewidzieli to dokładnie i zanim dzień dobiegł końca, złapali wszystkich uciekinierów i wysłali ich w podróż do wieczności.

Wyjątkami od przypadku opisanego powyżej byli Allan i Herbert. Udało im się wydostać na pagórek na południowy zachód od Władywostoku. Tam usiedli na chwilę, aby odpocząć i spojrzeć na zniszczenia.

– Niezła moc w tej rakiecie świetlnej – powiedział Herbert.

– Bomba atomowa nie zrobiłaby lepszej roboty – dodał Allan.

– Co teraz? – zapytał Herbert i z powodu zimna niemal zatęsknił za obozem, którego już nie było.

– Teraz udamy się do Korei Północnej, mój przyjacielu – odparł Allan. – A ponieważ w pobliżu nie ma żadnych samochodów, pójdziemy pieszo. Od tego robi się ciepło.

* * *

Kirył Afanasjewicz Mierieckow był jednym z najzdolniejszych i najbardziej odznaczonych dowódców Armii Czerwonej. Otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego i siedmiokrotnie przyznano mu Order Lenina.

Jako dowódca 4. armii walczył dzielnie przeciw Niemcom pod Leningradem, gdzie po dziewięciuset okropnych dniach przerwano oblężenie miasta. Nic dziwnego, że Mierieckow został mianowany marszałkiem Związku Radzieckiego, co stanowiło niezły dodatek do wszystkich orderów, tytułów i medali.

Gdy Hitler wycofał się raz na zawsze, Mierieckow udał się na wschód, dziewięćset tysięcy sześćset kilometrów pociągiem. Był potrzebny na pierwszym froncie dalekowschodnim, aby przegnać Japończyków z Mandżurii. Ku niczyjemu zdziwieniu udało mu się także i to.

Wojna światowa się skończyła, a Mierieckow był zmęczony. Ponieważ nikt w Moskwie na niego nie czekał, został na wschodzie. Wylądował za wojskowym biurkiem we Władywostoku. Było to piękne biurko. Z prawdziwego drewna tekowego.

Późną zimą 1953 roku Mierieckow miał pięćdziesiąt sześć lat i nadal siedział przy tym samym biurku. Stamtąd przyglądał się sytuacji panującej w Korei. I Mierieckow, i towarzysz Stalin uważali, że strategicznie ważnym jest, żeby Związek Radziecki akurat teraz nie walczył bezpośrednio przeciw żołnierzom amerykańskim. Wprawdzie jedni i drudzy mieli bombę, ale Amerykanie mieli przewagę. Na wszystko przychodzi odpowiednia pora, a teraz pora nie prowokować – co oczywiście nie przeszkadza, by można, a nawet trzeba było wygrać wojnę koreańską.

Jako marszałek Mierieckow pozwalał sobie od czasu do czasu na odrobinę odpoczynku. Miał między innymi dom na polowania koło Kraskina kilka godzin jazdy na południe od Władywostoku. Jeździł tam, gdy tylko mógł, zwłaszcza zimą. I najchętniej sam. Zabierał jedynie adiutanta, przecież marszałkowie nie prowadzą sami samochodu, jak by to wyglądało?

Marszałek Mierieckow i jego adiutant mieli przed sobą jeszcze prawie godzinę drogi z Kraskina do Władywostoku, gdy z krętej drogi po raz pierwszy ujrzeli czarny słup dymu na północy. Co się tam stało? Czy coś się pali?

Odległość była zbyt duża, aby opłacało się wyciągać lornetkę z bagażnika reprezentacyjnego samochodu. Marszałek Mierieckow zarządził jazdę naprzód i dodał, że adiutant ma się zatrzymać w ciągu dwudziestu minut, gdy tylko zobaczy jakieś

dobre miejsce, gdzie można zaparkować i mieć dobry widok na zatokę. Co takiego się mogło stać? Zdecydowanie coś się pali...

Allan i Herbert szli drogą dobry kawałek, gdy elegancka, zielona pobieda nadjechała z południa. Uciekinierzy skryli się za zaspą śnieżną, kiedy samochód przejechał obok. Ale po chwili zwolnił, aby zatrzymać się jakieś pięćdziesiąt metrów od nich. Z auta wysiadł ozdobiony medalami oficer i jego adiutant. Adiutant wyjął z bagażnika lornetkę oficera z medalami, po czym obaj oddalili się od samochodu, aby poszukać dobrego punktu widokowego na zatokę, po której drugiej stronie jeszcze do niedawna leżał Władywostok.

Dlatego Allan i Herbert nie mieli najmniejszych trudności z zaczajeniem się do samochodu, skonfiskowaniem pistoletu oficera z medalami i karabinu maszynowego adiutanta, aby następnie zwrócić ich uwagę na fakt, że dość nieszczęśliwie znaleźli się w trudnej sytuacji. Albo, jak to wyraził Allan:

– Moi panowie, czy mogę prosić, abyście uprzejmie zdjęli z siebie ubrania?

Marszałek Mierieckow był oburzony. Tak nie traktuje się marszałka Związku Radzieckiego, nawet jeśli się jest więźniem obozu. Czyżby panowie mieli na myśli to, że on – marszałek Kirył Afanasjewicz Mierieckow – ma iść do Władywostoku w samych kalesonach? Allan odparł, że może to być trudne, ponieważ zanosi się na to, że Władywostok w tym czasie doszczętnie spłonie, ale ogólnie rzecz biorąc, tak to sobie z przyjacielem Herbertem wymyślili. Panowie mogą oczywiście dostać w zamian dwa

komplety ubrań więźniów, a im bliżej Władywostoku – czy jak by nazwać chmury dymu i ruiny w oddali – tym przecież cieplej.

Następnie Allan i Herbert włożyli skradzione mundury i zostawili więzienne pasiaki na stosiku na ziemi. Allan pomyślał, że lepiej będzie, jeśli to on będzie prowadził, więc Herbert stał się marszałkiem, a Allan jego adiutantem. Herbert zajął miejsce pasażera, a Allan usadowił się za kierownicą. Na pożegnanie Allan powiedział, że marszałek nie musi wyglądać na takiego złego, bo Allan jest pewien, że mu to w niczym nie pomoże. Zresztą niedługo przyjdzie wiosna, a wiosna we Władywostoku... Nie, no nie. Jednak Allan zachęcił marszałka, aby myślał pozytywnie, ale dodał, że to jego wybór. Jeśli bardzo chce spacerować w kalesonach i być wściekły na wszystko, to – rzecz jasna – może.

– No to do widzenia, marszałku. I adiutancie, oczywiście – powiedział Allan.

Marszałek nie odpowiedział, tylko nadal patrzył złowrogo, gdy Allan zawrócił pobiedą i odjechał z Herbertem na południe.

Następny przystanek: Korea Północna.

* * *

Przekroczenie granicy między Związkiem Radzieckim a Koreą Północną odbyło się szybko i bezproblemowo. Najpierw radzieccy strażnicy czynili honory, prostując plecy i kark, potem północnokoreańscy robili to samo. Bez słowa otworzono szlaban radzieckiemu marszałkowi (Herbert) i jego adiutantowi (Allan). Najbardziej oddanemu strażnikowi północnokoreańskiemu oczy zwilgotniały, gdy pomyślał, o jakim osobistym zaangażowaniu to

świadczy. Korea nie mogła mieć lepszego sąsiada niż Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich. Marszałek był z pewnością w drodze do Wonsan, aby sprawdzić, czy dostawa materiałów z Władywostoku dotarła jak należy i czy zajęto się nią jak trzeba.

Ale nie była to prawda. Akurat ten marszałek nie dbał o dobro Korei Północnej. Wręcz nie jest pewne, że wiedział, gdzie się znajduje. Był w pełni skupiony na próbie odkrycia, jak się otwiera schowek na rękawiczki.

Allan usłyszał od marynarzy w porcie we Władywostoku, że wojna w Korei utknęła w martwym punkcie, że strony nadal dzieli trzydziesty ósmy równoleżnik. Przekazał to Herbertowi, który wyobrażał sobie, że jedyne, czego trzeba, aby dostać się z północy na południe, to wziąć rozbieg i przeskoczyć (gdyby tylko ten równoleżnik nie był taki szeroki). Wprawdzie istniało ryzyko, że zostałoby się zastrzelonym w czasie skoku, ale w jego przypadku nie byłby to koniec świata.

Teraz okazało się, że mimo wielu kilometrów dzielących ich od granicy wojna jest wszędzie dookoła. Amerykańskie samoloty latały w powietrzu i zdawało się, że ich celem jest zbombardowanie wszystkiego, co napotkają. Allan zrozumiał, że zielony luksusowy rosyjski samochód osobowy prawdopodobnie zostałby uznany za niezły cel, więc zjechał z głównej drogi na południe (nie pytając wcześniej swojego marszałka o pozwolenie) i udał się w głąb kraju, bocznymi drogami, jadąc ostrożniej za każdym razem, gdy huczało im nad głowami.

Allan kontynuował jazdę na południe, a Herbert zabawiał go omawianiem na głos zawartości portfela marszałka, który znalazł

w wewnętrznej kieszeni munduru. Zawierał pokaźną kwotę w rublach, informację o tym, jak się marszałek nazywa, a także korespondencję, z której można było wywnioskować, czym marszałek zajmował się we Władywostoku, gdy miasto jeszcze było przy życiu.

– Ciekaw jestem, czy przypadkiem nie dowodził tym całym transportem kolejowym – zastanawiał się Herbert.

Allan pochwalił go za ten tok rozumowania, uważał go za logiczny, a Herbert znów się zarumienił. To wcale niegłupie, gdy się czasem powie coś niegłupiego.

– A właśnie, myślisz, że potrafisz się nauczyć na pamięć nazwiska marszałka Kiryła Afanasjewicza Mierieckowa? – spytał Allan. – Przydałoby się na przyszłość.

– Jestem dość pewien, że nie potrafię – odparł Herbert.

Gdy zaczęło się ściemniać, Allan i Herbert zajechali na podwórko dobrze wyglądającego gospodarstwa rolnego. Rolnik, jego żona i dwójka dzieci natychmiast stanęli przed wytwornymi gośćmi i eleganckim samochodem. Adiutant Allan przeprosił po rosyjsku i chińsku, że tak się wprosili z marszałkiem, ale chciałby zapytać, czy znalazłoby się dla nich coś do jedzenia. Chętnie zapłacą, ale mogą tylko w rublach, nic innego przy sobie nie mają.

Rolnik i jego żona nie zrozumieli ani słowa z tego, co Allan powiedział. Ale najstarszy syn, dwunastolatek, uczył się w szkole rosyjskiego i przetłumaczył ojcu. Nie minęło kilka sekund, a Allan i Herbert zostali zaproszeni do rodziny.

Czternaście godzin później Allan i Herbert byli gotowi kontynuować swoją podróż. Najpierw zjedli kolację

z gospodarzem, jego żoną i dziećmi. Podano wieprzowinę z chili i czosnkiem, ryż, a do tego – alleluja! – koreańską wódkę ryżową. Koreańska wódka zupełnie nie smakowała jak szwedzka, ale po pięciu latach i trzech tygodniach przymusowej abstynencji była wyśmienita.

Po kolacji marszałka i adiutanta położono spać. Marszałek zajął dużą sypialnię, a matka i ojciec spali z dziećmi. Adiutant Allan wylądował na podłodze.

Gdy nadszedł ranek, dostali śniadanie: warzywa gotowane na parze, suszone owoce i herbatę, po czym gospodarz napełnił bak w samochodzie marszałka benzyną, którą trzymał w stodole.

Na koniec rolnik odmówił przyjęcia oferowanego przez marszałka pliku rubli, aż marszałek wydarł się po niemiecku:

– Bierz te pieniądze, cholerny wieśniaku!

To tak wystraszyło rolnika, że zrobił, co Herbert powiedział, nie zrozumiawszy, co powiedział.

Allan i Herbert pomachali przyjaźnie na pożegnanie i kontynuowali podróż na południe, bez jakiegokolwiek ruchu na krętej drodze, ale z groźnym hukiem bombowców w oddali.

Gdy zbliżali się do Pjongjang, Allan stwierdził, że pora obmyślić nowy plan. Stary nie był zbyt odpowiedni do sytuacji. Allan ocenił, że nie mają szansy na przedostanie się do Korei Południowej z miejsca, w którym się znajdują.

Tak więc plan polegał na tym, aby spróbować doprowadzić do spotkania z premierem Kim Ir Senem. Herbert jest przecież marszałkiem radzieckim, a to chyba powinno wystarczyć?

Herbert przeprosił, że się wtrąca w planowanie, ale zastanawia się, jaki jest cel spotkania z Kim Ir Senem.

Allan odparł, że sam jeszcze nie wie, ale obiecuje pomyśleć. Jeden powód, który już mógł podać Herbertowi, był taki, że im bliżej ważnych osobistości się trzyma, tym lepsze bywa jedzenie. I wódka, w rzeczy samej.

Allan zrozumiał, że to tylko kwestia czasu, kiedy on i Herbert zostaną zatrzymani po drodze i porządnie skontrolowani. Nawet marszałek nie mógł chyba wjechać do stolicy kraju będącego w stanie wojny, nie usłyszawszy wcześniej ani jednego pytania. Dlatego Allan przez kilka godzin instruował Herberta, co powinien powiedzieć – jedno jedyne zdanie – ale jak ważne. „Jestem marszałek Mierieckow ze Związku Radzieckiego. Zaprowadźcie mnie do waszego przywódcy!".

Pjongjang w tym czasie było otoczone wewnętrzną i zewnętrzną strefą militarną. W zewnętrznej, dwadzieścia kilometrów od miasta, znajdowały się armaty i podwójne straże, natomiast wewnętrzna był istną barykadą, niemalże linią frontu, dla ochrony przed atakiem lądowym. Allan i Herbert utknęli więc najpierw w pierwszej strefie, gdzie zostali zatrzymani przez wysokiego rangą, pijanego żołnierza północnokoreańskiego z odbezpieczonym karabinem maszynowym na piersi. Mimo że marszałek Herbert wciąż powtarzał to jedno jedyne zdanie, którego miał się nauczyć, powiedział:

– Jestem waszym przywódcą, zaprowadźcie mnie do... Związku Radzieckiego.

Na całe szczęście żołnierz nie znał rosyjskiego, ale dobrze znał chiński. Dlatego adiutant Allan mógł przetłumaczyć słowa marszałka, tak jak powinny one paść i we właściwej kolejności.

Ponieważ żołnierz miał we krwi wręcz nieprawdopodobną ilość alkoholu i nie potrafił wymyślić, co w tej sytuacji ma zrobić, zaprosił Allana i Herberta do budki wartowników i zadzwonił do kolegi przy szlabanie dwieście metrów dalej. Następnie usiadł w wytartym fotelu i wyjął z kieszeni butelkę wódki ryżowej (trzecią tego dnia). Wypił łyk i zaczął nucić jakąś melodię, szklistym wzrokiem patrząc w dal przez radzieckich gości.

Allan nie był zadowolony z zachowania Herberta przed żołnierzem i zrozumiał, że z Herbertem jako marszałkiem wystarczyłoby kilka minut spotkania z Kim Ir Senem, aby marszałek i jego adiutant zostali aresztowani. Przez okno Allan zauważył zbliżającego się drugiego żołnierza. Teraz trzeba się było pospieszyć.

– Zamieńmy się ubraniami, Herbert – powiedział Allan.

– Ale dlaczego? – zdziwił się Herbert.

– No już – dodał Allan.

I tak w pośpiechu marszałek stał się adiutantem, a adiutant marszałkiem. Nieprawdopodobnie pijany żołnierz patrzył na nich rozbieganym wzrokiem i bełkotał coś po koreańsku.

Kilka sekund później drugi żołnierz wszedł do pomieszczenia i natychmiast oddał honory, gdy zauważył, jakiego mają prominentnego gościa. Żołnierz numer dwa również mówił po chińsku, więc Allan jako marszałek po raz kolejny przedstawił prośbę o spotkanie z premierem Kim Ir Senem. Zanim żołnierz numer dwa zdążył odpowiedzieć, żołnierz numer jeden przerwał swoim bełkotem.

– Co on mówi? – zapytał marszałek Allan.

– Mówi, że przed chwilą rozebraliście się do naga, a potem znowu ubraliście – odpowiedział szczerze żołnierz.

– Ach ta wódka, ta wódka – powiedział Allan i potrząsnął głową.

Żołnierz numer dwa przeprosił za zachowanie swojego kolegi, a gdy numer jeden upierał się, że Allan i Herbert naprawdę przed chwilą rozebrali się i zamienili ubraniami, dostał w twarz od żołnierza numer dwa i rozkaz zamknięcia jadaczki, jeśli nie chce, żeby zgłoszono jego pijaństwo.

W takim wypadku żołnierz numer jeden zdecydował się milczeć (i wypić kolejny łyk), a numer dwa wykonał kilka telefonów, po czym wypisał przepustkę po koreańsku, podpisał ją, podstemplował w dwóch miejscach, podał marszałkowi Allanowi i powiedział:

– Ten dokument pokaże pan marszałek przy następnej kontroli. Wtedy zostanie pan zaprowadzony do najbliższego człowieka najbliższego człowieka premiera.

Allan podziękował, poczynił honory i wrócił do samochodu, popychając przed sobą Herberta.

– Ponieważ właśnie stałeś się adiutantem, od tej pory musisz prowadzić – powiedział Allan.

– Interesujące – powiedział Herbert. – Nie prowadziłem samochodu, odkąd policja szwajcarska zabroniła mi usiąść za kierownicą.

– Myślę, że najspokojniej i najlepiej będzie, jeśli już nic więcej nie powiesz – odparł Allan.

– Mam trudności z prawą i lewą stroną – powiedział Herbert.

– Jak już powiedziałem, najspokojniej i najlepiej będzie, jeśli już nic więcej nie powiesz – powtórzył Allan.

Jechali dalej, z Herbertem za kierownicą, i szło to dużo lepiej, niż Allan mógł się spodziewać. Dzięki przepustce nie mieli żadnych problemów z dostaniem się do miasta, a potem dalej do siedziby premiera.

Tam przyjął ich najbliższy człowiek najbliższego człowieka i oznajmił, że najbliższy człowiek może ich przyjąć nie wcześniej niż za trzy dni. Do tego czasu zostaną zakwaterowani w apartamencie gościnnym. Poza tym kolację podaje się o ósmej, jeśli to im pasuje?

– No popatrz, popatrz – powiedział Allan do Herberta.

* * *

Kim Ir Sen urodził się w kwietniu 1912 roku w chrześcijańskiej rodzinie na przedmieściach Pjongjang. Rodzina, podobnie jak wszystkie inne koreańskie rodziny, w tym czasie żyła pod okupacją japońską. Przez te lata Japończycy robili, co chcieli, z ludnością okupowanych terenów. Setki tysięcy koreańskich dziewcząt i kobiet uwięziono jako niewolnice seksualne dla japońskich żołnierzy cesarskich. Koreańskich mężczyzn siłą zmuszano do wstąpienia do armii, aby walczyli za tego cesarza, który między innymi zmusił ich do przyjęcia japońskich nazwisk i robił wszystko, aby zniszczyć język i kulturę koreańską.

Ojciec Kim Ir Sena był cichym aptekarzem, ale jednocześnie wystarczająco głośnym krytykiem japońskich rządów, aby

ściągnąć na siebie tyle niezadowolenia Japończyków, że pewnego dnia rodzina musiała uciec do Mandżurii.

Tam zaznała spokoju do 1931 roku, gdy wojska japońskie zajęły Mandżurię. Ojciec Kim Ir Sena już wtedy nie żył, ale matka zachęcała syna do przyłączenia się do koreańskiej partyzantki, z ambicją przegonienia Japończyków z Mandżurii – a potem z Korei.

Kim Ir Sen pojechał do Chin i wstąpił do partii komunistycznej. Miał opinię energicznego i odważnego, i walczył przeciwko Japończykom z wielkim oddaniem. Był rok 1941, druga wojna światowa trwała w najlepsze, a Kim Ir Sen został zmuszony do ucieczki przez granicę do Związku Radzieckiego, gdzie zdobył wykształcenie wojskowe i polityczne.

Wkrótce został majorem Armii Czerwonej i walczył w niej aż do 1945 roku.

Z końcem wojny światowej Japonia musiała opuścić Koreę. Kim Ir Sen powrócił z emigracji jako bohater narodowy. Pozostało tylko formalne utworzenie państwa, nie było wątpliwości, że lud chce widzieć Kim Ir Sena jako wielkiego przywódcę.

Ale wielcy zwycięzcy wojny – Stany Zjednoczone i Związek Radziecki – podzielili Koreę na dwie strefy wpływów. W Stanach Zjednoczonych uważano, że udokumentowany komunista nie może rządzić całym półwyspem, więc wybrali własną głowę państwa, innego Koreańczyka na emigracji, i umieścili go na południu. Kim Ir Sen musiał się zadowolić częścią północną, ale on nie mógł się z tym pogodzić. Skoro potrafił przegnać Japończyków, może też pozbyć się Amerykanów ze świtą ONZ.

Kim Ir Sen nosił broń w służbie Chin i Związku Radzieckiego. A teraz walczył we własnej sprawie. To, czego nauczyło go dotychczasowe życie, to nie liczyć na nikogo, tylko na siebie.

Od tej reguły był gotowy odstąpić tylko w jednym przypadku. I ten właśnie przypadek mianował swoim najbliższym człowiekiem.

Kto chciał się spotkać z premierem Kim Ir Senem, musiał najpierw poprosić o zgodę na spotkanie z jego synem.

Kim Dzong Ilem.

Lat jedenaście.

– Zawsze każ gościom odczekać przynajmniej siedemdziesiąt dwie godziny, zanim ich przyjmiesz. To pomaga zachować autorytet, mój synu – instruował Kim Ir Sen.

– Myślę, że rozumiem, tato – kłamał Kim Dzong Il, po czym otwierał słownik i szukał tego słowa, którego nie zrozumiał.

* * *

Trzy dni czekania nie stanowiły problemu dla Allana i Herberta, bo w siedzibie premiera jedzenie było smaczne, a łóżka miękkie. Poza tym amerykańskie bombowce rzadko zbliżały się do Pjongjang, bo były łatwiejsze cele, na które mogły się kierować.

W końcu nadeszła pora. Allan został przyjęty przez najbliższego człowieka najbliższego człowieka i poprowadzony przez korytarze pałacu do jego gabinetu. Allan był przygotowany na to, że najbliższy człowiek jest tylko chłopcem.

– Jestem Kim Dzong Il, syn premiera – powiedział Kim Dzong Il – i najbliższy człowiek taty.

Kim Dzong Il wyciągnął rękę do marszałka, jego uścisk był zdecydowany, mimo że cała dłoń zniknęła w dużej pięści Allana.

– A ja jestem marszałek Kirył Afanasjewicz Mierieckow – powiedział Allan. – Dziękuję, że młody pan Kim zechciał mnie przyjąć. Może młody pan Kim pozwoli nawet, że przedstawię sprawę, z jaką przybywam?

Kim Dzong Il nie miał nic przeciwko, więc Allan kłamał dalej: marszałek ma, jak młody pan Kim zrozumiał, wiadomość do premiera bezpośrednio od towarzysza Stalina z Moskwy. Ponieważ istnieją podejrzenia, że Stany Zjednoczone – te kapitalistyczne hieny – infiltrują radziecki system informacyjny (marszałek nie chce wchodzić w szczegóły, jeśli młody pan Kim wybaczy), dlatego towarzysz Stalin postanowił, że wiadomość zostanie przekazana przez zaufaną osobę. I to honorowe zadanie przypadło w udziale marszałkowi i jego adiutantowi (którego marszałek na wszelki wypadek zostawił w pokoju).

Kim Dzong Il spoglądał na marszałka Allana nieco podejrzliwie i wyglądało, jakby czytał z kartki, gdy oznajmił, że jego zadaniem jest chronienie ojca za każdą cenę. Jednym z elementów pracy jest nieufanie nikomu, tego nauczył go tata, wyjaśnił. Dlatego Kim Dzong Il nie mógł sobie wyobrazić, że wpuści marszałka do taty premiera, dopóki jego historia nie zostanie potwierdzona przez Związek Radziecki. Kim Dzong Il zamierzał, mówiąc krótko, zadzwonić do Moskwy i spytać, czy marszałek rzeczywiście został przysłany przez wuja Stalina.

Nie był to rozwój sytuacji, jakiego życzył sobie Allan. Nie miał innego wyjścia, jak tylko spróbować odwieść Kim Dzong Ila od telefonu do Stalina.

– Nie wypada oczywiście zwykłemu marszałkowi sprzeciwiać się pańskiej woli, ale pozwolę sobie podzielić się refleksją, że może nie najlepiej jest używać telefonu, żeby się przekonać, czy rzeczywiście nie można używać telefonu.

Młody pan Kim przemyślał to, co powiedział marszałek Allan, ale słowa ojca odbijały się echem w jego głowie. „Nikomu nie ufaj, mój synu". W końcu chłopiec wpadł na rozwiązanie problemu. Oczywiście zadzwoni do wuja Stalina, ale będzie się posługiwał kodem. Młody pan Kim spotkał wuja Stalina wiele razy i ten miał w zwyczaju nazywać go „małym rewolucjonistą".

– Zadzwonię więc do wuja Stalina, przedstawię się jako „mały rewolucjonista" i zapytam, czy wysłał kogoś na spotkanie z tatą. Myślę, że nie powiemy wtedy za wiele, nawet gdyby Amerykanie podsłuchiwali. Jak marszałek myśli?

Marszałek myślał, że niezły spryciarz z tego chłopca. Ile może mieć lat? Dziesięć? Allan sam dorósł dość wcześnie. W wieku Kim Dzong Ila nosił już na całego dynamit w Nitroglycerin AB we Flenie. Poza tym Allan myślał, że to wszystko może się źle skończyć, ale nie mógł tego powiedzieć. No tak, przecież jest, jak jest, i tak dalej.

– Myślę zdecydowanie, że młody pan Kim jest bardzo mądrym chłopcem i może zajść daleko – powiedział Allan i pozostawił resztę losowi.

– Tak, mam odziedziczyć posadę taty, więc w tej kwestii może pan mieć rację. Proszę się poczęstować herbatą, podczas gdy ja będę dzwonił do wuja Stalina.

Młody pan Kim podszedł do brązowego biurka w rogu gabinetu, a Allan nalał sobie herbaty, zastanawiając się, czy powinien

jednak spróbować wyskoczyć przez okno. Ale zaraz odrzucił ten pomysł. Po pierwsze, znajdowali się na czwartym piętrze siedziby premiera, po drugie, Allan nie mógł opuścić swojego towarzysza. Herbert jeszcze chętniej by wyskoczył (gdyby się odważył), ale nie było go tu.

Nagle myśli Allana przerwał płacz młodego pana Kima. Odłożył słuchawkę i podbiegł do Allana, wyjąc:

– Wuj Stalin nie żyje! Wuj Stalin nie żyje!

Allan pomyślał, że to niemożliwe mieć takie szczęście jak on, i powiedział:

– No już, już, młody panie Kim. Chodź tu do marszałka, to marszałek przytuli. Tak, tak...

Gdy młody pan Kim został w miarę pocieszony, przestał zachowywać się jak stary malutki. Zdawało się, że już nie daje rady udawać dorosłego. Pociągając nosem, powiedział, że wuj Stalin miał wylew kilka dni temu i że według cioci Stalin (tak ją nazywał) zmarł tuż przed tym, jak młody pan Kim zadzwonił.

Młody pan Kim nadal siedział skulony na kolanach Allana, który opowiedział mu, wczuwając się, o swoich jasnych wspomnieniach z ostatniego spotkania z towarzyszem Stalinem. Jedli razem uroczystą kolację i nastrój był tak wesoły, jak to tylko możliwe między dobrymi przyjaciółmi. Towarzysz Stalin tańczył i śpiewał, zanim wieczór dobiegł końca. Allan zanucił gruzińską melodię ludową, którą Stalin zaprezentował tuż przed tym, jak doznał zwarcia w głowie, i młody pan Kim rozpoznał piosenkę! Wuj Stalin śpiewał ją także i jemu. Tak więc teraz – o ile nie wcześniej – rozwiane zostały wszelkie wątpliwości. Wuj marszałek jest zdecydowanie tym, za kogo się podaje. Młody pan Kim zadba

o to, aby mógł się spotkać z tatą premierem już następnego dnia. Ale teraz chciałby, żeby go jeszcze przytulić...

* * *

Premier nie siedział i nie kierował połową kraju z gabinetu za ścianą. Oznaczałoby to narażenie go na zbyt duże ryzyko. O nie, żeby spotkać się z Kim Ir Senem, należało się udać w odpowiednie miejsce, dla bezpieczeństwa samobieżnym działem pancernym SU-122, z tego względu, że najbliższy człowiek, a jednocześnie syn premiera, musiał towarzyszyć gościowi.

Jazda nie była ani trochę wygodna, bo przecież głównym celem użytkowania dział pancernych nie jest przewożenie pasażerów. Podczas jazdy Allan miał czas na zastanowienie się nad dwoma sprawami. Pierwsza: co powie Kim Ir Senowi, druga: do czego miałoby doprowadzić spotkanie.

Przed najbliższym człowiekiem i synem premiera Allan twierdził przecież, że ma do przekazania ważną wiadomość od towarzysza Stalina, i nagle stało się to bardzo proste. Fałszywy marszałek mógł teraz wymyślić cokolwiek; Stalin był przecież zbyt martwy, aby to zdementować. Tak więc Allan wymyślił, że wiadomość do Kim Ir Sena będzie brzmiała, że postanowił on podarować komunistom walczącym w Korei dwieście czołgów. Albo trzysta. Im więcej, tym bardziej się premier ucieszy.

Lecz była jeszcze bardziej skomplikowana sprawa. Allan był umiarkowanie zainteresowany powrotem do Związku Radzieckiego po załatwieniu spraw z Kim Ir Senem. Ale przekonanie północnokoreańskiego przywódcy, żeby wysłał Allana i Herberta do Korei Południowej, nie byłoby łatwe. Pozostanie

w pobliżu Kim Ir Sena stałoby się z czasem niezdrowe, z każdym dniem coraz bardziej, gdyby czołgi nie docierały.

Czy Chiny były alternatywą? Dopóki Allan i Herbert nosili pasiaki więźniów, odpowiedź brzmiała „nie", ale teraz było inaczej. Gigantyczny sąsiad Korei zamienił się z groźnego w obiecującego, odkąd Allan stał się radzieckim marszałkiem. Zwłaszcza gdyby udało mu się wycyganić od Kim Ir Sena list polecający.

Tak więc następny przystanek: Chiny. A potem będzie, co będzie. Jeśli nie nadarzy się lepsza okazja, pozostanie mu przejść przez Himalaje jeszcze raz.

Allan uznał, że dość zastanawiania się. Kim Ir Sen najpierw dostanie dwieście czołgów, albo trzysta, nie ma przecież powodów do skąpstwa w tej kwestii, a potem udawany marszałek poprosi pokornie premiera o pomoc w załatwieniu transportu i wizy do Chin, ponieważ ma tam sprawę do Mao Zedonga. Allan był zadowolony z obmyślonego planu.

Działo pancerne z pasażerami Allanem, Herbertem i Kim Dzong Ilem dojechało pod wieczór do miejsca, które wyglądało Allanowi na jakiś obiekt wojskowy.

– Myślisz, że trafiliśmy do Korei Południowej? – spytał Herbert z nadzieją w głosie.

– Jeśli jest jakieś miejsce na ziemi, gdzie Kim Ir Sen nie ma nic do roboty, to jest to Korea Południowa – odpowiedział Allan.

– No tak, to prawda... tylko tak sobie myślałem... nie, zresztą nie myślałem – odparł Herbert.

Nagle dziesięciokołowy pojazd zatrzymał się. Trzej pasażerowie wydostali się na zewnątrz i stanęli na ziemi. Trafili na lotnisko

wojskowe i stali przed czymś, co prawdopodobnie było budynkiem sztabu.

Młody pan Kim przytrzymał drzwi przed Allanem i Herbertem, po czym wyminął ich i otworzył im także kolejne drzwi. Tym samym cała trójka była na miejscu, w świętym budynku. Wewnątrz znajdowało się biurko, a na nim leżało mnóstwo rozłożonych papierów, za biurkiem na ścianie wisiała mapa Korei, a na prawo stał komplet kanap. Na jednej kanapie siedział premier Kim Ir Sen, a na drugiej jego gość. Pod ścianą naprzeciwko stało na baczność dwóch żołnierzy uzbrojonych w pistolety maszynowe.

– Dobry wieczór, panie premierze – powiedział Allan. – Jestem marszałek Kirył Afanasjewicz Mierieckow ze Związku Radzieckiego.

– Wcale nie – odpowiedział spokojnie Kim Ir Sen. – Znam marszałka Mierieckowa bardzo dobrze.

– Oj – powiedział Allan.

Żołnierze nie stali już na baczność, tylko skierowali swoją broń w stronę fałszywego marszałka i jego prawdopodobnie równie fałszywego adiutanta. Kim Ir Sen był nadal spokojny, ale jego syn wybuchł nagle mieszanką płaczu i wściekłości. Może to właśnie wtedy skończyło się jego dzieciństwo. Nigdy nikomu nie ufaj! A i tak kulił się w objęciach fałszywego marszałka. Nigdy nikomu nie ufaj! Nigdy, nigdy więcej nie zaufa ani jednej osobie.

– Umrzesz! – krzyczał przez łzy w stronę Allana. – I ty też! – dodał w kierunku Herberta.

– Tak, pewnie obaj kiedyś umrzecie – powiedział Kim Ir Sen nadal spokojny. – Ale najpierw usłyszymy, co za jeden was tu

przysłał.

Niedobrze się zapowiada, pomyślał Allan.

Dobrze się zapowiada, pomyślał Herbert.

* * *

Prawdziwy marszałek Kirył Afansjewicz Mierieckow wraz ze swoim adiutantem nie mieli innego wyjścia, jak tylko udać się do tego, co pozostało po Władywostoku.

Po wielu godzinach dotarli do obozu Armii Czerwonej pod zniszczonym miastem. Tam na początku poniżono go jeszcze bardziej, bo został posądzony o bycie zbiegłym więźniem, który zmienił zdanie. Jednak wkrótce rozpoznano go i zajęto się nim w sposób, jakiego wymagała jego pozycja.

Marszałek Mierieckow tylko raz w życiu został niewłaściwie potraktowany, gdy człowiek Stalina, Beria, kazał go pojmać i torturować dosłownie za nic, co z pewnością doprowadziłoby do jego śmierci, gdyby nie wsparcie Stalina. Mierieckow powinien być może zniszczyć Berię po tym incydencie, ale musiał zająć się wygraniem wojny, a Beria mimo wszystko był zbyt silny. Dlatego sprawa musiała poczekać. Mierieckow obiecał sobie, że nikt go już tak nie poniży, więc nie było innego wyjścia, jak odszukać i unieszkodliwić tych dwóch mężczyzn, którzy obrabowali marszałka i jego adiutanta z samochodu i mundurów.

Mierieckow nie mógł od razu rozpocząć poszukiwań, bo nie miał swojego munduru marszałka. Niełatwo było znaleźć krawca w obozie, a gdy już to nastąpiło, pozostał tak trywialny problem, jak brak igły i nici. Wszystkie zakłady krawieckie we Władywostoku wraz z miastem przestały istnieć.

Mimo to po trzech dniach mundur marszałka był gotowy. Jednak bez medali, bo z nich korzyść miał akurat fałszywy marszałek. Ale Mierieckow nie pozwolił, by taka sprawa mu przeszkodziła, w przeciwnym razie musiałby się poddać.

Po drobnych trudnościach marszałek wreszcie odebrał nową pobiedę dla siebie i adiutanta (większość pojazdów wojskowych zdążyła przecież spłonąć) i udał się na południe, rankiem, pięć dni po tym, gdy zaczęło się jego nieszczęście.

Przy granicy z Koreą Północną potwierdzono jego przypuszczenia. Pewien marszałek, dokładnie jak pan marszałek, w pobiedzie, dokładnie takiej jak pana marszałka, przekroczył granicę i pojechał na południe. Żołnierze nie potrafili powiedzieć nic więcej.

Marszałek Mierieckow wyciągnął te same wnioski co Allan pięć dni wcześniej, mianowicie że samobójstwem byłaby jazda w stronę frontu. Dlatego skręcił w stronę Pjongjang i po kilku godzinach przekonał się, że zrobił słusznie. Od wartowników zewnętrznej strefy militarnej dowiedział się, że jakiś marszałek Mierieckow i jego adiutant życzyli sobie spotkania z premierem Kim Ir Senem i dostali pozwolenie na audiencję u najbliższego człowieka najbliższego człowieka premiera. Potem dwaj żołnierze zaczęli się kłócić. Gdyby marszałek Mierieckow rozumiał koreański, usłyszałby, jak jeden z wartowników mówi, że zauważył, że coś było nie tak z tymi dwoma, i że naprawdę zamienili się ubraniami, drugi natychmiast odparł, że gdyby koledze któregoś razu udało się pozostać trzeźwym po dziesiątej rano, to może dałoby się zacząć na nim polegać. Następnie żołnierze nazwali się

nawzajem głupkami, a marszałek Mierieckow z adiutantem kontynuowali jazdę do Pjongjang.

Prawdziwemu marszałkowi Mierieckowowi udało się dostać na audiencję u najbliższego człowieka najbliższego człowieka po obiedzie tego samego dnia. Autorytetem, który tylko prawdziwy marszałek może mieć, przekonał najbliższego człowieka najbliższego człowieka, że zarówno premier, jak i jego syn są w niebezpieczeństwie oraz że najbliższy człowiek najbliższego człowieka natychmiast i bez zwłoki ma go zaprowadzić do głównej kwatery premiera. Ponieważ nie było czasu do stracenia, jazda odbyła się w pobiedzie marszałka, pojeździe, który z pewnością poruszał się cztery razy szybciej niż działo pancerne, którym przetransportowano Kim Dzong Ila i bandytów.

* * *

– Nooo – powiedział Kim Ir Sen z wyższością, ale i zainteresowaniem. – Kim jesteście, kto was przysłał i jaki mieliście zamiar w związku z tym małym oszustwem?

Allan nie zdążył odpowiedzieć, bo drzwi się otworzyły i prawdziwy marszałek Mierieckow wpadł do pokoju, krzycząc, że zanosi się na zamach, a dwaj mężczyźni stojący na środku pokoju to kryminaliści i więźniowie obozu.

Przez chwilę zrobiło się za wielu marszałków i adiutantów naraz jak dla dwóch żołnierzy z pistoletami maszynowymi. Ale gdy tylko premier dał do zrozumienia, że nowy marszałek jest tym właściwym, żołnierze mogli znowu skupić się na oszustach.

– Spokojnie, drogi Kiryle Afanasjewiczu – powiedział Kim Ir Sen. – Sytuacja jest pod kontrolą.

– Zginiesz – powiedział wzburzony marszałek Mierieckow, gdy zobaczył Allana w swoim mundurze z medalami na piersi.

– Tak, tak mówią – odparł Allan. – Najpierw ten oto młody pan Kim, potem premier, a teraz pan marszałek. Jedyną osobą, która nie żąda mojej śmierci, jest pan – powiedział Allan i zwrócił się do gościa premiera: – Nie wiem, kim pan jest, ale pewnie nie ma co mieć nadziei, że ma pan inny pogląd na tę sprawę?

– Rzeczywiście, zdecydowanie nie – odparł z uśmiechem gość. – Jestem Mao Zedong, przywódca Chińskiej Republiki Ludowej, i mogę dodać, że nie mam za wiele wyrozumiałości dla tego, kto chce krzywdy mojego przyjaciela Kim Ir Sena.

– Mao Zedong! – wykrzyknął Allan. – Co za zaszczyt. Nawet jeśli wkrótce pożegnam się z życiem, nie może pan zapomnieć pozdrowić ode mnie swoją piękną małżonkę.

– Zna pan moją żonę? – spytał Mao Zedong zdziwiony.

– Tak, o ile pan Mao ostatnio nie zmienił żony. Miał pan przecież wcześniej taki zwyczaj. Jiang Qing i ja spotkaliśmy się w prowincji Syczuan przed kilkoma laty. Dużo chodziliśmy razem po górach, w towarzystwie młodego chłopca, Ah Minga.

– To pan jest Allan Karlsson? – powiedział Mao Zedong zaskoczony. – Wybawiciel mojej żony?

Herbert nie rozumiał z tego za wiele, ale zrozumiał, że jego przyjaciel Allan musi mieć dziewięć żyć, że jego pewna śmierć właśnie przybiera inny obrót, znowu! To nie może się stać! Herbert działał w szoku.

– Uciekam, uciekam, zastrzelcie mnie, zastrzelcie mnie! – krzyczał i przebiegł przez pokój, pomylił drzwi i wylądował w garderobie, gdzie potknął się o wiadro.

– Pański towarzysz... – powiedział Mao Zedong. – Zdaje się, że żaden z niego Einstein.

– Proszę tak nie mówić – odparł Allan. – Proszę tak nie mówić.

* * *

To, że Mao Zedong akurat znajdował się w pokoju, to nic dziwnego, bo Kim Ir Sen urządził swój gabinet w chińskiej Mandżurii, tuż pod Szenjang w prowincji Liaoning, jakieś pięćset kilometrów na północny zachód od północnokoreańskiego Pjongjang. Mao dobrze się czuł w tamtej okolicy, gdzie miał największe poparcie. I lubił spotykać się ze swoim koreańskim przyjacielem.

W każdym razie zajęło dobrą chwilę, zanim ustalono wszystko, co było do ustalenia, i zanim wszyscy, którzy życzyli sobie głowy Allana na tacy, zmienili zdanie.

Marszałek Mierieckow był pierwszym, który wyciągnął pojednawczo rękę. Allana Karlssona dotknęło przecież szaleństwo marszałka Berii dokładnie tak samo jak Mierieckowa (Allan pominął ten zbędny szczegół, że to on spalił cały Władywostok). A gdy Allan zaproponował, żeby zamienili się marynarkami mundurów, tak aby marszałek dostał swoje medale z powrotem, wszelka złość marszałkowi minęła.

Kim Ir Sen też nie uważał, żeby miał powód do złości. Allan nigdy przecież nie zamierzał działać na szkodę premiera. Jedynym zmartwieniem Kim Ir Sena był fakt, że syn czuł się tak zawiedziony.

Młody Kim nadal płakał i żądał natychmiastowej i najlepiej bolesnej śmierci Allana. W końcu Kim Ir Sen nie widział innego

wyjścia, jak tylko dać synowi po uszach i powiedzieć, że ma się natychmiast uciszyć, bo jak nie, to dostanie jeszcze raz lanie.

Allana i marszałka Mierieckowa zaproszono na kanapę obok Kim Ir Sena, a po chwili dołączył do nich osowiały Herbert Einstein, gdy opuścił garderobę.

Tożsamość Allana została definitywnie ustalona, gdy do pokoju wezwano dwudziestoletniego szefa kuchni Mao Zedonga. Allan i Ah Ming długo obejmowali się nawzajem, a potem Mao wysłał Ah Minga z powrotem do kuchni, aby ten przyrządził na kolację makaron po chińsku.

Wdzięczność Mao Zedonga w stosunku do Allana za uratowanie życia Jiang Qing nie znała granic. Wyjaśnił, że może pomóc Allanowi i jego przyjacielowi w tym, co im się żywnie podoba, bez ograniczeń. Wśród propozycji było pozostanie w Chinach, gdzie Mao Zedong zadba o to, aby Allan i jego towarzysz mogli żyć wygodnie i dostatnio.

Ale Allan odpowiedział, że jeśli pan Mao wybaczy, obecnie ma komunizmu po dziurki w nosie i tęskni za tym, aby móc wypocząć gdzieś, gdzie można się napić, nie wysłuchując przy tym wywodów politycznych.

Mao odparł, że oczywiście może panu Karlssonowi wybaczyć, ale niech pan Karlsson nie ma zbyt wielkich nadziei na przyszłość, bo komunizm odnosi sukcesy wszędzie i nie potrwa długo, kiedy opanuje cały świat.

Na to Allan zapytał, czy orientują się może, gdzie najpóźniej dotrze komunizm, najlepiej, żeby było to jakieś słoneczne miejsce z białymi plażami, gdzie można się napić czegoś innego niż indonezyjski likier bananowy.

– Myślę, że zdecydowanie potrzeba mi urlopu – powiedział Allan. – Bo nigdy go nie miałem.

Mao Zedong, Kim Ir Sen i marszałek Mierieckow przedyskutowali sprawę między sobą. Karaibska wyspa Kuba była jedną z propozycji, panowie nie potrafili sobie wyobrazić miejsca bardziej kapitalistycznego. Allan podziękował za radę, ale powiedział, że Karaiby leżą stanowczo za daleko; poza tym właśnie się zorientował, że nie ma ani pieniędzy, ani paszportu, może więc lepiej nieco zmniejszyć wymagania.

Jeśli chodzi o paszport i pieniądze, niech się pan Karlsson nie martwi. Mao Zedong obiecał zaopatrzyć Allana i jego towarzysza w fałszywe dokumenty, z którymi dostaną się, gdzie tylko zechcą. Miał też im przekazać całą masę dolarów, których miał aż nadto, odkąd prezydent Truman wysyłał je do Kuomintangu, a Kuomintang zapomniał ich, uciekając w pośpiechu na Tajwan. Ale Karaiby faktycznie leżały po drugiej stronie globu, więc nie zaszkodziło pomyśleć o czymś innym.

Gdy trzej arcykomuniści kontynuowali swoją twórczą dyskusję na temat, dokąd wysłać na urlop tego, kto ma alergię na ich ideologię, Allan w duchu podziękował Harry'emu Trumanowi za pomoc finansową.

Zaproponowano Filipiny, ale potem stwierdzono, że są zbyt niestabilne politycznie. W końcu Mao zasugerował Bali. Allan narzekał przecież na indonezyjski likier bananowy i to sprawiło, że Mao zaczął myśleć o Indonezji. Bali nie było komunistyczne, mimo że komunizm czyhał za rogiem, jak zresztą wszędzie, no może z wyjątkiem Kuby. A że mają tam coś innego niż likier bananowy, tego przewodniczący Mao był pewien.

– No to niech będzie Bali – powiedział Allan. – Jedziesz ze mną, Herbert?

Herbert Einstein powoli godził się z myślą, że jeszcze trochę pożyje, więc poddał się i przytaknął. Pewnie, że jedzie, co innego miałby do roboty?

ROZDZIAŁ 19

Środa, 11 maja – środa, 25 maja 2005

Poszukiwani i uznany za zmarłego w Klockaregård z powodzeniem trzymali się poza zasięgiem ludzkiego wzroku. Zagroda leżała dwieście metrów od drogi krajowej i pod takim kątem, że dom mieszkalny i stodoła były w jednej linii i stwarzały osłonę na przykład dla Sonii. Słonica miała trasę spacerową między stajnią a laskiem, niewidoczną z drogi.

Życie w zagrodzie płynęło, ogólnie rzecz biorąc, przyjemnie. Benny regularnie opatrywał ranę Gawrona i z rozwagą faszerował go lekami. Busterowi podobały się otwarte przestrzenie niziny Västgötas, a Sonii wszędzie było dobrze, o ile nie chodziła głodna, a w pobliżu była jej pani, zawsze mówiąca dobre słowo albo dwa. Poza tym ostatnio dołączył starszy pan, co bardzo się słoniowi podobało.

Dla Benny'ego i Ślicznotki słońce nie przestawało świecić, bez względu na pogodę, i gdyby nie fakt, że byli poszukiwani jak jasny gwint, na pewno od razu wzięliby ślub. Gdy jest się dojrzałym, szybciej wiadomo, co jest właściwe.

Benny i Bosse stali się dla siebie lepszymi braćmi niż kiedykolwiek do tej pory. Gdy Benny'emu udało się przekonać brata, że jest dorosły, nawet jeśli pije sok zamiast wódki, wszystko

stało się prostsze. Bosse był także pod wrażeniem wszystkiego, co Benny potrafi. A może jednak to nie takie głupie i nie strata czasu to studiowanie na uniwersytecie? Młodszy brat stał się jakby starszym bratem, i to wcale nie było takie złe, uważał Bosse.

Allan nie sprawiał wiele kłopotu. Siedział całymi dniami w hamaku, także teraz, gdy pogoda zrobiła się taka, jaka powinna być w Szwecji w maju. Czasem Gawron dosiadał się, żeby pogadać.

W jednej z rozmów okazało się, że obaj mają mniej więcej podobne postrzeganie nirwany. Ostateczna harmonia to leżak pod parasolem w jakimś słonecznym kraju, gdzie personel podaje drinki różnego rodzaju. Allan opowiedział Gawronowi, jak to kiedyś było mu dobrze na Bali, gdy spędzał tam urlop za pieniądze od Mao Zedonga.

Ale gdy doszli do punktu, co by się miało znajdować w szklance, Allan i Gawron mieli odmienne poglądy. Stulatek chciał, aby była to vodka cola albo ewentualnie vodka grape. Gawron Gerdin z kolei wolał radośniejsze barwy. Najchętniej oranż, przechodzący w żółty, coś jak zachód słońca. I parasolka w drinku. Allan dziwił się, po cholerę mu ta parasolka. Przecież nie da się jej wypić. Gawron odparł, że wprawdzie Allan rozejrzał się po świecie i na pewno wie nieskończenie więcej o różnych sprawach niż bywalec więzień ze Sztokholmu, ale akurat tej sprawy zdaje się nie pojmować.

I jeszcze przez chwilę poruszali temat nirwany. Pierwszy jakieś dwa razy starszy od drugiego, drugi dwa razy większy od pierwszego, ale dobrze się dogadywali.

Z biegiem dni i tygodni dziennikarzom coraz trudniej było utrzymywać przy życiu historię o podejrzanym o potrójne zabójstwo i jego kompanach. Już po kilku dniach telewizja i dzienniki poranne przestały o tym pisać, zgodnie ze starą zasadą, że jeśli nie ma się nic do powiedzenia, najlepiej nic nie mówić.

Prasa wieczorna wytrzymała dłużej. Jeśli nie ma się nic do powiedzenia, zawsze można zrobić z kimś wywiad albo zacytować kogoś, kto nie pojął, że nie ma nic do powiedzenia. Jednak „Expressen" zrezygnowało z pomysłu, aby za pomocą kart tarota spekulować na temat miejsca pobytu Allana. Tymczasem przestano pisać o Allanie Karlssonie, aby ze wzmożonym apetytem zająć się kolejnym shitem, jak to się mówi, mając na myśli poszukiwania kolejnego tematu, który poruszy naród. W najgorszym wypadku zawsze pozostaje pisanie o odchudzaniu.

Media powoli pozwalały tajemniczemu przypadkowi stulatka popaść w zapomnienie, z jednym jedynym wyjątkiem. W „Eskilstuna-Kuriren" na bieżąco pisano o różnych sprawach lokalnych w związku ze zniknięciem Allana Karlssona, na przykład o tym, że w informacji dworcowej zainstalowano nowe drzwi antywłamaniowe dla ochrony przed przyszłymi napadami. Oraz że siostra Alice z domu spokojnej starości zadecydowała, że Allan Karlsson stracił prawo do swojego pokoju; ktoś inny w nim zamieszka, ktoś, kto „lepiej potrafi docenić troskę i ciepło personelu".

W związku z każdym artykułem przypominano w skrócie listę wydarzeń, które według policji zaczęły się od tego, że Allan

Karlsson wyszedł przez okno domu spokojnej starości w Malmköping.

„Eskilstuna-Kuriren” miało jednak za redaktora naczelnego starego dziwaka, z beznadziejnym poglądem, że obywatel jest niewinny, dopóki mu się nie udowodni winy. Dlatego w redakcji gazety nie szafowano nazwiskami uczestników dramatu podczas publikacji. Allan Karlsson był wprawdzie Allanem Karlssonem także w gazecie, ale Julius Jonsson był „sześćdziesięciolatkiem”, a Benny Ljungberg „właścicielem małej gastronomii”.

To sprawiło, że pewien wściekły obywatel zadzwonił któregoś dnia do biura komisarza Aronssona. Mężczyzna powiedział, że chce pozostać anonimowy, ale czuje instynktownie, że ma decydującą informację, jeśli chodzi o zaginionego i podejrzanego o zabójstwo Allana Karlssona.

Komisarz Aronsson odpowiedział, że właśnie decydującej informacji potrzebuje i że jak dla niego mężczyzna może pozostać anonimowy.

Więc tak, mężczyzna przeczytał wszystkie artykuły w „Eskilstuna-Kuriren” w ciągu ostatniego miesiąca i przemyślał dokładnie, co takiego się stało. Przyznał, że na pewno nie ma tak dużo informacji jak komisarz, ale biorąc pod uwagę to, co napisano, zdaje się, że policja nie sprawdziła wystarczająco dokładnie obcokrajowca.

– Jestem pewien, że to on jest prawdziwym bandytą – powiedział anonimowy mężczyzna.

– Obcokrajowiec? – zapytał komisarz Aronsson.

– No, nie wiem, czy nazywa się Ibrahim czy Muhammed, bo gazeta nazywa go ostrożnie właścicielem małej gastronomii,

jakbyśmy się nie umieli domyślić, że chodzi o jakiegoś Turka, Araba, muzułmanina czy innego. Przecież żaden Szwed nie otwiera budki z jedzeniem. Zwłaszcza w Åkers Styckebruk. To przejdzie tylko, jak jesteś obcokrajowcem i nie musisz płacić podatku.

– Ojoj – zareagował Aronsson. – Dużo tego. Chociaż można przecież być Turkiem i muzułmaninem, albo Arabem i muzułmaninem, to wręcz prawdopodobne. To znaczy, tak dla wyjaśnienia...

– To on jest jednocześnie Turkiem i muzułmaninem? Jeszcze gorzej! Ale sprawdźcie go dokładnie! Jego i jego przeklętą rodzinę. Na pewno ma stu krewnych żyjących z zasiłku.

– Żadnych stu – powiedział komisarz. – Jedyny krewny, jakiego ma, to brat...

I wtedy w głowie komisarza zaświtała pewna myśl. Kilka tygodni temu Aronsson zamówił dane o krewnych Allana Karlssona, Juliusa Jonssona i Benny'ego Ljungberga. Dane sprawdzono w nadziei na znalezienie kobiety, najlepiej rudowłosej, czyjejś siostry, kuzynki, córki czy wnuczki – zamieszkałej w Smålandii. Było to, zanim zidentyfikowano Gunillę Björklund. Rezultat był kiepski. Pojawiło się tylko jedno nazwisko, zupełnie nieistotne w tej sprawie wtedy, ale może teraz? Benny Ljungberg miał mianowicie brata pod Falköping. Czy to tam siedzicie w kupie? Myśli komisarza zostały przerwane przez anonimowego:

– A gdzie jego brat ma swoją budkę z jedzeniem? Ile płaci podatku? Przyjeżdżają tu i zabijają naszą cudowną szwedzką

młodzież, masowa imigracja musi się wreszcie skończyć! Słyszysz pan?

Aronsson odpowiedział, że słyszy i że dziękuje za informację, nawet jeśli właściciel małej gastronomii w tym wypadku nazywa się Ljungberg i jest stuprocentowym Szwedem, a więc nie Turkiem czy Arabem. Czy Ljungberg jest muzułmaninem, tego Aronsson nie może powiedzieć. Ani go to nie interesuje.

Mężczyzna powiedział, że wyczuwa kpiarski ton w odpowiedzi komisarza Aronssona i że on już zna to całe socjaldemokratyczne podejście.

– Jest nas wielu, a będzie jeszcze więcej, zobaczysz pan w wyborach w przyszłym roku! – krzyczał anonim.

Komisarz Aronsson obawiał się, że co do tego anonimowy może mieć rację. Najgorsze, co rozważni i w miarę oświeceni ludzie, tacy jak sam komisarz, mogą zrobić, to powiedzieć takim jak anonim, żeby się odwalili, i rzucić słuchawką. Ale nie, trzeba podjąć dyskusję.

Po czym komisarz poprosił anonima, żeby się odwalił, a potem rzucił słuchawką.

Aronsson zadzwonił do prokuratora Ranelida, aby powiedzieć, że wczesnym rankiem następnego dnia, jeśli prokurator pozwoli, zamierza pojechać do Västergötlandii, żeby sprawdzić nową informację w sprawie stulatka i jego kompanów (Aronsson uważał, że nie musi zdradzać, że od kilku tygodni wiedział o istnieniu brata Benny'ego Ljungberga). Prokurator Ranelid życzył Aronssonowi powodzenia i na nowo poczuł się podekscytowany faktem, że wkrótce dołączy do ekskluzywnej grupy oskarżycieli, którym udało się doprowadzić do skazania za

morderstwo lub zabójstwo (a przynajmniej pomoc w jednym czy drugim), mimo że nie udało się znaleźć ciała zmarłego. Oczywiście najpierw Karlsson i jego ludzie muszą wypłynąć na powierzchnię, ale to przecież tylko kwestia czasu. Może Aronsson wpadnie na nich już następnego dnia?

Dochodziła piąta, prokurator zbierał się do wyjścia z pracy, pogwizdując sobie cicho i pozwalając myślom płynąć. Może napisze książkę o tym przypadku? *Największe zwycięstwo sprawiedliwości.* Może taki tytuł? Zbyt pretensjonalne? *Wielkie zwycięstwo sprawiedliwości*. Lepiej. Pokorniej. Odpowiednio do osobowości autora.

ROZDZIAŁ 20

1953–1968

Mao Zedong zaopatrzył Allana i Herberta w fałszywe paszporty brytyjskie (jakkolwiek je zdobył). Następnie podróż odbyła się samolotem z Szenjang, przez Szanghaj, Hongkong i Malezję. Wkrótce byli więźniowie obozu siedzieli pod parasolem na bielutkiej plaży kilka metrów od Oceanu Indyjskiego.

Wszystko byłoby perfekcyjne, gdyby nie kelnerka, która myliła zamówienia. Cokolwiek by Allan i Herbert zamówili do picia, zawsze dostawali coś innego. O ile w ogóle coś dostawali, bo czasem kelnerka błądziła po plaży. Kroplą, która przepełniła kielich, był dla Allana moment, kiedy zamówił wódkę z coca-colą („nieco więcej wódki niż coli"), a dostał Pisang Ambon – bardzo, bardzo zielony likier bananowy.

– Dosyć tego – powiedział Allan i zamierzał iść do dyrektora hotelu z prośbą o zmianę kelnerki.

– Nigdy w życiu! – zaprotestował Herbert. – Ona jest absolutnie zachwycająca!

Kelnerka nazywała się Ni Wayan Laksmi, miała trzydzieści dwa lata i właściwie powinna zostać wydana za mąż wiele lat temu. Była ładna, ale nie pochodziła z zamożnej rodziny, nie miała pieniędzy i powszechnie wiedziano, że jej iloraz inteligencji

był jak u kodoka, balijskiej żaby. Dlatego Ni Wayan Laksmi nikt nie wybrał, gdy chłopcy wybierali dziewczęta, a dziewczęta chłopców (na tyle, na ile mogły same wybierać).

To zresztą nie bardzo jej przeszkadzało, bo nigdy nie czuła się swobodnie w towarzystwie mężczyzn. Ani kobiet. W towarzystwie w ogóle, prawdę powiedziawszy. Aż do teraz! Było coś zupełnie specjalnego w jednym z dwóch nowych bladoskórych gości hotelu. Nazywał się Herbert i jak gdyby... mieli wiele wspólnego. Wprawdzie był dobre trzydzieści lat starszy od niej, ale nie uważała, że miało to znaczenie, ponieważ… zakochała się. Z wzajemnością! Herbert nigdy wcześniej nie spotkał nikogo, kto byłby niemal równie wolno myślący jak on.

Gdy Ni Wayan Laksmi skończyła piętnaście lat, dostała w prezencie od ojca książkę do nauki języka. Zamysłem ojca było, że córka tym sposobem nauczy się holenderskiego, bo Indonezja w tym czasie była kolonią holenderską. Pewnego dnia zawitał w ich domu Holender. Ni Wayan Laksmi, po czterech latach nauki języka, po raz pierwszy odważyła się użyć holenderskiego, którego z trudem się nauczyła, i dowiedziała się, że mówi po niemiecku. Ojciec, który sam nie był zbyt bystry, podarował córce nie tę książkę.

A teraz, siedemnaście lat później, ta pomyłka wyszła jej na dobre, bo Ni Wayan Laksmi i Herbert mogli ze sobą rozmawiać i wyznać sobie miłość.

Potem Herbert poprosił Allana o połowę z tego pliku dolarów, który Mao Zedong dał Allanowi, dostał pieniądze, po czym odszukał ojca Ni Wayan Laksmi i poprosił o rękę najstarszej

córki. Ojciec sądził, że ktoś z niego kpi. Rodzina Ni Wayan Laksmi należała do kasty sudra, najniższej na Bali.

– Czy na pewno przybył pan do właściwego domu? – zapytał ojciec. – I ma pan na myśli moją najstarszą córkę?

Herbert odparł, że często się myli, ale tym razem jest zupełnie pewien.

Dwa tygodnie później nadszedł dzień ślubu, po tym, jak Herbert zmienił religię na... jakąś, nazwy nie pamiętał. Ale była dość zabawna, z głowami słoni i tak dalej.

Herbert przez kilka tygodni próbował nauczyć się imienia swojej małżonki, ale w końcu się poddał.

– Kochanie – powiedział. – Nie mogę zapamiętać, jak się nazywasz. Czy będzie ci strasznie przykro, jeśli będę cię nazywał Amanda?

– Nie będzie, kochany Herbercie. Amanda brzmi pięknie. A dlaczego akurat Amanda?

– Nie wiem – powiedział Herbert. – Masz lepszy pomysł?

Ni Wayan Laksmi nie miała lepszego pomysłu, więc od tamtej pory nazywała się Amanda Einstein.

Herbert i Amanda kupili dom w wiosce Sanur, niedaleko hotelu i plaży, gdzie Allan spędzał dni. Amanda skończyła z pracą kelnerki, uważała, że równie dobrze sama może złożyć wymówienie; i tak któregoś dnia by ją wyrzucili, bo nic jej nie wychodziło. Teraz trzeba było zastanowić się, czym ona i Herbert zajmą się w przyszłości.

Podobnie jak Herbert, Amanda potrafiła pomylić wszystko, co tylko dało się pomylić. Lewo było dla niej prawo, góra – dołem, tu – tam... Dlatego nie mogła zdobyć żadnego wykształcenia;

minimum wymagań to żeby uczeń potrafił odnaleźć drogę do szkoły.

Ale teraz Amanda i Herbert mieli całą masę dolarów, więc wszystko na pewno się ułoży. Amanda była wprawdzie strasznie nieinteligentna, jak wyjaśniła mężowi, ale nie głupia!

I opowiedziała, że w Indonezji wszystko jest na sprzedaż i że to bardzo praktyczne dla tego, kto ma pieniądze. Herbert nie bardzo rozumiał, co żona ma na myśli, a niemożliwość zrozumienia czegoś Amanda rozpoznawała bez problemu, więc zamiast wytłumaczyć dokładniej, powiedziała:

– Powiedz, czego byś sobie życzył, drogi Herbercie.

– Co masz na myśli? Masz na myśli... na przykład umiejętność prowadzenia samochodu?

– Dokładnie! – odparła Amanda.

I powiedziała, że ma coś do załatwienia, ale wróci przed kolacją.

Trzy godziny później była z powrotem w domu. Miała ze sobą świeżo wystawione prawo jazdy na nazwisko Herberta, ale nie tylko. Miała też dyplom, świadczący o tym, że Herbert jest dyplomowanym nauczycielem jazdy, i dowód zakupu lokalnej szkoły jazdy, której nazwę zmieniła na: Firma Einsteinowie – Nauka Jazdy.

Herbert uważał, że wszystko brzmi fantastycznie, ale... chyba z tego powodu nie potrafi teraz lepiej prowadzić samochodu? Owszem, w pewnym sensie, wyjaśniła Amanda. Teraz ma pozycję i to on decyduje, co jest poprawną jazdą samochodem, a co nie. W końcu w życiu jest tak, że nie zawsze właściwe jest to, co właściwe, tylko to, co jest właściwe według tego, kto decyduje.

Herbert rozpromienił się; zrozumiał!

Firma Einsteinowie – Nauka Jazdy odniosła sukces. Prawie wszyscy na wyspie, którzy potrzebowali prawa jazdy, chcieli się uczyć u sympatycznego bladoskórego. A Herbert szybko wczuł się w rolę. Sam prowadził wszystkie lekcje teoretyczne, na których uprzejmie, ale kategorycznie objaśniał, że nie należy prowadzić za szybko, bo wtedy może dojść do zderzenia, nie należy też jechać za wolno, bo wtedy tamuje się ruch. Uczniowie kiwali głowami i notowali. Nauczyciel wydawał się wiedzieć, co mówi.

Po pół roku Herbert nie miał na wyspie żadnej konkurencji, ponieważ dwie inne szkoły jazdy splajtowały. Opowiedział to Allanowi podczas jednej ze swoich cotygodniowych wizyt na plaży.

– Jestem z ciebie dumny, Herbercie – powiedział Allan. – Że też akurat ty zabrałeś się do nauki jazdy! Z ruchem lewostronnym i tak dalej...

– Ruch lewostronny? – spytał Herbert. – To w Indonezji jest ruch lewostronny?

Amanda nie siedziała z założonymi rękoma, gdy Herbert rozwijał firmę, którą dostał w prezencie. Najpierw zdobyła porządne wykształcenie, a teraz była ekonomistką. Zajęło to wprawdzie kilka tygodni i kosztowało sporo pieniędzy, ale w końcu miała w ręku dyplom ze świetnymi ocenami jednego z lepszych uniwersytetów na Jawie.

Z dyplomem w kieszeni poszła na długi spacer w Kuta i myślała, myślała, myślała. Czym mogłaby się zająć, co przyniosłoby szczęście rodzinie? Ekonomistka czy też nie, nadal potrafiła ledwo liczyć. Ale może mogłaby... czy naprawdę... tak, jeśli się... Do diaska, pomyślała Amanda Einstein.

– Wezmę się do polityki!

Amanda Einstein utworzyła Liberalną, Demokratyczną Partię Wolności (liberalny, demokratyczny i wolność to trzy słowa, które – jak uważała – brzmiały dobrze w tym kontekście). Wkrótce miała sześć tysięcy wymyślonych członków partii, którzy uważali, że powinna startować w wyborach na gubernatora podczas nadchodzącej jesieni. Obecny gubernator miał się wycofać z powodu wieku i zanim Amanda przemyślała swój pomysł, był tylko jeden kandydat do przejęcia posady. Teraz było dwoje: mężczyzna z wysokiej kasty braminów oraz kobieta z niskiej kasty sudra. Wynik wyborów powinien być na niekorzyść Amandy. Gdyby nie to, że miała całą masę dolarów.

Herbert nie miał nic przeciwko, że jego ukochana wzięła się do polityki, ale wiedział, że Allan nie lubi polityki w ogóle, a po pięciu latach w obozie komunizmu w szczególności.

– Będziemy komunistami? – pytał zaniepokojony Herbert.

Nie, Amanda tak nie sądziła. Tego słowa w każdym razie nie było w nazwie partii. Ale jeśli Herbert bardzo chce, to można je dorzucić.

– Liberalna, Demokratyczna, Komunistyczna Partia Wolności – powiedziała Amanda i zastanowiła się, jak to brzmi. – Trochę długie, ale mogłoby być.

Ale Herbert nie to miał na myśli. Wręcz przeciwnie. Im mniej partia zajmuje się polityką, tym lepiej.

Tym samym przeszli do kwestii finansowania kampanii. Zdaniem Amandy, nie będą mieli całej masy dolarów, gdy kampania się skończy, bo żeby wygrać, potrzeba dużo pieniędzy. Jak Herbert myśli?

Herbert odparł, że jest pewien, że Amanda z całej rodziny najlepiej się na tym zna.

– Dobrze – powiedziała Amanda. – W takim razie inwestujemy jedną trzecią kapitału w moją kampanię wyborczą, jedną trzecią w łapówki dla szefów każdego okręgu wyborczego, jedną trzecią na obrzucanie błotem konkurenta i zostawimy sobie jedną trzecią na życie, jakby coś nie wyszło. Co o tym myślisz?

Herbert drapał się po nosie i nie myślał zupełnie nic. Opowiedział natomiast o planach Amandy Allanowi, a ten westchnął na myśl, że osoba, która nie potrafi odróżnić likieru bananowego od grogu, sądzi, że może zostać gubernatorem. No cóż, w końcu na początku dostali całą masę dolarów od Mao Zedonga. Allanowi wystarczyła połowa i jeszcze zostało, dlatego obiecał, że dołoży się do kapitału Herberta i Amandy, gdy wybory się skończą. Ale na tym koniec projektów, o których Herbert i Amanda nie mają pojęcia.

Herbert podziękował za propozycję. Allan jest bardzo miły, naprawdę.

Jednak pomoc Allana nie była potrzebna. Wybory na gubernatora zakończyły się całkowitym zwycięstwem Amandy. Wygrała osiemdziesięcioma procentami głosów przeciwko dwudziestu dwóm konkurenta. To, że suma przekraczała setkę, wskazywało, zdaniem konkurenta, na oszustwo wyborcze, ale sąd odrzucił zarzut i groził przegranemu kandydatowi dodatkową karą, jeśli ten nie przestanie obrzucać błotem obejmującej funkcję gubernatora pani Einstein. Tuż przed zapadnięciem decyzji sądu Amanda spotkała się z przewodniczącym komisji na herbacie.

* * *

Gdy Amanda Einstein powoli, ale systematycznie przejmowała władzę na wyspie, a jej mąż Herbert uczył ludzi jazdy (sam nie siadając za kierownicą częściej, niż to konieczne), Allan przesiadywał w swoim leżaku na brzegu oceanu, z odpowiednim napojem w dłoni. Odkąd Amanda zajęła się czym innym niż obsługą turystów, zwykle dostawał to, czego sobie życzył.

Poza siedzeniem tam, gdzie siedział, i piciem tego, co pił, Allan przeglądał międzynarodowe gazety, które prenumerował, jadł, gdy zgłodniał, i odpoczywał po kolacji, gdy za dużo się narobił.

Dni zmieniały się w tygodnie, tygodnie w miesiące, miesiące w lata, a Allan nadal nie miał dość urlopu. Po piętnastu latach wciąż miał całą masę dolarów. A to dlatego, że od początku była to cała masa dolarów, ale także dlatego, że Amanda i Herbert od pewnego czasu byli właścicielami hotelu i uczynili Allana jego jedynym darmowym gościem.

Allan zdążył skończyć sześćdziesiąt trzy lata i nadal nie ruszał się więcej, niż to konieczne, podczas gdy Amanda odnosiła coraz większe sukcesy polityczne. Była lubiana przez lud, na co wskazywały kolejne badania opinii publicznej, wykonane przez lokalne biuro statystyczne, którego właścicielką i szefową była jedna z sióstr Amandy. Bali zaklasyfikowano zresztą przez pewną organizację praw człowieka jako najmniej skorumpowany region w kraju. Miało to wiele wspólnego z faktem, że Amanda przekupiła cały zarząd organizacji.

Mimo to walka z korupcją była jednym z trzech punktów programu, które wyróżniały pracę Amandy jako gubernatora, przede wszystkim poprzez wprowadzenie do wszystkich szkół na

Bali kursów antykorupcyjnych. Jeden dyrektor z Denpasar protestował, uzasadniając, że może to przynieść odwrotny skutek, ale Amanda uczyniła go przewodniczącym zarządu szkoły, z podwójną pensją, i sprawa ucichła.

Drugim punktem programu była walka z komunizmem, która głównie polegała na tym, że tuż przed wyborem Amandy na gubernatora zakazała ona działalności miejscowej partii komunistycznej.

Z trzecim punktem pomogli Amandzie Herbert i Allan. Dzięki nim dowiedziała się, że w pozostałych częściach świata nie było trzydziestu stopni ciepła przez cały rok. Zwłaszcza w Europie było szczególnie zimno, a najzimniej na północy, skąd pochodził Allan. Do Amandy dotarło, że musi być wielu zmarzniętych na kość bogaczy z całego świata, których należało zachęcić do przyjazdu na Bali, żeby odtajali. Ożywiła więc turystykę, udzielając pozwoleń na budowę luksusowych hoteli na ziemi, którą właśnie zakupiła.

Poza tym wszystkim zajmowała się swoimi bliskimi najlepiej, jak potrafiła. Ojciec, matka, siostry, wujowie, ciotki i kuzyni wkrótce mieli ważne i lukratywne stanowiska. Wszystko to doprowadziło do ponownego wybrania Amandy na gubernatora. Za drugim razem wzrosła nawet liczba głosów i głosujących.

W tym czasie Amanda urodziła dwóch synów: najpierw Allana Einsteina (Herbert był przecież wdzięczny Allanowi za prawie wszystko), a potem Mao Einsteina (za tę całą masę dolarów, które przyniosły tyle pożytku).

Lecz pewnego dnia wszystko się skomplikowało. Zaczęło się od tego, że wybuchł wulkan Gunung Agung. Bezpośrednią

konsekwencją dla Allana, mieszkającego siedemdziesiąt kilometrów od wulkanu, było to, że dym zasłonił słońce. Poza tym zginęły tysiące ludzi, a jeszcze więcej musiało uciekać z wyspy. Do tej pory tak lubiana pani gubernator Bali nie podjęła żadnych sensownych kroków. Nie pojmowała nawet, że ma jakieś kroki do podjęcia.

Wulkan w końcu się uspokoił, ale wyspa była zrujnowana, zarówno ekonomicznie, jak i politycznie – podobnie jak reszta kraju. W Dżakarcie Suharto przejął władzę po Sukarno i nowy przywódca nie zamierzał tolerować, jak jego poprzednik, politycznych dziwadeł. Przede wszystkim Suharto zaczął gnębić komunistów, domniemanych komunistów, podejrzanych komunistów, możliwych komunistów, najprawdopodobniej komunistów oraz całkiem niewinnych. Nagle zginęło pomiędzy dwieście tysięcy a dwa miliony ludzi; liczba była niepewna, bo wielu Chińczyków po prostu wywieziono z Indonezji z etykietą komunistów, a kiedy wysiedli w Chinach, potraktowano ich jak kapitalistów.

Gdy dym opadł, nikt z dwustu milionów mieszkańców Indonezji nie wyrażał poglądów komunistycznych (na wszelki wypadek podniesiono to do rangi przestępstwa). Misja została zakończona. Suharto zaprosił Stany Zjednoczone i inne kraje Zachodu do dzielenia bogactw kraju. To ruszyło machinę, ludziom zaczęło się powodzić lepiej, a najlepiej Suharto, który wkrótce stał się nieskończenie bogaty. Nieźle jak na żołnierza, który swoją karierę rozpoczął od szmuglowania cukru.

Amanda Einstein stwierdziła, że już jej nie bawi stanowisko gubernatora. Być może osiem tysięcy Balijczyków zginęło

przypadkiem z powodu ambicji rządu w Dżakarcie, aby obywatele myśleli właściwie.

Herbert wykorzystał moment chaosu i przeszedł na emeryturę. Amanda też się nad tym zastanawiała, chociaż nie skończyła jeszcze czterdziestu trzech lat. Do rodziny należały ziemia i hotele, a cała masa dolarów, które umożliwiły rodzinie dobrobyt, zmieniła się w jeszcze większą masę dolarów. Równie dobrze mogła się wycofać, tylko co by miała teraz robić?

– Co by pani powiedziała na stanowisko ambasadora Indonezji w Paryżu? – zapytał Suharto wprost podczas rozmowy telefonicznej, gdy tylko się przedstawił.

Suharto zwrócił uwagę na pracę Amandy Einstein na Bali i jej rezolutną decyzję zakazu działalności miejscowych komunistów. Poza tym chciał osiągnąć większą równowagę w podziale między płciami, jeśli chodzi o najwyższe posady wśród wysłanników zagranicznych (stosunek byłby dwadzieścia cztery do jednego, gdyby Amanda przyjęła propozycję).

– Paryż? – odpowiedziała Amanda. – A gdzie to jest?

* * *

Allan myślał najpierw, że może wybuch wulkanu w 1963 ro ku był pierwszym sygnałem do zmiany. Ale gdy słońce znów wyjrzało zza rozpływającego się dymu wulkanicznego, prawie wszystko wróciło do stanu pierwotnego (poza tym, że z jakiegoś powodu na ulicach szalała wojna domowa). Jeśli opatrzność nie potrafiła być bardziej zdecydowana w swoich sygnałach, to trudno. Tym sposobem Allan pozostał w swoim leżaku kolejnych kilka lat.

To, że w końcu się spakował i wyjechał, było zasługą Herberta. Pewnego dnia powiedział, że on i Amanda przeprowadzają się do Paryża i jeśli tylko Allan ma ochotę jechać z nimi, to przyjaciel może załatwić mu fałszywy paszport indonezyjski zamiast fałszywego i nieważnego już paszportu brytyjskiego, którego Allan używał. Poza tym obejmująca posadę Amanda zadbałaby o zatrudnienie go w ambasadzie, nie dlatego, że Allan potrzebował pracy, ale dlatego, że Francuzi mogli być drobiazgowi co do tego, kogo wpuszczają do kraju.

Allan zgodził się. Był wystarczająco wypoczęty. Paryż wydawał się spokojnym i stabilnym zakątkiem świata, bez wydarzeń jak te na Bali, nawet w pobliżu hotelu Allana.

Podróż odbyła się dwa tygodnie później. Amanda rozpoczęła pracę w ambasadzie 1 maja.

Był 1968 rok.

ROZDZIAŁ 21

Czwartek, 26 maja 2005

Per-Gunnar Gerdin zamierzał pospać dłużej, gdy komisarz Göran Aronsson zajechał do Klockaregård i ku swemu zdziwieniu zauważył Allana Emmanuela Karlssona siedzącego w hamaku na dużej drewnianej werandzie.

Benny, Ślicznotka i Buster akurat dostarczali wodę do nowej zagrody Sonii w stodole. Julius zapuścił brodę i dlatego pozwolono mu towarzyszyć Bossemu do Falköping po zakupy. Allan przysnął i obudził się dopiero, gdy komisarz zwrócił jego uwagę na swoją obecność.

– Allan Karlsson, jak przypuszczam? – powiedział komisarz Aronsson.

Allan otworzył oczy i powiedział, że on też tak przypuszcza. Nie ma natomiast pojęcia, kim jest człowiek, który właśnie do niego mówi. Czy nieznajomy mógłby wyjaśnić tę sprawę?

Oczywiście komisarz zaraz sprawę wyjaśnił. Powiedział, że nazywa się Aronsson, że jest komisarzem policji, że szukał pana Karlssona od pewnego czasu oraz że pan Karlsson zostaje zatrzymany, ponieważ jest podejrzany o zabicie kilku osób. Przyjaciele pana Karlssona, panowie Jonsson i Ljungberg oraz

pani Björklund, też są zresztą zatrzymani. Czy może pan Karlsson wie, gdzie się znajdują?

Allan zwlekał z odpowiedzią, tłumacząc, że musi zebrać myśli, bo właśnie się obudził i tak dalej, ma nadzieję, że komisarz rozumie? Nie plotkuje się przecież o przyjaciołach, zanim się wszystkiego porządnie nie przemyśli, czy komisarz tak nie uważa?

Komisarz odpowiedział, że nie powinien udzielać innych rad niż tylko ta, że pan Karlsson bez zwłoki powinien opowiedzieć, co wie. Ale bardzo proszę, komisarzowi się nie spieszy.

Allan uważał, że to dobrze, i zaproponował komisarzowi, żeby usiadł w hamaku, a Allan przygotuje dla niego kawę w kuchni.

– Cukier do kawy? Mleczko?

Komisarz Aronsson nie był z tych, co to pozwalają schwytanym delikwentom oddalać się, gdzie im się podoba, nawet do ograniczonego terytorium, jakim jest kuchnia. Ale akurat w tym przypadku było coś uspokajającego. Poza tym Aronsson ze swojej pozycji w hamaku miałby dobry widok na kuchnię i to, co Karlsson robi. Więc Aronsson przyjął zaproszenie Allana.

– Z mleczkiem, poproszę. Bez cukru – powiedział i usiadł.

Dopiero co schwytany Allan kręcił się po kuchni („Może słodką bułkę do kawy?”), a komisarz Aronsson siedział na werandzie i przyglądał się. Nie potrafił zrozumieć, jak mógł tak niezgrabnie podejść do sytuacji. Już z daleka widział przecież samotnego starszego mężczyznę na werandzie wychodzącej na podwórze i pomyślał, że to pewnie ojciec Bo Ljungberga, który może będzie mógł zaprowadzić go do syna i potwierdzić, że podejrzanych osób nie ma w pobliżu, więc cała podróż do Västergötlandii byłaby na marne.

Lecz gdy Aronsson podszedł wystarczająco blisko, okazało się, że dziadek w hamaku to sam Allan Karlsson. Strzał w dziesiątkę!

W stosunku do Allana Aronsson zachowywał się spokojnie i profesjonalnie, o ile profesjonalne mogło się wydawać wysłanie podejrzanego o potrójne morderstwo do kuchni po kawę, ale w głębi serca czuł się jak amator. Allan Karlsson, stulatek, nie wyglądał przecież groźnie, ale co by Aronsson zrobił, gdyby trzej pozostali podejrzani nagle się pojawili, może w towarzystwie Bo Ljungberga, którego z kolei trzeba będzie zamknąć za pomoc w przestępstwie?

– Z mleczkiem, ale bez cukru pan chciał? – zawołał Allan z kuchni. – W moim wieku tak łatwo się zapomina.

Aronsson potwierdził i wyjął telefon, żeby zadzwonić po posiłki do kolegów z Falköping. Potrzebne będą dwa samochody, na wszelki wypadek.

Ale telefon ubiegł Aronssona. Zadzwonił, zanim komisarz zdążył wystukać numer. Aronsson odebrał. Dzwonił prokurator Ranelid – miał do przekazania sensacyjną wiadomość.

ROZDZIAŁ 22

Środa, 25 maja – czwartek, 26 maja 2005

Egipski marynarz, który wrzucił zwłoki Bengta „Bolca” Bylunda na pożarcie rybom do Morza Czerwonego, nareszcie dotarł do Dżibuti na trzydniową przepustkę.

W kieszeni miał portfel Bolca, a w nim między innymi osiemset koron szwedzkich w gotówce. Ile to mogło być warte, marynarz nie miał pojęcia, ale żywił pewne nadzieje i teraz szukał otwartego kantoru.

Stolica Dżibuti nazywa się, zupełnie bez polotu, Dżibuti i jest młodym i żywym miejscem. Żywym, bo położone jest strategicznie, w rogu Afryki, przy ujściu Morza Czerwonego do Oceanu Indyjskiego, gdzie przybija dużo statków, a młodym, ponieważ w Dżibuti nieczęsto żyje się dłużej niż do pięćdziesiątki.

Egipski marynarz zatrzymał się na miejskim targu rybnym, żeby zjeść smażoną rybę, zanim odszuka jakiś kantor. Tuż obok niego stał spocony miejscowy mężczyzna i przytupywał z nogi na nogę, z gorączkowym i błędnym spojrzeniem. Marynarz pomyślał, że nic dziwnego, że spocony jest taki spocony, bo, po pierwsze, było ze trzydzieści pięć stopni w cieniu, po drugie, spocony był ubrany w dwa sarongi i dwie koszule, a na głowie miał głęboko wciśnięty fez.

Spocony miał jakieś dwadzieścia pięć lat i żadnych ambicji, aby dożyć więcej. Przeżywał wewnętrzny bunt. Nie z tego powodu, że połowa ludności kraju jest bez pracy, że wkrótce co piąty mieszkaniec będzie nosicielem HIV lub będzie chorował na AIDS, że brak wody pitnej, że obszar pustynny powiększa się, zagarniając i tak już marne poletka pod uprawę. Nie, mężczyzna był wzburzony, bo Stany Zjednoczone założyły bazę wojskową na terenie kraju.

W tej kwestii zresztą Stany Zjednoczone nie były jedyne. Od jakiegoś czasu stacjonowała tu francuska Legia Cudzoziemska. Powiązania między Dżibuti a Francją były silne. Kraj nazywał się przecież Somalią Francuską, zanim w latach siedemdziesiątych odzyskał niepodległość.

A teraz w pobliżu bazy Legii Cudzoziemskiej stała także ta amerykańska, w odpowiedniej odległości od Zatoki Perskiej i Afganistanu. I jeszcze te wszystkie tragedie w głębi Afryki, tuż za rogiem.

Większość obywateli Dżibuti nie bardzo się przejmowała ulokowaniem żołnierzy amerykańskich w ich kraju, byli zbyt zajęci próbą przeżycia kolejnego dnia.

Ale jeden z nich najwyraźniej zdążył przemyśleć obecność Amerykanów. A może był po prostu zbyt religijny jak na swój ziemski żywot.

W każdym razie chodził po centrum stolicy w oczekiwaniu na żołnierzy amerykańskich na przepustce. Podczas spaceru nerwowo dotykał sznurka, za który miał pociągnąć w odpowiednim momencie, tak żeby Amerykanie polecieli do piekła, a on wprost przeciwnie.

Ale było gorąco i duszno (o co łatwo w Dżibuti). Nie tylko dlatego, że bomba była przyklejona wzdłuż brzucha i pleców, ale także dlatego, że wymagała podwójnych szat, żeby ją ukryć. Zamachowiec prawie gotował się z gorąca i w końcu przez pomyłkę trochę za bardzo pociągnął za sznurek.

Tym samym zamienił w kawałki siebie i nieszczęśnika, który stał obok. Trzej inni mieszkańcy Dżibuti zmarli od ran, a kilkudziesięciu zostało rannych.

Nikt z nich nie był Amerykaninem. A ten, który stał najbliżej, wydawał się Europejczykiem. Policja znalazła mianowicie portfel w zadziwiająco dobrym stanie obok resztek jego właściciela. W portfelu było osiemset koron szwedzkich, a także paszport i prawo jazdy.

Szwedzki konsul honorowy w Dżibuti następnego dnia został poinformowany przez burmistrza miasta, że wszystko wskazuje na to, że obywatel Szwecji Erik Bengt Bylund padł ofiarą zamachu szaleńca na targu rybnym.

Zwłok Bylunda niestety nie dało się przekazać, były zanadto rozczłonkowane. Skremowano je z należytym szacunkiem.

Konsulowi honorowemu przekazano natomiast portfel Bylunda, zawierający paszport i prawo jazdy (pieniądze zaś zniknęły przypadkiem podczas czynności administracyjnych). Burmistrz wyraził swój głęboki żal, że nie udało się uchronić obywatela szwedzkiego, ale czuje się zmuszony, aby zwrócić na coś uwagę, jeśli pan konsul nie ma nic przeciwko?

Otóż Bylund przebywał w Dżibuti bez ważnej wizy. Burmistrz nie zliczy, ile razy mówił o tym Francuzom i prezydentowi Guelleh. Jeśli Francuzi chcą transportować swoich legionistów

bezpośrednio do bazy, to ich sprawa. Ale gdy tylko jakiś legionista udaje się po cywilnemu do miasta Dżibuti („mojego miasta", jak się wyraził), trzeba najpierw załatwić ważne dokumenty. Burmistrz nawet przez sekundę nie wątpił w to, że Bylund był żołnierzem Legii Cudzoziemskiej, za dobrze znał ten schemat. Amerykanie załatwiali te kwestie bez zarzutu, natomiast Francuzi zachowywali się, jakby nadal byli w Somalii Francuskiej.

Konsul honorowy podziękował burmistrzowi za kondolencje i skłamał, że przy najbliższej okazji poruszy sprawę wiz z odpowiednim przedstawicielstwem francuskim.

* * *

Dla Arnisa Ikstensa, biednego operatora maszyny do kasacji samochodów na szrocie w południowym regionie Rygi, było to paskudne przeżycie. Gdy ostatni samochód w rzędzie został już doszczętnie zgnieciony, Arnis zauważył zwisającą z metalowej paczki ludzką rękę.

Oczywiście od razu zadzwonił na policję, a potem poszedł do domu, mimo że był środek dnia. Obraz martwej ręki jeszcze długo go prześladował. Na Boga, ten człowiek był chyba martwy, jeszcze zanim Arnis zgniótł samochód?

Komendant policji w Rydze osobiście poinformował ambasadora Szwecji, że szwedzki obywatel Henrik Mikael Hultén został znaleziony martwy w fordzie mustangu na szrotowisku w południowej części miasta.

To znaczy, wtedy jeszcze nie ustalono, że to on, ale zawartość portfela, który zmarły miał przy sobie, wskazywała na to.

* * *

O godzinie jedenastej piętnaście w czwartek 26 maja Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Sztokholmie otrzymało faks od konsula honorowego w Dżibuti, zawierający informację i dokumentację na temat zmarłego obywatela szwedzkiego. Osiem minut później przyszedł kolejny faks, z podobną informacją, ale tym razem wysłany przez ambasadę w Rydze.

Odpowiedzialny urzędnik ministerstwa od razu rozpoznał nazwiska i zdjęcia obydwu zmarłych mężczyzn, ponieważ nie tak dawno czytał o nich w „Expressen". Dziwne, pomyślał mężczyzna, że obaj wyjechali i zginęli z dala od Szwecji, bo według dziennika nic na to nie wskazywało. Ale to już problem policji i prokuratury. Urzędnik zeskanował oba faksy, a potem napisał maila z wszystkimi istotnymi informacjami o ofiarach. Wysłał maila między innymi do komendy policji w Eskilstunie. Tam inny urzędnik odebrał i przeczytał maila, uniósł brwi i przekazał go do prokuratora Ranelida.

Życie oskarżyciela Conny'ego Ranelida waliło się w gruzy. Przypadek stuletniego potrójnego mordercy miał być przecież tym przełomem w karierze zawodowej prokuratora, na który tak długo czekał i szczerze na niego zasługiwał.

Teraz okazało się, że ofiara numer jeden, która zmarła w Sörmlandii, zmarła ponownie trzy tygodnie później w Dżibuti, a ofiara numer dwa, która zmarła w Smålandii, następnie zrobiła to samo w Rydze.

Po kilkudziesięciu głębokich oddechach przy szeroko otwartym oknie biura mózg prokuratora Ranelida znów zaczął pracować. Muszę zadzwonić do Aronssona, pomyślał. Aronsson musi znaleźć ofiarę numer trzy. Badanie DNA musi wykazać związek między stulatkiem a trójką. Musi.

W przeciwnym razie Ranelid się ośmieszył.

* * *

Gdy komisarz Aronsson usłyszał głos prokuratora Ranelida w słuchawce, natychmiast zaczął mówić, że przed chwilą zlokalizował Allana Karlssona i go zaaresztował (nawet jeśli ten spędza czas aresztu w kuchni, przygotowując kawę z bułeczką dla Aronssona).

– Co do pozostałych osób, podejrzewam, że są gdzieś w pobliżu, ale myślę, że najlepiej będzie, jeśli najpierw wezwę posiłki...

Oskarżyciel Ranelid przerwał komisarzowi, opowiadając zrozpaczonym głosem o odnalezieniu ofiary numer jeden zmarłej w Dżibuti i ofiary numer dwa zmarłej w Rydze. Łańcuch poszlak powoli rozpadał się na kawałki.

– Dżibuti? – spytał komisarz Aronsson. – A gdzie to leży?

– Nie wiem – odpowiedział prokurator Ranelid – ale dopóki leży więcej niż dwadzieścia kilometrów od Åkers Styckebruk, niezmiernie osłabia to moje oskarżenie. Teraz musisz znaleźć ofiarę numer trzy, słyszysz, Göran? Musisz ją znaleźć!

W tym momencie obudzony Per-Gunnar Gerdin wyszedł na werandę. Uprzejmie, ale z dystansem skinął głową w kierunku komisarza Aronssona, który spojrzał w jego stronę.

– Myślę, że ofiara numer trzy właśnie znalazła mnie – powiedział.

ROZDZIAŁ 23
1968

Allan nie otrzymał żadnej wymagającej ciężkiej pracy posady w ambasadzie Indonezji w Paryżu. Nowa pani ambasador, Amanda Einstein, przydzieliła mu własny pokój z łóżkiem i oznajmiła, że Allan może robić, co mu się żywnie podoba.

– Ale byłoby miło, gdybyś mógł pomóc jako tłumacz, jeśli kiedyś sprawy tak źle się potoczą, że będę musiała spotkać się z osobami z innych krajów.

Allan odparł, że nie można wykluczyć, że sprawy tak źle się potoczą, biorąc pod uwagę charakter jej pracy. Pierwszy obcokrajowiec ma przyjść już następnego dnia, o ile Allan dobrze zrozumiał.

Amanda zaklęła, gdy przypomniała sobie, że musi się udać po akredytację do Pałacu Elizejskiego. Ceremonia nie była wprawdzie dłuższa niż dwie minuty, ale to dość czasu, a nawet za dużo jak dla kogoś, kto ma tendencję do gadania głupstw, a taką tendencję, jak jej się zdawało, miała.

Allan zgadzał się, że czasem z ust Amandy wypływały bzdury, ale na pewno wszystko pójdzie dobrze na spotkaniu z prezydentem de Gaulle'em, jeśli tylko nie zapomni mówić

jedynie po indonezyjsku przez te dwie minuty, a poza tym uśmiechać się i wyglądać przyjaźnie.

– Jak się ten język, mówisz, nazywa? – spytała Amanda.

– Indonezyjski – powiedział Allan. – A jeszcze lepiej balijski.

Następnie Allan udał się na spacer po stolicy Francji. Po pierwsze, uważał, że nie zaszkodzi rozprostować kości po piętnastu latach na leżaku, po drugie, właśnie się zobaczył w lustrze w ambasadzie i zauważył, że się nie strzygł i nie golił od wybuchu wulkanu w 1963 roku.

Jednak niemożliwe okazało się znalezienie otwartego salonu fryzjerskiego. Ani czegokolwiek otwartego. Wszystko było zabite deskami, zdawało się, że wszyscy strajkują, okupują domy, demonstrują, przewracają samochody, krzyczą i rzucają w siebie przedmiotami. Wznoszono barykady wzdłuż i wszerz ulicy, którą szedł Allan, kuląc się.

Przypominało mu to Bali, które właśnie opuścił. Tylko powietrze było nieco chłodniejsze. Allan przerwał swój spacer i zawrócił w stronę ambasady.

Tam spotkał wstrząśniętą panią ambasador. Właśnie zadzwonili z Pałacu Elizejskiego, mówiąc, że dwuminutowa ceremonia akredytacji zostanie zastąpiona obiadem, że serdecznie zapraszają panią ambasador wraz z mężem oraz oczywiście z tłumaczem, że prezydent de Gaulle zamierza przedstawić jej ministra spraw wewnętrznych Foucheta, obecny też będzie amerykański prezydent Lyndon B. Johnson.

Amanda była załamana. Dwie minuty z prezydentem pewnie by przeżyła, nie ryzykując z tego powodu nagłej relegacji, ale trzy godziny, w dodatku z jeszcze jednym prezydentem przy stole?

– Co się dzieje, Allan? Jak to możliwe? Co ja mam zrobić? – pytała Amanda.

Zmiana z uściśnięcia dłoni przez kilka minut na obiad z dwoma prezydentami – tego nawet Allan nie mógł pojąć. A próba pojęcia niepojętego nie leżała w jego naturze.

– Co zrobimy? Myślę, że znajdziemy Herberta i razem się napijemy. Przecież już popołudnie.

* * *

Ceremonia akredytacji z prezydentem de Gaulle'em z jednej strony a ambasadorem odległej i niegodnej uwagi nacji z drugiej zwykle trwała sześćdziesiąt sekund, ale dopuszczono wydłużenie tego czasu dwukrotnie, gdy dany dyplomata był bardzo gadatliwy.

To, że w przypadku pani ambasador Indonezji w pośpiechu zmieniono plany, miało istotne polityczne przyczyny, na które Allan Karlsson nigdy by nie wpadł, nawet gdyby zadał sobie trud, aby spróbować.

Rzecz się miała tak, że prezydent Lyndon B. Johnson siedział w ambasadzie amerykańskiej w Paryżu, oczekując na sukces polityczny. Protesty na całym świecie przeciw wojnie w Wietnamie przybrały siłę orkanu, a jej symbol, prezydent Johnson, nie był prawie nigdzie lubiany. Już dawno zrezygnował z planów na drugą kadencję, ale nie miałby nic przeciwko, gdyby zostawił po sobie inną opinię niż „morderca" i tym podobne epitety, skandowane teraz wszędzie. Dlatego najpierw kazał przerwać bombardowanie Hanoi, a potem zaproponował konferencję pokojową. A że teraz przypadkiem w mieście, w którym odbywa się konferencja, jest prawie wojna na ulicach, to według

prezydenta Johnsona niemal komiczne. Lecz to problem tego tam de Gaulle'a.

Prezydent Johnson uważał, że de Gaulle to sukinsyn, który wyraźnie zapomniał, kto zakasał rękawy, żeby uratować jego kraj przed Niemcami. Jednak etykieta polityczna wymagała, żeby prezydenci amerykański i francuski przebywający jednocześnie w tej samej stolicy zjedli razem obiad.

Tak więc został on umówiony i wkrótce trzeba się będzie pomęczyć. Na szczęście Francuz najwyraźniej coś pomieszał (Johnson nie był zaskoczony) i przypadkiem ustalił dwa spotkania w tym samym czasie. Dlatego nowy dyplomata ambasady indonezyjskiej też miał być przy stole – i to na dodatek kobieta! Prezydent Johnson uważał, że to wspaniale, bo będzie mógł rozmawiać z nią zamiast z tym tam de Gaulle'em.

Ustalenie dwóch spotkań w tym samym czasie wcale nie było przypadkowe. Prezydent de Gaulle osobiście i w ostatniej chwili wpadł na ten wspaniały pomysł, żeby wyglądało to na przypadek. W ten sposób obiad stanie się znośny, będzie przecież mógł rozmawiać z ambasadorem Indonezji – na dodatek kobietą! – zamiast z tym tam Johnsonem.

Prezydent de Gaulle nie lubił Johnsona, ale raczej ze względów historycznych niż osobistych. Stany Zjednoczone pod koniec wojny próbowały podporządkować sobie militarnie Francję – chcieli ukraść jego kraj! Czy de Gaulle mógłby to wybaczyć, mimo że obecny prezydent akurat nie miał z tym nic wspólnego? Obecny prezydent, zresztą... Johnson... nazywa się Johnson. Amerykanie po prostu nie mają klasy.

Uważał Charles André Joseph Marie de Gaulle.

* * *

Amanda i Herbert naradzili się i wkrótce uzgodnili, że najlepiej będzie, jak Herbert zostanie w ambasadzie podczas jej spotkania z prezydentami w Pałacu Elizejskim. Tym samym, uważali oboje, ryzyko, że wszystko się posypie, zostało zmniejszone dość dokładnie o połowę. Czy Allan też tak uważa?

Allan milczał przez chwilę, rozważał różne warianty odpowiedzi, aż w końcu powiedział:

– Zostań w domu, Herbercie.

* * *

Goście zebrali się na obiedzie i czekali na gospodarza, który siedział w swoim gabinecie, czekając nie wiadomo na co. Zamierzał siedzieć dalej przez kolejne kilka minut, licząc na to, że popsuje humor temu tam Johnsonowi.

W oddali de Gaulle mógł usłyszeć odgłos bójek i demonstracji pustoszących jego ukochany Paryż. Piąta Republika nagle zaczęła chwiać się w posadach. Najpierw paru studentów było za wolnym seksem i przeciw wojnie w Wietnamie i wyraziło swoje niezadowolenie. Do pewnego czasu wszystko było w porządku, przecież studenci zawsze na coś narzekali.

Ale demonstracje stawały się częstsze, coraz większe i bardziej agresywne, a potem odezwały się związki zawodowe i zagroziły strajkiem dziesięciu milionów robotników. Dziesięciu milionów! Cały kraj by się zatrzymał!

Robotnicy chcieli pracować mniej za wyższe pensje i zażądali dymisji de Gaulle'a. Trzy błędy na trzy możliwe, według

prezydenta, który walczył i wygrywał w gorszych bataliach niż ta. Doradcy z departamentu spraw wewnętrznych obserwowali sytuację i radzili prezydentowi, aby był nieugięty. Zdecydowanie nie chodziło o nic większego, na przykład próbę przejęcia kraju przez komunistów wspieranych przez Związek Radziecki. Na ten temat na pewno będzie spekulował przy kawie ten tam Johnson, jeśli tylko nadarzy się okazja. Amerykanie widzieli przecież komunistów czających się za każdym rogiem. Na wszelki wypadek de Gaulle zaprosił też ministra Foucheta i jego obeznanego w temacie urzędnika. To oni dwaj odpowiadali za opanowanie chaosu w kraju, więc mogą też odpowiadać, jak ten tam Johnson zacznie się robić wścibski.

– Ech, do diabła – powiedział prezydent de Gaulle i wstał z krzesła. – Dłużej nie da się odkładać tego obiadu.

Personel odpowiedzialny za bezpieczeństwo francuskiego prezydenta był szczególnie dokładny przy kontroli brodatego i długowłosego tłumacza indonezyjskiego ambasadora. Ale papiery miał w porządku i był wyraźnie nieuzbrojony. Poza tym zaręczył za niego ambasador – na dodatek kobieta! Tym samym także brodacz zajął miejsce przy stole, w sąsiedztwie wyraźnie młodszego i bardziej eleganckiego amerykańskiego tłumacza po jednej stronie i jego francuskiej kopii po drugiej.

Tłumaczem, który miał najwięcej roboty, był brodaty Indonezyjczyk. Prezydenci Johnson i de Gaulle obaj kierowali pytania do pani ambasador zamiast do siebie nawzajem.

Prezydent de Gaulle zaczął od zapytania o zawodową przeszłość pani ambasador. Amanda Einstein odpowiedziała, że właściwie to jest głupia, że przekupstwem zdobyła posadę gubernatora na Bali,

a potem tą samą drogą została na dwie kolejne kadencje, że dobrze ustawiła siebie i swoją rodzinę na wiele lat, zanim nowy prezydent Suharto zupełnie zaskoczył ją propozycją posady ambasadora w Paryżu.

– Nie wiedziałam nawet, gdzie leży Paryż, i myślałam, że to państwo, a nie miasto. Słyszeli panowie coś tak bzdurnego? – powiedziała Amanda Einstein i zaśmiała się.

Powiedziała wszystko w swoim języku ojczystym, a długowłosy i brodaty tłumacz przełożył na angielski. Jednocześnie Allan zadbał o to, aby zamieniać prawie wszystko, co powiedziała Amanda Einstein, na to, co – jak uważał – brzmiało lepiej.

Gdy obiad dobiegał końca, obaj prezydenci byli zgodni co do jednego, nie zdając sobie z tego sprawy. Uważali mianowicie, że pani ambasador Einstein jest zabawna, interesująca i mądra. Mogłaby tylko okazać lepszy gust w wyborze tłumacza, bo ten wygląda dosyć dziko.

* * *

Specjalny doradca ministra spraw wewnętrznych Foucheta, Claude Pennant, urodził się w 1928 roku w Strasburgu. Jego rodzice byli zapalonymi komunistami, którzy udali się do Hiszpanii, aby walczyć przeciw faszystom, gdy wybuchła wojna w 1936 roku. Wzięli ze sobą ośmioletniego syna, Claude'a.

Cała rodzina przeżyła wojnę i po wielu perturbacjach przedostała się do Związku Radzieckiego. W Moskwie rodzice zgłosili chęć służenia międzynarodowemu komunizmowi. Przedstawili też swojego jedenastoletniego już syna i poinformowali, że zna trzy języki: niemiecki i francuski z domu

w Alzacji, a teraz także hiszpański. Czy można to na dłuższą metę wykorzystać na rzecz rewolucji?

Owszem, można było. W szeregu testów na inteligencję dokładnie sprawdzono talent językowy młodego Claude'a, a także ogólną bystrość. Umieszczono go w szkole językowej poprawnej ideologicznie i zanim skończył piętnaście lat, mówił płynnie po francusku, niemiecku, rosyjsku, hiszpańsku, angielsku i chińsku.

W wieku lat osiemnastu, tuż przed końcem drugiej wojny światowej, Claude usłyszał, jak rodzice powątpiewają, dokąd zmierza rewolucja pod przewodnictwem Stalina. Doniósł o tym swoim przełożonym i wkrótce Michel i Monique Pennant zostali skazani i zgładzeni za działalność przeciw rewolucji. W związku z doniesieniem młody Claude dostał swoje pierwsze odznaczenie, złoty medal najlepszego ucznia w roku szkolnym 1945/46.

Po 1946 roku rozpoczęto przygotowanie Claude'a do pracy za granicą. Zamierzano wysłać go na Zachód, aby przedostał się do struktur władzy, jako uśpiony agent, na kilka dziesięcioleci, jeśli będzie trzeba. Claude był teraz pod ochroną jastrzębich skrzydeł marszałka Berii i trzymano go z daleka od wszelkich publicznych imprez, gdzie przypadkiem mógłby zostać uchwycony na jakimś zdjęciu. Jedyna praca, jaką mógł wykonywać młody Claude, to pojedyncze tłumaczenia, tylko kiedy sam marszałek był przy tym obecny.

W 1949 roku, w wieku dwudziestu jeden lat, Claude został przeniesiony do Francji, tym razem do Paryża. Mógł zachować swoje prawdziwe nazwisko, ale zmieniono mu życiorys. Od studiów na Sorbonie rozpoczął wspinaczkę po szczeblach kariery.

Dziewiętnaście lat później, w maju 1968 roku, znalazł się w bezpośrednim pobliżu prezydenta Francji. Już od kilku lat był prawą ręką ministra Foucheta i z tej pozycji służył międzynarodowej rewolucji bardziej niż kiedykolwiek. Radził ministrowi – a w rezultacie samemu prezydentowi – żeby nie ulegać buntowi studentów i robotników. Na wszelki wypadek zadbał także o to, aby francuscy komuniści wysyłali fałszywe sygnały, jakoby nie stali za żądaniami studentów i robotników. Komunistyczna rewolucja we Francji miała nastąpić najdalej za miesiąc, a de Gaulle i Fouchet niczego się nie spodziewali.

* * *

Po obiedzie wszyscy mogli rozprostować kości, zanim przejdą do salonu na kawę. Teraz prezydenci de Gaulle i Johnson nie mieli innego wyjścia, jak tylko zamienić parę grzecznościowych zwrotów. Właśnie tym byli zajęci, gdy nagle i niespodziewanie dołączył do nich brodaty, długowłosy tłumacz.

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam panom prezydentom, ale mam sprawę do pana prezydenta de Gaulle'a, która moim zdaniem nie może czekać.

Prezydent de Gaulle był o krok od przywołania ochrony, bo prezydent Francji nie zadaje się z byle kim, ale długowłosy i brodaty wyraził się poprawnie, więc prezydent powstrzymał się.

– No, to niech mówi, jak już musi, tu i teraz, byle szybko. Jak widzi, jestem zajęty kim innym niż tłumaczem.

Dobrze, Allan obiecał, że nie będzie przedłużał. Mówiąc krótko, Allan uważał, że prezydent powinien wiedzieć, że doradca ministra Foucheta jest szpiegiem.

– Przepraszam, ale co ty do cholery mówisz? – powiedział głośno prezydent de Gaulle, jednak nie na tyle głośno, aby mógł to usłyszeć Fouchet palący na tarasie w towarzystwie doradcy.

Allan mówił dalej, że prawie dwadzieścia lat temu miał wątpliwą przyjemność jeść kolację z panami Stalinem i Berią, i obecny doradca ministra spraw wewnętrznych z całą pewnością był wówczas tłumaczem Stalina.

– Wprawdzie, jak powiedziałem, było to dwadzieścia lat temu, ale się nie zmienił. Ja natomiast wyglądałem inaczej. Nie miałem w tym czasie ptasiego gniazda na twarzy, a włosy nie sterczały mi na wszystkie strony. Mówiąc krótko, ja rozpoznałem szpiega, ale szpieg nie rozpoznał mnie, bo sam niemal nie mogłem się rozpoznać, gdy wczoraj przejrzałem się w lustrze.

Prezydent de Gaulle był cały czerwony na twarzy, gdy przeprosił, aby bezzwłocznie zażądać rozmowy na osobności ze swoim ministrem spraw wewnętrznych („Nie, na osobności, powiedziałem, bez twojego doradcy! Teraz!”).

Prezydent Johnson i indonezyjski tłumacz zostali sami. Johnson wyglądał na bardzo zadowolonego. Zdecydował się uścisnąć tłumaczowi dłoń, pośrednio dziękując za to, że sprawił, iż francuski prezydent zrzucił wyniosłą maskę.

– Miło mi poznać – powiedział prezydent Johnson. – Jak się pan nazywa?

– Allan Karlsson – odparł Allan. – Kiedyś znałem poprzednika poprzednika pańskiego poprzednika, prezydenta Trumana.

– No proszę! – wykrzyknął prezydent Johnson. – Harry wkrótce skończy dziewięćdziesiąt lat, ale żyje i ma się dobrze. Jesteśmy bliskimi przyjaciółmi.

– Proszę go ode mnie pozdrowić – powiedział Allan i przeprosił, aby poszukać Amandy (chciał jej powiedzieć, co takiego mówiła prezydentom przy stole).

* * *

Obiad z prezydentami dobiegł końca i wszyscy powrócili do swoich zajęć. Allan i Amanda ledwo zdążyli wrócić do ambasady, gdy zadzwonił sam prezydent Johnson i zaprosił Allana na kolację w ambasadzie amerykańskiej o ósmej tego samego wieczoru.

– Z chęcią – powiedział Allan. – I tak zamierzałem najeść się wieczorem, bo bez względu na to, co się mówi o francuskim jedzeniu, szybko się ono kończy na talerzu i trudno się nim nasycić.

To spostrzeżenie przypadło do gustu prezydentowi Johnsonowi, który w dobrym nastroju nie mógł się doczekać wieczoru.

Były co najmniej trzy dobre powody, aby zaprosić Allana Karlssona na kolację. Po pierwsze, chciał usłyszeć więcej o tym całym szpiegu i spotkaniu Karlssona z Berią i Stalinem. Po drugie, Harry Truman właśnie telefonicznie opowiedział mu, co Allan zrobił w Los Alamos w 1945 roku. Już choćby za to należała mu się kolacja.

A po trzecie, prezydent Johnson był bardzo zadowolony z rozwoju sytuacji w Pałacu Elizejskim. To Allanowi Karlssonowi zawdzięczał, że z bliska mógł się delektować widokiem zbaraniałego tego tam de Gaulle'a.

* * *

– Zapraszam, panie Karlsson – powitał go prezydent Johnson, ściskając jego dłoń. – Przedstawiam panu pana Ryana Huttona, który jest... jest trochę tajny w ambasadzie, że tak powiem. Doradca prawny, tak jest nazywany.

Allan przywitał się z tajnym doradcą i cała trójka przeszła do stołu. Prezydent Johnson zarządził, że do kolacji będą pili piwo i sznaps, bo francuskie wino przypomina mu Francuzów, a wieczór miał być radosny.

Do przystawki Allan opowiedział swoją historię, aż do kolacji na Kremlu, tej, która przybrała zły obrót. To przecież wtedy przyszły doradca ministra Foucheta zemdlał, zamiast przetłumaczyć ostatnią zniewagę Allana rozwścieczonemu Stalinowi.

Prezydent Johnson przestał uważać za zabawny fakt, że Claude Pennant okazał się radzieckim szpiegiem w pobliżu francuskiego prezydenta, kiedy Ryan Hutton poinformował go, że monsieur Pennant w całkowitej tajemnicy był także informatorem CIA. Prawda była taka, że Pennant do tej pory był głównym źródłem informacji CIA w kwestii zagrożenia rewolucją komunistyczną infiltrowanej przez komunistów Francji. Teraz wszystkie te informacje trzeba było podać w wątpliwość.

– Była to oczywiście informacja tajna i nieoficjalna – powiedział prezydent Johnson – ale rozumiem, że potrafi pan dochować tajemnicy?

– Tego nie można być pewnym – odrzekł Allan i opowiedział, jak to podczas podróży łodzią podwodną przez Bałtyk pił na wyścigi z wyjątkowo sympatycznym mężczyzną, zresztą jednym z najlepszych fizyków jądrowych Związku Radzieckiego, Julijem

Borysowiczem Popowem, i w tym szybkim tempie zdradził trochę za dużo nuklearnych szczegółów.

– Powiedział pan Stalinowi, jak zbudować bombę? – zapytał prezydent Johnson. – Myślałem, że trafił pan do obozu za to, że pan odmówił.

– Nie Stalinowi. I tak by nie zrozumiał. Ale dzień wcześniej w towarzystwie fizyka byłem bardziej gadatliwy, niż powinienem. Takie rzeczy się zdarzają, gdy poleje się za dużo wódki, panie prezydencie. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak kiepsko się sprawy mają ze Stalinem, o czym przekonałem się następnego dnia.

Prezydent Johnson przeczesał palcami włosy i pomyślał, że zdradzenie tajemnicy budowy bomby atomowej nie zdarza się tak po prostu, bez względu na ilość wypitego alkoholu. Allan Karlsson był więc... był więc... zdrajcą? Chociaż... nie był przecież obywatelem Stanów Zjednoczonych, więc jak to jest? Prezydent Johnson potrzebował czasu do namysłu.

– Co było potem? – spytał z braku innego pytania.

Allan pomyślał, że lepiej nie szczędzić detali, skoro pyta go prezydent. Opowiedział więc o Władywostoku, marszałku Mierieckowie, Kim Ir Senie, Kim Dzong Ilu, szczęśliwej śmierci Stalina, Mao Zedongu, o całej masie dolarów, w które Mao uprzejmie go zaopatrzył, o spokojnym życiu na Bali i nie aż tak spokojnym życiu na Bali, w końcu o podróży do Paryża.

– To chyba wszystko – stwierdził Allan. – Ależ mi zaschło w gardle od gadania.

Prezydent poprosił o więcej piwa, ale dodał poirytowany, że ten, kto w stanie nietrzeźwym rozpowiada tajemnice nuklearne,

powinien przemyśleć kwestię zostania abstynentem. Potem przeanalizował w myślach niesamowitą historię Karlssona i powiedział:

– Spędził pan piętnaście lat wakacji za pieniądze od Mao Zedonga?

– Tak. Albo... no nie. Właściwie były to pieniądze Czang Kajszeka, które ten dostał od naszego wspólnego przyjaciela Harry'ego Trumana. Kiedy tak rozmawiamy, panie prezydencie, to sobie myślę, że może powinienem zadzwonić i podziękować Harry'emu.

Prezydent Johnson miał ogromne trudności z przetrawieniem informacji o tym, że brodaty i długowłosy mężczyzna siedzący naprzeciwko podarował Stalinowi bombę. I że hulał za amerykańskie pieniądze. Na domiar złego można było usłyszeć, jak demonstranci skandowali pod ambasadą: „U-S-A won z Wietnamu! U-S-A won z Wietnamu!". Johnson milczał i wyglądał na przygnębionego.

W tym czasie Allan wypił do końca zawartość szklanki, studiując twarz zmartwionego amerykańskiego prezydenta.

– Czy mógłbym w czymś pomóc? – zapytał.

– Że co? – odparł prezydent wyrwany z własnych myśli.

– Czy mógłbym w czymś pomóc? – powtórzył Allan. – Pan prezydent wygląda na przygnębionego. Może potrzebuje pan pomocy?

Prezydent Johnson był bliski poproszenia Allana, żeby wygrał za niego wojnę w Wietnamie, ale wrócił do rzeczywistości i zobaczył przed sobą mężczyznę, który podarował Stalinowi bombę.

– Tak, mógłby mi pan w czymś pomóc – powiedział prezydent Johnson zmęczonym głosem. – Mógłby pan sobie stąd iść.

* * *

Allan podziękował za kolację i wyszedł. Przy stole został prezydent Johnson i dyrektor europejskiego oddziału CIA, Ryan Hutton.

Lyndon B. Johnson był zmartwiony tym, jak się potoczyła wizyta Allana Karlssona. Najpierw taki miły początek... a potem Karlsson przyznał, że podarował bombę nie tylko Stanom Zjednoczonym, ale także Stalinowi. Stalinowi! Komuniście nad komunistami!

– Słuchaj, Hutton – powiedział prezydent Johnson. – Co zrobimy? Zgarniemy tego przeklętego Karlssona i wrzucimy na rozgrzany olej?

– Tak – odrzekł Hutton. – Albo to... albo trochę go wykorzystamy.

Ryan Hutton był nie tylko tajny, był też oczytany, jeśli chodzi o większość tego, co miało znaczenie polityczno-strategiczne z perspektywy CIA. Na przykład wiedział bardzo dobrze o istnieniu fizyka, z którym Allan Karlsson w tak przyjemnych okolicznościach płynął łodzią podwodną ze Szwecji do Leningradu. Julij Borysowicz Popow robił karierę od 1949 roku. Być może pierwszy awans zawdzięczał informacjom, które dostarczył Allan Karlsson, bardzo prawdopodobne, że tak właśnie było. Teraz Popow miał sześćdziesiąt trzy lata i był dyrektorem technicznym arsenału atomowego Związku Radzieckiego. Tym samym był

w posiadaniu tak cennej dla Stanów Zjednoczonych wiedzy, że niemal nie dało się jej wycenić.

Gdyby Stany Zjednoczone mogły się dowiedzieć tego, co wiedział Popow, i potwierdzić, że Zachód ma przewagę nuklearną nad Wschodem, wtedy prezydent Johnson mógłby przejąć inicjatywę obustronnej demilitaryzacji. A droga do wyżej wymienionej wiedzy prowadziła przez… Allana Karlssona.

– Chcesz, żeby Karlsson został amerykańskim agentem? – spytał prezydent Johnson, konstatując, że odrobina demobilizacji być może poprawiłaby pamięć o nim, z wojną w Wietnamie czy bez niej.

– Dokładnie – odparł Hutton.

– A dlaczego Karlsson miałby się na to zgodzić?

– No cóż... dlatego że... wydaje się, że jest takim typem. Przecież siedział tu przed chwilą, oferując panu prezydentowi swoją pomoc.

– Tak – powiedział prezydent Johnson. – Rzeczywiście oferował.

Prezydent zamilkł na dłuższą chwilę. Potem rzekł:

– Myślę, że potrzebny mi grog.

* * *

Początkowe twarde nastawienie francuskiego rządu do niezadowolenia ludu doprowadziło do zastoju w kraju. Miliony Francuzów strajkowały. Port w Marsylii zamknięto, podobnie jak międzynarodowe lotniska, sieć kolejową i nieskończoną liczbę domów towarowych.

Przestano dystrybuować paliwa i wstrzymano prace sanitarne. Żądania nadchodziły ze wszystkich stron. Żądania wyższych

pensji, oczywiście. I pewniejszych form zatrudnienia. I większych wpływów.

Na dodatek żądano nowych instytucji oświatowych. I nowego porządku! Piąta Republika była zagrożona.

Setki tysięcy Francuzów demonstrowały i nie zawsze odbywało się to pokojowo. Samochody płonęły, waliły się drzewa, rozkopywano ulice, budowano barykady... byli żandarmi, gaz łzawiący i tarcze.

To wtedy francuski prezydent, premier i jego rząd postanowili wszystko zmienić. Doradca ministra spraw wewnętrznych Foucheta nie miał już żadnego wpływu (został zresztą w tajemnicy aresztowany, siedział w budynku służb bezpieczeństwa i nie potrafił się wytłumaczyć z tego, że ma odbiornik radiowy zainstalowany w wadze łazienkowej). Biorącym udział w strajku generalnym robotnikom nagle zaoferowano porządną podwyżkę płac minimalnych, ogólną podwyżkę pensji o dziesięć procent, o dwie godziny krótszy tydzień pracy, zwiększony zasiłek rodzinny, większą władzę związków zawodowych, negocjacje w sprawie powszechnych zbiorowych układów pracy i wskaźników płac. Kilku ministrów musiało odejść z rządu, między innymi minister spraw wewnętrznych Christian Fouchet.

Szeregiem podjętych kroków rząd i prezydent uspokoili najbardziej rewolucyjne nastroje. Robotnicy wrócili do pracy, okupacja się skończyła, otworzono sklepy, komunikacja znów zaczęła funkcjonować. Maj 1968 roku przeszedł w czerwiec. I Piątej Republiki nie obalono.

Prezydent Charles de Gaulle osobiście zadzwonił do indonezyjskiej ambasady w Paryżu, poszukując Allana Karlssona, aby odznaczyć go medalem. Ale w ambasadzie poinformowano go, że Allan Karlsson już tu nie pracuje i nikt, z panią ambasador włącznie, nie potrafił powiedzieć, dokąd wyjechał.

ROZDZIAŁ 24

Czwartek, 26 maja 2005

Teraz prokuratorowi chodziło o uratowanie tego, co się da, ze swojej kariery i honoru. Zgodnie z teorią, że „Lepiej kogoś ubiec, nim ktoś ubiegnie ciebie", zwołał konferencję prasową tego samego popołudnia, aby poinformować, że właśnie odwołał decyzję o aresztowaniu trzech mężczyzn i kobiety w związku ze sprawą zaginionego stulatka.

Oskarżyciel Ranelid był dobry w wielu rzeczach, ale nie w przyznawaniu się do własnych niedociągnięć i pomyłek. Dlatego pospiesznie zwołana konferencja prasowa była, jaka była. Prokurator plątał się w wywodach, jakoby na Allanie Karlssonie i jego przyjaciołach nie ciążyła już decyzja o aresztowaniu (znaleziono ich zresztą tego samego przedpołudnia w Västergötlandii), ale prawdopodobnie i tak byli winni. Jedyny nowy aspekt sprawy dotyczył tego, że dowody zmieniły charakter na tak łagodny, że aresztowanie nie jest konieczne.

Przedstawiciele mediów chcieli oczywiście wiedzieć, w jaki sposób dowody zmieniły charakter, i prokurator Ranelid w szczegółach przedstawił informację z MSZ-etu na temat losów Bylunda i Hulténa w Dżibuti i Rydze. Zakończył czymś w stylu,

że prawo niekiedy wymaga wstrzymania decyzji o aresztowaniu, jakkolwiek skandaliczne się to może wydawać.

Prokurator Ranelid czuł, że nie poszło tak dobrze, jak planował. I wkrótce się o tym przekonał, gdy przedstawiciel dziennika „Dagens Nyheter" spojrzał znad swoich okularów i zaczął monolog, zawierający szereg niewygodnych dla oskarżyciela pytań.

– Czy dobrze zrozumiałem, że mimo nowych okoliczności ciągle pan uważa, że Allan Karlsson jest winny zabójstwa? Czy w takim razie ma pan na myśli, że Allan Karlsson, jak wiemy, stuletni, zmusił trzydziestodwuletniego Bengta Bylunda, aby pojechał z nim do Dżibuti, a tam nie dalej jak wczoraj po południu wysadził go w powietrze, po czym pospiesznie udał się do Västergötlandii, gdzie – według tego, co pan właśnie nam tu powiedział – znaleziono go dzisiaj przed południem? Pomijając całą resztę, czy może pan w takim razie powiedzieć, jakiego środku transportu Karlsson użył, skoro – o ile mi wiadomo – nie ma bezpośrednich połączeń lotniczych między Dżibuti a równiną Västgöta i biorąc pod uwagę fakt, że Allan Karlsson – z tego, co podano – nie ma ważnego paszportu?

Prokurator Ranelid wziął głęboki oddech i odrzekł, że od początku źle go zrozumiano. Nie ma żadnych wątpliwości, że Allan Karlsson, Julius Jonsson, Benny Ljungberg i Gunilla Björklund są niewinni, jeśli chodzi o wszystko, o co ich oskarżano.

– Żadnych wątpliwości, jak już powiedziałem – powtórzył Ranelid, kapitulując.

Ale tym przeklętym dziennikarzom to nie wystarczyło.

– Wcześniej opisał pan dość szczegółowo chronologię i miejsce trzech domniemanych zabójstw. Skoro podejrzani nagle są niewinni, jak wygląda aktualna wersja przebiegu wydarzeń? – dopytywała się reporterka z „Eskilstuna-Kuriren”.

Prokurator Ranelid wprawdzie już odsłonił gardło, ale tego było za wiele. Jakaś dziennikarka gazety lokalnej nie będzie sobie myśleć, że może musztrować prokuratora Conny’ego Ranelida.

– Dla dobra śledztwa w tej chwili nie mogę udzielić więcej informacji – odgryzł się Ranelid i wstał.

„Dobro śledztwa” już nieraz ratowało prokuratora z opresji, ale tym razem się nie udało. Oskarżyciel przez wiele tygodni głośno podawał powody, dla których czwórka została oskarżona, więc teraz według prasy byłoby na miejscu, gdyby poświęcił choć kilka minut na wyjaśnienie ich niewinności. Albo, jak to wyraził wszystkowiedzący z „Dagens Nyheter”:

– Jak może zaszkodzić śledztwu wyjawienie, co robiła grupa niewinnych osób?

Prokurator Ranelid balansował na skraju przepaści. Prawie wszystko wskazywało na to, że polegnie, od razu albo za kilka dni. Ale miał małą przewagę nad dziennikarzami. Ranelid wiedział, gdzie Allan Karlsson i reszta się znajduje. Västergötlandia jest przecież duża. Wóz albo przewóz. I prokurator Ranelid powiedział:

– Gdybyście mi tylko dali skończyć zdanie! Dla dobra śledztwa nie mogę w tej chwili powiedzieć więcej. Ale jutro o piętnastej zero zero odbędzie się konferencja prasowa w tym miejscu i wtedy zamierzam odpowiedzieć na wszystkie pytania.

– Gdzie dokładnie w Västergötlandii znajduje się obecnie Allan Karlsson? – pytał dziennikarz „Svenska Dagbladet”.

– Tego nie powiem – odrzekł oskarżyciel Ranelid i opuścił salę.

* * *

Jak to się mogło stać? Prokurator Ranelid siedział zamknięty w swoim pokoju i palił pierwszego papierosa od siedmiu lat. Miał przecież przejść do szwedzkiej historii kryminalistyki jako pierwszy oskarżyciel zabójcy wielu ofiar, których ciał nie odnaleziono. A tu nagle odnalazły się ciała wszystkich ofiar. W zupełnie niewłaściwym miejscu! Poza tym ofiara numer trzy żyła, ta, która była najbardziej martwa ze wszystkich. Pomyśleć tylko, ile szkody ta trójka wyrządziła Ranelidowi.

– Właściwie to powinno się zabić to ścierwo za karę – mruczał pod nosem prokurator.

Chociaż teraz miał na głowie ratowanie kariery i honoru, więc morderstwo nie byłoby najlepszym rozwiązaniem. Oskarżyciel podsumował katastrofalną konferencję prasową. Na koniec powiedział bardzo wyraźnie, że Karlsson i jego kompani są niewinni. A wszystko to dlatego, że tak naprawdę... nie wiedział. Co na Boga się wydarzyło? Bolec Bylund musiał przecież umrzeć na tej drezynie. Więc jak, do cholery, mógł umrzeć ponownie kilka tygodni później cały kontynent stąd?

Prokurator Ranelid przeklinał sam siebie, że tak szybko spotkał się z prasą. Najpierw trzeba było zgarnąć Allana Karlssona i jego pomocników i wszystko wyjaśnić, a dopiero potem przyjąć stanowisko wobec tego, co media powinny wiedzieć, a bez czego mogły się obejść.

W tej sytuacji – po kategorycznej wypowiedzi o niewinności Karlssona i reszty – przesłuchiwanie ich „dla uzyskania wyjaśnień” zostałoby odczytane jako prześladowanie. Mimo to Ranelid nie miał wyboru. Musi się dowiedzieć... i to na czas, przed piętnastą następnego dnia. W przeciwnym razie nie będzie w oczach kolegów prokuratorem, tylko klaunem.

* * *

Komisarz Aronsson był w doskonałym humorze, siedząc w hamaku w Klockaregård, pijąc kawę i jedząc bułeczkę. Polowanie na zaginionego stulatka się skończyło, poza tym ten sympatyczny starszy pan nie był już aresztantem. Dlaczego dziadek wyszedł przez okno niecały miesiąc temu i co się potem wydarzyło, pozostawało oczywiście do wyjaśnienia, o ile odgrywało to jeszcze jakąś rolę. W każdym razie nie spieszyło się chyba aż tak bardzo, żeby nie można było najpierw trochę sobie pogadać?

Przejechany na śmierć i zmartwychwstały Per-Gunnar „Szef” Gerdin też okazał się bardzo równym gościem. Od razu zaproponował, żeby odłożyć na bok tytuły, on sam w takim wypadku woli, aby go nazywać Gawronem.

– Nie ma sprawy, Gawron – powiedział komisarz Aronsson. – Ja mam na imię Göran.

– Gawron i Göran – rzekł Allan. – Dobrze brzmi, może powinniście robić razem interesy?

Gawron powiedział, że nie wie, czy ma odpowiedni stosunek do podatków i tego typu rzeczy, żeby mieć firmę razem z komisarzem, ale dziękuje Allanowi za radę.

Nastrój zrobił się więc z miejsca dobry. I nie zmienił się na gorsze, gdy dołączyli Benny i Ślicznotka, a potem Julius i Bosse.

Rozmawiano na werandzie o wszystkim, poza jednym – w jaki sposób zdarzenia z ostatniego miesiąca są ze sobą powiązane. Allan zrobił wrażenie, nagle wyprowadzając zza rogu słonia i prezentując przez chwilę popis taneczny. Julius był bardzo zadowolony, że nie został aresztowany, i zaczął obcinać brodę, którą był zmuszony wyhodować, żeby móc się pokazać w Falköping.

– Pomyślcie, całe życie byłem winny, a tu nagle jestem niewinny! – powiedział Julius. – Niesamowicie przyjemne uczucie!

To według Bossego był wystarczający powód, aby przynieść butelkę węgierskiego szampana, żeby przyjaciele mogli wraz z komisarzem wznieść toast. Komisarz słabo protestował, mówiąc, że zaparkował samochód na podwórku. Miał zarezerwowany pokój w hotelu w Falköping, nie może przecież jako komisarz policji prowadzić na gazie, wracając tam na noc.

Wtedy wtrącił się Benny, mówiąc, że abstynenci – zdaniem Allana – są zagrożeniem światowego pokoju, ale dobrze ich mieć pod ręką, gdy potrzeba kogoś podwieźć.

– Niech się komisarz napije kieliszek szampana, a ja już zadbam o to, żeby w swoim czasie dotarł pan do hotelu jak należy.

Dłużej nie trzeba było komisarza namawiać. Już od dawna cierpiał na silny brak życia towarzyskiego, a skoro teraz trafił w tak przyjemne towarzystwo, nie może przecież siedzieć i marudzić.

– No, mały toaścik za waszą niewinność, chyba władza może się do tego przychylić – powiedział. – A może i dwa, jak będzie trzeba,

przecież sporo was tu...

Upłynęło kilka godzin w ogólnej wesołości, zanim telefon komisarza Aronssona zadzwonił ponownie. To znów prokurator Ranelid. Powiedział Aronssonowi, że z powodu nieszczęśliwych okoliczności właśnie ogłosił w obliczu prasy niewinnymi trzech mężczyzn i kobietę w niemal nieodwołalny sposób. Poza tym w ciągu mniej niż doby musi wiedzieć, co de facto wydarzyło się między dniem obecnym a dniem, kiedy staruch Karlsson wylazł przez okno, bo tego oczekuje od niego prasa jutro o piętnastej.

– Czyli innymi słowy siedzisz w niezłym gównie – powiedział lekko podchmielony komisarz.

– Musisz mi pomóc, Göran! – błagał prokurator Ranelid.

– W czym? Zmienić czysto geograficzne położenie zwłok? Albo zabić ludzi, którzy mieli czelność nie być martwymi, jak byś sobie życzył?

Prokurator Ranelid przyznał, że pomyślał już o tym, ale to raczej nie najlepsze wyjście. Nie, teraz miał nadzieję, że Göran ostrożnie zapyta Allana Karlssona i jego... pomocników... czy może Ranelid mógłby sam wpaść następnego przedpołudnia na małą – zupełnie nieformalną! – rozmowę o tym i owym... to znaczy o tym, co się ostatnio działo w lasach Sörmlandii i Smålandii. Na dodatek Ranelid obiecał przeprosić całą niewinną czwórkę w imieniu policji sörmlandzkiej.

– Policji sörmlandzkiej? – zapytał komisarz Aronsson.

– Tak... albo... raczej w moim imieniu – powiedział prokurator Ranelid.

– No dobrze. Odpręż się chwilę, Conny. Zobaczę, co się da zrobić. Oddzwonię za parę minut.

Komisarz Aronsson odłożył słuchawkę i zaczął od wesołej nowiny, że prokurator Ranelid właśnie poprowadził konferencję prasową, na której podkreślił, jak bardzo Allan Karlsson i jego przyjaciele są niewinni. Przedłożył też prośbę prokuratora o zaproszenie go na rozmowę następnego przedpołudnia.

Ślicznotka zareagowała ożywionym wywodem na temat, dlaczego opisanie w szczegółach wydarzeń ostatnich tygodni samemu prokuratorowi nie może prowadzić do niczego dobrego. Julius zgodził się z nią. Jest się uznanym za niewinnego, to się jest.

– A nie jestem do tego przyzwyczajony. Dlatego byłoby bardzo szkoda, gdyby moja niewinność trwała krócej niż dobę.

Lecz Allan powiedział, żeby przyjaciele przestali się martwić byle czym. Gazety i telewizja na pewno nie zostawią ich w spokoju, dopóki nie usłyszą historii. Lepiej więc opowiedzieć ją jednemu prokuratorowi, niż mieć w ogrodzie dziennikarzy przez wiele kolejnych tygodni.

– Poza tym mamy cały wieczór na wymyślenie, co powiemy – stwierdził Allan.

Tego ostatniego komisarz Aronsson wolałby nie usłyszeć. Wstał, aby zaznaczyć swoją obecność i przeszkodzić im w powiedzeniu czegoś, bez czego jego uszy mogły się obejść. Powiedział, że chętnie zakończy na tym dzień, jeśli oni nie mają nic przeciwko. Gdyby Benny zechciał być tak uprzejmy i odwieźć go do hotelu, to Aronsson będzie mu wdzięczny. Po drodze Aronsson zamierzał zadzwonić do prokuratora Ranelida i przekazać, że jest on zaproszony na dziesiątą następnego dnia, o ile dobrze zrozumiał. Sam w każdym razie zamierzał przyjechać tu taksówką, żeby

odebrać swój samochód. Czy mógłby dostać jeszcze pół kieliszka tego wyszukanego bułgarskiego szampana, zanim wyruszą? Aha, węgierskiego? W sumie wszystko jedno tak naprawdę.

Komisarzowi Aronssonowi podano jeszcze jeden kieliszek, pełen po brzegi, który wychylił w pośpiechu, a potem podrapał się po nosie i usiadł na fotelu pasażera we własnym samochodzie, podstawionym już przez Benny'ego. Potem zadeklamował przez opuszczoną szybę:

Ach, gdybyśmy mieli dobrych przyjaciół,
i węgierskie wino w nasze gardła...

– Carl Michael Bellman – pokiwał głową „prawie literaturoznawca" Benny.

– Jan 8,7, nie zapomnij jutro rano, komisarzu! – odkrzyknął Bosse w nagłym olśnieniu. – Jan 8,7!

ROZDZIAŁ 25

Piątek, 27 maja 2005

Odcinka Eskilstuna–Falköping nie przejeżdża się w kwadrans. Prokurator Conny Ranelid był zmuszony wstać o świcie (po źle przespanej nocy), żeby zdążyć na dziesiątą do Klockaregård. Spotkanie może potrwać najwyżej godzinę, w przeciwnym razie nie zdąży na czas. Konferencja prasowa zaczynała się przecież o piętnastej.

Conny Ranelid był prawie bliski płaczu, siedząc za kierownicą i jadąc E20 koło Örebro. *Wielkie zwycięstwo sprawiedliwości*, taki tytuł miała nosić jego książka. Phi! Jeśli panowałaby jakaś sprawiedliwość, piorun powinien teraz strzelić w tę przeklętą zagrodę, a wszyscy w środku powinni spłonąć. Wtedy prokurator Ranelid wymyśliłby, co powiedzieć dziennikarzom.

Komisarz Aronsson wyspał się porządnie w hotelu miejskim w Falköping, czego potrzebował. Obudził się około dziewiątej, z pewną dozą skruchy wspominając wydarzenia poprzedniego wieczoru. Siedział i pił szampana z potencjalnymi delikwentami i słyszał wyraźnie, jak Allan Karlsson powiedział, że wymyślą wersję dla prokuratora Ranelida. Czyżby Aronsson był bliski stania się współwinnym? Czego, w takim razie?

Gdy komisarz dotarł do hotelu poprzedniego wieczoru, otworzył – zgodnie z zaleceniem Bossego Ljungberga – Biblię, którą gedeonici tak słusznie umieścili w jednej z szuflad hotelowego biurka, na rozdziale Jan 8,7. Czytał Biblię kilka godzin, siedząc w rogu hotelowego baru, w towarzystwie szklanki dżinu z tonikiem, a potem jeszcze jednej szklanki dżinu z tonikiem i jeszcze jednej szklanki dżinu z tonikiem.

Rozdział ten opowiadał o kobiecie, która dopuściła się cudzołóstwa i którą faryzeusze przyprowadzili do Jezusa, aby rozstrzygnął dylemat. Jeśli kobieta według Jezusa nie powinna zostać ukamienowana za swój występek, wtedy Jezus sprzeciwi się Prawu Mojżesza. Jeśli natomiast Jezus stanie w tej kwestii po stronie Mojżesza, wtedy sprzeciwi się Rzymianom, którzy mieli wyłączność na karanie śmiercią. Czy Jezus sprzeciwi się Mojżeszowi czy Rzymianom? Faryzeusze sądzili, że zapędzili Mistrza w kozi róg. Ale Jezus to Jezus i po krótkim namyśle powiedział: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień”[3].

Jezus tym samym uniknął polemiki z Mojżeszem oraz z Rzymianami, a także z faryzeuszami. Sprawa była rozstrzygnięta. Faryzeusze rozeszli się jeden po drugim (mężczyźni ani trochę nie są wolni od grzechu). W końcu został tylko Jezus i kobieta: „Wówczas Jezus, podniósłszy się, rzekł do niej: «Kobieto, gdzież oni są? Nikt cię nie potępił?». A ona odrzekła: «Nikt, Panie». Rzekł do niej Jezus: «Ja ciebie nie potępiam. Idź, a od tej chwili już nie grzesz!»”[4].

Komisarz zachował swój policyjny węch i czuł, że tu i ówdzie jest pies pogrzebany. Ale Karlsson i Jonsson, Ljungberg i Ljungberg,

Björklund i Gerdin zostali wczoraj uznani za niewinnych przez lalusia Ranelida, więc kim jest Aronsson, żeby nazywać ich delikwentami? Poza tym chodziło o całkiem sympatyczną grupę osób i – jak Jezus słusznie zauważył – kto może pierwszy rzucić kamień? Aronsson wspomniał kilka ciemniejszych momentów z własnego życia, ale przede wszystkim denerwował się na prokuratora Ranelida, który chciał pozbawić życia przesympatycznego Gawrona Gerdina tylko dlatego, że służyłoby to jego celom.

– Nie, do cholery, sam sobie to rozwikłuj, Ranelid – powiedział komisarz Göran Aronsson i zjechał windą na hotelowe śniadanie.

Płatki, grzanki i jajka zostały przetrawione wraz z wiadomościami „Dagens Nyheter” i „Svenska Dagbladet”. W obu gazetach sugerowano ostrożnie fiasko prokuratury w przypadku zaginionego, a także podejrzanego o morderstwo i w końcu uniewinnionego stulatka. Jednak dzienniki musiały przyznać, że o sprawie wiedziano za mało. Samego stulatka nie dało się odszukać, a prokurator nie chciał powiedzieć więcej przed piątkowym popołudniem.

– Jak już powiedziałem. Sam to sobie rozwikłaj, Ranelid – powtórzył Aronsson.

Komisarz zamówił taksówkę do Klockaregård, gdzie dotarł o dziewiątej pięćdziesiąt jeden, dokładnie trzy minuty przed prokuratorem.

Nie zachodziło najmniejsze ryzyko uderzenia pioruna nad Klockaregård, na które tak bardzo liczył prokurator Ranelid. Ale było pochmurno i chłodno. Dlatego grupa zebrała się w przestronnej kuchni.

Poprzedniego wieczoru dogadano się co do wersji, którą wcisną prokuratorowi Ranelidowi, i na wszelki wypadek powtórzono ją przy śniadaniu. Wszystkie role miały być gotowe na przedpołudniowy spektakl, z zastrzeżeniem, że prawdę zawsze łatwiej zapamiętać niż, jak w tym przypadku, jej przeciwieństwo. Bo ten, kto kiepsko kłamie, może kiepsko skończyć, więc teraz trzeba będzie ostrożnie dobierać słowa. Oczywiście wszystkie metody rozpraszania prokuratora Ranelida są dozwolone.

– No, to kurewsko chujowo, że ja pierdolę – podsumowała ogólne napięcie Ślicznotka, zanim wpuszczono do kuchni komisarza Aronssona i prokuratora Ranelida.

Spotkanie z prokuratorem Connym Ranelidem dla jednych było zabawne, dla innych nie. Oto jak przebiegało:

– Chciałbym podziękować za zaproszenie, naprawdę to doceniam – powiedział prokurator Ranelid. – I muszę przeprosić w imieniu... w imieniu prokuratury za wysłanie za wami listu gończego zupełnie bezpodstawnie. Teraz chciałbym usłyszeć, co się wydarzyło od czasu, gdy pan Karlsson wyszedł przez okno domu spokojnej starości, do dzisiaj. Czy zechce pan zacząć, panie Karlsson?

Allan nie miał nic przeciwko. Uważał, że to, co ich czeka, może być zabawne. Otworzył usta i rzekł:

– Oczywiście, panie prokuratorze, nawet jeśli jestem stary i zniedołężniały, a z pamięcią jest, jak jest. Ale pamiętam w każdym razie, że wyszedłem przez okno, to pamiętam. Miało to swoje takie przyczyny i owakie powody, to prawda. Rozumie pan prokurator, wybierałem się do mojego dobrego przyjaciela, tego oto Juliusa Jonssona, a do niego nie przychodzi się z pustymi

rękami, bez butelki wódki, którą zakupiłem, wymykając się niepostrzeżenie do sklepu monopolowego. No, w sumie w dzisiejszych czasach nie trzeba się fatygować aż do monopolowego, wystarczy zadzwonić do... no, nie będę mówił nazwiska panu prokuratorowi, bo chyba nie dlatego jest pan prokurator tutaj, ale mieszka w centrum i sprzedaje wódkę z importu za mniej niż pół ceny. W każdym razie wtedy Eklunda nie było w domu – oj, a teraz jeszcze powiedziałem, jak się nazywa – więc nie miałem innego wyjścia, jak tylko kupić wódkę w monopolowym. Potem udało mi się przemycić flaszkę do pokoju i to zwykle rozwiązuje problem, ale akurat tym razem miałem ją znowu wynieść, i to wtedy, gdy przełożona miała dyżur, a ta to ma oczy dookoła głowy, musi pan prokurator wiedzieć. Nazywa się siostra Alice i nie tak łatwo ją oszukać. Dlatego pomyślałem, że najlepsza będzie droga do Juliusa przez okno. Zresztą kończyłem tego dnia sto lat, a kto chciałby, żeby mu odebrano urodzinową napitkę, gdy kończy setkę?

Prokurator pomyślał, że istnieje ryzyko, że rozmowa zajmie sporo czasu. Dziadek Karlsson gadał już dobrą chwilę, nie powiedziawszy właściwie niczego konkretnego. A za krócej niż godzinę Ranelid powinien być w drodze do Eskilstuny.

– Dziękuję, panie Karlsson, za interesujące informacje dotyczące napicia się we własne święto, ale mam nadzieję, że pan wybaczy, jeśli poproszę o streszczanie się, nie mamy dużo czasu, chyba pan rozumie. Jak to było z walizką i ze spotkaniem Bolca Bylunda na dworcu w Malmköping?

– No, jak to było... To Per-Gunnar zadzwonił do Juliusa, a ten zadzwonił do mnie... Zdaniem Juliusa Per-Gunnar chciał, żebym

zajął się Bibliami, no a w tym mogłem przecież pomóc, bo...

– Bibliami? – przerwał prokurator Ranelid.

– Jeśli pan prokurator pozwoli, wtrącę się i rozjaśnię nieco tło wydarzeń – zaproponował Benny.

– Z chęcią – odparł prokurator.

– Tak się składa, że Allan jest bliskim przyjacielem Juliusa z Byringe, który jest bliskim przyjacielem Pera-Gunnara, tego, który, jak pan sądził, był martwy, a Per-Gunnar jest moim bliskim przyjacielem, ja natomiast jestem, po pierwsze, bratem mojego brata Bossego, gospodarza tego miłego spotkania, a po drugie, narzeczonym Gunilli, to ta piękna dama w drugim końcu stołu. Gunilla zajmuje się egzegezą i w ten sposób mają coś wspólnego z Bossem, który sprzedaje Biblie – między innymi Perowi-Gunnarowi.

Prokurator siedział z kartką i długopisem w ręku, ale wszystko toczyło się zbyt szybko, więc nie zanotował ani słowa. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to:

– Egzegezą?

– Tak, interpretacją Biblii – wyjaśniła Ślicznotka.

Interpretacją Biblii? – pomyślał komisarz Aronsson, siedząc cicho u boku prokuratora. Czy to w ogóle możliwe interpretować Biblię, gdy się przeklina tyle, ile Aronsson słyszał poprzedniego wieczoru? Ale nic nie powiedział. Teraz to już raz na zawsze problem prokuratora, żeby sprawę rozwikłać.

– Interpretacją Biblii? – powtórzył prokurator Ranelid, ale postanowił kontynuować poprzedni wątek. – Wszystko jedno, proszę raczej powiedzieć, jak to było z walizką i Bolcem Bylundem na dworcu w Malmköping.

Teraz nadeszła pora na Pera-Gunnara Gerdina, aby wziąć udział w trwającym przedstawieniu.

– Pozwoli prokurator, że coś powiem? – zapytał.

– Oczywiście – odparł prokurator Ranelid. – Jeśli to, co zostanie powiedziane, w jakiś sposób naświetli sprawę, może wypowiadać się sam szatan.

– Och, co pan mówi – wtrąciła Ślicznotka, przewracając oczami (w tym momencie komisarz Aronsson nabrał całkowitej pewności, że grupa drwi sobie z prokuratora).

– Szatan nie jest chyba najlepszym określeniem mojej osoby, odkąd spotkałem Jezusa – powiedział Per-Gunnar Gerdin. – Prokurator wie na pewno, że byłem szefem organizacji o nazwie Never Again. Nazwa organizacji wzięła się stąd, że jej członkowie nigdy więcej mieli nie trafić za kratki, mimo że nie brakowałoby ku temu powodów, ale od pewnego czasu zmieniło się znaczenie nazwy. Nigdy więcej nie będzie nas kusić złamanie prawa, ani tego spisanego przez człowieka, ani tym bardziej boskiego!

– I to dlatego Bolec zdemolował poczekalnię, znęcał się nad spedytorem, a potem porwał kierowcę autobusu? – dziwił się prokurator Ranelid.

– Teraz wyczuwam pewną dozę sarkazmu – powiedział Per-Gunnar Gerdin. – Przecież to, że ja dostrzegłem światło, nie oznacza, że dostrzegli je również moi współpracownicy. Jeden z nich udał się wprawdzie do Ameryki Południowej na misję, ale dla dwóch pozostałych wszystko źle się skończyło. Bolec dostał ode mnie zadanie odebrania walizki z dwustoma Bibliami po drodze z Uppsali do Falköping. Biblie są mi potrzebne, aby szerzyć dobro

wśród najgorszych łobuzów w kraju – jeśli prokurator wybaczy język.

Dotąd właściciel Klockaregård, Bosse, siedział cicho. Ale teraz położył na stole ciężką walizkę i otworzył wieko. W środku leżało wiele najcieńszych Biblii, oprawionych w prawdziwą czarną skórę, ze złotymi literami, przypisami, zakładkami, galerią postaci, planem czytania, kolorowymi mapami i tak dalej.

– Bardziej imponującego wrażenia przy czytaniu Biblii prokurator nie znajdzie – oznajmił Bosse Ljungberg przekonującym głosem. – Pozwoli pan, że podaruję mu jeden egzemplarz? Nawet w prokuraturze trzeba szukać światła, to musi prokurator wiedzieć!

Bosse był pierwszym z grupy, który nie wciskał prokuratorowi kitu, tylko mówił, co myśli. I prokurator musiał to wyczuć, bo zaczął się wahać w dotychczasowym przekonaniu, że cała ta gadka o Biblii była na niby. Przyjął od Bossego Biblię i pomyślał, że jedynie natychmiastowe zbawienie może go teraz uratować. Ale nie powiedział tego, tylko rzekł:

– Czy możemy raz na zawsze wrócić do tematu? Jak było z tą przeklętą walizką w Malmköping?

– Proszę nie przeklinać! – nalegała Ślicznotka.

– To może teraz znowu moja kolej? – zapytał Allan. – No więc poszedłem na dworzec nieco wcześniej, niż zamierzałem, bo Julius poprosił mnie o to w imieniu Pera-Gunnara. Powiedziano mi, że Bolec Bylund zadzwonił wcześniej do Pera-Gunnara do Sztokholmu i był – jeśli pan prokurator wybaczy język – na gazie. A wie pan prokurator – albo i nie wie, bo nie wiem, jak to jest z piciem u pana prokuratora, nie chciałbym tutaj nic sugerować,

ale w każdym razie... Na czym skończyłem? Aha, wie pan prokurator, że jak się wódka wlewa, to się rozum wylewa, czy jak to się tam mówi. Zresztą sam się kiedyś w stanie nietrzeźwym wygadałem z czegoś w pewnej łodzi podwodnej na głębokości dwustu metrów na środku Bałty...

– Czy może pan, do diabła, przejść do rzeczy? – powiedział prokurator Ranelid.

– Proszę nie bluźnić! – upomniała Ślicznotka.

Prokurator Ranelid wsparł czoło jedną ręką, robiąc kilka głębokich wdechów i wydechów. Allan Karlsson kontynuował:

– Tak, Bolec Bylund zadzwonił do Pera-Gunnara do Sztokholmu i bełkotał, że się wypisuje z jego biblijnego klubu, że zamierza wstąpić do Legii Cudzoziemskiej, ale przedtem – a teraz na szczęście pan prokurator siedzi, bo to, co powiem, jest naprawdę okropne – zamierza spalić Biblie na rynku w Malmköping!

– A dosłownie powiedział rzekomo: „Te chujowe, pierdolone Biblie" – uściśliła Ślicznotka.

– Nic dziwnego, że mnie wysłano, żebym odszukał pana Bolca i odebrał mu walizkę, póki czas. Czasu zwykle jest niewiele, a niekiedy mniej, niż się człowiek spodziewa. Jak na przykład tego razu, gdy generał Franco w Hiszpanii o mały włos by wyleciał w powietrze na moich oczach. Ale jego współpracownicy byli rezolutni jak psiakość, schwycili swojego generała i dosłownie przenieśli go na pewny grunt. Nie zastanawiali się za długo. Zareagowali od razu.

– Co ma wspólnego generał Franco z tą historią? – spytał prokurator Ranelid.

– Nic a nic, panie prokuratorze, poza tym, że posłużył mi za przykład. Czasami trudno się wyrazić wystarczająco jasno.

– A gdyby tak pan się wysilił, żeby właśnie tak się wyrażać? Co się stało z walizką?

– No, pan Bolec nie chciał oczywiście jej oddać, a moja fizjonomia nie pozwalała na odebranie jej siłą, zresztą nie tylko fizjonomia, uważam z zasady, że to okropne, gdy ludzie...

– Do rzeczy, panie Karlsson!

– Tak, przepraszam, panie prokuratorze. Tak, gdy pan Bolec nagle musiał odwiedzić dworcową wygódkę, wykorzystałem sytuację. Zniknąłem z walizką w autobusie do Strängnäs przez Byringe, gdzie mieszka stary Julius, albo Julle, jak go czasem nazywamy.

– Julle? – powtórzył prokurator z braku czego innego do powiedzenia.

– Albo Julius – odezwał się Julius. – Miło mi.

Prokurator przez chwilę siedział cicho. Teraz zaczął notować to i owo i zdawało się, że rysuje linie i strzałki na papierze, a po chwili rzekł:

– Ale Karlsson zapłacił przecież za przejazd autobusem banknotem pięćdziesięciokoronowym i spytał, dokąd za tyle dojedzie. Co to ma wspólnego z tym, że świadomie jechał do Byringe i nigdzie indziej?

– Ech – powiedział Allan. – Wiem przecież, ile kosztuje autobus do Byringe. Miałem akurat pięćdziesiątkę w portfelu i chciałem pożartować. Chyba nie jest to zabronione, jak pan prokurator sądzi?

Prokurator Ranelid nie odpowiedział, czy żartowanie jest zabronione, czy nie. Natomiast jeszcze raz pospieszył Allana:

– Pokrótce: co się zdarzyło później?

– Pokrótce? Pokrótce zdarzyło się to, że spędziłem miły wieczór z Juliusem, zanim wbił się między nas pan Bolec, jeśli pan prokurator wybaczy żart językowy. Ale ponieważ mieliśmy wódkę na stole, może pan prokurator pamięta z wcześniejszego mojego opowiadania, że miałem ze sobą flaszkę wódki, a szczerze mówiąc, nie była to jedna flaszka, tylko dwie, nie można mówić nieprawdy, nawet jeśli chodzi o mniej ważne szczegóły, zresztą kto ja jestem, żeby oceniać, co jest mniej, a co bardziej ważne w tej historii, to przecież pan proku...

– Mów pan dalej!

– Tak, przepraszam. No, pan Bolec po chwili nie był już taki zły, gdy zapowiedziano stek z łosia i napitkę. Z upływem wieczoru zdecydował się zresztą, że daruje sobie spalenie Biblii, w podziękowaniu za zaproszenie. Alkohol ma także swoje dobre strony, nie sądzi pan proku...

– Dalej!

– Rano, rozumie pan prokurator, pan Bolec miał takiego kaca, że aż strach. Sam takiego nie miałem od wiosny czterdziestego piątego, gdy robiłem, co mogłem, próbując spić wiceprezydenta Trumana tequilą. Na nieszczęście prezydent Roosevelt akurat w ten dzień kopnął w kalendarz, więc musieliśmy przerwać imprezę, ale może to i szczęście, bo ojojoj jak się to czuło w głowie następnego dnia. Czułem się tylko nieznacznie lepiej niż Roosevelt, można by rzec.

Teraz prokurator Ranelid zamrugał oczami, rozważając, co ma powiedzieć. W końcu ciekawość wzięła górę. Prokurator nie miał już nawet siły mówić Allanowi Karlssonowi na „pan”:

– O czym ty mówisz? Siedziałeś i piłeś tequilę z wiceprezydentem Trumanem, gdy prezydent Roosevelt kopnął w kalendarz?

– No nie, niezupełnie kopnął w kalendarz – powiedział Allan. – Ale rozumiem, co pan prokurator ma na myśli. Ale może nie zatrzymujmy się na szczegółach? Jak pan prokurator myśli?

Prokurator się nie odezwał, więc Allan kontynuował:

– W każdym razie pan Bolec nie był w stanie pomóc w jeździe drezyną, gdy mieliśmy udać się do Åkers Styckebruk następnego ranka.

– O ile dobrze zrozumiałem, nie miał nawet na sobie butów – zauważył prokurator. – Jak pan to wyjaśni?

– Gdyby tylko pan prokurator widział, jak pan Bolec był skacowany. Równie dobrze mógłby tam siedzieć w samych kalesonach.

– A pana buty? Pana kapcie znaleziono przecież w kuchni Juliusa Jonssona.

– Tak, buty pożyczyłem oczywiście od Juliusa. Kiedy się ma sto lat, łatwo się wybrać z domu w samych kapciach, sam pan prokurator zobaczy, tylko poczeka jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt lat.

– Tak długo raczej nie pożyję – powiedział Ranelid. – Pytanie tylko, czy przeżyję tę rozmowę. Jak wyjaśnicie, że na drezynie były ślady zwłok?

– No, niech pan mi to powie. Pan Bolec ostatni opuścił drezynę, więc może on mógłby nam to wyjaśnić, gdyby tak nieszczęśliwie nie zmarł w Dżibuti. Myśli pan prokurator, że te ślady to z mojego powodu? Nie jestem przecież martwy, co to, to nie, ale za to strasznie stary... Czy pan prokurator uważa, że zapach zwłok może się wydzielać zawczasu?

Prokurator Ranelid zaczął się niecierpliwić. Czas płynął, a oni nie zdążyli jeszcze opowiedzieć do końca nawet o jednej z dwudziestu sześciu dób. Dziewięćdziesiąt procent tego, co wychodziło z ust dziada Karlssona, to przecież brednie.

– Dalej! – nakazał prokurator Ranelid, nie komentując kwestii zapachu zwłok.

– Tak, zostawiliśmy pana Bolca śpiącego na drezynie, a sami udaliśmy się na wzmacniający spacer do budki z jedzeniem, prowadzonej przez przyjaciela Pera-Gunnara, Benny'ego.

– Ty też siedziałeś w więzieniu? – zapytał prokurator.

– Nie, ale studiowałem kryminologię – odparł Benny zgodnie z prawdą, po czym skłamał, że w związku z tym robił wywiady z więźniami w Hallu i w ten sposób poznał Pera-Gunnara.

Prokurator Ranelid zdawał się robić kolejną notatkę, po czym polecił Allanowi Karlssonowi:

– Dalej!

– Z chęcią. Benny miał mnie i Juliusa zawieźć do Sztokholmu, żebyśmy mogli oddać Perowi-Gunnarowi walizkę z Bibliami. Ale Benny powiedział, że chciałby nadłożyć drogi i pojechać przez Smålandię, gdzie ma narzeczoną, którą jest ta oto Gunilla...

– Pokój z wami – powiedziała Gunilla i skinęła głową w stronę prokuratora Ranelida.

Ranelid szybko skinął w kierunku Ślicznotki i znów zwrócił się ku Allanowi, który mówił dalej:

– Benny znał najlepiej Pera-Gunnara i powiedział, że Per-Gunnar może spokojnie poczekać na Biblie parę dni, przecież i tak nie ma w nich najświeższych wiadomości, i tu mu trzeba przyznać rację. Ale nie można czekać w nieskończoność, bo gdy już Jezus wróci na ziemię, wszystkie rozdziały mówiące o Jego nadejściu będą przestarza...

– Nie zaplącz się znowu, Karlsson. Nie odbiegaj od tematu!

– Oczywiście, panie prokuratorze! Nie będę odbiegał od tematu, bo może się to źle skończyć. Wiem to lepiej niż kto inny, można by rzec. Gdybym odbiegł od tematu, stojąc przed Mao Zedongiem w Mandżurii, z całą pewnością zastrzeliliby mnie tam z miejsca.

– Bezsprzecznie byłoby wtedy spokojniej – powiedział prokurator Ranelid i dał znak, aby Allan się streszczał.

– No, jakkolwiek by było, Benny nie sądził, żeby Jezus wrócił na ziemię akurat, gdy będziemy w Smålandii, i z tego, co mi wiadomo, Benny miał rację...

– Karlsson!

– Tak, oczywiście. Pojechaliśmy więc we trzech do Smålandii, mała fajna przygoda, jak uważaliśmy z Juliusem, a zrobiliśmy to, nie informując Pera-Gunnara, co oczywiście było błędem.

– O tak – dodał Per-Gunnar Gerdin. – Mogłem poczekać na Biblie parę dni, to nie to. Ale sam pan prokurator rozumie, bałem się, że Bolec wymyśli coś głupiego z Juliusem, Allanem i Bennym. Bo Bolec nigdy nie zaakceptował pomysłu, że Never Again będzie teraz szerzyć Ewangelię. A potem nie byłem spokojniejszy, czytając gazety!

Prokurator pokiwał głową i zanotował. Może mimo wszystko zaczął widzieć w tym jakąś logikę? Następnie zwrócił się do Benny'ego:

– Ale dlaczego nie skontaktowałeś się z policją, gdy przeczytałeś o podejrzewanym porwaniu stulatka, o Never Again i arcyzłodzieju Juliusie Jonssonie?

– Och, przyszło mi to do głowy. Lecz kiedy przedyskutowałem sprawę z Allanem i Juliusem, usłyszałem stanowcze „nie". Julius powiedział, że z zasady nie rozmawia z policją, a Allan miał na myśli to, że uciekł z domu starców i w żadnym wypadku nie chciał wrócić do siostry Alice tylko dlatego, że telewizja i gazety zrozumiały wszystko na opak.

– Z zasady nie rozmawiasz z policją? – powiedział prokurator Ranelid do Juliusa Jonssona.

– No, raczej tak. Miałem pecha w moich relacjach z policją przez lata. Ale w przyjemniejszych okolicznościach, jak z komisarzem Aronssonem wczoraj albo chociażby z prokuratorem dzisiaj, chętnie robię wyjątek. Może dolać prokuratorowi kawy?

Tak, oczywiście, prokurator poprosił o dolewkę. Potrzebował wszelkiej siły, jaką mógł z siebie wykrzesać, żeby doprowadzić do porządku to spotkanie, a potem zaprezentować coś mediom o trzeciej – coś, co albo jest prawdą, albo przynajmniej da się w to uwierzyć.

Prokurator nie chciał odpuścić Benny'emu Ljungbergowi:

– To dlaczego nie zadzwoniłeś wtedy do swojego kumpla, Pera-Gunnara Gerdina? Musiałeś się zorientować, że przeczytał o tobie w gazecie.

– Pomyślałem, że pewnie jeszcze nie dotarło do policji i prokuratury, że Per-Gunnar spotkał Jezusa i jego linia telefoniczna może mieć podsłuch. I chyba zgodzi się prokurator, że w tej sprawie miałem rację?

Prokurator mruknął pod nosem i pożałował, że przypadkiem wymknął mu się także ten szczegół przy dziennikarzach, ale co zrobił, to zrobił. Zwrócił się do Pera-Gunnara Gerdina:

– Pan, zdaje się, dostał wskazówkę, gdzie się znajdują Allan Karlsson i jego przyjaciele. Skąd ta wskazówka?

– Na nieszczęście nigdy się nie dowiemy. Tę informację zabrał ze sobą do grobu mój kolega Hultaj. Albo raczej do wraku samochodu.

– Na czym polegała wskazówka?

– Na tym, że Allan, Benny i jego dziewczyna byli widziani w smålandzkim Rottne. To jakiś znajomy Hultaja zadzwonił, jak myślę. Najbardziej mnie interesowała sama informacja. Wiedziałem, że dziewczyna Benny'ego mieszka w Smålandii i ma rude włosy. Kazałem więc Hultajowi jechać do tego miasteczka i stanąć na czatach pod sklepem Ica. Bo trzeba przecież jeść...

– I Hultaj zrobił to bez gadania, w imię Jezusa?

– No nie, tutaj trafił prokurator w samo sedno. O Hultaju można powiedzieć wiele, ale nie to, że był religijny. Był chyba jeszcze bardziej oburzony nową działalnością klubu niż Bolec. Mówił, że pojedzie do Rosji albo krajów bałtyckich i zacznie biznes narkotykowy, słyszał pan prokurator coś tak okropnego? Nie jest to zresztą niemożliwe, że zaczął, ale o to może prokurator sam go zapytać, jeśli... Nie, przecież...

Prokurator spojrzał podejrzliwie na Pera-Gunnara Gerdina.

– Mamy nagraną na taśmie rozmowę, dokładnie jak sugerował to Benny Ljungberg. Nazywasz w niej Gunillę Björklund „babą” i nieco później w rozmowie przeklinasz. Co na to Pan?

– Och, Pan szybko wybacza, o czym prokurator się przekona, gdy tylko otworzy książkę, którą właśnie dostał.

– „Którym odpuścicie grzechy, są im odpuszczone”[5], mówi Jezus – dodał Bosse.

– Ewangelia Świętego Jana? – spytał komisarz Aronsson, któremu zdawało się, że poznaje cytat z lektury poprzedniego wieczoru.

– Ty czytasz Biblię? – zapytał Ranelid zaskoczony.

Komisarz Aronsson nie odpowiedział, ale uśmiechnął się niewinnie do prokuratora Ranelida. Per-Gunnar Gerdin mówił dalej:

– Przybrałem w tamtej rozmowie ton, który był Hultajowi dobrze znany. Pomyślałem, że może wtedy posłucha – wyjaśnił Per-Gunnar Gerdin.

– I posłuchał? – spytał prokurator.

– I tak, i nie. Nie chciałem, żeby się pokazywał Allanowi, Juliusowi, Benny’emu i jego dziewczynie, bo sądziłem, że jego ordynarny sposób bycia nie zrobi na nich dobrego wrażenia.

– I można powiedzieć, że nie zrobił – dodała Ślicznotka.

– To znaczy? – zapytał Ranelid.

– No, wtrynił mi się na podwórko, szperał po kątach, przeklinał, domagał się alkoholu... A ja mogę znieść wiele, ale nie znoszę ludzi, którzy przeklinają.

Komisarzowi Aronssonowi udało się nie udławić słodką bułeczką. Ślicznotka siedziała przecież na werandzie

poprzedniego wieczoru i przeklinała niemal bez przerwy. Aronsson czuł coraz bardziej, że nie chce się nigdy dowiedzieć prawdy o tym koglu-moglu. Dobrze jest, jak jest. Ślicznotka kontynuowała:

– Jestem pewna, że był pijany, już gdy przyjechał, i pomyślcie, przyjechał samochodem! Przyszedł i zaczął machać pistoletem, żeby zwrócić na siebie uwagę, chwalił się, że będzie go używał w swoim biznesie narkotykowym w... Rydze, zdaje mi się. Wtedy wrzasnęłam na niego, muszę się przyznać prokuratorowi, wrzasnęłam: „Żadnej broni na moich włościach!", i on odłożył pistolet na werandę. Zastanawiam się, czy go wręcz nie zapomniał, kiedy w końcu sobie pojechał. Bardziej opryskliwej i nieprzyjemnej osoby chyba nigdy nie spotkałam...

– Może to przez Biblie wpadł w zły humor – rozmyślał głośno Allan. – Religia ma to do siebie, że łatwo drażni ludzi. Pewnego razu, gdy byłem w Teheranie...

– W Teheranie? – wymknęło się prokuratorowi.

– Tak, parę lat temu, to na pewno. Był tam wtedy ład i porządek, jak mi powiedział Churchill, gdy stamtąd odlatywaliśmy.

– Churchill? – spytał prokurator.

– Tak, premier. A może nie był wtedy premierem, tylko wcześniej. I później w sumie.

– Wiem, do cholery, kim był Winston Churchill, tylko... ty i Churchill byliście razem w Teheranie?

– Proszę nie przeklinać, prokuratorze! – powiedziała Ślicznotka.

– No nie, niezupełnie razem. Mieszkałem tam przez jakiś czas z pewnym misjonarzem, który był specjalistą w wyprowadzaniu

ludzi z równowagi.

À propos wyprowadzania z równowagi, prokurator Ranelid był tego bliski. Właśnie zauważył, że próbuje wydobyć rzeczową informację od stuletniego dziadka, który twierdzi, że spotkał Franco, Trumana, Mao Zedonga i Churchilla. Ale brak równowagi prokuratora Ranelida nie martwił Allana. Wręcz przeciwnie. Więc mówił dalej:

– Młody pan Hultaj był jak chodząca burza z piorunami przez cały czas w Sjötorp. Właściwie rozchmurzył się tylko raz, a to gdy już wyjeżdżał. Opuścił szybę w samochodzie i krzyknął: „Łotwo, nadchodzę!". Zrozumieliśmy, że wybiera się do Łotwy, ale pan prokurator jest bardziej zaznajomiony ze sprawami policyjnymi, więc może pan inaczej to rozumie?

– Idiota – powiedział prokurator.

– Idiota? – powtórzył Allan. – Tak jeszcze mnie nigdy nie nazwano. Pies i szczur wymknęło się wprawdzie Stalinowi, w największej złości, ale nigdy idiota.

– To, niech mnie diabli, najwyższa pora – odparł prokurator Ranelid.

Wtedy zareagował Per-Gunnar Gerdin.

– Spokojnie, prokurator nie może się denerwować tylko dlatego, że nie udało mu się zamknąć, kogo mu się żywnie podobało. Chce usłyszeć resztę historii czy nie?

Owszem, prokurator chciał, więc wymamrotał przeprosiny. Zresztą chciał czy nie chciał, był niestety zmuszony, więc pozwolił kontynuować Gerdinowi.

– O członkach Never Again można powiedzieć, że Bolec udał się do Afryki, aby zostać legionistą, Hultaj na Łotwę, żeby zacząć

handel narkotykami, a Caracas pojechał do domu do... tak, do domu. Zostałem tylko ja, zupełnie sam, ale z Jezusem w sercu oczywiście.

– Taa, pochwalony – mruknął prokurator. – Dalej!

– Udałem się do Gunilli do Sjötorp, dziewczyny Benny'ego, Hultaj zadzwonił i podał adres, zanim opuścił kraj.

– Hmm, mam kilka pytań – powiedział prokurator Ranelid. – Pierwsze do pani, Gunillo Björklund. Dlaczego kupiła pani autobus na kilka dni przed wyjazdem? I dokąd wyjechaliście?

Przyjaciele poprzedniego wieczoru postanowili, że nie będą mówić o Sonii. Podobnie jak Allan była uciekinierką, ale Allan jako prawowity obywatel miał przynajmniej swoje prawa. Sonii prawdopodobnie nie uważano nawet za Szwedkę, a w Szwecji, podobnie jak w większości innych krajów, nie jest się dużo wartym, jeśli się jest obcokrajowcem. Deportowano by ją albo skazano na dożywocie w zoo. A może jedno i drugie.

Bez Sonii jako wymówki znowu trzeba było użyć kłamstwa, jeśli chodzi o powód, dla którego przyjaciele nagle zdecydowali się na podróżowanie autobusem.

– No, wprawdzie autobus jest na moje nazwisko – powiedziała Ślicznotka – ale właściwie ja i Benny kupiliśmy go razem dla jego brata, Bossego.

– Żeby go załadował Bibliami? – powiedział prokurator Ranelid, nie dający już rady trzymać dłużej fasonu.

– Nie, arbuzami – odparł Bosse. – Czy chce prokurator spróbować najsłodszego arbuza na świecie?

– Nie, nie chcę – odpowiedział Ranelid. – Chcę wyjaśnić całą resztę, potem wrócić do domu, odbębnić konferencję prasową,

a potem jechać na urlop. Tego chcę. A teraz chciałbym, żebyśmy ruszyli dalej. Po chol... po chorobę opuściliście Sjötorp autobusem tuż przed przyjazdem Pera-Gunnara Gerdina?

– Przecież nie wiedzieli, że jadę – powiedział Per-Gunnar Gerdin. – Ciężko prokuratorowi nadążyć?

– Tak, ciężko – odparł prokurator Ranelid. – Einstein miałby trudności z nadążeniem za tym bałaganem.

– Jeśli już wspomniał pan o Einsteinie... – zaczął Allan.

– Nie, panie Karlsson – przerwał Ranelid zdecydowanym głosem. – Nie chcę słyszeć bajki o tym, co Karlsson robił z Einsteinem. Chcę natomiast, żeby pan Gerdin wyjaśnił, skąd się w tej sytuacji wzięli Ruscy.

– To znaczy? – zapytał Per-Gunnar Gerdin.

– Ruscy? Pański zmarły kolega Hultaj mówi o Ruskich w nagranej rozmowie telefonicznej. Wyrzuca mu pan, że nie zadzwonił na numer na kartę, a Hultaj odpowiada, że myślał, że to tylko wtedy, gdy robicie interesy z Ruskimi.

– Nie chcę o tym rozmawiać – odparł Per-Gunnar Gerdin, przede wszystkim dlatego, że nie wiedział, co powiedzieć.

– Ale ja chcę – powiedział Ranelid.

Zapadła chwila ciszy przy stole. O tym, że w rozmowie telefonicznej było coś o Ruskich, nie wspomniano w żadnej gazecie i sam Gerdin zapomniał o sprawie. Nagle odezwał się Benny:

– *Jesli czełowiek kurit, on płocho igrajet w futboł*.

Allan spojrzał na niego, wytrzeszczając oczy.

– To chodzi o mnie i mojego brata Bossego – wyjaśnił Benny. – Nasz ojciec, pokój jego pamięci, i nasz wuj Frasse, pokój jego pamięci także, byli nieco lewicowi, że tak powiem. Dlatego

ćwiczyli nas w rosyjskim przez cały okres dorastania i w ten sposób staliśmy się Ruskimi wśród znajomych i przyjaciół. I to właśnie, mówiąc krótko, wyjaśniłem przed chwilą, tylko że po rosyjsku.

Podobnie jak wiele razy tego przedpołudnia to, co powiedział Benny, niewiele miało wspólnego z prawdą. Chciał tylko wybawić Gawrona Gerdina z trudnej sytuacji. Benny był „prawie" magistrem rusycystyki (nigdy nie złożył pracy magisterskiej), ale było to jakiś czas temu i jedyne, co mógł sobie naprędce przypomnieć, to:

„Jeśli człowiek pali, kiepsko gra w piłkę nożną".

Na szczęście udało się. Spośród wszystkich przy stole w Klockaregård tylko Allan zrozumiał, co powiedział Benny.

To zaczynało być za wiele dla prokuratora Ranelida. Szalone odniesienia do postaci historycznych, ludzie mówiący po rosyjsku... do tego Bolec znaleziony martwy w Dżibuti, a Hultaj w Rydze – nie, to nie zaczynało być za wiele, to było za wiele. A pozostawała jeszcze jedna zagadka do rozwikłania.

– Czy może pan, panie Gerdin, wyjaśnić mi, jak to się stało, że najpierw został pan przejechany na śmierć przez pańskich przyjaciół, a potem zmartwychwstał i teraz siedzi tu i... je arbuza? Czy mimo wszystko mógłbym spróbować tego arbuza?

– Oczywiście – powiedział Bosse. – Ale przepis jest tajemnicą! Albo, jak to się mówi: „Jeśli jedzenie ma smakować, lepiej, żeby służby sanitarne nie przyglądały się przyrządzaniu".

Tego powiedzenia nie znał ani komisarz Aronsson, ani prokurator Ranelid, lecz Aronsson postanowił milczeć raz na zawsze, a Ranelid nie marzył o niczym innym, jak tylko zakończyć

to... czymkolwiek było to, czego właśnie był świadkiem... i odjechać, więc nie poprosił o wyjaśnienie. Stwierdził natomiast, że arbuz jest najlepszy, w jaki kiedykolwiek wbił zęby.

Gdy Ranelid gryzł arbuza, Per-Gunnar Gerdin wyjaśnił, jak dotarł do Sjötorp zaraz po odjeździe autobusu, jak zajechał na podwórko, żeby się rozejrzeć, i zrozumiał, że przyjaciele byli w autobusie, który minął, i jak ich dogonił, wyprzedził, nieszczęśliwie wpadł w poślizg – i... tak, zdjęcia wraku samochodu znalazły się tu i ówdzie, więc nie ma co dalej mówić o tym prokuratorowi.

– Nic dziwnego, że nas dogonił – dodał Allan, który przez chwilę siedział cicho. – Miał przecież ponad trzysta koni mechanicznych pod maską. Inaczej było, gdy przyszło mi jechać volvem PV444 z Brommy do premiera Erlandera. Czterdzieści cztery konie! W tamtych czasach to było dużo. A ile koni mechanicznych miał sprzedawca Gustavsson, gdy przez pomyłkę wjechał na moją...

– Zamknij pan, proszę, jadaczkę, panie Karlsson, zanim mnie to zabije – powiedział prokurator Ranelid.

Przewodniczący Never Again kontynuował swoją opowieść. Wprawdzie stracił we wraku trochę krwi, a właściwie dość dużo, ale szybko go opatrzono, a on nie uważał za konieczne jechać do szpitala z powodu małej otwartej rany, złamania ręki, wstrząsu mózgu i paru zmiażdżonych żeber.

– Poza tym Benny zna się na sztuce literackiej – powiedział Allan.

– Literackiej? – zdziwił się Ranelid.

– Powiedziałem sztuce literackiej? Miałem na myśli sztukę lekarską, oczywiście.

– Literaturoznawstwo też studiowałem – odparł Benny. – Moim ulubionym pisarzem jest Camilo José Cela, zwłaszcza jego debiutancka powieść z 1947 roku *Rodzina*...

– Nie zaczynaj jak Karlsson – warknął prokurator. – Wróć lepiej do opowiadania.

Prokurator, błagając, spojrzał na Allana, więc Allan powiedział:

– Pan prokurator wybaczy, ale opowiadanie jest skończone. Jednak jeśli pan naprawdę chce słuchać dalej naszego gadania, to mogę powspominać trochę przejść z czasów, gdy byłem agentem CIA. Albo jeszcze lepiej, jak przeszedłem Himalaje. Chce pan przepis na wódkę z koziego mleka? Jedyne, czego trzeba, to burak cukrowy i trochę słońca. No poza kozim mlekiem, oczywiście.

Zdarza się, że coś się powie, zanim się pomyśli, i tak właśnie zrobił prokurator Ranelid, gdy wbrew temu, co sobie postanowił, skomentował ostatnią wypowiedź Allana:

– Przeszedł pan Himalaje? W wieku stu lat?

– Nie, a gdzieżby tam! – powiedział Allan. – Sam pan prokurator rozumie, nie byłem stulatkiem przez całe życie. Wręcz przeciwnie, to dla mnie coś nowego.

– Czy możemy przejść do...

– Wszyscy dorastamy i starzejemy się – ciągnął Allan. – Może nie myśli się o tym, będąc dzieckiem. Na przykład taki młody pan Kim Dzong Il. Siedział biedaczek i płakał na moich kolanach, a teraz jest głową państwa, ze wszystkim, co to oznacza, z...

– Czy możemy to zostawić, Karlsson, i...

– Tak, przepraszam. Pan prokurator chciał przecież usłyszeć historię o tym, jak przeszedłem Himalaje. Najpierw nie miałem innego towarzystwa, jak tylko wielbłąda, przez wiele miesięcy,

i mówcie o wielbłądach, co chcecie, ale takie świetne jako towarzy...

– Nie! – wykrzyknął Ranelid. – Wcale nie chciałem. Ja tylko... Nie wiem... Mógłby pan tylko...

Prokurator Ranelid zamilkł na chwilę, a potem powiedział cicho, że nie ma więcej pytań... poza być może jednym: Dlaczego przyjaciele ukrywali się na nizinie Västgötas, skoro nie było żadnych powodów do ukrywania się.

– Byliście przecież niewinni, prawda?

– Z niewinnością różnie bywa, zależy, z czyjej perspektywy się patrzy – skonstatował Benny.

– Właśnie coś podobnego pomyślałem – powiedział Allan. – Weźmy chociażby prezydentów de Gaulle'a i Johnsona. Kto był winny, a kto niewinny, jeśli chodzi o ich kiepskie relacje? Nie dlatego, żebym poruszył temat, gdy się spotkaliśmy, mieliśmy co innego do omówienia, ale...

– Proszę, panie Karlsson – wyjęczał prokurator Ranelid. – Jeśli będę błagał pana na kolanach, będzie pan wtedy cicho?

– Nie musi pan prokurator błagać na kolanach. Od tej pory będę siedzieć cicho jak mysz pod miotłą, obiecuję. Podczas moich stu lat tylko dwa razy język mi się wymknął spod kontroli, najpierw – gdy zdradzałem Zachodowi, jak się robi bombę atomową, a potem – gdy powiedziałem to samo Wschodowi.

Prokurator Ranelid pomyślał, że bomba atomowa mogłaby rozwiązać to i owo, zwłaszcza gdyby Karlsson siedział na niej w momencie wybuchu. Ale nic nie powiedział. Nie miał siły nic powiedzieć. Na pytanie, dlaczego przyjaciele nie ujawnili się, będąc poszukiwani od trzech tygodni, nigdy nie uzyskał

odpowiedzi, poza już przytoczonymi filozoficznymi wywodami o tym, że sprawiedliwość ma różne kolory w różnych krajach i o różnych porach.

Prokurator Conny Ranelid podniósł się powoli, cicho podziękował za zaproszenie, za arbuza, kawę i bułeczkę, za... rozmowę... i za to, że przyjaciele z Klockaregård byli tak skorzy do współpracy.

Potem opuścił kuchnię, wsiadł do samochodu i odjechał.

– Poszło zupełnie nieźle – powiedział Julius.

– Oczywiście – potwierdził Allan. – Myślę, że wspomniałem większość wydarzeń.

* * *

W samochodzie, na trasie E20 prowadzącej na północny wschód, prokuratora Ranelida powoli opuszczało psychiczne otępienie. Zaczął rozmyślać nad historią, którą mu właśnie opowiedziano, dodawał i odejmował (przede wszystkim odejmował), dopieszczał i szlifował, aż doszedł do wniosku, że spreparował wersję, która mogłaby przejść. Jedyne, co niepokoiło prokuratora, jeśli chodzi o wiarygodność historii dla mediów, to to, że dziennikarze nie uwierzą, że stuletni Allan Karlsson zawczasu zaczął rozsiewać zapach zwłok.

W głowie prokuratora Ranelida narodził się i rozwinął pewien pomysł. Ten przeklęty pies policyjny... A gdyby tak zrzucić winę na cholernego psa?

Jeśli Ranelidowi udałoby się przekonać wszystkich, że pies zwariował, wtedy otwierały się przed nim nieskończone możliwości uratowania własnej skóry. Historia zmieniłaby się

w ten sposób, że nigdy nie było żadnych zwłok na drezynie w sörmlandzkim lesie, ale prokuratora zmylono, więc sądził odwrotnie, co prowadziło do szeregu logicznych wniosków i decyzji, które okazały się mylne. Nie można za to winić prokuratora, zawinił pies.

Pomysł mógł się okazać wspaniały, stwierdził prokurator Ranelid. Jeszcze tylko potrzeba potwierdzenia przez kogoś innego, że pies postradał zmysły. Poza tym... Kicki... tak się wabiła?... Kicki w mgnieniu oka musi zakończyć żywot. Nie może przecież po wypowiedzi prokuratora nadal wykazywać się dawnymi zdolnościami.

Prokurator Ranelid miał haka na przewodnika Kicki, odkąd parę lat temu zatuszował podejrzenie o kradzież w kiosku Seven-Eleven przez policjanta. Kariera policyjna nie musi zostać przerwana z powodu jakiegoś niezapłaconego muffinka, uważał Ranelid. Ale najwyższa pora, żeby przewodnik psa odpłacił mu za przysługę.

– Żegnaj, Kicki – powiedział prokurator Conny Ranelid i uśmiechnął się po raz pierwszy od bardzo dawna, jadąc E20 na północny wschód do Eskilstuny.

Po chwili zadzwonił telefon. Komendant wojewódzki policji poinformował go, że właśnie otrzymał na swoje biurko raport z sekcji zwłok i identyfikacji z Rygi.

– Potwierdzają, że to faktycznie zwłoki Henrika Hulténa zostały zgniecione na szrocie – powiedział komendant.

– To miło – odparł prokurator Ranelid. – I dobrze, że dzwonisz! Możesz być tak miły i połączyć mnie z centralą? Muszę pogadać z Ronnym Bäckmanem. Wiesz, psim przewodnikiem...

* * *

Przyjaciele w Klockaregård pomachali prokuratorowi na pożegnanie i z inicjatywy Allana wrócili do kuchni. Allan uważał, że jest sprawa, którą muszą omówić.

Rozpoczął zebranie od zapytania komisarza Aronssona, czy ma jakieś uwagi do tego, co usłyszał prokurator Ranelid. Może komisarz wolałby pójść na spacer, podczas gdy przyjaciele będą się naradzać?

Aronsson odparł, że jego zdaniem relacja była jasna i logiczna w każdym calu. Sprawa była zamknięta, ale jeśli przyjaciele pozwolą mu posiedzieć z nimi przy stole, to z chęcią zostanie. Poza tym Aronsson nie był wolny od grzechu, jak sam powiedział, i nie zamierzał rzucać ani pierwszym, ani drugim kamieniem na tę sprawę.

– Moglibyście natomiast wyświadczyć mi przysługę i nie opowiadać tego, bez czego mogę się obejść. To znaczy, o ile oczywiście istnieją inne wersje niż ta, którą podaliście Ranelidowi...

Tę przysługę Allan w imieniu swoim i przyjaciół obiecał komisarzowi wyświadczyć i dodał, że przyjaciel Aronsson jest mile widziany przy stole.

Przyjaciel Aronsson, pomyślał Aronsson. Przez lata pracy przysporzył sobie wielu wrogów w całym kraju wśród ludzi o wątpliwym sumieniu, ale ani jednego przyjaciela. Uważał, że najwyższa pora to zmienić, więc powiedział, że jeśli Allan i reszta chcą go włączyć do kręgu przyjaciół, czuje się zaszczycony i uszczęśliwiony.

Allan odparł, że w czasie swojego długiego życia zdążył zaprzyjaźnić się z księżmi i prezydentami, ale nigdy z policjantem. A ponieważ przyjaciel Aronsson w żadnym wypadku nie chciał wiedzieć zbyt wiele, Allan obiecał, że nie powie, skąd się wzięły ich wszystkie pieniądze. W imię przyjaźni.

– Wszystkie pieniądze? – powtórzył komisarz Aronsson.

– Tak – odpowiedział Allan. – Wiesz, ta walizka? Zanim znalazły się w niej najcieńsze Biblie w skórzanej oprawie, była po brzegi wypełniona banknotami pięciusetkoronowymi. Około pięćdziesięciu milionów.

– O w mordę, do dia... – zaczął komisarz Aronsson.

– A przeklinaj sobie – powiedziała Ślicznotka.

– Jeśli już musisz kogoś wzywać, wolałbym jednak polecić Jezusa – powiedział Bosse. – Bez względu na obecność lub nieobecność prokuratora.

– Pięćdziesiąt milionów? – powtórzył Aronsson.

– Minus trochę wydatków po drodze – odrzekł Allan. – A teraz musimy rozstrzygnąć kwestie własnościowe. Niniejszym oddaję głos tobie, Gawronie.

Per-Gunnar „Gawron” Gerdin podrapał się po uchu, myślał przez chwilę. Potem powiedział, że chciałby, aby miliony i przyjaciele trzymali się razem, może pojadą na wspólne wakacje, bo Gawron nie tęskni za niczym innym, jak tylko żeby mu serwowano drinki z parasolką pod parasolem słonecznym gdzieś daleko. Poza tym z tego, co wie, Allan ma podobne skłonności.

– Chociaż bez parasolki w drinku – dodał Allan.

Julius powiedział, że zgadza się z Allanem, że ochrona przeciwdeszczowa w szklance grogu nie należy do życiowych

konieczności, zwłaszcza jeśli się już leży pod parasolem i jeśli słońce leje się z błękitnego nieba. Ale przyjaciele nie muszą się o to sprzeczać. Wspólne wakacje brzmią wspaniale!

Komisarz Aronsson uśmiechnął się nieśmiało. Słysząc o tym pomyśle, nie był pewien, czy należy do grupy. Zauważył to Benny i mocno uścisnął ramię komisarza, pytając sprytnie, jakiego drinka wybrałby reprezentant władzy policyjnej. Komisarz rozpromienił się i już miał udzielić odpowiedzi, gdy Ślicznotka zmąciła dobry nastrój:

– Nie pojadę ani metra bez Sonii i Bustera!

Zamilkła na sekundę, a potem dodała:

– Niech mnie diabli wezmą.

Ponieważ Benny nie mógł sobie wyobrazić, aby mógł pojechać choćby metr bez Ślicznotki, od razu stracił zapał.

– Poza tym połowa z nas nie ma ważnego paszportu – westchnął.

Allan podziękował grzecznie za hojność Gawrona, jeśli chodzi o podział pieniędzy z walizki. Uważał, że urlop to dobry pomysł, im dalej od siostry Alice, tym lepiej. Na pewno da się rozwiązać problem transportu i celu podróży. Może znajdą taką straż graniczną, która nie będzie się czepiać o wizy dla ludzi i zwierząt.

– A jak sobie wyobrażasz zabranie pięciotonowego słonia na pokład samolotu? – zapytał Benny zrezygnowanym głosem.

– Tego nie wiem – odpowiedział Allan. – Ale jeśli tylko będziemy dobrej myśli, to na pewno rozwiążemy problem.

– A to, że większość z nas nie ma ważnego paszportu?

– Musimy myśleć pozytywnie, jak już powiedziałem.

– Nie wydaje mi się, żeby Sonja ważyła więcej niż cztery tony, może cztery i pół – rzekła Ślicznotka.

– Widzisz, Benny – powiedział Allan. – To mam na myśli, mówiąc o pozytywnym myśleniu. Problem od razu zmniejszył się o pół tony.

– Chyba mam pomysł – kontynuowała Ślicznotka.

– Ja też – odparł Allan. – Można skorzystać z telefonu?

---

[3] J 8,7.

[4] J 8,10-11.

[5] J 20,23.

ROZDZIAŁ 26

1968–1982

Julij Borysowicz Popow mieszkał i pracował w mieście Sarow w obwodzie niżnonowogrodzkim, około trzystu pięćdziesięciu kilometrów na wschód od Moskwy.

Sarow było miastem tajnym, niemal bardziej tajnym niż Ryan Hutton. Nie mogło się już nawet nazywać Sarow, nadano mu niezbyt romantyczną nazwę Arzamas-16. Wymazano je ze wszystkich map. Sarow zarówno było, jak i nie było – zależy, do czego się odwoływało. Mniej więcej jak Władywostok przez kilka lat od 1953 roku.

Miasto było otoczone drutem kolczastym i nikogo nie wpuszczano ani nie wypuszczano bez dokładnej kontroli. Dla tego, kto miał amerykański paszport i był powiązany z ambasadą amerykańską w Moskwie, nie było szans, żeby chociaż zbliżył się do miasta.

Człowiek CIA Ryan Hutton pracował wraz z rekrutem Allanem Karlssonem przez wiele tygodni nad elementarzem szpiega, zanim osadzono Allana w ambasadzie w Moskwie pod nazwiskiem Allen Carson na niejasnym stanowisku administratora.

Dość niefortunnie Ryan Hutton nie zwrócił uwagi na fakt, że obiekt, do którego Allan Karlsson miał się zbliżyć, jest nieosiągalny, mieszka w mieście otoczonym drutem kolczastym, mieście tak chronionym, że nie może nawet zachować starej nazwy i istnieć na mapie świata.

Hutton przeprosił Allana za blamaż, ale dodał, że pan Karlsson na pewno coś wymyśli. Popow bywa w Moskwie od czasu do czasu, więc Allan musi tylko wpaść na to, jak się dowiedzieć, kiedy będzie tam następnym razem.

– A teraz wybaczy pan, panie Karlsson – powiedział Hutton przez telefon, dzwoniąc ze stolicy Francji. – Mam kilka innych spraw na biurku. Powodzenia!

Hutton odłożył słuchawkę, wydał z siebie głębokie westchnienie i wrócił do bałaganu związanego z reperkusjami wspieranego przez CIA przewrotu w Grecji sprzed roku. Jak wiele innych akcji ostatnimi czasy, także ta nie potoczyła się tak, jak powinna.

Allan nie miał lepszego pomysłu, jak tylko codziennie udawać się na spacer do biblioteki miejskiej w Moskwie, w której siedział godzinami i czytał gazety i magazyny. Miał nadzieję natrafić na notkę o tym, że Popow będzie występował publicznie poza Arzamas-16 okolonym drutem kolczastym.

Ale mijały miesiące i żadne informacje się nie pojawiały. Allan mógł natomiast przeczytać o tym, że kandydat na prezydenta Robert Kennedy podzielił los swojego brata i że Czechosłowacja poprosiła Związek Radziecki o pomoc w zrobieniu porządku z własnym socjalizmem.

Poza tym Allan dowiedział się pewnego dnia, że Lyndon B. Johnson ma następcę, który nazywa się Richard M. Nixon. Ale

ponieważ wynagrodzenie z ambasady wciąż przychodziło co miesiąc w kopercie, Allan uważał, że najlepiej będzie, jeśli nadal będzie szukał Popowa. Gdyby były jakieś inne życzenia w tej sprawie, Hutton na pewno by się odezwał.

Rok 1968 przeszedł w 1969 i zbliżała się wiosna, gdy Allan podczas swojego stałego wertowania gazet w bibliotece zauważył coś interesującego. Opera wiedeńska miała wystąpić gościnnie w Teatrze Bolszoj w Moskwie, z tenorem Franco Corellim i szwedzką gwiazdą Birgit Nilsson w roli Turandot.

Allan podrapał się po swojej znów ogolonej brodzie i przypomniał sobie pierwszy i jak dotąd jedyny wieczór spędzony z Julijem. Późnym wieczorem Julij zaśpiewał arię *Nessun dorma* – niech nikt nie śpi! Niedługo potem zasnął z przyczyn alkoholowych, ale to inna sprawa.

Allan myślał, że ten, kto raz mógł całkiem nieźle śpiewać arię z *Turandot* Pucciniego w łodzi podwodnej na głębokości kilkuset metrów, raczej nie przegapi występu gościnnego opery wiedeńskiej w Teatrze Bolszoj w Moskwie. Zwłaszcza, jeśli ta osoba mieszka kilka godzin jazdy stąd, a poza tym jest tak zasłużona, że nie powinna mieć problemu z dostaniem biletu.

Albo i przegapi. Wtedy Allan będzie musiał kontynuować swoją codzienną wędrówkę do biblioteki miejskiej. Gorzej sprawy nie będą się miały.

Tymczasem Allan liczył na to, że Julij pojawi się przed teatrem, wówczas wystarczy, że on tam będzie i powie: „Dzięki za ostatnią imprezę". I po sprawie.

Albo i nie.

Tak naprawdę wcale nie.

* * *

Wieczorem 22 marca 1969 roku Allan ustawił się strategicznie na lewo od głównego wejścia do Teatru Bolszoj. Sądził, że z tej pozycji rozpozna Julija, gdy ten minie go, wchodząc do środka. Problem w tym, że wszyscy zmierzający do teatru wyglądali niemal identycznie. Mężczyźni w czarnych garniturach pod czarnymi płaszczami i kobiety w długich sukniach, wystających spod czarnego lub brązowego futra. Wszyscy szli parami i szybko wchodzili z powodu zimna do środka, mijając Allana na najwyższym stopniu okazałych schodów. Było ciemno, więc jak, do diabła, Allan miał rozpoznać twarz, którą widział przez dwa dni przed dwudziestu jeden laty? Gdyby tak miał niepojęte szczęście, żeby to Julij rozpoznał Allana.

Ale takiego szczęścia Allan nie miał. Nie było oczywiście pewności, że Julij Borysowicz w czyimś towarzystwie znajdował się teraz w teatrze, ale jeśli tak było, przeszedł obok dawnego przyjaciela, nie zdając sobie z tego sprawy. Więc co Allan miał zrobić? Pomyślał głośno: – Jeśli właśnie wszedłeś do teatru, drogi Juliju Borysowiczu, to jest dosyć pewne, że za kilka godzin wyjdziesz przez te same drzwi. Niestety będziesz wyglądał jak wszyscy inni, dokładnie jak wtedy, gdy wchodziłeś do środka, więc cię nie znajdę. To ty musisz znaleźć mnie.

Tylko to mu pozostało. Allan udał się do swojego biura w ambasadzie, przygotował się i wrócił na czas, zanim książę Kalaf roztopił serce księżniczki Turandot.

Słowo, które Allan słyszał częściej niż inne podczas swoich lekcji u Ryana Huttona, to dyskrecja. Zdolny agent nigdy nie może robić

wokół siebie hałasu, wyróżniać się, on ma się wtapiać w otoczenie tak, że prawie go nie widać.

– Zrozumiał pan, panie Karlsson? – pytał Hutton.

– Oczywiście, panie Hutton – odpowiadał Allan.

Birgit Nilsson i Franco Corelli wychodzili na scenę dwadzieścia razy, sukces był ogromny. Dlatego trwało nieco dłużej, zanim publiczność skończyła oklaski i podobnie wyglądający ludzie znów wylali się na schody. To, co zobaczyli wszyscy, to mężczyzna stojący na środku najniższego stopnia, z ramionami w powietrzu, trzymający ręcznej roboty plakat z napisem:

TO JA
ALLAN
EMMANUEL

Allan Karlsson oczywiście zrozumiał wykład Huttona, tyle tylko, że nie przywiązywał do niego wagi. W Paryżu u Huttona może była wiosna, ale w Moskwie było zimno i ciemno. Allan marzł, a chciał wreszcie coś osiągnąć. Najpierw zamierzał napisać nazwisko Julija na plakacie, ale w końcu zdecydował, że niedyskrecja przede wszystkim powinna dotyczyć jego samego, a nie innych.

Larissa Aleksandrowna Popowa, małżonka Julija Borysowicza Popowa, czule obejmowała ramię męża i po raz piąty dziękowała za fantastyczne przeżycia, których oboje właśnie doświadczyli. Birgit Nilsson to istna Maria Callas! I jakie miejsca! Czwarty rząd, na samym środku. Larissa nie była tak szczęśliwa od bardzo dawna. Poza tym tę noc mieli z mężem spędzić w hotelu, więc

przez najbliższą dobę nie będzie musiała wracać do tego okropnego miasta za drutem kolczastym. Romantyczna kolacja we dwoje... tylko ona i Julij... a potem może nawet...

– Przepraszam, kochanie – powiedział Julij i zatrzymał się na najwyższym stopniu schodów prowadzących do teatru.

– Co takiego, mój miły? – zapytała zaniepokojona Larissa.

– Nie... nic... tylko... Widzisz tego mężczyznę z plakatem? Muszę się przyjrzeć... To przecież nie może być... ale muszę... Przecież on nie żyje!

– Kto nie żyje, kochanie?

– Chodź! – powiedział Julij, sunąc z żoną w dół schodów.

Zatrzymał się trzy metry od Allana i spróbował zmusić mózg do przyswojenia tego, co jego oczy już zarejestrowały. Allan zauważył głupkowato gapiącego się na niego dawnego przyjaciela, opuścił plakat i powiedział:

– Dobra była Birgit?

Julij nadal nic nie mówił, ale jego żona szepnęła mu do ucha, czy to ten mężczyzna był zdaniem jej małżonka martwy. Allan odpowiedział za Julija, że martwy nie jest, ale bardzo zimny, i jeśli państwo Popowowie chcą mieć pewność, że nie zamarznie na śmierć, najlepiej będzie, jeśli zaprowadzą go do restauracji, gdzie będzie się mógł napić wódki, a może nawet coś zjeść.

– To naprawdę ty... – wydusił z siebie w końcu Julij. – Ale... mówisz po rosyjsku...?

– Tak, chodziłem na pięcioletni kurs twojego języka ojczystego zaraz po tym, jak się ostatnio widzieliśmy – powiedział Allan. – Szkoła nazywała się obóz pracy. Jak będzie z tą wódką?

Julij Borysowicz był prawym mężczyzną i przez dwadzieścia jeden lat męczyło go sumienie, że nieumyślnie wysłał Szweda przez Moskwę do Władywostoku, gdzie ten prawdopodobnie – o ile nie jeszcze wcześniej – zginął w pożarze, o którym wiedzieli wszyscy oczytani Rosjanie. Cierpiał przez dwadzieścia jeden lat, zwłaszcza że od razu polubił Szweda i jego, jak się zdawało, nieskończony optymizm.

Teraz Julij Borysowicz stał przed Teatrem Bolszoj w Moskwie na piętnastostopniowym mrozie po rozgrzewającym serce przedstawieniu operowym i... Nie, nie mógł w to uwierzyć. Allan Emmanuel Karlsson przeżył. I nadal żył. I stał przed Julijem w tym właśnie momencie. W środku Moskwy. I mówił po rosyjsku!

Julij Borysowicz od czterech dziesięcioleci był mężem Larissy Aleksandrowny; byli razem bardzo szczęśliwi. Nie mieli dzieci, ale ich wzajemna zażyłość nie znała granic. Dzielili szczęście i nieszczęście, Julij nie raz w obecności żony wyrażał ubolewanie nad losem Allana Emmanuela Karlssona. A teraz, gdy Julij nadal próbował przyswoić w mózgu to, co zarejestrowały oczy, Larissa Aleksandrowna przejęła dowodzenie.

– Jeśli dobrze rozumiem, to twój dawny przyjaciel, ten, którego pośrednio wysłałeś na śmierć. A gdybyśmy tak, drogi Juliju, zrobili, jak sobie życzy, i w mgnieniu oka zabrali go do restauracji na wódkę, zanim naprawdę umrze?

Julij nie odpowiedział, tylko skinął głową i dał się prowadzić żonie do czekającej limuzyny, gdzie posadzono go koło jego do niedawna martwego kolegi, a małżonka powiedziała do szofera:

– Do restauracji Puszkin, proszę.

Potrzeba było dwóch porządnych kieliszków, żeby Allan odtajał, i kolejnych dwóch, żeby Julij znów zaczął myśleć jak człowiek. W tym czasie Allan i Larissa zaznajomili się ze sobą.

Gdy Julij w końcu wrócił do zmysłów, a szok zmienił się w radość („Musimy to uczcić!"), Allan stwierdził, że pora przejść do sedna. Jeśli ma się coś do powiedzenia, najlepiej od razu to powiedzieć.

– Co powiesz na bycie szpiegiem? – spytał Allan. – Sam nim jestem i w sumie to całkiem ekscytujące.

Julij zachłysnął się piątym kieliszkiem i wykaszlał go ponad stołem.

– Szpiegiem? – powtórzyła Larissa, gdy mąż nadal kaszlał.

– Tak, albo agentem. Tak naprawdę to nie widzę różnicy.

– Interesujące! Opowiedz, proszę, więcej, Allanie Emmanuelu.

– Nie, nie rób tego, Allan – wykaszlał Julij. – Nie rób tego! Nie chcemy wiedzieć więcej!

– Nie gadaj głupot, kochany Juliju – powiedziała Larissa. – Twój przyjaciel może chyba opowiedzieć o swojej pracy, skoro się tak długo nie widzieliście. Mów dalej, Allanie Emmanuelu.

Allan mówił dalej i Larissa słuchała z zainteresowaniem, natomiast Julij ukrył twarz w dłoniach. Allan opowiedział o kolacji z prezydentem Johnsonem i Huttonem z CIA oraz o spotkaniu następnego dnia, kiedy to Hutton zaproponował, aby Allan pojechał do Moskwy i dowiedział się, jak ma się sprawa z radzieckimi pociskami odrzutowymi.

Alternatywą Allana było pozostanie w Paryżu, gdzie z pewnością każdego dnia miałby pełne ręce roboty z przeszkadzaniem pani ambasador i jej mężowi w wywoływaniu

kryzysów dyplomatycznych, którzy chlapaliby ozorem na lewo i prawo. Ponieważ Amanda i Herbert to dwie osoby, a Allan nie mógłby się znajdować w dwóch miejscach jednocześnie, przyjął propozycję Huttona. Wydawało mu się to po prostu spokojniejsze. Poza tym miło byłoby spotkać Julija po tylu latach.

Julij nadal krył twarz w dłoniach, ale spoglądał na Allana jednym okiem spomiędzy palców. Czyżby usłyszał nazwisko Herberta Einsteina? Julij pamiętał go i byłaby to nader dobra wiadomość, gdyby także Herbert przeżył porwanie i obóz, na który skazał go Beria.

Owszem, potwierdził Allan. I w skrócie opowiedział o dwudziestu latach spędzonych z Herbertem; o tym, jak przyjaciel na początku chciał tylko umrzeć, ale zanim w końcu tak się stało, rok temu nagle i znienacka, kiedy Herbert miał siedemdziesiąt sześć lat, zupełnie zmienił zdanie na ten temat. Pozostawił po sobie odnoszącą sukcesy żonę, dyplomatkę w Paryżu, oraz dwoje nastoletnich dzieci. Ostatnie raporty ze stolicy Francji donosiły, że rodzina dobrze zniosła jego śmierć, a pani Einstein stała się ulubienicą ważnych osobistości. Wprawdzie jej francuski był bardzo słaby, ale to tylko dodawało jej uroku, zdarzało się jej powiedzieć takie głupstwa, których zapewne nie mogła mieć na myśli.

– Ale teraz to naprawdę wydaje mi się, że odeszliśmy od tematu – powiedział Allan. – Zapomniałeś odpowiedzieć na moje pytanie. Nie zostałbyś szpiegiem dla odmiany?

– No proszę cię, Allanie Emmanuelu. To niedorzeczne! Jestem bardziej odznaczony za zasługi dla ojczyzny niż którykolwiek inny cywil w najnowszej historii Związku Radzieckiego. To całkowicie

wykluczone, żebym został szpiegiem! – powiedział Julij, podnosząc szósty kieliszek do ust.

– Nie mów tak, kochany Juliju – upomniała go Larissa, powodując, że szósty kieliszek poszedł w ślady piątego.

– Nie lepiej będzie, jeśli będziesz pił swoją gorzałkę, zamiast pluć nią na ludzi? – spytał przyjaźnie Allan.

Larissa Popowa rozwinęła swoją myśl, podczas gdy mąż powrócił do poprzedniej pozycji. Larissa powiedziała, że oboje niedługo skończą sześćdziesiąt pięć lat i co właściwie zawdzięczają Związkowi Radzieckiemu? Rzeczywiście, męża przyozdobiono pięknie i potrójnie medalami, co skutkowało najlepszymi miejscami w operze, ale poza tym?

Larissa nie czekała na odpowiedź męża, tylko mówiła dalej, że oboje są zamknięci w Arzamas-16, mieście, którego sama nazwa każdego wpędza w depresję. Owszem, Larissa wie, że mogą opuszczać miasto i wracać do niego, kiedy chcą, ale niech Julij nie przerywa, bo jeszcze nie skończyła.

Dla kogo Julij tak się zaharowuje całymi dniami? Najpierw dla Stalina, który nie był całkiem normalny, potem dla Chruszczowa, którego jedynym ludzkim odruchem było skazanie na śmierć marszałka Berii, a teraz dla Breżniewa, który śmierdzi!

– Larissa! – wykrzyknął Julij przerażony.

– Nie larissuj mi tu, drogi Juliju. Że Breżniew śmierdzi, to twoje własne słowa.

I mówiła dalej, że Allan Emmanuel pojawił się jak na zamówienie, bo ostatnio była coraz bardziej zasmucona myślą, że przyjdzie jej umrzeć za drutem kolczastym w mieście, które oficjalnie nie istnieje. Czy Larissa i Julij będą chociaż mieli

prawdziwe nagrobki? Czy może tam też potrzeba kodu, na wszelki wypadek?

– Tu spoczywa towarzysz X i jego wierna małżonka Y – powiedziała Larissa.

Julij nie odpowiedział. Być może jego ukochana żona miała trochę racji. Larissa zakończyła swój wywód:

– Więc dlaczego by nie poszpiegować razem ze swoim przyjacielem, a potem z jego pomocą uciec do Nowego Jorku, aby tam chodzić do Metropolitan co wieczór? Pożyjemy sobie, drogi Juliju, tuż przed śmiercią.

Julij wyglądał na zrezygnowanego, a Allan kontynuował temat, wyjaśniając bardziej szczegółowo całą sprawę. Jak już wspomniał, spotkał na swych krętych drogach pana Huttona w Paryżu, który był blisko prezydenta Johnsona, a poza tym miał wysoką pozycję w CIA.

Gdy Hutton usłyszał, że Allan znał kiedyś Julija Borysowicza i że Julij prawdopodobnie jest mu winny przysługę, obmyślił plan.

Allan nie słuchał zbytnio, jakie były aspekty polityczne planu, bo z Allanem jest tak, że jeśli ludzie gadają o polityce, on przestaje słuchać. Dzieje się to jakby automatycznie.

Radziecki fizyk jądrowy wrócił do zmysłów i kiwał głową ze zrozumieniem. Polityka nie była też jego ulubioną dziedziną, w żadnym wypadku. Był oczywiście socjalistą, całym sercem i duszą, ale gdy ktoś poprosił go o rozwinięcie tematu, miał problem.

Allan szczerze próbował dalej streścić to, co powiedział tajny doradca Hutton. Mówił coś o tym, że Związek Radziecki zaatakuje Stany Zjednoczone bronią jądrową, albo że nie zaatakuje.

Julij znów pokiwał głową i zgodził się, że pewnie tak jest. Albo tak, albo tak, z tym trzeba się liczyć.

Potem Hutton, o ile Allan dobrze pamiętał, wyraził niepokój co do konsekwencji, jakie spowodowałaby agresja Związku Radzieckiego na Stany Zjednoczone. Bo nawet jeśli arsenał broni atomowej Związku Radzieckiego nie byłby większy od tego, jaki wystarczy do zniszczenia Stanów Zjednoczonych, to już i tak kiepsko, uważał Hutton.

Julij Borysowicz pokiwał głową po raz trzeci i powiedział, że byłoby to straszne dla ludności Ameryki, gdyby zniszczono Stany Zjednoczone.

Ale jak Hutton doszedł do końcowego równania, tego Allan nie umiał powiedzieć. Z jakiegoś powodu chciał jednak wiedzieć, jak wygląda radziecki arsenał, bo gdyby to wiedział, mógłby zaproponować prezydentowi Johnsonowi rozpoczęcie negocjacji ze Związkiem Radzieckim na temat rozbrojenia atomowego. Chociaż Johnson nie jest już prezydentem, więc... nie, Allan nie wiedział. Z polityką było bowiem tak, że nie tylko była niepotrzebna, ale niekiedy także niepotrzebnie zawiła.

Julij był wprawdzie dyrektorem technicznym arsenału atomowego Związku Radzieckiego i wiedział wszystko o jego strategii, geografii i sile, ale w ciągu dwudziestu trzech lat w służbie programu nigdy nie pomyślał – ani też nie miał takiej potrzeby – o polityce. Była to sytuacja, która odpowiadała Julijowi i jego zdrowiu. Przez wszystkie lata przeżył przecież trzech różnych przywódców i marszałka Berię. Niewielu dane było przeżyć tak długo i zachować wysoką pozycję.

Julij był świadomy poświęceń, jakich dla niego dokonała Larissa. Teraz – gdy wreszcie zasługiwali na emeryturę i daczę nad Morzem Czarnym – stopień jej poświęcenia był większy niż kiedykolwiek. Nigdy nie narzekała. Nigdy przenigdy. Dlatego tym bardziej słuchał jej, gdy mówiła:

– Kochany, drogi Juliju. Przyczyńmy się trochę wraz z Allanem Emmanuelem do pokoju na świecie, a potem przeprowadźmy się do Nowego Jorku. Twoje medale Breżniew może dostać z powrotem i wsadzić je sobie w tyłek.

Julij poddał się i przystał na cały plan (poza medalami w tyłku), i wkrótce Allan i Julij zgodzili się co do tego, że prezydent Nixon niekoniecznie musi usłyszeć prawdę, wystarczy coś, co go uszczęśliwi. Bo szczęśliwy Nixon może uszczęśliwić Breżniewa, a jeśli obaj będą szczęśliwi, nie może przecież być z tego wojny?

Allan właśnie zwerbował szpiega dzięki plakatowi w miejscu publicznym, w kraju z najbardziej efektywnym systemem kontroli. Zarówno wojskowy kapitan GRU, jak i cywilny dyrektor KGB byli na miejscu w Teatrze Bolszoj tamtego wieczoru, wraz z małżonkami. Obaj, podobnie jak wszyscy inni, zauważyli mężczyznę z plakatem na najniższym stopniu schodów. Obaj byli w branży za długo, aby zawiadomić o tym kolegów na służbie. Ten, kto knuł coś przeciw rewolucji, nie obnosił się z tym w ten sposób.

Nikt nie mógłby być taki głupi.

Zresztą w restauracji, gdzie wieczorem dokonano rekrutacji, znajdowała się garść mniej lub bardziej profesjonalnych informatorów KGB i GRU. Przy dziewiątym stoliku jakiś

mężczyzna pluł wódką nad jedzeniem, krył twarz w dłoniach, wymachiwał ramionami, przewracał oczami i został ofuknięty przez żonę. To znaczy, zupełnie normalne rosyjskie zachowanie w restauracji, niewarte zanotowania.

W ten oto sposób pozwolono, aby politycznie głuchy agent amerykański przygotowywał globalne strategie pokojowe wraz ze ślepym politycznie radzieckim dyrektorem technicznym arsenału atomowego – bez wiedzy KGB i GRU. Gdy europejski szef CIA w Paryżu, Ryan Hutton, dowiedział się, że proces rekrutacji zakończył się pozytywnie i wkrótce rozpocznie się współpraca, powiedział do siebie, że ten cały Karlsson jest chyba bardziej profesjonalny, niż się z początku wydawało.

* * *

Teatr Bolszoj odświeżał swój repertuar jakieś trzy, cztery razy w roku. Poza tym zwykle raz do roku odbywały się występy gościnne, jak ten z Wiednia.

Tym sposobem Allan i Julij mieli kilka okazji rocznie, aby w pełnej dyskrecji spotkać się w apartamencie hotelowym Julija i Larissy i spreparować dla CIA odpowiednią informację na temat broni atomowej. Mieszali fantazję z rzeczywistością w taki sposób, aby informacja z perspektywy amerykańskiej była zarówno wiarygodna, jak i krzepiąca.

Jedną z konsekwencji tajnych raportów Allana było to, że sztab prezydenta Nixona na początku lat siedemdziesiątych zaczął pracować nad doprowadzeniem do spotkania na szczycie z Moskwą na temat obustronnego rozbrojenia. Nixon czuł się

pewnie z tym, że Stany Zjednoczone są silniejsze niż Związek Radziecki.

Sekretarz generalny Breżniew ze swej strony nie był negatywnie nastawiony do projektu rozbrojenia, bo jego służby specjalne donosiły, że Związek Radziecki jest silniejszy niż Stany Zjednoczone. To, co jednak komplikowało sprawę, to fakt, że sprzątaczka z działu wywiadu CIA sprzedała GRU nader dziwne informacje. Natrafiła na dokumenty, wysłane z paryskiego biura CIA, z których wynikało, że CIA ma szpiega ulokowanego wewnątrz radzieckiego programu nuklearnego. Problem w tym, że ta informacja się nie zgadzała. Cała sprawa była zawiła i wymagała zastanowienia. A w każdym razie należało zlokalizować szpiega.

Pierwszym działaniem Breżniewa było wezwanie dyrektora technicznego arsenału atomowego, bezwzględnie lojalnego Julija Borysowicza Popowa, i poproszenie go o analizę, skąd mogła się wziąć ta dezinformacja Amerykanów. Nawet jeśli dane CIA mocno zaniżały możliwości atomowe Związku Radzieckiego, musiał je sformułować ktoś wtajemniczony. Stąd potrzeba pomocy eksperta Popowa.

Popow przeczytał to, co spreparował ze swym przyjacielem Allanem, i wzruszył ramionami. Jego zdaniem mógł to napisać byle jaki student po przejrzeniu literatury w bibliotece. Towarzysz Breżniew nie ma się czego obawiać, o ile towarzysz Breżniew pozwoli prostemu fizykowi wyrazić zdanie na ten temat.

Owszem, to dlatego przecież Breżniew wezwał Julija Borysowicza. Podziękował serdecznie dyrektorowi technicznemu

za pomoc i przekazał pozdrowienia dla Larissy Aleksandrowny, uroczej małżonki Julija Borysowicza.

* * *

Podczas gdy KGB bez potrzeby zaczęło dyskretnie obserwować czytelników literatury na temat broni jądrowej w dwustu radzieckich bibliotekach, Breżniew nadal rozmyślał nad tym, jak się ustosunkować do nieoficjalnych propozycji Nixona. Aż do dnia, gdy – o zgrozo! – Nixon został zaproszony do Chin przez grubasa Mao Zedonga! Tuż przed tym Breżniew i Mao wysłali się nawzajem do wszystkich diabłów, a tu nagle pojawia się ryzyko, że Chiny i Stany Zjednoczone stworzą nieświęte przymierze przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Oczywiście nie można do tego dopuścić!

Dlatego następnego dnia Richard Milhous Nixon, prezydent Stanów Zjednoczonych, otrzymał oficjalne zaproszenie do odwiedzenia Związku Radzieckiego. Potem nastąpiła ciężka praca za kulisami i w końcu Nixon i Breżniew nie tylko podali sobie ręce, ale także podpisali dwa traktaty o rozbrojeniu; jeden dotyczył systemów antybalistycznych (ABM), drugi – zbrojeń strategicznych (SALT). Ponieważ podpisanie umów odbyło się w Moskwie, Nixon skorzystał z okazji, aby uścisnąć w ambasadzie amerykańskiej dłoń agenta, który tak popisowo zaopatrzył go w informacje o radzieckich możliwościach atomowych, i podziękować mu.

– Nie ma za co, panie prezydencie – powiedział Allan. – Czy zaprosi mnie pan teraz na kolację? Zwykle tak robią.

– Kto tak robi? – zapytał zdziwiony prezydent.

– Hmm, ci, co są zadowoleni... – odparł Allan. – Franco, i Truman, i Stalin... i przewodniczący Mao... który właściwie nie podał nic poza chińskim makaronem... ale było już późno... a szwedzki premier Erlander zaoferował tylko kawę. W sumie i tak nieźle, to przecież były czasy reglamentacji i tak dalej...

Na szczęście prezydent Nixon wiedział o przeszłości agenta, więc ze spokojem poinformował tylko, że niestety na kolację z panem Karlssonem nie wystarczy mu czasu. Ale dodał, że amerykański prezydent nie może być gorszy od szwedzkiego premiera, więc na pewno zdąży wypić z nim kawę, a do tego koniak. Od razu, jeśli Karlssonowi pasuje?

Allan podziękował za zaproszenie i zapytał, czy w grę wchodzi podwójny koniak, jeśli zrezygnuje z kawy. Nixon odrzekł, że amerykański budżet prawdopodobnie zniesie i jedno, i drugie.

Panowie spędzili razem miłą godzinę. Na tyle, na ile miłe mogło być dla Allana to, że prezydent Nixon upierał się przy rozmawianiu o polityce. Chciał się dowiedzieć, jak wygląda gra polityczna w Indonezji. Bez wymieniania Amandy z nazwiska, Allan z detalami opowiedział, jak się tam robi karierę polityczną. Prezydent Nixon słuchał uważnie i sprawiał wrażenie zamyślonego.

– Interesujące – powiedział. – Interesujące.

* * *

Allan i Julij byli zadowoleni ze współpracy i rozwoju wydarzeń. Zdawało się też, że KGB i GRU zaprzestały poszukiwań szpiega, a to podobało się Allanowi i Julijowi. Albo, jak to wyraził Allan:

– Lepiej, jak dwie mordercze organizacje nie depczą nam po piętach, niż jak depczą.

I zaproponował, żeby przestali się zajmować KGB, GRU i innymi skrótami, z którymi i tak nie ma co zrobić. Najwyższa pora wymyślić kolejny raport dla Huttona i jego prezydenta. *Znacząca korozja sprzętu w bazie wojskowej na Kamczatce*, może tym mogliby się teraz zająć?

Julij pochwalił fantazję Allana. Ułatwiała pisanie raportów. Tym samym mieli więcej czasu na jedzenie, picie i wzajemne towarzystwo.

* * *

Richard M. Nixon miał jak najbardziej powody do zadowolenia. Do czasu, gdy przestał je mieć.

Ludność amerykańska kochała swojego prezydenta i w 1972 roku wybrała go ponownie z wielkim hukiem. Wygrał w czterdziestu dziewięciu stanach, George McGovern zaledwie w jednym.

Ale wszystko się pogmatwało. I jeszcze bardziej się pogmatwało. W rezultacie Nixon musiał zrobić to, czego żaden inny amerykański prezydent wcześniej nie zrobił.

Musiał podać się do dymisji.

Allan czytał o tak zwanej aferze Watergate we wszelkiej dostępnej prasie w bibliotece miejskiej w Moskwie. W skrócie Nixon dokonał oszustw podatkowych, przyjął nielegalne wsparcie kampanii, wydał rozkaz tajnych bombardowań, prześladował wrogów politycznych, zlecał włamania i podsłuchy. Allan pomyślał, że rozmowa nad podwójnym koniakiem musiała zrobić

wrażenie na prezydencie. I powiedział do zdjęcia Nixona w gazecie: Mogłeś postawić na karierę w Indonezji. Tam mógłbyś zajść daleko.

* * *

Mijały lata. Nixona zastąpił Gerald Ford, a potem nastał Jimmy Carter. Tymczasem Breżniew nadal miał się dobrze. Podobnie jak Allan, Julij i Larissa. Spotykali się pięć, sześć razy w roku i za każdym razem równie dobrze się bawili. Spotkania zawsze owocowały idealnie spreparowanym raportem na temat aktualnego stanu radzieckiej broni jądrowej. Allan i Julij z czasem zaczęli zaniżać radzieckie możliwości, bo zauważyli, o ile bardziej zadowoleni stawali się Amerykanie (oprócz prezydenta, najwyraźniej) i o ile lepsze stosunki panowały między przywódcami obu państw.

Ale żadne szczęście nie trwa zbyt długo.

Pewnego dnia, tuż po podpisaniu traktatu SALT II, Breżniew stwierdził, że Afganistan potrzebuje jego pomocy. Wysłał tam swoje elitarne wojska, a te od razu zabiły prezydenta, więc Breżniew nie miał wyjścia, jak tylko obrać jego następcę.

Prezydent Carter oczywiście się pogniewał (mówiąc delikatnie) na Breżniewa. Przecież nie zdążył jeszcze wyschnąć atrament na drugim traktacie SALT. Dlatego Carter zorganizował bojkot olimpiady w Moskwie, a także zwiększył wsparcie CIA dla afgańskich bojowników – mudżahedinów.

Niewiele więcej zdążył zrobić Carter, bo władzę przejął Ronald Reagan, który był znacznie bardziej szorstki wobec komunistów, a zwłaszcza starego piernika Breżniewa.

– Ten cały Reagan wydaje się mieć strasznie nerwową naturę – powiedział Allan do Julija podczas pierwszego spotkania między szpiegiem a agentem, odkąd nowy prezydent objął władzę.

– Tak – odparł Julij. – Niedługo nie będziemy już mogli umniejszać radzieckiego arsenału atomowego, bo nic z niego nie zostanie.

– W takim razie proponuję, żebyśmy zrobili odwrotnie – powiedział Allan. – Wtedy Reagan trochę zmięknie, zobaczysz.

Kolejny raport szpiegowski dla Stanów Zjednoczonych, wysłany przez Huttona przebywającego w Paryżu, donosił o sensacyjnej radzieckiej ofensywie, jeśli chodzi o pociski rakietowe. Fantazja Allana sięgnęła przestrzeni kosmicznej. To stamtąd, jak wymyślił Allan, pociski rakietowe Związku Radzieckiego będą mogły bronić tych obiektów na Ziemi, które zaatakują Stany Zjednoczone.

Tym sposobem politycznie głuchy agent Allan i politycznie ślepy rosyjski dyrektor arsenału atomowego Julij zapoczątkowali upadek Związku Radzieckiego. Tajny raport, który złożył Allan, nakręcił bowiem Ronalda Reagana do natychmiastowego rozpoczęcia Strategic Defense Initiative, potocznie zwanej Star Wars. Opis projektu, satelit z działami laserowymi, był niemal kopią tego, co kilka miesięcy wcześniej wymyślili Allan i Julij w pokoju hotelowym w Moskwie pod wpływem, jak sami uważali, „w sam raz” ilości wódki. Amerykański budżet na obronę antybalistyczną sięgnął tym samym także kosmosu. Związek Radziecki próbował odpowiedzieć tym samym, nie mając na to środków. Kraj zaczął chylić się ku upadkowi.

Nie da się stwierdzić, czy to z szoku pod wpływem nowej amerykańskiej ofensywy militarnej, czy czegoś innego, ale 10

listopada 1982 roku Breżniew zmarł na atak serca. Następnego wieczoru Allan, Julij i Larissa akurat byli umówieni na jedno ze swoich tajnych spotkań.

– Nie pora skończyć z tymi głupotami? – zapytała Larissa.

– O tak, teraz kończymy z tymi głupotami – powiedział Julij.

Allan pokiwał głową i zgodził się, że wszystko musi mieć kiedyś swój koniec, a przede wszystkim głupoty, i że to chyba znak z nieba, że mają się wycofać, zanim Breżniew zacznie śmierdzieć jeszcze bardziej niż zwykle.

Dodał też, że już następnego ranka zamierza zadzwonić do Ryana Huttona. Trzynaście i pół roku w służbie CIA musi wystarczyć; co prawda, większość była fikcją, ale to inna sprawa. Cała trójka uważała, że to powinno pozostać tajemnicą dla Huttona i jego cholerycznego prezydenta.

Teraz CIA musiała zadbać o to, aby zabrać Julija i Larissę do Nowego Jorku, jak obiecali. Allan natomiast myślał nad tym, żeby zajrzeć i zobaczyć, jak się ma stara Szwecja.

* * *

CIA i Ryan Hutton dotrzymali obietnicy. Julij i Larissa zostali przewiezieni do Stanów Zjednoczonych, przez Czechosłowację i Austrię. Przydzielono im mieszkanie na Sześćdziesiątej Czwartej Zachodniej na Manhattanie oraz roczną pensję, która grubo przekraczała potrzeby małżonków. Nie było to zresztą zbyt wielkim wydatkiem dla CIA, bo w styczniu 1984 roku najpierw zmarł we śnie Julij, a trzy miesiące później jego Larissa, z tęsknoty. Oboje dożyli siedemdziesięciu dziewięciu lat, a ich najszczęśliwszym rokiem był rok 1983, gdy Metropolitan

świętowała swoje stulecie, z całym szeregiem niezapomnianych dla pary przeżyć.

Allan spakował walizkę w moskiewskim mieszkaniu i poinformował wydział administracyjny ambasady amerykańskiej, że rezygnuje na dobre. To wtedy kancelaria odkryła, że urzędnik Allen Carson z niewiadomych przyczyn nie otrzymywał nic więcej poza dietami, wypłacanymi przez trzynaście lat i pięć miesięcy jego służby.

– Nie zauważył pan, że nigdy nie dostał pensji? – zapytał Allana pracownik kancelarii.

– Nie – odparł Allan. – Mało jem, a wódka jest tania. Uważałem, że wystarcza mi to, co mam.

– Przez trzynaście lat?

– Tak. I pomyśleć, jak ten czas szybko leci.

Pracownik kancelarii popatrzył dziwnie na Allana i obiecał, że pieniądze zostaną wypłacone w formie czeku, jak tylko pan Carson, czy jak się tam naprawdę nazywa, zgłosi się do ambasady amerykańskiej w Sztokholmie.

ROZDZIAŁ 27

Piątek, 27 maja – czwartek, 16 czerwca 2005

Amanda Einstein nadal żyła. Miała teraz osiemdziesiąt cztery lata i mieszkała w apartamencie luksusowego hotelu na Bali, którego właścicielem i szefem był jej najstarszy syn Allan.

Allan Einstein miał pięćdziesiąt jeden lat i bystry umysł, podobnie jak jego o rok młodszy brat Mao. Podczas gdy Allan został ekonomistą (naprawdę), a także dyrektorem hotelu (dostał go od mamy w dniu czterdziestych urodzin), młodszy brat Mao postawił na zawód inżyniera. Jego kariera nie rozwijała się najlepiej, bo Mao był z natury bardzo dokładny. Został zatrudniony w największej w Indonezji spółce naftowej, aby dbać o jakość produkcji. Błędem Mao było to, że dobrze wykonywał swoją pracę. Średni management przedsiębiorstwa już nie mógł bogacić się z łapówek przy przetargach na naprawy, bo nie potrzebowano przetargów na naprawy. Efektywność firmy wzrosła o trzydzieści pięć procent, a Mao Einstein był najmniej lubianym pracownikiem. Gdy prześladowania ze strony kolegów przeszły w bezpośrednie groźby, Mao Einstein pomyślał, że ma dość, i przyjął posadę w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Szybko podniósł efektywność w tamtejszej firmie, podczas gdy

indonezyjskie przedsiębiorstwo wkrótce wróciło do poprzedniego poziomu.

Amanda była nieskończenie dumna ze swoich obu synów, ale nie mogła pojąć, jak mogą być tacy zdolni. Herbert wspomniał kiedyś o tym, że są w jego rodzinie dobre geny, ale nie pamiętała dokładnie, o co chodziło.

Tak czy siak Amanda była przeszczęśliwa, gdy zadzwonił Allan, i serdecznie zaprosiła go wraz z przyjaciółmi na Bali. Zaraz pomówi o tym z Allanem juniorem, przecież może pozbyć się kilku gości, gdyby akurat cały hotel był zajęty. Zadzwoni też do Mao do Abu Zabi i każe mu przyjechać do domu na urlop. Oczywiście w hotelu serwuje się drinki, zarówno z parasolkami, jak i bez nich. Amanda obiecuje, że nie będzie się bawić w kelnerkę.

Allan powiedział, że wkrótce się tam pojawią, a potem dodał kilka krzepiących słów, mówiąc, że nie sądzi, aby jakakolwiek inna osoba na świecie zaszła tak daleko z tak ograniczonym rozumem jak Amanda. Pani Einstein zakręciła się łezka w oku, kiedy usłyszała tak jej zdaniem piękne słowa.

– Pospieszcie się, kochany Allanie. Pospieszcie się!

* * *

Prokurator Ranelid rozpoczął popołudniową konferencję prasową od smutnej informacji dotyczącej policyjnego psa. Kicki wskazywała, że na drezynie w Åkers Styckebruk musiały się znajdować zwłoki, co doprowadziło do szeregu przypuszczeń ze strony prokuratora – właściwych, biorąc pod uwagę znaki dawane przez psa, ale jakże niewłaściwych.

Jednak okazało się, że pies niewiele wcześniej zwariował i tym samym nie można na niego liczyć. Krótko mówiąc, we wskazanym miejscu nigdy nie było żadnych zwłok.

Do prokuratury właśnie dotarła wiadomość, że pies został uśpiony, co zdaniem prokuratora Ranelida było słuszną decyzją właściciela Kicki (tego, że absolutnie żywa, pod innym imieniem, właśnie była w drodze do brata przewodnika, do Härjedalen, prokurator nigdy się nie dowiedział).

Prokurator ubolewał także nad faktem, że policja z Eskilstuny nie poinformowała go o nowej, jak najbardziej prawej, religijnej działalności Never Again. Wiedząc o tym, oskarżyciel wydałby oczywiście zupełnie inne polecenia co do dalszego postępowania w śledztwie. Wnioski, jakie wyciągnął, wzięły się, po pierwsze, z niewłaściwych znaków dawanych przez szalonego psa, po drugie, z dostarczonej przez policję błędnej informacji, za co prokurator Ranelid, w imieniu policji, chciałby przeprosić.

Jeśli chodzi o sprawę śmierci Henrika „Hultaja" Hulténa, którego ciało znaleziono w Rydze, zostanie wszczęte nowe śledztwo. Natomiast sprawa śmierci Bengta „Bolca" Bylunda została zamknięta. Istniały mianowicie silne poszlaki, wskazujące na to, że Bylund wstąpił do Legii Cudzoziemskiej, a ponieważ ochotnicy wstępują do Legii pod pseudonimami, trudno to będzie sprawdzić. Jest jednak nader prawdopodobne, że przed kilkoma dniami Bylund stał się jedną z ofiar ataku terrorystycznego w centrum Dżibuti.

Prokurator w szczegółach opowiedział o rozmowie, jaką przeprowadził z poszukiwanymi, i pokazał egzemplarz Biblii, który rano dostał od Bossego Ljungberga. Dziennikarze chcieli

wiedzieć, gdzie mogą znaleźć Allana Karlssona i jego przyjaciół, aby usłyszeć ich wersję wydarzeń, ale tego prokurator Ranelid nie wyjawił (nie miał najmniejszego interesu w tym, żeby zgrzybiały dziad opowiadał prasie o Churchillu i Bóg wie czym jeszcze). Następnie uwaga dziennikarzy została skierowana na sprawę Hultaja Hulténa. Przypuszczano przecież, że został zamordowany, a wcześniej podejrzani już nie są podejrzani. Kto więc zamordował Hulténa?

Ranelid miał nadzieję, że ten temat nie wypłynie, ale teraz musiał podkreślić, że natychmiast po konferencji prasowej zostanie wszczęte śledztwo i że powróci do sprawy.

Ku jego zaskoczeniu dziennikarze zadowolili się taką odpowiedzią. Prokurator Ranelid i jego kariera przetrwali ten dzień.

* * *

Amanda Einstein poprosiła Allana i jego przyjaciół, aby pospieszyli się z przyjazdem na Bali, co w zupełności zgadzało się z planami grupy. Ani się obejrzą, gdy jakiś bystry dziennikarz dotrze do Klockaregård, a wtedy najlepiej byłoby, żeby nikogo tu nie zastał. Allan zrobił swoje, kontaktując się z Amandą. Reszta należała do Ślicznotki.

W pobliżu Klockaregård znajduje się lotnisko wojskowe Såtenäs, a na nim stacjonuje samolot typu Hercules, który z łatwością pomieściłby słonia, a nawet dwa. Ten samolot nieraz przelatywał z hukiem nad Kolckaregård, niemal śmiertelnie przerażając słonia i stąd Ślicznotce przyszedł do głowy pewien pomysł.

Gunilla porozmawiała z pułkownikiem z lotniska wojskowego Såtenäs, ale ten okazał się formalistą. Chciał zobaczyć wszelkie możliwe zaświadczenia i pozwolenia, zanim w ogóle pomyśli o udzieleniu pomocy w transporcie międzykontynentalnym grupie osób i zwierząt. Potrzebne było zaświadczenia Szwedzkiego Urzędu do spraw Rolnictwa. Wymagano także co najmniej czterech międzylądowań, w trakcie których lekarze weterynarii skontrolowaliby stan zwierząt. W przypadku słonia potrzeba co najmniej dwunastu godzin odpoczynku na każde międzylądowanie.

– Do diabła z tą szwedzką biurokracją – powiedziała Ślicznotka i zadzwoniła do Lufthansy do Monachium.

Tam spotkała się z dużo większą chęcią współpracy. Oczywiście mogą zabrać słonia i kilku pasażerów, w tym wypadku z Landvetter pod Göteborgiem, i oczywiście mogą przetransportować wszystkich do Indonezji. Jedyne, czego potrzeba, to akt własności słonia oraz dyplomowany weterynarz na pokładzie. A także – rzecz jasna – dokumenty wizowe pozwalające na wjazd do Indonezji, zarówno dla ludzi, jak i zwierząt. Pod takimi warunkami administracja linii lotniczych mogła zaplanować podróż w ciągu najbliższych trzech miesięcy.

– Do diabła z tą niemiecką biurokracją – powiedziała Ślicznotka i zadzwoniła bezpośrednio do Indonezji.

Zajęło to chwilę, bo w Indonezji jest pięćdziesiąt jeden różnych linii lotniczych i nie wszystkie mają anglojęzyczny personel obsługujący linie telefoniczne, ale Ślicznotka się nie poddawała i w końcu jej się udało. W Palembang, na Sumatrze, znajdowała się firma transportowa, która za sensowne wynagrodzenie

z chęcią wybrałaby się do Szwecji i z powrotem. Miała do tego celu boeinga 747 niedawno zakupionego od armii azerbejdżańskiej (na szczęście było to, zanim Unia Europejska umieściła na czarnej liście niektóre indonezyjskie linie lotnicze i ze względów bezpieczeństwa zabroniła im lądować w Europie). Spółka obiecała załatwić formalności ze Szwecją, natomiast zamawiający mieli załatwić pozwolenie na lądowanie na Bali. Weterynarz? A po co?

Pozostawało tylko uregulować zapłatę. Cena zdążyła wzrosnąć o dwadzieścia procent, zanim Ślicznotka, wykorzystując do maksimum swój zasób słownictwa, zdołała przekonać spółkę, aby przyjęła zapłatę w koronach szwedzkich po przybyciu do Szwecji.

Podczas gdy indonezyjski boeing wystartował i zaczął lot w kierunku Szwecji, przyjaciele znów się naradzali. Benny i Julius dostali zadanie sfałszowania pewnych papierów, którymi mogliby pomachać przed oczami czepialskiemu personelowi lotniska Landvetter, a Allan obiecał załatwić pozwolenie na lądowanie na Bali.

* * *

Oczywiście było trochę problemów na lotnisku pod Göteborgiem, ale Benny miał nie tylko podrobioną legitymację lekarza weterynarii, ale także umiejętność rzucenia kilku fachowych terminów. To wszystko, w połączeniu z aktem własności i zaświadczeniem lekarskim o dobrym stanie zdrowia słonia, a także cały stos wiarygodnych dokumentów podpisanych przez Allana po indonezyjsku, pozwoliło im wejść na pokład zgodnie z planem. Ponieważ przyjaciele wśród wielu kłamstw powiedzieli

również o tym, że następnym przystankiem będzie Kopenhaga, nikt nie zapytał o paszporty.

W podróż wybrali się stuletni Allan Karlsson, obecnie uznany za niewinnego złodziejaszek Julius Jonsson, wieczny student Benny Ljungberg, jego narzeczona, śliczna Gunilla Björklund, jej oba zwierzaki, słoń Sonja i owczarek Buster, brat Benny'ego Ljungberga, nawrócony dostawca artykułów spożywczych Bosse, wcześniej tak samotny komisarz Aronsson z Eskilstuny, były szef gangu Per-Gunnar Gerdin, a także jego matka, osiemdziesięcioletnia Rose-Marie, ta sama, która pewnego razu napisała ów nieszczęsny list, gdy jej syn siedział w zakładzie karnym Hall.

Wyprawa zajęła jedenaście godzin, bez zbędnych międzylądowań po drodze. Grupa była w dobrym stanie, gdy indonezyjski kapitan poinformował, że zbliżają się do międzynarodowego lotniska na Bali oraz że najwyższa pora, aby Allan Karlsson użył pozwolenia na lądowanie. Allan odpowiedział, że wystarczy, by kapitan dał mu znać, gdy odezwie się wieża kontroli lotów na Bali, a wtedy on wszystko załatwi.

– No, to właśnie teraz! – krzyknął zaniepokojony kapitan. – Co mam odpowiedzieć? Mogą mnie przecież zestrzelić albo co!

– E tam – rzekł Allan i przejął słuchawki i mikrofon kapitana. – Hallo? Bali Airport? – zawołał po angielsku i usłyszał w odpowiedzi, że samolot ma się natychmiast zidentyfikować, jeśli nie chce mieć przeciwko sobie indonezyjskiej artylerii przeciwlotniczej.

– Moje nazwisko Dollars – powiedział Allan. – Sto Tysięcy Dollars.

Wieża kontroli lotów zamilkła. Indonezyjski kapitan i drugi pilot spoglądali z podziwem na Allana.

– W tym momencie kierownik kontroli lotów przelicza, na ilu będzie musiał podzielić tę sumę – wyjaśnił Allan.

– Wiem – powiedział kapitan.

Minęło jeszcze kilka sekund, zanim kierownik kontroli lotów znów się odezwał.

– Hallo? Jest pan tam, mister Dollars?

– Tak, jestem – powiedział Allan.

– Przepraszam, ale mogę prosić jeszcze raz pana imię, mister Dollars?

– Sto Tysięcy – odrzekł Allan. – Nazywam się Sto Tysięcy Dollars i proszę o pozwolenie na lądowanie na waszym lotnisku.

– Przepraszam, mister Dollars. Trochę źle pana słychać. Może być pan tak uprzejmy i jeszcze raz powtórzyć pańskie imię?

Allan wyjaśnił kapitanowi, że kierownik właśnie wszczął negocjacje.

– Wiem – powiedział kapitan.

– Moje imię to Dwieście Tysięcy – odparł Allan. – Czy mamy wasze pozwolenie na lądowanie?

– Momencik, mister Dollars – powiedział kierownik, a gdy uzyskał pozwolenie współpracowników, dodał: – Serdecznie witamy na Bali, mister Dollars. Z przyjemnością będziemy tu pana gościć.

Allan podziękował i przekazał słuchawki i mikrofon kapitanowi.

– Zdecydowanie musiał pan kiedyś odwiedzić te okolice – powiedział kapitan i uśmiechnął się.

– Indonezja to kraj ogromnych możliwości – odparł Allan.

Gdy do wyżej postawionych panów na międzynarodowym lotnisku na Bali dotarło, że większość współpasażerów mister Dollarsa nie ma paszportów, a także że jeden z nich waży niemal pięć ton i ma cztery nogi, załatwienie papierów celnych, pozwolenia na pobyt i odpowiedniego transportu dla Sonii kosztowało dodatkowe pięćdziesiąt tysięcy. Ale już nieco ponad godzinę po wylądowaniu wszyscy dotarli do hotelu rodziny Einsteinów, wraz z Sonją, którą Benny i Ślicznotka przetransportowali w lotniskowym samochodzie do cateringu (tego popołudnia lot do Singapuru musiał się niestety obejść bez jedzenia).

Amanda, Allan i Mao Einsteinowie przyjęli gości i po masie uścisków zaprowadzili do ich pokoi. Sonja i Buster w tym czasie rozprostowywali kości w olbrzymich wiszących ogrodach hotelu. Amanda zdążyła już wyrazić ubolewanie nad faktem, że nie ma na Bali zbyt wielu kolegów słoni dla Sonii, ale oznajmiła, że zaraz zadba o dostawę ewentualnego chłopaka dla niej z Sumatry. Jeśli chodzi o dziewczyny dla Bustera, pewnie sam je sobie znajdzie; po wyspie biega dużo ładnych suczek.

Poinformowała także, że wieczorem odbędzie się oszałamiające balijskie przyjęcie dla wszystkich, i zaproponowała przedtem krótką drzemkę.

Wszyscy poza trzema osobami wysłuchali rady. Gawron i mama Gawrona nie mogli się już doczekać drinka z parasolką, to samo dotyczyło Allana, z tym że bez parasolki.

Udali się więc na plażę, usiedli wygodnie na leżakach i poczekali na dostawę tego, co zamówili w barze.

Kelnerka miała osiemdziesiąt cztery lata i osobiście przejęła rolę barmana.

– Proszę, czerwony drink z parasolką dla pana, panie Gerdin. Zielony z parasolką dla pani, pani mamo Gerdin. I... zaraz, zaraz... nie zamawiałeś mleka, Allanie?

– Wydaje mi się, że obiecałaś nie mieszać się w kelnerowanie, kochana Amando – powiedział Allan.

– Kłamałam, drogi Allanie. Kłamałam.

* * *

Nad rajską wyspą zapanowała ciemność i przyjaciele zebrali się na trzydaniową kolację, zaproszeni przez Amandę, Allana i Mao Einsteinów. Na przystawkę podano *sate litit*, jako danie główne *bebek betutu*, a na deser *jaja batun bedil*. Do tego serwowano *tuak wayah*, piwo z drzewa palmowego, dla wszystkich poza Bennym, który pił wodę.

Pierwszy wieczór na indonezyjskiej ziemi był długi, ale przyjemny. Po jedzeniu goście pili *pisang ambon*, poza Allanem, który preferował grog, i Bennym, który poprosił o filiżankę herbaty.

Bosse poczuł, że obfity dzień i wieczór należy nieco zrównoważyć, więc wstał i zaczął od zacytowania Jezusa z Ewangelii według św. Mateusza („Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie”[6]). Bosse miał na myśli, że każdy może stać się lepszy, słuchając Boga i ucząc się od Niego. Złożył ręce i podziękował Panu za wielce niezwykły i dobry dzień.

– Chyba wystarczy – powiedział Allan, wypełniając ciszę po słowach Bossego.

* * *

Bosse podziękował Panu i być może Pan się odwdzięczył, bo szczęście barwnej grupy Szwedów w balijskim hotelu trwało nadal. Benny oświadczył się Ślicznotce („Wyjdziesz za mnie?”, „Tak, do cholery! Teraz, od razu!”). Wesele odbyło się następnego wieczoru i trwało trzy dni. Rose-Marie Gerdin, lat osiemdziesiąt, nauczyła członków miejscowego klubu emerytów, jak się gra w wyspę skarbów (jednak na tyle słabo, aby zawsze to ona mogła wygrać); Gawron całymi dniami leżał na plaży pod parasolem i pił drinki z parasolką we wszystkich kolorach tęczy; Bosse i Julius kupili kuter rybacki, który rzadko opuszczali, a komisarz Aronsson stał się popularnym członkiem balijskiej elity. Był przecież biały, *bule*, poza tym komisarzem policji i pochodził z najmniej skorumpowanego kraju świata. Nie mogło być bardziej egzotycznie.

Allan i Amanda chodzili codziennie na spacery wzdłuż białej plaży koło hotelu. Zawsze mieli wiele tematów do rozmów i coraz lepiej czuli się w swoim towarzystwie. Nie chodzili zbyt szybko, bo ona miała osiemdziesiąt cztery lata, a on nieco ponad sto.

Po pewnym czasie zaczęli trzymać się za ręce, dla utrzymania równowagi. Potem postanowili jadać we dwoje kolacje na tarasie Amandy, posiłki w towarzystwie całej reszty były jakby zbyt hałaśliwie. Wreszcie Allan wprowadził się do Amandy. W ten sposób jego pokój można było wynająć jakiemuś turyście, co wyszło przecież na dobre finansom hotelu.

Podczas jednego ze spacerów Amanda zadała pytanie, czy mogliby zrobić tak jak Benny i Ślicznotka, to znaczy pobrać się, skoro i tak mieszkają razem. Allan odpowiedział, że wprawdzie Amanda jest dla niego zbyt młoda, ale ewentualnie może przymknąć na to oko, a drinki obecnie sam sobie miesza, więc tego też nie musi brać pod uwagę. Krótko mówiąc, Allan nie widział przeszkód dla tego, co Amanda właśnie zaproponowała.

– Postanowione? – spytała Amanda.

– Tak, postanowione – odparł Allan.

I ścisnęli swoje ręce jeszcze mocniej niż zwykle, dla utrzymania równowagi.

* * *

Śledztwo w sprawie śmierci Henrika „Hultaja" Hulténa było krótkie i bezskuteczne. Policja zbadała jego przeszłość i przesłuchała między innymi jego dawnych kompanów ze Smålandii (notabene całkiem niedaleko zagrody Gunilli Björklund w Sjötorp), ale ci nic nie słyszeli ani nie widzieli.

Policjanci w Rydze odszukali pijaka, który oddał mustanga na złomowisko, ale nie dało się z niego wyciągnąć sensownego słowa, dopóki jeden z policjantów nie wpadł na pomysł, żeby wlać w niego trzy czwarte litra czerwonego wina. Wtedy pijak umiał wreszcie powiedzieć – że nie ma pojęcia, kto go poprosił o tę przysługę. Pewnego dnia ktoś z całą reklamówką wina po prostu przysiadł się na ławce w parku.

– Wprawdzie nie byłem trzeźwy – wyjaśnił pijak – ale nigdy nie jestem aż tak pijany, żeby nie przyjąć czterech butelek wina.

Tylko jeden dziennikarz po kilku dniach odezwał się z pytaniem o śledztwo w sprawie zabójstwa Hultaja Hulténa, ale prokurator Ranelid uniknął udzielenia odpowiedzi. Był już wtedy na urlopie, w podróży last minute do Las Palmas. Właściwie myślał o bardziej odległym miejscu, słyszał, że na Bali jest pięknie, ale nie było wolnych miejsc.

Wyspy Kanaryjskie musiały wystarczyć. Siedział tam teraz na leżaku pod parasolem, z drinkiem z parasolką w ręku, i zastanawiał się, gdzie się podział Aronsson. Złożył wypowiedzenie, wziął cały zaległy urlop i po prostu zniknął.

---

[6] Mt 5,3.

ROZDZIAŁ 28

1982–2005

Pensja z ambasady amerykańskiej przydała się w sam raz. Allan znalazł czerwony drewniany domek tylko kilka kilometrów od miejsca, gdzie się urodził i wychował. Kupił go i zapłacił gotówką. W związku z tym musiał się wytłumaczyć szwedzkim władzom ze swojego istnienia. Po pewnym czasie poddały się one w tej sprawie, a nawet – ku zdziwieniu Allana – zaczęły wypłacać mu emeryturę.

– Dlaczego? – zdziwił się Allan.

– Przecież jest pan emerytem – padła odpowiedź.

– Naprawdę? – powiedział Allan.

Był emerytem, i to z całkiem niezłym stażem. Następnej wiosny miał skończyć siedemdziesiąt osiem lat. Allan zauważył, że się zestarzał, wbrew wszelkim przypuszczeniom i nawet się nad tym nie zastanawiając. A przecież miał być jeszcze starszy...

Lata mijały bez pośpiechu, a Allan nie miał większego wpływu na losy świata. Nie miał nawet wpływu na losy Flenu, dokąd się czasem udawał na zakupy (do wnuka sprzedawcy Gustavssona, który prowadził supermarket Ica i na całe szczęście nie miał pojęcia, kim jest Allan). Nie odwiedzał już natomiast biblioteki we

Flenie, odkąd wpadł na pomysł, że można prenumerować te czasopisma, które się chce – wtedy elegancko lądują one w skrzynce na listy. Nader praktyczne!

Gdy samotnik z domku pod Yxhult skończył osiemdziesiąt trzy lata, zauważył, że coraz ciężej mu się pedałuje tam i z powrotem do i ze sklepu we Flenie, więc kupił samochód. Przez chwilę rozważał, czy aby nie połączyć tego zakupu ze zdobyciem prawa jazdy, ale kiedy nauczyciel ze szkoły jazdy zapytał o badanie wzroku i zaświadczenie lekarskie, Allan zdecydował się jeździć bez prawa jazdy. Kiedy nauczyciel przeszedł do kodeksu drogowego, lekcji teoretycznych, jazd oraz podwójnych egzaminów końcowych, Allan już od dawna go nie słuchał.

W 1989 roku Związek Radziecki zaczął na dobre się rozpadać, ale nie dziwiło to specjalnie dziadka z Yxhult, który sam pędził bimber. Młodzieniaszek przy sterach, Gorbaczow, zaczął przecież swoje urzędowanie od kampanii przeciwko pijaństwu narodu. Nie tak się zdobywa serca mas, chyba każdy głupi potrafi to pojąć.

Tego samego roku, dokładnie w urodziny Allana, na schodach domku pojawił się młody kociak, który dawał znać, że jest głodny. Allan zabrał go do kuchni i dał mu mleka i kiełbasy. Kot uznał to za tak przyzwoity gest, że postanowił zostać.

Był to dachowiec w tygrysie paski, samiec, który wkrótce został nazwany Mołotow, nie ze względu na ministra, tylko na broń zapalającą. Mołotow nie był zbyt rozmowny, ale za to nadzwyczaj inteligentny i świetnie słuchał. Kiedy Allan miał coś do opowiedzenia, wołał kota, a ten natychmiast przybiegał (o ile właśnie nie łowił myszy, Mołotow miał swoje priorytety). Kot wskakiwał mu na kolana, układał się wygodnie i strzygł uszami

na znak, że jego pan może zaczynać. Jeśli Allan jednocześnie głaskał Mołotowa po głowie i karku, opowiadanie mogło trwać bez końca.

Gdy jakiś czas później Allan kupił kury, wystarczyło raz powiedzieć kotu, że ma się od nich trzymać z daleka, żeby Mołotow rozumnie pokiwał głową. To, że później nie przejmował się słowami Allana i ganiał kury, aż mu się znudziło, to już inna sprawa. Czego można wymagać? Przecież to tylko kot.

Allan uważał, że żadne zwierzę nie jest równie bystre jak Mołotow. Nawet lis, który ciągle krążył wokół kurnika w poszukiwaniu dziury w siatce. Lis miał też chrapkę na kota, ale Mołotow był od niego szybszy.

Do wszystkich lat, które Allan już miał na karku, doszło kilka kolejnych. Co miesiąc przychodziła emerytura z urzędu, mimo że Allan nie wpłacił na składki złamanego grosza. Za pieniądze kupował ser, kiełbasę, ziemniaki i od czasu do czasu worek cukru. Poza tym opłacał prenumeratę „Eskilstuna-Kuriren” oraz rachunki za prąd.

Ale gdy to i owo zostało uregulowane, i tak co miesiąc zostawała mu pewne suma, i na co mu ona? Allan postanowił włożyć nadwyżkę w kopertę i odesłać do urzędu, ale po pewnym czasie przedstawiciel urzędu przyjechał do Allana i poinformował, że tak nie można robić. Allan otrzymał z powrotem całą kwotę i musiał obiecać, że już nie będzie zadzierał z urzędem.

Allan i Mołotow dobrze się ze sobą czuli. Każdego ładniejszego dnia wybierali się na przejażdżkę rowerową żwirowymi ścieżkami

w okolicy. Allan zajmował się pedałowaniem, a Mołotow siedział w koszyku, rozkoszując się wiatrem i pędem.

Rodzinka wiodła przyjemne i monotonne życie, do dnia, gdy okazało się, że nie tylko Allan, ale i Mołotow się postarzał. Mianowicie lisowi, który niekiedy pojawiał się w kurniku, udało się dogonić kota, co było zaskakujące dla lisa i kota, a bardzo smutne dla Allana.

Wkrótce smutek przeszedł w gniew. Stary ekspert od materiałów wybuchowych stanął ze łzami w oczach na werandzie i wykrzyknął w zimową noc:

– Chcesz wojny? To będziesz ją miał, cholerny lisie!

Po raz pierwszy i jedyny w życiu Allan się zezłościł.

Nie pomagał ani grog, ani nielegalna jazda samochodem, ani dłuższa przejażdżka rowerem. Allan wiedział, że zemsta nie jest dobrym doradcą w życiu, mimo to ją planował.

Podłożył ładunek w kurniku z zamiarem wysadzenia go, gdy tylko lis znów zgłodnieje i wejdzie na kurze terytorium. Jednak w złości Allan zapomniał, że tuż obok kurnika ma cały skład dynamitu.

O zmierzchu trzeciego dnia po odejściu Mołotowa nastąpił taki wybuch w tej części sörmlandzkich lasów, jakiego nie widziano od późnych lat dwudziestych.

Lis wyleciał w powietrze, dokładnie tak jak kury, kurnik i drewutnia, ale ładunek był wystarczający także dla stodoły i domu. Podczas wybuchu Allan siedział w swoim fotelu, więc wyleciał wraz z nim i wylądował w zaspie śnieżnej koło piwnicy na ziemniaki. Siedział tam i rozglądał się zdziwiony dookoła, aż w końcu powiedział:

– To był dopiero lis.

Allan miał wtedy dziewięćdziesiąt dziewięć lat i czuł się wystarczająco poturbowany, aby zostać, tam gdzie siedział, lecz pogotowie, policja i straż pożarna z łatwością go odnalazły. Kiedy stwierdzono, że staruszek w fotelu w zaspie przy własnej piwnicy na ziemniaki nie jest poszkodowany, wezwano opiekę społeczną.

W ciągu mniej niż godziny na miejsce dotarł pracownik opieki społecznej Henrik Söder. Allan nadal siedział w fotelu, ale ratownicy medyczni owinęli go w kilka żółtych koców szpitalnych, co raczej nie było potrzebne, bo ognisko z domu, który zaraz miał doszczętnie spłonąć, wciąż mocno przygrzewało.

– To prawda, że wysadził pan swój dom w powietrze? – zapytał pracownik opieki społecznej Söder.

– Tak – odparł Allan. – Taki mam zły nawyk.

– Niech zgadnę, tym samym nie ma pan gdzie mieszkać? – ciągnął Söder.

– Sporo w tym prawdy – powiedział Allan. – Czy ma pan jakąś propozycję?

Pracownik opieki społecznej nie mógł z miejsca nic poradzić, dlatego Allan chwilowo zamieszkał na rachunek opieki społecznej w hotelu miejskim we Flenie, gdzie następnego wieczoru przyszło mu świętować Nowy Rok między innymi z pracownikiem opieki społecznej Söderem i jego małżonką.

Tak elegancko Allan nie mieszkał od czasu, gdy tuż po wojnie wynajmował apartament w luksusowym hotelu Grand. Zresztą najwyższa pora zapłacić w nim rachunek, bo w pośpiechu nigdy nie został uregulowany.

Na początku stycznia 2005 roku pracownik opieki społecznej Söder znalazł mieszkanie dla sympatycznego staruszka, który tydzień wcześniej nagle i przypadkiem stał się bezdomny.

W ten sposób Allan trafił do domu spokojnej starości w Malmköping, gdzie akurat zwolnił się pokój numer jeden. Przyjęła go siostra Alice, która wprawdzie przyjaźnie się uśmiechała, ale także wyssała z Allana całą radość życia, prezentując mu zasady obowiązujące w domu opieki. Powiedziała o zakazie palenia, picia alkoholu i oglądania telewizji po dwudziestej trzeciej, o tym że śniadanie jest podawane o szóstej czterdzieści pięć w dni powszednie, a godzinę później w weekendy, obiad o jedenastej piętnaście, podwieczorek o piętnastej piętnaście, a kolacja o osiemnastej piętnaście. Ten, kto się szwendał po miasteczku i nie wracał do domu na czas, ryzykował chodzenie głodnym.

Następnie siostra Alice wyłożyła zasady dotyczące brania prysznica i mycia zębów, odwiedzin gości oraz między mieszkańcami domu opieki, poinformowała o porach podawania leków oraz w jakich godzinach wolno przeszkadzać siostrze Alice lub któremuś z jej kolegów, o ile nie było to coś nagłego, co rzadko się zdarzało, zdaniem siostry Alice, która dodała jeszcze, że pensjonariusze w ogóle za dużo marudzą.

– A można się wysrać, kiedy się chce? – zapytał Allan.

W ten sposób Allan poróżnił się z siostrą Alice w ciągu kwadransa, odkąd się poznali.

Allan nie był z siebie zadowolony, że wypowiedział wojnę temu tam lisowi (nawet jeśli ją wygrał), a tracenie dobrego nastroju nie leżało w jego naturze. Poza tym użył języka, na jaki

przedstawicielka domu opieki prawdopodobnie zasługiwała, ale który mimo wszystko nie pasował do Allana. Do tego cała lista zasad, do których miał się teraz dostosować.

Allan tęsknił za swoim kotem. I miał dziewięćdziesiąt dziewięć lat i osiem miesięcy. Zdawało się, że stracił panowanie nad własnym życiem, a teraz jeszcze przytrafiła mu się siostra Alice.

Już wystarczy.

Allan miał dosyć życia, bo życie zdawało się mieć dosyć jego, a on nie był z tych, co się narzucają.

Wprowadzi się więc do pokoju numer jeden jak należy, zje kolację o osiemnastej piętnaście, a potem, świeżo umyty, w nowej pościeli i nowej piżamie, położy się do łóżka i umrze we śnie. Następnie wyniosą go, zakopią i zapomną o nim. Allan był całkowicie pogodzony z losem, gdy około ósmej wieczorem po raz pierwszy i, jak sądził, ostatni położył się w swoim łóżku w domu opieki. Za mniej niż cztery miesiące miała mu stuknąć trzycyfrowa liczba. Allan Emmanuel Karlsson zamknął oczy i czuł, że teraz z całą pewnością zaśnie na dobre. Jego życiowa droga była interesująca, ale nic nie trwa wiecznie, no może poza powszechną głupotą.

Potem Allan już nie myślał. Zmęczenie wzięło górę. I nastała ciemność.

A potem znów zrobiło się jasno. Białe światło. I pomyśleć, że śmierć jest tak podobna do snu. Czy zdążył to pomyśleć, zanim wszystko się skończyło? I zdążył pomyśleć, że zdążył pomyśleć? Ale zaraz zaraz, właściwie jak długo zdąży się pomyśleć, zanim się coś wymyśli?

– Panie Allanie, jest za piętnaście siódma, pora na śniadanie. Jeśli pan nie zje, zabierzemy kaszkę i nic pan nie dostanie do jedzenia aż do obiadu – powiedziała siostra Alice.

Allan musiał przyznać, że stał się naiwny na stare lata. Nie można po prostu położyć się i umrzeć na zamówienie. Istniało spore ryzyko, że także następnego dnia zostanie obudzony przez tego okropnego człowieka, siostrę Alice, i że zostanie mu podana równie okropna kaszka.

No cóż. Zostało mu przecież jeszcze kilka miesięcy do setki, pewnie zdąży kopnąć w kalendarz do tego czasu. „Alkohol zabija!" – uzasadniła zakaz picia w domu opieki siostra Alice. Brzmi obiecująco, pomyślał Allan. Może by tak czmychnąć do monopolowego?

* * *

Dni mijały i przechodziły w tygodnie. Minęła zima, nastała wiosna, a Allan tęsknił do śmierci niemal równie mocno, jak jego przyjaciel Herbert przed pięćdziesięcioma laty. Wola Herberta nie została wysłuchana, dopóki nie zmienił zdania. Nie zapowiadało się to dobrze.

A co gorsza: personel domu spokojnej starości zaczął przygotowywać nadchodzące urodziny Allana. Jak zwierzę w klatce miał znieść oglądanie go, śpiewanie mu i karmienie tortem. Doprawdy nie prosił o to.

Teraz ma tylko jedną noc, żeby zdążyć umrzeć.

ROZDZIAŁ 29
Poniedziałek, 2 maja 2005

Można by pomyśleć, że mógł się zdecydować wcześniej albo przynajmniej mieć na tyle przyzwoitości, żeby poinformować otoczenie o swojej decyzji. Ale Allan Karlsson nigdy zbyt długo nie rozważał swoich decyzji.

Tak więc myśl nie zdążyła jeszcze zagnieździć się w głowie staruszka, a już otwierał okno swojego pokoju na parterze domu spokojnej starości w sörmlandzkim Malmköping i wskakiwał na rabatę.

Manewr dał się we znaki i nie było w tym nic dziwnego, bo właśnie tego dnia Allan kończył sto lat. Do przyjęcia urodzinowego w świetlicy domu spokojnej starości zostało mniej niż godzina. Sam radny gminy miał tam być. I lokalna prasa. I wszyscy pozostali staruszkowie. I cały personel, ze srogą siostrą Alice na czele.

Tylko główny bohater nie miał zamiaru się pojawić.

EPILOG

Allan i Amanda byli ze sobą bardzo szczęśliwi. Zresztą byli dla siebie stworzeni. Jedno miało alergię na wszelkie rozmowy o ideologii i religii, drugie nie wiedziało, co znaczy słowo „ideologia" i nie mogło zapamiętać imienia boga, do którego miało się modlić. Poza tym któregoś wieczoru, gdy wzajemna bliskość była nader intensywna, okazało się, że profesor Lundborg musiał dość niedokładnie obchodzić się ze skalpelem pewnego sierpniowego dnia 1925 roku, bo Allan ku swemu zdziwieniu był zdolny do tego, co do tej pory widział tylko na filmach.

W dniu osiemdziesiątych piątych urodzin Amanda dostała od męża laptopa z dostępem do internetu. Allan słyszał, że ten cały internet to dobra rozrywka dla młodzieży.

Zajęło trochę czasu, zanim Amanda nauczyła się logowania, ale była uparta i już po kilku tygodniach założyła własnego bloga. Pisała całymi dniami o sprawach dużych i małych, dawnych i aktualnych. Między innymi opowiedziała o światowych podróżach i przygodach swojego ukochanego męża. Zamierzonymi czytelniczkami miały być jej przyjaciółki z balijskiej śmietanki towarzyskiej, nikt inny przecież nie będzie tego czytał.

Allan jak zwykle siedział na werandzie i delektował się śniadaniem, gdy pewnego dnia pojawił się dżentelmen

w garniturze. Mężczyzna powiedział, że jest przedstawicielem rządu indonezyjskiego, i oznajmił, że zapoznał się z sensacyjną zawartością pewnego bloga. Teraz w imieniu prezydenta chciałby wykorzystać nadzwyczajne umiejętności pana Karlssona, o ile to, co było tam napisane, jest prawdą.

– W czym chciałby pan, żebym mu pomógł, jeśli mogę spytać? – powiedział Allan. – Chyba tylko na dwóch rzeczach znam się lepiej od innych. Pierwsza, to jak się robi wódkę z koziego mleka, a druga to jak zmajstrować bombę atomową.

– Właśnie tym jesteśmy zainteresowani – rzekł mężczyzna.

– Kozim mlekiem?

– Nie – odparł mężczyzna. – Nie kozim mlekiem.

Allan poprosił, aby przedstawiciel rządu indonezyjskiego usiadł. I wyjaśnił, że pewnego razu podarował bombę Stalinowi i była to pomyłka, bo Stalin zdecydowanie nie był normalny. Dlatego teraz Allan chciałby wiedzieć, jak to jest z rozsądkiem indonezyjskiego prezydenta. Przedstawiciel rządu odpowiedział, że prezydent Yudhoyono jest bardzo mądrą i odpowiedzialną osobą.

– Miło mi to słyszeć – powiedział Allan. – W takim razie chętnie pomogę.

I tak też zrobił.

Stulatek, który wyskoczył przez okno i zniknął

Okładka

Karta tytułowa
Dedykacja
* * *

ROZDZIAŁ 1 Poniedziałek, 2 maja 2005

ROZDZIAŁ 2 Poniedziałek, 2 maja 2005

ROZDZIAŁ 3 Poniedziałek, 2 maja 2005

ROZDZIAŁ 4 1905–1929

ROZDZIAŁ 5 Poniedziałek, 2 maja 2005

ROZDZIAŁ 6 Poniedziałek, 2 maja – wtorek, 3 maja 2005

ROZDZIAŁ 7 1929–1939

ROZDZIAŁ 8 Wtorek, 3 maja – środa, 4 maja 2005

ROZDZIAŁ 9 1939–1945

ROZDZIAŁ 10 Poniedziałek, 9 maja 2005

ROZDZIAŁ 11 1945–1947

ROZDZIAŁ 12 Poniedziałek, 9 maja 2005

ROZDZIAŁ 13 1947–1948

ROZDZIAŁ 14 Poniedziałek, 9 maja 2005

ROZDZIAŁ 15 Poniedziałek, 9 maja 2005

ROZDZIAŁ 16 1948–1953

ROZDZIAŁ 17 Wtorek, 10 maja 2005

ROZDZIAŁ 18 1953

ROZDZIAŁ 19 Środa, 11 maja – środa, 25 maja 2005

ROZDZIAŁ 20 1953–1968

ROZDZIAŁ 21 Czwartek, 26 maja 2005

ROZDZIAŁ 22 Środa, 25 maja – czwartek, 26 maja 2005

ROZDZIAŁ 23 1968

ROZDZIAŁ 24 Czwartek, 26 maja 2005

ROZDZIAŁ 25 Piątek, 27 maja 2005

ROZDZIAŁ 26 1968–1982

ROZDZIAŁ 27 Piątek, 27 maja – czwartek, 16 czerwca 2005

ROZDZIAŁ 28 1982–2005

ROZDZIAŁ 29 Poniedziałek, 2 maja 2005

EPILOG

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
HUNDRAÅRINGEN SOM KLEV UT
GENOM FÖNSTRET OCH FÖRSVANN

Redaktor prowadzący
Monika Koch

Redakcja
Monika Paulińska

Redakcja techniczna
Agnieszka Gąsior

Korekta
Maciej Korbasiński
Jadwiga Piller

Copyright © 2009 Jonas Jonasson
First published by Piratförlaget, Sweden.
By Agreement with Pontas Literary & Film Agency, Spain
Copyright © for the Polish translation
by Joanna Myszkowska-Mangold, 2011
Copyright © for the e-book edition
by Weltbild Polska Sp. z o.o., Warszawa 2011

Świat Książki
Warszawa 2012

Weltbild Polska Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: Weltbild.pl

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-7799-701-7
Nr 90451865

Plik ePub przygotowa a firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
http://eLib.pl